KOLEKCJA LITERATURY KLASYCZNEJ

Herman Melville

Moby Dick

TOM II

Herman Melville

Moby Dick

czyli Biały Wieloryb

Tom 2

Konwersja:

ROZDZIAŁ LVIII
BRIT

Żeglując na północo-wschód od Krozetów natrafiliśmy na obszerne łany *britu,* drobnej, żółtej substancji, którą się głównie żywi wieloryb właściwy. Dziesiątkami i dziesiątkami mil *brit* falował wokoło nas, tak iż się zdało, że płyniemy wskroś nieprzemierzonych pól dostałej, złocistej pszenicy.

Drugiego dnia spostrzeżono liczne wieloryby właściwe, które, bezpieczne od ataku ze strony takiego kaszalotowca jak „Pequod", leniwie płynęły z rozwartymi szczękami poprzez *brit,* który przywarłszy do frędzlowatych włókien owej zadziwiającej weneckiej żaluzji, jaką mają w paszczach, w ten sposób oddzielany był od wody wyciekającej przez wargi.

Niby poranni kosiarze, co idąc ramię w ramię, z wolna a krzepko prowadzą kosy poprzez długą, wilgotną trawę łąk podmokłych, potwory owe płynęły wydając dziwny, trawiasty, tnący dźwięk i pozostawiając za sobą na żółtym morzu nie kończące się ścieżki błękitu.*

Ale to tylko dźwięk wydawany przez wieloryby przy oddzielaniu *britu* od wody przywodził na pamięć kosiarzy. Widziane z masztów, szczególnie gdy się zatrzymały i przez chwilę trwały bez ruchu, ich ogromne czarne kształty bardziej niż cokolwiek innego przypominały martwe zwały skał. I jak na wielkich obszarach łowieckich Indii cudzoziemiec czasem minie z pewnej odległości leżące na równinie słonie nie wiedząc nawet, że to one, i biorąc je za nagie, poczerniałe wyniosłości gruntu, tak samo dzieje się często i z tym, kto po raz pierwszy ogląda tę odmianę morskich Lewiatanów. A nawet gdy się je wreszcie rozpozna, ich potworny ogrom sprawia, iż

bardzo trudno jest naprawdę uwierzyć, że wszystkie części tak olbrzymio rozrośniętych cielsk może przenikać to samo życie, które krąży w psie czy koniu.

W istocie trudno i pod innym względem patrzeć na wszelkie stwory głębin z tym samym uczuciem, z jakim się spogląda na zwierzę lądowe. Choć bowiem niektórzy dawni przyrodnicy utrzymywali, że wszystkie zwierzęta z lądu mają swe odpowiedniki na morzu, choć patrząc z pewnej perspektywy można to uznać za prawdę, przecie jeśli przejdziemy do szczegółów, to czyż na przykład ocean daje nam rybę, która usposobieniem odpowiadałaby mądrości psa? Jedynie tylko o przeklętym rekinie można by powiedzieć, że w pewnej mierze odznacza się jakąkolwiek do niego analogią.

Choć jednak na ogół ludzie lądu traktują mieszkańców mórz z uczuciem niewymownej nieufności i odrazy; choć wiemy, iż morze jest odwieczną *terra incognita* — tak że Kolumb żeglował ponad niezliczonymi nieznanymi światy po to, by na powierzchni odkryć ten swój jeden świat zachodu; mimo że bezwarunkowo najokropniejsze z doczesnych klęsk od niepamiętnych czasów spadały bez wyboru na dziesiątki i setki tych, co ruszyli na morze; mimo że jedna chwila zastanowienia pouczy nas, iż po wiek wieków, aż do dnia sądnego, morze będzie człowiekiem poniewierało i mordowało go, ścierając na proch najokazalszą, najtęższą fregatę, jaką on zbudować potrafi (choćby w swej dziecinności chełpił się wiedzą i zręcznością, te zaś jeszcze miały nawet wzrosnąć w jakiejś łaskawej przyszłości) — mimo to wszystko, dzięki ustawicznemu powtarzaniu się owych doświadczeń, człowiek zatracił poczucie całej straszliwości, jaką się odwiecznie z morzem łączy.

Pierwsza łódź, o jakiej czytamy, unosiła się na oceanie, który z iście portugalską dokładnością zalał świat cały, nie pozostawiawiając na nim nawet wdowy. Ten sam ocean i dziś toczy swe fale; ten sam ocean zniszczył zeszłego roku okręty. Tak, głupi śmiertelniku; potop Noego jeszcze nie opadł — pokrywa dotąd dwie trzecie tej pięknej ziemi.

Jakaż różnica między morzem a ziemią sprawia, że to, co na jednym z nich jest cudem, nie jest cudem na drugim? Hebrajczycy zdjęci byli nadprzyrodzonym lękiem, gdy pod stopami Koracha i jego towarzyszy rozstąpiła się żywa ziemia i pochłonęła ich na wieki; a przecie w nowszych czasach słońce ni razu nie zajdzie bez tego, by żywe morze nie pochłonęło dokładnie w ten sam sposób okrętów i załóg.

Ale morze jest tak wrogie nie tylko obcemu dlań człowiekowi; wrogie jest także i własnemu potomstwu; okrutniejsze od owego perskiego gospodarza, co pomordował własnych gości, nie oszczędza istot, które samo spłodziło. Jak dzika tygrysica, miotająca się w dżungli, tratuje własne szczenięta, tak i morze ciska o skały najpotężniejsze wieloryby i tam je pozostawia obok strzaskanych szczątków okrętów. Żadne miłosierdzie, żadna moc nim nie włada, prócz własnej. Bezpański ocean zalewa nasz glob dysząc i chrapiąc jak oszalały rumak bojowy, co utracił jeźdźca.

Zważcie tajemniczość morza; najstraszniejsze jego istoty suną pod wodą, najczęściej niewidziane i zdradziecko ukryte pod nadobnymi odcieniami lazuru. Zważcie szatańską okazałość i urodę wielu z najokrutniejszych morskich plemion, jak choćby cudnie upiększone kształty rozlicznych odmian rekinów. Zważcie jeszcze powszechny kanibalizm morza, którego wszystkie stworzenia żerują na sobie wzajemnie, prowadząc wieczystą wojnę od początku świata.

Rozważcie to wszystko, a następnie spójrzcie na zieloną, łagodną i potulną ziemię; porównajcie ją z morzem — czyliż nie znajdujecie dziwnej analogii do czegoś w was samych? Albowiem podobnie jak ów straszliwy ocean opływał ląd kwitnący, tak i w duszy człowieka istnieje jedno wyspiarskie Tahiti, pełne pokoju i radości, otoczone jednak przez wszystkie potworności na wpół nie znanego życia. Niechaj Bóg was strzeże! Nie odpływajcie od tej wyspy, bo przenigdy nie będziecie zdolni powrócić!

ROZDZIAŁ LIX
MĄTWA

Z wolna brnąc poprzez łąki *britu,* „Pequod” kierował się nadal na północo-wschód, w stronę wyspy Jawy; lekki powiew popychał jego kil i wśród panującego wokół spokoju trzy wyniosłe, spiczaste maszty chyliły się łagodnie przed senną bryzą niby trzy ciche palmy stojące na równinie. I nadal od czasu do czasu można było wśród srebrzystej nocy dostrzec samotną, wabiącą fontannę.

Jednakże pewnego przezroczystego, błękitnego ranka, kiedy na morzu zaległ niemal nadnaturalny spokój, choć bynajmniej nie połączony z jakąś martwą ciszą, kiedy długo polerowana słoneczna przesieka na wodzie wydawała się złocistym palcem złożonym na niej i nakazującym milczenie, kiedy gładkie fale szeptały do siebie, cichutko sunąc naprzód — wśród głębokiego milczenia całego widzialnego świata Daggoo dojrzał z grotmasztu dziwną zjawę.

W oddali podniosła się leniwie wielka, biała masa, a unosząc się coraz wyżej i wyżej i odcinając od lazuru wód, na koniec zajaśniała przed naszym dziobem niby śnieżna lawina, co świeżo się z gór obsunęła. Lśniła tak przez chwilę, po czym z wolna opadła i znikła. Następnie wynurzyła się znowu i błyszczała w ciszy. Nie wydawała się być wielorybem: „Może to jednak Moby Dick?” — pomyślał Daggoo. I znowu zanurzyła się zjawa, lecz kiedy ukazała się raz jeszcze, Murzyn, ostrym jak sztylet głosem, który otrząsnął wszystkich z senności, ryknął:

— Tam! Tam znowu! Tam wyskakuje! Prosto przed nami! Biały wieloryb, biały wieloryb!

Na to marynarze rzucili się do noków rej, jak pszczoły zlatujące się w czas wyroju na gałęzie. W palącym słońcu Ahab stanął z obnażoną głową na bukszprycie i wysunąwszy jedną rękę daleko za siebie, gotów dać znak sternikowi, słał żarliwie spojrzenia w stronę, którą wskazywało z wysokości wyciągnięte bez ruchu ramię Daggoo.

Czy to wymykająca się nam ciągle pojedyncza, samotna fontanna tak stopniowo podziałała na Ahaba, że teraz gotów był łączyć wszelką myśl o ciszy i spokoju z pierwszym widokiem ściganego przez siebie wieloryba, czy też oszukały go własne pragnienia — dość, że ledwo wyraźnie dojrzał białą masę, a już z pośpiechem i zajadłością dał rozkaz spuszczenia szalup.

Rychło wszystkie cztery znalazły się na wodzie; łódź Ahaba płynęła na czele i wraz z innymi szybko mknęła ku ofierze. Ta wkrótce pogrążyła się w toni, lecz oto w chwili, gdyśmy z podniesionymi wiosłami oczekiwali jego ponownego wypłynięcia, znowu wynurzyła się z wolna na powierzchnię w tym samym miejscu, gdzie przedtem zniknęła. Na chwilę zapomniawszy niemal zupełnie o Moby Dicku patrzyliśmy teraz na najbardziej zdumiewające zjawisko, jakie dotychczas objawiły ludziom tajemnicze morza. Ogromna, mięsista masa, na całe sążnie długa i szeroka, połyskliwego kremowego koloru, unosiła się na powierzchni wody, a niezliczone, długie ramiona, rozchodzące się promieniście od środka, zjawiły się i kłębiły niby gniazdo żmij, jakby na oślep usiłując pochwycić każdy nieszczęsny przedmiot, który by się znalazł w ich zasięgu. Nie miała żadnego widocznego oblicza czy głowy, żadnego w ogóle znaku czucia czy instynktu; kłębiła się tylko na falach niby nieziemska, bezkształtna, przypadkowa zjawa życia.

Kiedy z cichym bulgotem znowu powoli zniknęła, Starbuck jeszcze się wpatrując w wody zbełtane na miejscu, gdzie się zanurzyła, wykrzyknął dziko:

— Już bym raczej wolał ujrzeć Moby Dicka i walczyć z nim, niż zobaczyć ciebie, biały upiorze!

— Co to było? — zapytał Fiask.

— Wielka, żywa mątwa, o której powiadają, że mało jest takich statków wielorybniczych, co ujrzawszy ją powracają później do portu, by o niej opowiedzieć.

Ahab wszelako nic się nie odezwał; zawrócił łódź i odpłynął z powrotem do statku, a reszta podążyła za nim w podobnym milczeniu.

Jakiekolwiek zabobony wiążą łowcy kaszalotów z ukazaniem się owego stworzenia, jedno jest pewne: ujrzenie go to rzecz tak bardzo niezwykła, iż sam ten fakt w wielkiej mierze przyoblekł je w złowieszczość. Tak rzadko się ową mątwę widuje, że choć każdy bez wyjątku stwierdza, że jest ona największym ożywionym stworem na oceanie, przecie bardzo nieliczni mają choćby mgliste pojęcie o jej właściwej naturze i kształcie, a mimo to uważają, że stanowi jedyną karmę kaszalota. Albowiem inne odmiany wielorybów szukają pożywienia na powierzchni wody i człowiek może je oglądać w trakcie żerowania, kaszalot zaś czerpie pokarm z nie znanych stref głębiny i można jedynie wyciągać pewne wnioski, z czego właściwie pokarm ów się składa. Czasem się zdarza, że kaszalot napierany z bliska wyrzuca z gardzieli coś, co uważane jest za odgryzione ramiona mątwy, przy czym niektóre z nich, w ten sposób ujawnione oczom ludzkim, przekraczają dwadzieścia i trzydzieści stóp długości. Są tacy, co wyobrażają sobie, że potwór, do którego ramiona owe należały, zazwyczaj czepia się nimi dna oceanu, i że kaszalot w przeciwieństwie do innych gatunków wielorybów wyposażony jest w zęby po to, by mątwę atakować i rozszarpywać.

Wydaje się, że istnieją pewne podstawy do przypuszczeń, iż wielki Kraken biskupa Pontoppidana może się koniec końców okazać mątwą. Sposób, w jaki go biskup opisuje, kolejne wynurzanie się i znikanie pod wodą oraz kilka innych szczegółów, o jakich opowiada — wszystko się zgadza. Jednakże należy bardzo pomniejszyć ów niewiarygodny ogrom, jaki mu biskup przydaje.

Niektórzy przyrodnicy zasłyszawszy coś niecoś o tajemniczym stworzeniu, tu przez nas omawianym, zaliczają je

do rzędu mięczaków, do których w istocie zdaje się z uwagi na pewne zewnętrzne cechy przynależeć, ale tylko jako Anak owego plemienia.

ROZDZIAŁ LX
LINA

W związku ze sceną wielorybniczą, która tu niebawem zostanie opisana, jak również dla lepszego zrozumienia wszelkich popodbnych scen przedstawionych gdzie indziej, muszę pomówić o magicznej, a czasem straszliwej linie wielorybniczej.

Lina pierwotnie używana przy tych łowach sporządzona była z najprzedniejszych konopi i lekko skropiona smołą, nie zaś nasycona nią, jak się to dzieje ze zwykłymi linami. Chociaż bowiem smoła stosowana w zwykły sposób czyni konopie bardziej giętkimi w rękach powroźnika, jak również sprawia, że sama lina staje się wygodniejsza dla marynarza w codziennym użyciu na statku, jednakże zwykła ilość smoły nie tylko zbytnio by usztywniła linę wielorybniczą, która musi być ciasno zwijana, ale też — jak się zaczyna przekonywać większość marynarzy — smoła w ogóle bynajmniej nie zwiększa trwałości czy mocy liny, choćby dodawała jej zwartości i połysku.

W ostatnich czasach w wielorybnictwie amerykańskim powrozy z Manili niemal całkowicie wyparły konopie, jako materiał do sporządzania lin wielorybniczych, choć bowiem nie tak trwałe, są jednak mocniejsze i o wiele miększe tudzież elastyczniejsze, a dodam też (jako że we wszystkich rzeczach istnieje estetyka), że są o wiele ładniejsze i bardziej przystoją łodzi niż konopne. Konopie to tak jakby mroczny, ciemny człowiek, coś w rodzaju Indianina; natomiast powróz manilski przypomina złotowłosego Czerkiesa.

Lina wielorybniczą ma tylko dwie trzecie cala grubości. Na pierwszy rzut oka nie wydaje się wam tak mocna, jak jest w rzeczywistości. Przy próbach każde z jej pięćdziesięciu włókien wytrzyma ciężar stu dwudziestu funtów, tak że cała lina utrzymać może blisko trzy tony. Pospolita lina wielorybniczą mierzy coś ponad dwieście sążni długości. Jest spiralnie zwinięta w bębnie umieszczonym na rufie łodzi, jednak nie jak wężownica aparatu destylacyjnego, ale w ten sposób, że tworzy okrągłą, do sera podobną bryłę gęsto ułożonych „kółek", czyli warstw koncentrycznych spirali bez żadnego wydrążenia z wyjątkiem „rdzenia", czyli wąziutkiego, pionowego kanału uformowanego na osi tego sera. Układanie liny w bębnie odbywa się z najwyższą starannością, ponieważ najmniejsze zaplątanie czy supeł na linie, w chwili gdy wylatuje z łodzi, niechybnie wyszarpnie czyjeś ramię, nogę czy nawet całego człowieka. Niektórzy harpunnicy trawią na tym zajęciu całe przedpołudnie, wciągając linę wysoko na maszt, a następnie przepuszczając ją przez blok na dół do bębna tak, żeby w trakcie zwijania była wolna od wszelkich możliwych zahaczeń czy poplątań.

Na łodziach angielskich używa się dwóch bębnów miast jednego, przy czym ta sama lina zwinięta jest naprzód w jednym, a później w drugim z nich. Ma to pewną dobrą stronę, ponieważ owe bliźniacze bębny są niewielkie i przeto dają się łatwiej umieścić w łodzi nie przeciążając jej zbytnio, podczas gdy bęben amerykański, mający niemal trzy stopy średnicy oraz proporcjonalną głębokość, stanowi raczej masywny ładunek dla szalupy, której deski mają ledwie pół cala grubości; dno łodzi wielorybniczej jest bowiem podobne do cienkiej warstwy lodu, która wytrzyma dość znaczny ciężar, jeśli go rozłożyć, natomiast nie uniesie ciężaru skupionego w jednym punkcie. Kiedy na amerykański bęben linowy zarzuci się pokrowiec z malowanego płótna, wówczas łódź wygląda, jakby wiozła jakiś ogromny tort weselny w podarku dla wielorybów.

Oba końce liny są widoczne; dolny tworzy oczko, czyli pętlicę, idzie od dna bębna do gry po jego ściance i zwisa przez

krawędź całkiem swobodnie. Takie urządzenie jest konieczne z dwóch względów. Po pierwsze, aby ułatwić doczepienie dodatkowej liny z sąsiedniej szalupy na wypadek, gdyby ugodzony wieloryb znurkował tak głęboko, iż mogłoby to zagrażać wyciągnięciem całej liny, która z drugiego końca przytwierdzona jest do harpuna. W takich wypadkach łodzie podają sobie oczywiście wieloryba z rąk do rąk, niby kufel piwa, gdyż pierwsza łódź krąży stale w pobliżu, by udzielić pomocy swej towarzyszce. Po wtóre, urządzenie takie jest niezbędne dla samego bezpieczeństwa, gdyby bowiem dolny koniec liny był w jakikolwiek sposób przymocowany do łodzi, a wieloryb po wbiciu harpuna wyciągnął linę aż do końca niemal w jednej błyskawicznej chwili, jak to się czasem zdarza, wówczas pewnie by na tym nie poprzestał, ale niechybnie pociągnął skazaną na zagładę łódź w głębinę morza, a w takim przypadku żaden herold miejski nigdy by już jej nie odnalazł.

Zanim spuści się szalupę w celu rozpoczęcia łowów, wyciąga się z bębna górny koniec liny na rufę i owinąwszy wokół pachołka prowadzi z powrotem na dziób przez całą długość łodzi, układając linę w poprzek rękojeści wioseł, tak że w czasie wiosłowania trąca ona napięstki każdego z marynarzy, przechodząc między siedzącymi na przemian przy obu burtach; następnie trafia w wybite blachą ołowianą korytko, umieszczone na samym skraju dziobu, gdzie drewniany kołek czy hak wielkości zwykłej szpulki zapobiega wyśliźnięciu się liny z szalupy. Z korytka lina zwisa nad dziobem jak niewielki feston, po czym zawraca do wnętrza łodzi, gdzie ułożona jest na skrzynce u dzioba w zwoje długości dziesięciu do dwudziestu sążni (zwą się one liną skrzynkową). Następnie idzie dalej wzdłuż burty, nieco do tyłu i tam jest przytwierdzona do „sznura krótkiego”, czyli linki, która już bezpośrednio łączy się z harpunem; przedtem jednak sznur krótki przechodzi przez rozmaite misteria, zbyt nudne, by je tu wyszczególniać.

Tak więc lina wielorybnicza oplata całą łódź swymi skomplikowanymi zwojami, wijąc się i skręcając niemal we wszystkich kierunkach. Każdy wioślarz wplątany jest w jej

niebezpieczne sekrety, tak że w bojaźliwych oczach szczura lądowego marynarze zdają się przypominać indyjskich kuglarzy, którzy wesoło przyozdabiają swoje ciało festonami z najbardziej śmiercionośnych wężów. Toteż żaden syn kobiety śmiertelnej, który by zasiadł po raz pierwszy pośrodku owych konopnych zawiłości, nie może nie pomyśleć, wyciskając z siebie siódmy pot nad wiosłem, że każdej niewiadomej chwili harpun może być rzucony, po czym wszystkie te okropne skręty wprawione zostaną w ruch jak pierścieniowate błyskawice; wówczas przelatuje po nim dreszcz, od którego sam szpik jego kości trzęsie się jak galareta. A jednak przyzwyczajenie — rzecz osobliwa! — czegóż nie potrafi ono dokonać? Na waszych mahoniowych fotelach nie słyszeliście nigdy weselszych konceptów, uciesznіejszych dowcipów, lepszych żartów i błyskotliwszych odpowiedzi niż na tej półcalowej, cedrowej desce łodzi wielorybniczej, nieledwie pod stryczkiem kata; można powiedzieć, iż na podobieństwo owych sześciu mieszczan z. Calais, którzy stanęli przed obliczem króla Edwarda, sześciu marynarzy tworzących załogę wali prosto w paszczę śmierci ze stryczkiem zawieszonym na szyi.

Może wystarczy wam teraz krótka chwila zastanowienia, żeby pojąć, skąd się biorą owe częste katastrofy wielorybnicze — z których tylko nieliczne bywają przypadkowo notowane — kiedy ten czy ów zostanie porwany z łodzi przez linę i ginie. Bowiem znajdować się w łodzi wówczas, gdy lina z niej wylatuje, to po trosze tak, jak siedzieć wśród świstu maszyny parowej w pełnym ruchu, kiedy to ociera się o was każdy jej rozkołysany wał, ramię czy koło. Gorzej nawet, gdyż nie sposób siedzieć nieruchomo w samym sercu owej grozy, ponieważ łódź huśta się jak kołyska, wy zaś rzucani jesteście bez najmniejszego ostrzeżenia w tę i tamtą stronę i tylko przez jakąś samoczynną zdolność utrzymywania się na miejscu oraz jednoczesność woli i działania możecie uniknąć tego, by nie stać się Mazepą i nie uciec tam, gdzie samo wszystkowidzące słońce nigdy was nie wypatrzy. I jeszcze jedno: podobnie jak głęboka cisza, widomie poprzedzając i zwiastując burzę, jest może

jeszcze straszniejsza od samej burzy — albowiem cisza to tylko okładka i koperta burzy — i zawiera ją w sobie tak samo, jak pozornie nieszkodliwa strzelba zawiera zgubny proch, kulę i eksplozję — tak też wdzięczny spokój liny, gdy cicho owija się wokół wioślarzy, zanim zostanie puszczona we właściwy ruch, jest czymś, co ma w sobie więcej rzetelnej straszliwości niż jakikolwiek inny aspekt tej niebezpiecznej sprawy. Lecz po cóż mówić dalej? Wszyscy ludzie żyją owinięci linami wielorybniczymi. Wszyscy śmiertelni rodzą się ze stryczkami na szyi, ale dopiero kiedy nagle ich porwie bystra pętla śmierci, zdają sobie sprawę z milczących, utajonych, wiecznie obecnych niebezpieczeństw życia. Jeżeli zaś jesteś filozofem, to choćbyś siedział w szalupie wielorybniczej, nie odczujesz w głębi serca ani krzyny więcej lęku, niż siedząc o wieczorze przed kominkiem, z pogrzebaczem miast harpuna pod ręką.

ROZDZIAŁ LXI
STUBB ZABIJA WIELORYBA

O ile dla Starbucka ukazanie się mątwy było złowróżebne, to dla Queequega miało ono zupełnie inne znaczenie.

— Kiedy wy oglądać tego „ątwa” — powiedział dziki ostrząc harpun na dziobie szalupy zawieszonej u boku żaglowca — wtedy wy szybko widzieć kaszalot.

Dzień następny był niezwykle cichy i parny, a załoga „Pequoda”, nie mając nic szczególnego do roboty, nie mogła się oprzeć krótkiej drzemce, do której skłaniało opustoszałe morze. Albowiem owa część Oceanu Indyjskiego, przez którą wówczas żeglowaliśmy, nie jest tym, co wielorybnicy nazywają „żywym terenem”, to znaczy mniej się tam widuje delfinów, ryb latających oraz innych żwawych mieszkańców bardziej ożywionych wód niż przy ujściu Rio de la Plata albo opodal wybrzeży Peru.

Mnie wypadło z kolei wejść na szczyt fokmasztu; oparłszy ramiona o poluźnione wanty kołysałem się leniwie tam i sam w powietrzu, które zdawało się zaczarowane. Żadnym wysiłkiem woli nie mogłem się temu przeciwstawić; w tym rozmarzeniu straciłem wszelką świadomość, aż nareszcie dusza moja niejako uszła z ciała, choć ono nadal się kołysało, podobnie jak wahadło chwieje się jeszcze długo potem, gdy siła, która je w ruch wprawiła, została mu odjęta.

Nim przyszło na mnie ostateczne zapamiętanie, zauważyłem jeszcze, że marynarze stojący na grot- i bezanmaszcie są już senni. Na koniec więc wszyscy trzej martwo kołysaliśmy się na masztach, a każdemu naszemu chybotnięciu odpowiadało w dole kiwnięcie się drzemiącego sternika. Falom również kiwały

się gnuśne grzywy, a ponad ekstazą szerokiego morza wschód kiwał zachodowi, a słońce z góry wszystkiemu.

Nagle jakby pęcherzyki poczęły mi pękać pod przymkniętymi powiekami, ręce moje zacisnęły się na wantach jak imadła; jakaś niewidzialna, łaskawa moc ocaliła mnie — drgnąwszy powróciłem znów do życia. Oto tuż obok statku, od zawietrznej, nie dalej niż o czterdzieści sążni pławił się w wodzie gigantyczny kaszalot niczym wywrócony dnem do góry kadłub fregaty; jego rozłożysty, połyskliwy grzbiet etiopskiej barwy lśnił w promieniach słonecznych jak zwierciadło. Leniwie się kołysząc w rozpadlinach fal i od czasu do czasu wyrzucając z siebie spokojnie słup pary wieloryb ów wyglądał jak korpulentny mieszczanin palący fajkę w ciepłe popołudnie. Ale fajka ta, biedny wielorybie, miała być twą ostatnią. Jakby tknięty różdżką czarodziejską, senny statek i każdy na nim śpioch raptownie drgnął i ocknął się, a ze wszech stron kilkadziesiąt głosów wzniosło jednocześnie zwykły w tych razach okrzyk, podczas gdy ogromna ryba z wolna i regularnie wyrzucała w powietrze fontannę połyskliwej morskiej wody.

— Spuszczać szalupy! Steruj ostro na wiatr! — ryknął Ahab i wykonując własny rozkaz, zakręcił kołem sterowym, nim sternik zdążył poruszyć szprychami.

Nagłe okrzyki załogi musiały zaniepokoić wieloryba, zanim bowiem spuszczono łodzie, obrócił się majestatycznie i odpłynął ku zawietrznej, wszelako z tak niewzruszonym spokojem i tak nieznacznie mącąc przy tym wodę, iż Ahab, uważając, że bądź co bądź nie jest on może jeszcze spłoszony, wydał rozkaz, żeby nie używać w ogóle wioseł i żeby nikt się nie odzywał inaczej jak szeptem. Przysiadłszy więc na burtach łodzi niby Indianie z Ontario, chyżo, lecz bezgłośnie wiosłowaliśmy krótkimi łopatkami, jako że cisza morska nie pozwalała rozwinąć bezszelestnych żagli. Po chwili, gdyśmy tak za nim sunęli, potwór wyrzucił ogon na czterdzieści stóp pionowo w górę, po czym zniknął nam z oczu jak zapadająca się wieża.

— Ogon! — zakrzyknęli wszyscy, po którym to oznajmieniu Stubb niezwłocznie wydobył zapałki i zapalił fajkę, jako że chwila wytchnienia była teraz zapewniona. Gdy upłynął już czas zanurzenia pod wodą, wieloryb znowu wychynął, a ponieważ znalazł się teraz przed łodzią Stubba, i to znacznie bliżej niej niż którejkolwiek innej — Stubb liczył na zaszczyt upolowania go. Stało się już oczywiste, że wieloryb wreszcie zauważył swoich przeciwników. Ostrożność i zachowywanie ciszy nie było więc dłużej potrzebne. Odrzucono łopatki i rozgłośnie puszczono w ruch wiosła. Ciągle pykając z fajeczki Stubb wesoło zagrzewał swą załogę do ataku.

Tak, w rybie istotnie zaszła ogromna zmiana. Zdając sobie jasno sprawę z niebezpieczeństwa, płynęła z podniesionym łbem, który ukośnie sterczał ponad wzbijane przez potwora wściekłe bryzgi.**

— Na niego, ludzie, na niego! Ale nie spieszcie się, macie dość czasu — tylko pchajcie jak sto piorunów, ot i wszystko! — wołał Stubb wydmuchując przy tym kłęby dymu. — Za nim! Pchnij tam długo a mocno wiosłem, Tasztego. Dalej, Tasz, mój chłopcze, dalej wy wszyscy — tylko spokojnie, spokojnie — powoli, po woli za nim jak sama smutna kostucha i wesołe biesy — żeby aż umarli z grobów powstawali, chłopaki! Za nim!

— Wuu-huu! Wa-hii! — wrzasnął w odpowiedzi Tasztego wyrzucając w niebo jakiś ostry krzyk bojowy, a każdym z wioślarzy w wytężającej wszystkie siły łodzi niespodzianie szarpnęło potężne uderzenie wiosła, którym zaciekły Indianin pchnął naprzód szalupę.

Ale dzikim okrzykom Tasztega odpowiedziały inne, równie dzikie. — Kii-hii! Kii-hii! — ryknął Daggoo miotając się nad wiosłem w przód i w tył, niby tygrys po klatce.

— Ka-la! Kuu-luu! — zawył Queequeg cmoktając ustami jakby po przełknięciu potężnego kęsa befsztyka. I tak wiosłami i krzykiem łodzie pruły morze. Tymczasem Stubb, utrzymując się ciągle w awangardzie, nadal zagrzewał swych ludzi do ataku, bez przerwy, puszczając z ust kłęby dymu. Wiosłowali ze

wszystkich sił jak straceńcy, aż wreszcie rozległ się oczekiwany krzyk:

— Wstawaj, Tasztego! Daj mu! — Harpun został rzucony. — Do tyłu!

Ludzie zaparli się wiosłami, cofając łódź; w tej samej chwili coś gorącego i świszczącego poczęło sunąć po kiściach ich dłoni. Była to magiczna lina. Na moment przedtem Stubb szybko owinął ją jeszcze po dwakroć wokół pachołka, skąd, ze względu na zwiększoną teraz szybkość odwijania się liny, wzbił się błękitny, konopny pył i zmieszał ze spokojnym dymkiem z fajki oficera. Lina, odkręcając się ze słupka coraz dalej i dalej, sunęła rozparzona przez obie dłonie Stubba, z których przypadkiem spadły ochraniacze, czyli kwadraty pikowanego płótna czasem nakładane w takich razach. Było to coś w rodzaju trzymania dłońmi za brzeszczot ostrego obosiecznego miecza, który wróg przez cały czas usiłuje wyrwać nam z rąk.

— Zwilżyć linę! Zwilżyć linę! — krzyknął Stubb siedzącemu przy bębnie linowym wioślarzowi, na co ten zerwał z głowy kapelusz i zaczerpnąwszy nim wody morskiej chlusnął do środka bębna.*** Lina odwinęła się jeszcze trochę i wreszcie zatrzymała w miejscu. Łódź pomknęła teraz przez wzburzone wody, jak rekin płynący co sił w płetwach. Stubb i Tasztego zamienili się miejscami na dziobie i rufie, co wśród wściekłego kołysania było wielce chybotliwym przedsięwzięciem.

Patrząc na rozedrganą linę, biegnącą wzdłuż całej górnej części łodzi i napiętą teraz mocniej od struny harfowej, można było pomyśleć, że szalupa ma dwa kile — jeden prujący wodę, a drugi powietrze — gdy tak mknęła przez te obydwa przeciwne żywioły. U dzioba śmigała nieustanna kaskada; nieprzerwany skłębiony wir znaczył wart za rufą; najdrobniejszy ruch wewnątrz łodzi, choćby uczyniony małym palcem, sprawiał, że drgając i trzeszcząc nurzała w morzu przechyloną spazmatycznie krawędź burty. I tak gnali dalej; każdy marynarz przywarł ze wszystkich sił do swego miejsca, by nie dać się wyrzucić w pianę, a rosła postać Tasztega aż się zginała we dwoje u wiosła sterowego, aby utrzymać równowagę. Zdało się,

że przelecieli już całe Atlantyki i Pacyfiki, gdy wreszcie wieloryb zwolnił nieco biegu.

— Ciągnij! Ciągnij! — ryknął Stubb do marynarza na dziobie, a wszyscy ludzie obróciwszy się twarzą ku wielorybowi poczęli przyciągać ku niemu łódź, którą on sam nadal jeszcze holował. Wkrótce jednak zrównano się bok w bok ze zwierzem, a Stubb, krzepko wparłszy kolano w wycięcie na desce u dzioba, począł miotać grot za grotem w mknącego kaszalota. Na komendę oficera łódź to się wycofywała ze straszliwych pochlustów wzbijanych przez zwierza, to znów zbliżała się dla zadania następnego ciosu.

Czerwone strumienie poczęły teraz spływać po bokach potwora jak potoki z gór. Jego udręczone cielsko nie pławiło się już w morskiej wodzie, ale we krwi, która całymi sążniami burzyła się i kipiała na jego szlaku. Ukośne promienie słońca igrały na owej szkarłatnej sadzawce wśród morza, rzucając odblask na twarze ludzi, które płonęły jak lica czerwonoskórych. Przez cały ten czas wydmuch za wydmuchem białej pary wystrzelał z nozdrzy wieloryba, a z ust rozgorączkowanego dowódcy szalupy dobywał się kłąb za kłębem dymu; po każdym ciosie Stubb z powrotem holował skrzywioną lancę (za pomocą przytwierdzonej do niej linki), prostował ją kilkoma szybkimi uderzeniami o burtę, po czym znów ciskał w wieloryba.

— Przyciągaj! Przyciągaj! — krzyknął marynarzowi na dziobie, właśnie gdy słabnący wieloryb ustał nieco w swojej furii. — Przyciągaj! Całkiem blisko! — Łódź zrównała się z bokiem zwierzęcia. Wychyliwszy się daleko przez dziób Stubb z wolna wwiercił w cielsko ryby swą długą, ostrą lancę i zatrzymał ją tam, okręcając i okręcając starannie, jak gdyby usiłował ostrożnie wymacać jakiś złoty zegarek, który ryba połknąć mogła i który obawiał się uszkodzić przed wydobyciem. Ale tym złotym zegarkiem, którego szukał, było życie pulsujące we wnętrzu wieloryba. I oto w nie ugodził; otrząsnąwszy się bowiem z odrętwienia potwór przeszedł w ów nieopisany stan, zwany „wybuchem”, począł się okropnie

miotać we własnej krwi, przesłonił go nieprzenikniony, oszalały, kipiący pył wodny, tak że zagrożona szalupa cofnęła się natychmiast i wiele musiała sobie zadać trudu, aby na oślep przebić się z tego obłędnego półmroku na jasne światło dnia.

Lecz teraz „wybuch” zaczął słabnąć i wieloryb raz jeszcze się ukazał; przewalał się z boku na bok, spazmatycznie rozchylał i zwierał nozdrza ostrym, świszczącym rozpaczliwym oddechem. Na koniec raz za razem trysnęła z nich w przerażone powietrze czerwona, gęsta posoka, niby purpurowy moszcz czerwonego wina, a spadłszy na nieruchome cielsko wieloryba, spłynęła strumykami w morze. Serce kaszalota pękło.

— Nie żyje, panie Stubb — ozwał się Daggoo.

— Tak, obie fajki wypalone! — Wyjąwszy własną z ust, Stubb wytrząsnął popiół na wodę, po czym przez chwilę stał spoglądając w zamyśleniu na ogromne cielsko, które przemienił w truchło.

ROZDZIAŁ LXII
RZUT

Słówko na temat jednego z wydarzeń w poprzednim rozdziale: W myśl niezmiennego zwyczaju przyjętego w czasie łowów, łódź wielorybnicza odpływa od statku mając na pokładzie jako tymczasowego sternika swego dowódcę, czyli tego, który zabija wieloryba; dalej zaś harpunnika, czyli tego, który zwierza przytrzymuje, a zasiada u przedniego wiosła znanego pod nazwą wiosła harpunniczego. Otóż potrzeba krzepkiego, śmigłego ramienia, by cisnąć w rybę pierwszy grot, albowiem często się zdarza, że przy tak zwanym długim rzucie trzeba cisnąć ciężkie żelazo na odległość dwudziestu albo trzydziestu stóp. Jednakże, jakkolwiek długi i wyczerpujący może być ów pościg, zadaniem harpunnika jest wiosłować niezmordowanie przez cały czas; winien on zaiste dać reszcie marynarzy przykład nadludzkiej energii nie tylko przez wręcz niewiarygodną pracę przy wiośle, ale i przez donośne i dziarskie okrzyki. A co to znaczy krzyczeć, ile tchu w piersiach, w chwili gdy wszystkie mięśnie naprężone są do ostatka i na wpół zerwane — to wiedzieć może tylko ten, kto sam popróbował. Ja osobiście nie potrafię wrzeszczeć z całego serca, a jednocześnie pracować z zapamiętaniem. Wśród takiej wrzawy i napięcia, zmordowany harpunnik, obrócony plecami do ryby, słyszy raptem podniecający krzyk: „Wstawaj i daj mu!” Teraz winien odłożyć i zabezpieczyć wiosło, uczynić pół obrotu, porwać harpun przygotowany na widełkach u burty i przy użyciu tych niewielu sił, jakie mu jeszcze pozostały, spróbować cisnąć go w wieloryba. Nic więc dziwnego, że w całej flocie wielorybniczej razem wziętej, na pięćdziesiąt dobrych okazji do

rzutu harpunem, nie wiem, czy pięć uwieńczonych jest powodzeniem; nic dziwnego, że obrzuca się wściekłymi przekleństwami i degraduje tylu nieszczęsnych harpunników; nic dziwnego, że niektórym z nich pękają w łodzi naczynia krwionośne; nic dziwnego, że bywają statki wielorybnicze, które wracają po czteroletniej nieobecności z czterema baryłkami oleju; nic dziwnego, że wielu właścicieli statków uważa wielorybnictwo za interes przynoszący tylko straty — boć powodzenie wyprawy zależy od harpunnika, a jeśli mu się wyciska ostatni dech z piersi, to jakże się można spodziewać, że go w sobie znajdzie wtedy, gdy jest mu najbardziej potrzebny! Co więcej, nawet jeżeli rzut się udał, to w następnej krytycznej chwili, a mianowicie kiedy wieloryb zaczyna pędzić, dowódca szalupy i harpunnik również zaczynają biegać z przodu na tył, narażając bezpośrednio siebie samych oraz całą załogę. Wtedy to właśnie zamieniają się miejscami i dowódca, czyli pierwszy oficer tego małego stateczku, zajmuje swoje właściwe stanowisko na dziobie łodzi.

Otóż nie dbam o to, czy ktoś jest przeciwnego zdania, ale stwierdzam, że to wszystko jest zarówno niemądre, jak i niepotrzebne. Dowódca powinien stać na dziobie od początku do końca; winien rzucać zarówno harpunem jak i lancą, natomiast nie powinno się w ogóle wymagać odeń wiosłowania, wyjąwszy okoliczności całkiem oczywiste dla każdego rybaka. Wiem, że czasami pociągnęłoby to za sobą niewielką utratę szybkości, wszelako długie doświadczenie, zebrane na przeróżnych statkach wielorybniczych należących do niejednego narodu, przekonało mnie, że ogromna większość niepowodzeń łowieckich spowodowana została nie tyle przez chyżość wieloryba, co przez uprzednio opisane wyczerpanie harpunnika.

Aby zapewnić jak największą skuteczność rzutu, harpunnicy tego świata powinni wstawać doń wypoczęci, a nie uznojeni.

ROZDZIAŁ LXIII
WIDEŁKI

Z pnia wyrastają konary, a z nich gałązki. Tak samo wyrastają rozdziały z płodnego tematu. Wspomniane na jednej z poprzednich stron widełki zasługują na osobną wzmiankę. Jest to rozwidlony drążek szczególnego kształtu, około dwóch stóp długości, osadzony pionowo w prawej burcie szalupy koło dziobu, a stanowiący podpórkę dla drzewca harpuna, którego nagi, kolczasty grot ukośnie wystaje poza dziób. W ten sposób broń jest gotowa do natychmiastowego użycia, a harpunnik porywa ją z tego miejsca równie łatwo jak traper chwytający za strzelbę wiszącą na ścianie. Jest przyjęte mieć na widełkach dwa harpuny; wówczas nazywają się one pierwszym i drugim żelazem.

Otóż każdy z tych harpunów połączony jest z liną własnym sznurem, a to w tym celu, żeby, o ile to możliwe, cisnąć je oba, jeden natychmiast po drugim, w tego samego wieloryba; jeśli bowiem jeden wysunąłby się z ciała uciekającej ryby, wówczas drugi może ją przytrzymać. Jest to podwojenie szans. Zdarza się jednak bardzo często, że z uwagi na natychmiastowy, gwałtowny, konwulsyjny pęd wieloryba po otrzymaniu pierwszego żelaza, harpunnik, choćby ruszał się jak błyskawica, nie może ugodzić go drugim grotem. Niemniej jednak, zważywszy, że drugie żelazo jest i tak połączone z liną, która już z łodzi wylatuje, broń ta musi w każdym razie zostać na wszelki wypadek wyrzucona jakkolwiek i gdziekolwiek się da, gdyż inaczej całej załodze groziłoby straszliwe niebezpieczeństwo. W takich więc razach ciska się ów harpun w wodę, na co pozwalają w większości wypadków dodatkowe zwoje liny

skrzynkowej (o której wspomniano w poprzednich rozdziałach). Wszakże ten czyn krytyczny nie zawsze pozostaje bez najsmutniejszych i najfatalniejszych skutków.

Co więcej, trzeba wam wiedzieć, że kiedy wyrzuci się za burtę to drugie żelazo, staje się ono od tej chwili swobodnie latającym, ostrobrzegim postrachem, swawolnie brykającym wokół łodzi i wieloryba; wplątuje się w liny lub też je przecina, czyniąc na wsze strony srogie zamieszanie. Na ogół nie jest możliwe unieruchomić je znowu, dopóki wieloryb nie zostanie pokonany i nie zamieni się w trupa.

Pomyślcie sobie teraz, jak to musi wyglądać w przypadku, kiedy cztery szalupy potykają się z jednym niepospolicie silnym, energicznym i mądrym wielorybem; kiedy to dzięki tym jego cechom oraz tysiącznym równoczesnym wydarzeniom, właściwym tak zuchwałemu przedsięwzięciu, osiem czy dziesięć luźnych harpunów może się plątać wokół niego. Każda bowiem szalupa jest oczywiście wyposażona w kilka harpunów, które można przyczepić do liny w wypadku, gdy pierwszy został rzucony na próżne i niepodobna go było odzyskać. Wszystkie te szczegóły są tutaj wiernie opisane, ponieważ bez wątpienia wyjaśnić mogą kilka niezwykle ważnych, jakkolwiek powikłanych fragmentów scen, które poniżej odmalujemy.

ROZDZIAŁ LXIV
WIECZERZA STUBBA

Wieloryb Stubba został ubity w pewnej odległości od statku. Na morzu panowała cisza, więc sformowawszy tandem z naszych trzech łodzi, zaczęliśmy powoli holować zdobycz do „Pequoda".

A kiedyśmy tak w osiemnastu ludzi o trzydziestu sześciu ramionach i stu osiemdziesięciu palcach u rąk i nóg z wolna mozolili się godzina po godzinie nad tym bezwładnym, ociężałym truchłem zanurzonym w morzu, ono zaś, jeśli się w ogóle dawało poruszyć z miejsca, to tylko ze znacznymi przerwami — wówczas właśnie mieliśmy najlepszy dowód, jak ogromna jest masa, którą ciągniemy. Albowiem na wielkim kanale Hang-Ho — czy jak go tam nazywają — w Chinach czterech albo pięciu kulisów, krocząc po ścieżce nadbrzeżnej, uciągnie dobrze obciążoną dżonkę z szybkością mili na godzinę; ta jednak potężna nawa, którą myśmy holowali, wlokła się, jak gdyby ją po brzegi wyładowano ołowiem.

Zapadł mrok, ale trzy światła zawieszone u góry olinowania grotmasztu „Pequoda" wskazywały nam drogę; wreszcie, podpłynąwszy bliżej, ujrzeliśmy Ahaba, który wywieszał przez burtę jedną z kilku dodatkowych latarni. Przez chwilę obejmował martwym spojrzeniem unoszącego się na falach wieloryba, następnie wydał zwykłe rozkazy, aby go zabezpieczyć na noc, po czym, wręczywszy latarnię któremuś z marynarzy, zszedł do kajuty i nie pokazał się aż do rana.

Choć kapitan Ahab kierując pogonią za tym wielorybem wykazał, że tak powiem, swą zwykłą aktywność, przecie wydało się, że teraz, kiedy zwierzę było już nieżywe, jakieś

niezadowolenie, zniecierpliwienie czy desperacja trawi go od wewnątrz, jak gdyby widok tego trupa przypominał mu, iż przecie trzeba ubić Moby Dicka i że choćby przywleczono do statku tysiąc innych wielorybów, nie posunęłoby to ani na jotę naprzód tej jego wielkiej, maniackiej sprawy.

Niebawem z odgłosów, jakie rozległy się na pokładach „Pequoda", można było wnosić, że cała załoga czyni przygotowania do zarzucenia kotwicy na głębinie, oto bowiem słychać, jak przez pokład wleczone są ciężkie łańcuchy, które następnie ze szczękiem wylatują przez otwory w burtach. Ale to nie statek, a owo olbrzymie cielsko ma być przycumowane tymi brzęczącymi ogniwami. Wieloryb spoczywa teraz uczepiony za łeb do rufy, a za ogon do dzioba; jego czarny kadłub znajduje się tuż obok kadłuba statku i tak obydwa — statek i wieloryb — oglądane poprzez mrok nocy, co w górze przesłania maszty i olinowanie, zdają się być dwoma olbrzymimi wołami w zaprzęgu, z których jeden położył się, drugi zaś pozostał na nogach.****

O ile ponury Ahab zapadł teraz całkiem w martwotę — przynajmniej takim się wydał na pokładzie — to Stubb, drugi oficer, promieniał zwycięstwem zdradzając nadzwyczajne, choć pełne pogody podniecenie. Był tak niezwykle ożywiony, że stateczny Starbuck, jego oficjalny zwierzchnik, spokojnie złożył na ten czas w jego ręce wyłączne kierowanie biegiem spraw. Niebawem wyszła na jaw w sposób szczególny jedna z drobnych, dodatkowych przyczyn całego tego ożywienia Stubba. Był on mianowicie smakoszem i dosyć niepowściągliwie upodobał sobie wieloryba jako ogromnie smakowity kąsek dla swego podniebienia.

— Befsztyk! Befsztyk, zanim pójdę spać! Hej, Daggoo! Wyłaź za burtę i wytnij kawał mięsa od ogona!

Należy wiedzieć, że choć owi dzicy łowcy na ogół nie stosują podstawowej maksymy wojskowej i nie zmuszają wroga, żeby pokrywał bieżące wydatki wojenne (przynajmniej dopóki nie zrealizują zysków z całej wyprawy), to jednak zdarzają się od czasu do czasu nantucketańczycy, którzy szczerze zasmakowali

właśnie we wskazanej przez Stubba części kaszalota, obejmującej zwężające się zakończenie jego ciała.

Około północy befsztyk był już wykrajany i usmażony; przy świetle dwóch latarni olbrotowych Stubb stanął u kabestanu do swej kaszalotowej wieczerzy, jak gdyby wierzch tegoż kabestanu był kredensem. Ale Stubb nie był jedynym biesiadnikiem spożywającym owej nocy mięso wielorybie. Łącząc swoje mlaskanie z cmokaniem oficera, całe tysiące rekinów roiły się wokoło martwego Lewiatana i rozgłośnie ucztowały na jego tłustości. Nielicznych marynarzy śpiących na dole w swych kojach nieraz budziło ze snu ostre strzepnięcie ogona rekina o kadłub statku, w odległości ledwie kilku cali od ich serc. Wyjrzawszy przez burtę, można było zobaczyć bestie (tak jak je uprzednio słyszano) kłębiące się w ponurej, czarnej toni; przewróciwszy się na grzbiet wyrywały z cielska wieloryba ogromne, kuliste kawały mięsa wielkości ludzkiej głowy. Ten właśnie wyczyn rekina wydaje się niemal cudowny. Pytanie, w jaki sposób rekiny potrafią wyciąć z tak pozornie trudnej do napoczęcia powierzchni podobnie symetryczne kąski, pozostanie częścią zagadkowości wszechrzeczy. Ślad, który w ten sposób pozostawiają na ciele wieloryba, można najlepiej przyrównać do wydrążenia uczynionego przez cieślę przy wywiercaniu otworu na śrubę.

Wśród dymem osnutej potworności i diabelstwa bitwy morskiej można ujrzeć rekiny z utęsknieniem spoglądające w górę ku pokładom okrętów, niczym głodne psy, otaczające stół, na którym kraje się czerwone mięsiwo, i gotowe do skoku na każdego z zabitych, który im spadnie. Podczas gdy na samym stole-pokładzie waleczni rzeźnicy ludożerczo krają jeden drugiemu żywe mięso za pomocą noży pozłacanych i zdobnych w chwasty — również i rekiny swymi paszczami lśniącymi od klejnotów swarliwie rozrywają pod stołem mięsiwo już martwe. Gdybyśmy nawet odwrócili rzecz całą, to i tak pozostałaby ona w istocie tym, czym jest, to znaczy paskudnie rekinową sprawą ze strony wszystkich uczestników. A jednak choć rekiny są niezmiennie hajdukami wszelkich przepływających Atlantyk

statków z niewolnikami i systematycznie kłusują u boku tych żaglowców, żeby być pod ręką na wypadek, gdyby zaszła potrzeba odniesienia gdzieś jakiejś paczki czy też wyprawienia przyzwoitego pogrzebu jakiemuś zmarłemu niewolnikowi; chociaż można przytoczyć jeden lub drugi podobny przykład ustalonego czasu, miejsca i okazji, przy, jakiej rekiny wielce społecznie się gromadzą i biesiadują z ogromną wesołością — przecie niepodobna sobie wyobrazić pory i sposobności, przy której napotkałoby się je w tak nieprzeliczonej liczbie czy też w lepszym i jowialniejszym usposobieniu niż wokół ubitego kaszalota, przycumowanego nocą, na morzu, do statku wielorybniczego. Jeśliście nigdy nie oglądali tego widoku, to powstrzymajcie się z rozstrzyganiem, czy właściwe jest oddawanie czci szatanowi tudzież czy jest stosowne zjednywać sobie diabła.

Na razie jednak Stubb nie zwracał uwagi na odgłosy uczty, która odbywała się tak blisko niego, podobnie jak i rekiny nie baczyły na cmokanie jego epikurejskich warg.

— Kucharzu! Kucharzu! Gdzież jest ten stary kucharz? — zawołał nareszcie oficer, szerzej rozkraczając nogi, jak gdyby chciał stworzyć jeszcze solidniejszy fundament dla swojej kolacji, a równocześnie wbijając w mięsiwo widelec, tak jakby godził w nie lancą. — Kucharzu! Hej, kucharzu! Sterujże tutaj!

Stary Murzyn, niezbyt uradowany faktem, że go uprzednio wyciągnięto z ciepłego hamaka o tak niestosownej porze, lazł utykając ze swej kambuzy; jak wielu starych Negrów miał bowiem nieco nadwerężone rzepki kolanowe, których nie pielęgnował z równą starannością jak inne rodzaje rzepy. Stary Kudłacz, jak go nazywano, nadszedł więc kuśtykając i powłócząc nogami; idąc dopomagał sobie szczypcami, które były niezdarnie sporządzone z naprostowanych żelaznych obręczy. Przywlókłszy się, stary Murzyn przystanął na komendę po przeciwległej stronie kredensu Stubba i wsparłszy obie złożone dłonie na swej dwunożnej lasce, jeszcze bardziej pochylił pałąkowaty grzbiet i przekręcił nieco na bok głowę, aby nadstawić tego ucha, którym lepiej słyszał.

— Kucharzu — ozwał się Stubb podnosząc szybko do ust dość czerwony kąsek. — Czy nie uważasz, że ten befsztyk jest nieco przesmażony? Zbytnioś go rozbił, toteż jest za miękki. Czyż nie powtarzam zawsze, że befsztyk z wieloryba, żeby był dobry, musi być twardy? Weź choćby te rekiny za burtą. Nie widzisz, że wolą mięso twarde i niedosmażone? Cóż one za rwetes wyprawiają! Kucharzu, idźże, pogadaj z nimi. Powiedz, że owszem, mogą się częstować obyczaj nie i powściągliwie, ale muszą zachować spokój. Niech mnie piorun spali, jeżeli słyszę własny głos! Nuże, kucharzu, idź z moim poleceniem. Bierz tę latarnię! — Tu Stubb chwycił stojącą opodal. — Idź już i wygłoś im kazanie!

Stary Kudłacz z ponurym wejrzeniem wziął podaną mu latarnię i pokuśtykał przez pokład do burty; następnie jedną ręką opuścił światło nieco ku wodzie, żeby lepiej widzieć swoją trzódkę, drugą zaś począł uroczyście potrząsać szczypcami i wychylony daleko przez burtę przemówił do rekinów mrukliwym głosem, podczas gdy Stubb, podsunąwszy się cicho z tyłu, podsłuchiwał każde słowo.

— Najmilzi moi: oto dostałem rozgaz, żeby wam rzec, że musicie skończyć z tym piegielnym hałasem. Słyszycie? Przestańcie z tym przeględym cmokaniem! Massa Stubb powiada, że możecie sobie napełnić brzucho aż do gardzieli, ale, na Boga, musicie przerwać ten rwetes, niechże to wszyscy diabli!

— Kucharzu — wtrącił Stubb, nagle uderzając go dłonią po ramieniu. — Kucharzu! Cóż to, u pioruna! Nie powinieneś tak kląć w czasie kazania! To nie jest sposób nawracania grzeszników!

— Jak? No to gadaj ban do nich sam — odparł Murzyn ponuro, zabierając się do odejścia.

— Nie, kucharzu; mów, mów dalej.

— No więc, ugochani moi…

— Dobra! — wykrzyknął Stubb z pochwałą w głosie. — Przymilaj im się, a nuż ci się uda! — I Kudłacz począł mówić dalej:

— Choć wszystgie jezdeście reginy, a więc z natury srodze drapieżne, jednag powiadam wam, najmilzi, że tagowa drapieżność — przestańcie, u czorta, trzepać ogonem! Jag macie mnie słyszeć, jeżeli podnozicie tam tagi diabelzgi rwetes?

— Kucharzu! — zawołał Stubb chwytając go za kołnierz. — Nie pozwolę na to przeklinanie. Gadaj do nich wytwornie!

I znów Murzyn podjął kazanie.

— Nie potębiam was zbydnio za waszą drapieżność, najmilzi moi. To wasza natura i nic się na to nie poradzi, ale idzie o to, żeby gierować tą złą naturą. Pewnie, żeście reginy, ale jeżeli będziecie gierować tym reginem, co w was siedzi, to będziecie anioły, bo każden anioł to nic innego, jak regin dobrze prowadzony. Słuchajcie, bracia, popróbujcie tylko zachowywać się grzecznie i częstujcie się tym wielorybem. Mówię wam, nie wyrywajcie tłuszczu z gęby sąsiadowi. Czy jeden regin nie ma równie dobrego prawa do tego wieloryba, jag drugi? A, na Boga, właściwie żaden z was nie ma do niego prawa, bo on należy do kogoś innego. Wiem, że jeden z was ma bardzo dużą gębę, więgszą niż inni, ale przecie — duże gęby czasem miewają mały żołądeg, więc duża gęba jezd nie po to, żeby nią jeść, ale żeby odgryźć trochę tłuszczu dla małych reginów, co nie mogą się do niego dobrać i poczęstować.

— Wybornie, stary Kudłaczu! — zawołał Stubb. — Oto duch chrześcijański! Gadaj dalej.

— Nie warto mówić dalej, te piegielne łajdagi będą sobie wszystko wydzierać i prać się nawzajem, Massa Stubb. Nie słuchają ani słowa. Nie warto prawić gazania tagim przeględym żarłogom, dopógi sobie brzucha nie napełnią, a brzuch mają bez dna, zaś giedy je napełnią, to wtedy też was nie wysłuchają, bo idą na dno morza spać na koralach i nigdy a nigdy nic już nie mogą usłyszeć.

— Na mą duszę, jestem mniej więcej tego samego zdania. Daj im więc błogosławieństwo, Kudłaczu, ja zaś wracam do kolacji.

Po tych słowach Kudłacz wzniósł ponad rybią ciżbę obie ręce i piskliwym głosem zawołał:

— Przegięte owieczki moje! A róbcie tam sobie najpiegielniejszy rwetes, jagi wam się spodoba. Napełniajcie sobie te przeględe brzucha, aż wam pęgną, a żebyście zdechli!

— Słuchaj no, kucharzu — rzekł Stubb zabierając się na nowo do kolacji przy kabestanie. — Stań tam, gdzieś przedtem stał, tu, naprzeciw mnie, i uważaj dobrze.

— Uważam — odparł Kudłacz, znowu się opierając na szczypcach.

— A więc — powiedział Stubb nabierając sobie tymczasem kawał mięsa — pomówię teraz znowu na temat tego befsztyka. Powiedz mi przede wszystkim, ile masz lat?

— Co to ma wspólnego z befsztygiem? — zapytał zrzędnie stary Murzyn.

— Spokój! Ile masz lat, kucharzu?

— Podobno koło dziewięćdziesiąt — odmruknął ponuro.

— Więc żyłeś na tym świecie bez mała sto lat i jeszcze nie umiesz usmażyć befsztyka z wieloryba? — tu szybko wepchnął w usta nowy kęs zaraz po ostatnich słowach, tak że wydał się on być dalszym ciągiem pytania. — A gdzieżeś się rodził?

— Zaraz za lukiem od ładowni na promie, co chodzi po Roanoko.

— Urodziłeś się na promie! A to rzecz osobliwa! Ale ja chcę wiedzieć, w jakim kraju?

— Nie mówiłem, że nad Roanoko? — odkrzyknął Murzyn ostro.

— Nie, nie mówiłeś. Ale zaraz ci powiem, do czego zmierzam, kucharzu. Musisz wrócić do domu i urodzić się po raz wtóry, bo jeszcze nie wiesz, jak się smaży befsztyk z wieloryba.

— Niech mnie diabli, jeżeli usmażę jeszcze jeden — warknął gniewnie stary, zabierając się do odejścia.

— Wróć się, kucharzu, dawaj te szczypce — a teraz weź ten kawałek befsztyka i powiedz mi, czy sądzisz, że jest on usmażony jak należy? Weźże go, mówię! — Tu wyciągnął szczypce. — Weź go i pokosztuj.

Stary Murzyn skosztował i lekko mlasnąwszy zeschłymi wargami mruknął: — Najlebiej usmażony befsztyg, jakiegom

giedygolwiek próbował: soczysty, bardzo soczysty.

— Kucharzu — powiedział Stubb prostując się znowu. — Zali należysz do Kościoła?

— Przechodziłem giedyś goło jednego na Gap-Hornie — odparł ponuro starzec.

— Więc raz jeden w życiu przechodziłeś koło świętego kościoła na Kap-Hornie i tam bez wątpienia słyszałeś, jak świątobliwy kapłan zwracał się do słuchaczy jako do swych umiłowanych bliźnich, nieprawdaż? A jednak przychodzisz tu i gadasz mi takie ohydne łgarstwa, jak przed chwilą, co? — rzekł Stubb. — Gdzież ty zamierzasz pójść?

— Do łóżga, i to zaraz — mruknął tamten znowu się odwracając.

— Stój! Z powrotem! Pytam, gdzie zamierzasz pójść po śmierci! To straszne pytanie. A twoja odpowiedź?

— Kiedy stary czarny człowiek umrze — odparł z wolna Murzyn przybierając zgoła inny wyraz twarzy i postawę — to on sam nie pójdzie nigdzie, ale przyjdzie jagiś błogosławiony anioł i zabierze go.

— Zabierze go? A to jak? Powozem, w czwórkę koni, tak jak Eliasz? I dokąd to, proszę?

— Tam — odparł Kudłacz wznosząc nad głową szczypce prosto w górę i trzymając je tak wielce uroczyście.

— A zatem myślisz iść po śmierci na szczyt tego naszego grotmasztu? A nie wiesz, że im wyżej się wlezie, tym jest zimniej? Na szczyt grotmasztu, co?

— Wcalem tego nie gadał — odrzekł Kudłacz znowu pochmurniejąc.

— Powiedziałeś, że tam, nieprawdaż? Więc sam popatrz, gdzie wskazują twoje szczypce. A może chcesz się dostać do nieba pełzając poprzez „psią dziurę”? Ale nic z tego, kucharzu, nie dostaniesz się tam, chyba że pójdziesz zwykłą drogą, po olinowaniu. Delikatna to sprawa, a przecie trzeba tak zrobić, bo inaczej nie da rady. Ale nikt z nas nie jest jeszcze w niebie. Opuść szczypce i słuchaj, co ci rozkażę. Słyszyszże mnie? Weź w jedną rękę kapelusz, a drugą połóż sobie na sercu, kiedy ci

wydaję rozkazy. Co? Tam masz serce? To żołądek! Wyżej, wyżej! O, właśnie — teraz dobrze. Trzymaj tam rękę i uważaj.

— Uważam — rzekł stary Negr trzymając obie ręce tak jak tego żądano i daremnie przekręcając posiwiałą głowę, jak gdyby po to, żeby jednocześnie wysunąć naprzód oba uszy.

— A więc widzisz, kucharzu, ten oto twój befsztyk był tak niedobry, żem go sprzątnął sprzed oczu najszybciej jak mogłem. Widzisz to przecie? Zatem na przyszłość powiem ci, co trzeba robić, żeby nie zepsuć befsztyka przez zbytnie przesmażenie, kiedy będziesz przygotowywał następny na ten mój prywatny stół, czyli kabestan. Trzymaj mięso w jednej ręce, a drugą pokaż mu rozżarzony węgiel. To uczyniwszy, podaj na stół, słyszysz? Natomiast jutro, kiedy będziemy rozcinali rybę, pamiętaj być pod ręką, żeby zabrać czubki jej płetw, które masz umarynować. A koniec ogona zapekluj. No, teraz możesz już odejść.

Ale ledwo Kudłacz uczynił trzy kroki, znów go przywołano z powrotem.

— Kucharzu, zrób mi jutro wieczorem, w czasie środkowej wachty, kotlety na kolację. Słyszałeś? Więc steruj stąd. Halo! Stój! Ukłoń się, zanim odejdziesz. Dość tego kiwania. Pulpety z wieloryba na śniadanie — nie zapomnij!

— A na Boga, żeby go był zjadł ten wieloryb, zamiast żeby on zjadł wieloryba. Niech mnie licho, jeżeli z niego nie większy regin niż sam Massa Regin we własnej osobie — mruczał stary kuśtykając pod pokład. Z tym to roztropnym wykrzyknikiem udał się na swój hamak.

ROZDZIAŁ LXV
WIELORYB JAKO DANIE

Fakt, że człek śmiertelny może się żywić stworzeniem, które mu dostarcza pożywienia dla lampy, i że, jak Stubb, może je zjadać, że tak powiem, przy jego własnym świetle — wydaje się tak dziwaczny, że z konieczności trzeba się nieco wgłębić w jego historię oraz filozofię.

Jest rzeczą znaną, że trzy wieki temu język wieloryba właściwego uważano we Francji za wielki przysmak i że był on tam w ogromnej cenie. A także za czasów Henryka VIII pewien kucharz dworski otrzymał piękną nagrodę za to, że wymyślił znakomity sos do pieczonego delfina, który, jak sobie przypominacie, jest też odmianą wieloryba. Po dziś dzień zresztą uważa się delfiny za wyśmienite jedzenie. Z ich mięsa robi się pulpety mniej więcej wielkości kuli bilardowej, które, jeśli są dobrze przyprawione korzeniami, można wziąć za pulpety z żółwia czy cielęciny. Mnisi z Dunfermilne ongiś ogromnie w nich gustowali. Mieli nawet szczególny przywilej na delfiny nadany przez koronę.

Faktem jest, że wieloryb — przynajmniej wśród poławiaczy — byłby powszechnie uważany za danie szlachetne, gdyby go nie było tak dużo; jeżeli jednak przychodzi nam zasiąść do pasztetu o długości nie ledwie stu stóp, to odbiera nam to apetyt. Obecnie tylko ludzie pozbawieni wszelkich uprzedzeń, jak Stubb, spożywają smażone wieloryby. Natomiast Eskimosi nie są tak wybredni. Wszystkim nam wiadomo, że żywią się wielorybami oraz że mają stare i rzadkie roczniki wystałego, pierwszorzędnego tranu wielorybiego. Zogranda, jeden z ich najsłynniejszych doktorów, zalecał dla dzieci skrawki tłuszczu

wielorybiego jako niezwykle soczyste i odżywcze. To zaś przypomina mi, że pewni Anglicy, których dawno temu pozostawił przypadkiem w Grenlandii statek wielorybniczy, przez kilka miesięcy żywili się wyłącznie spleśniałymi kawałkami wielorybów, które pozostały na brzegu po wytopieniu tłuszczu. Wśród wielorybników holenderskich te kawałki nazywają się „naleśnikami", do których są w istocie wielce podobne, ponieważ odznaczają się brązową barwą oraz kruchością, pachną zaś po trosze jak świeże naleśniki czy pierogi gospodyń ze starego Amsterdamu. Wyglądają tak apetycznie, że nawet najbardziej wstrzemięźliwy cudzoziemiec nie potrafi na ich widok utrzymać rąk przy sobie.

Tym jednak, co jeszcze bardziej obniża wartość wieloryba jako cywilizowanej potrawy, jest jego niezwykła tłustość. Jest on bowiem wielkim, premiowanym wołem mórz, zbyt tłustym, żeby mieć delikatny smak. Spójrzcie tylko na jego garb; byłby on równie wyśmienitym daniem jak garb bawołu uważany za wyszukaną potrawę, gdyby nie to, że jest jedną zbitą piramidą tłuszczu. Ale sam olbrot jakże jest delikatny i bielutki; niczym przezroczysty, półgalaretowaty miąższ trzymiesięcznego orzecha kokosowego — a przecie zbyt tłusty, żeby zastąpić masło. Niemniej jednak liczni wielorybnicy mają zwyczaj mieszania go z inną substancją i zajadania w ten sposób. Jest rzeczą zwykłą, że marynarze w czasie długich wacht nocnych przy wytapianiu tłuszczu zanurzają suchary okrętowe w olbrzymich kadziach oleju i potem przez chwilę je przysmażają. Niejedną pyszną wieczerzę spożyłem w ten sposób.

Jeśli idzie o małego kaszalota, to mózg jego jest uważany za wyborną potrawę. Pudło czaszki rozrąbuje się toporem i wydobywszy stamtąd dwa pulchne, białawe płaty mózgowe (wyglądające zupełnie jak dwa duże puddingi) miesza się z mąką i gotuje z nich wyśmienitą papkę, w smaku przypominającą nieco głowę cielęcia, która przez pewnych epikurejczyków wysoko jest ceniona; każdy zaś wie, iż niektóre młode dandysy spośród epikurejczyków, stale się żywiąc cielęcym móżdżkiem, stopniowo dorabiają się własnego

móżdżku, to zaś na koniec pozwala im odróżnić głowę cielęcą od własnej, co w istocie wymaga niepospolitej zdolności rozeznania. Z tej przyczyny taki młodzian, mając przed sobą na talerzu inteligentnie wyglądającą głowę cielęcą, przedstawia jeden z najsmętniejszych widoków, jakie ujrzeć można. Głowa spogląda nań po trosze z wyrzutem, jak gdyby chciała powiedzieć: *Et tu Brute!*

Być może, iż nie tylko owa nadmierna tłustość wieloryba sprawia, że ludzie lądu zdają się uważać jedzenie go za coś obrzydliwego; możliwe, iż powodują to w pewnej mierze względy, o których wyżej była mowa; to znaczy, że człowiek zjada tu świeżo zamordowane stworzenie morskie, a co więcej, zjada je przy jego własnym świetle. Ale bez wątpienia pierwszy człowiek, który kiedykolwiek zabił wołu, uważany był za mordercę; może go nawet powieszono, a już z pewnością wisiałby, gdyby był sądzony przez woły — i niewątpliwie zasługiwałby na to, jeśli jakikolwiek morderca na ową karę zasługuje. Idźcie na targ mięsny w sobotę wieczorem i popatrzcie na tłumy żywych dwunogów przyglądające się długim szeregom czworonogów martwych. Czyliż ten widok nie przypomina po trosze kanibali? Kanibali? A któż nie jest kanibalem? Powiadam wam, że w Dniu Sądu łagodniej potraktowany będzie ów Fidżijczyk, który nasolił u siebie w piwnicy chuderlawego misjonarza na wypadek głodu, niżli ty, cywilizowany i oświecony smakoszu, który przybijasz gęsi do podłogi i pochłaniasz ich napęczniałe wątróbki w twoim *patee de foie gras*.

Ale Stubb spożywa wieloryba przy jego własnym świetle, nieprawdaż? To zaś jest dorzucaniem zniewagi do krzywdy, czyż nie tak? Popatrz więc na rączkę swego noża, mój ty cywilizowany i oświecony smakoszu zajadający ten rostbef; z czegóż jest ona sporządzona? Z czegóż, jeśli nie z kości rodzonego brata tegoż właśnie wołu, którego spożywasz? A czymże dłubiesz sobie w zębach po pożarciu tłustej gąski? Piórem tegoż ptaka. A jakimże piórem podpisywał oficjalne okólniki sekretarz Towarzystwa dla Tępienia Okrucieństwa

Wobec Gąsiorów? Dopiero w ostatnich miesiącach Towarzystwo to uchwaliło rezolucję, żeby nie popierać innych piór prócz stalowych.

ROZDZIAŁ LXVI
MASAKRA REKINÓW

W wielorybnictwie południowym, kiedy upolowany kaszalot po długich, ciężkich trudach przyciągnięty zostanie późną nocą do statku, nie ma — przynajmniej na ogół — zwyczaju przystępować od razu do wycinania tłuszczu. Przedsięwzięcie to bowiem jest niesłychanie mozolne, niezbyt szybko można się z nim uporać, a wymaga ono udziału całej załogi. Dlatego też powszechny obyczaj mówi, że należy zwinąć wszystkie żagle, położyć ster na zawietrzną, a następnie posłać wszystkich na dół, do hamaków, aż do świtu; z tym wszelako zastrzeżeniem, że do tego czasu musi się pełnić wachty kotwiczne — to znaczy, że co godzina dwóch marynarzy wychodzić musi kolejno na pokład, by się przekonać, czy wszystko w porządku.

Ale czasami, szczególnie na Oceanie Spokojnym koło równika, plan taki nie zdałby się na nic, gdyż wokół przycumowanego cielska zbierają się tam tak nieprzeliczone zastępy rekinów, że gdyby je pozostawić, powiedzmy, na sześć godzin z rzędu, rankiem ujrzałoby się niewiele więcej niż szkielet. Jednakże w innych częściach oceanu, gdzie owych ryb nie spotyka się w takiej obfitości, można czasami znacznie pohamować ich zadziwiającą żarłoczność przez energiczne poszturchiwanie ostrymi łopatkami wielorybniczymi, który to proceder niekiedy zdaje się jednak tylko pobudzać bestie do tym większej aktywności. W obecnym wypadku jednak z rekinami „Pequoda” stało się inaczej, choć oczywiście każdy, kto nie przywykł do podobnego widoku, mógłby owej nocy pomyśleć, wychyliwszy się przez burtę, że całe morze wokoło

jest jednym wielkim serem, a rekiny kłębiącymi się w nim liszkami.

Niemniej jednak, gdy Stubb po zakończeniu wieczerzy zaciągnął wachtę kotwiczną, a Queequeg i jeden z marynarzy z forkasztelu weszli na pokład, wśród rekinów zapanowało niemałe poruszenie. Obaj marynarze wywiesili bowiem niezwłocznie przez burtę pomosty, na których stojąc wycina się tłuszcz wieloryba, i opuściwszy trzy latarnie, które rzuciły długie smugi światła na zbełtane wody, rozpoczęli nieprzerwane mordowanie rekinów za pomocą ciosów długich łopatek wielorybniczych*****, wbijali ostrą stal głęboko w czaszki ryb, będące podobno jedyną ich wrażliwą częścią. Ale wśród kłębowiska pian wzbijanych przez stłoczone, walczące hordy, oszczepnicy nie zawsze mogli trafić w cel; to zaś powodowało nowe objawy niewiarygodnej drapieżności wroga. Rekiny wściekle kłapały paszczami i chwytały nie tylko wyprute wnętrzności swoich towarzyszy, ale zwijając się w krąg jak giętkie łuki, gryzły własne trzewia, aż na koniec wydało się, że owe trzewia łykane są ustawicznie przez tę samą paszczękę po to, by po drugiej stronie wypływać przez ziejącą ranę. To jeszcze nie wszystko. Nie było bezpiecznie mieć do czynienia ze zwłokami czy duchami owych stworów. Coś z przyrodzonej im, a może panteistycznej witalności zdawało się nadal kryć w ich kościach i ścięgnach, gdy już uszło to, co nazwać można indywidualnym życiem. Zabity i wywindowany na pokład dla swej skóry, jeden z tych potworów omal nie odgryzł ręki biednemu Queequegowi, gdy ten spróbował zatrzasnąć martwe wieko jego morderczej paszczęki.

— Queequeg nie dbać, jaki bóg stworzyć jego, tego rekina — powiedział dziki, z bólem podnosząc i opuszczając rękę — czy bóg Fidżi, czy bóg Nantucket. Ale ten bóg, co zrobić rekin, musi być przeklęty mechanik.

ROZDZIAŁ LXVII
WYCINANIE TŁUSZCZU

Działo się to w sobotni wieczór, ale co za niedziela po nim nastąpiła! Wszyscy wielorybnicy są *ex officio* zwolennikami łamania przepisów dotyczących świętej niedzieli. Jasny „Pequod” przemienił się w coś, co przypomniało jatką, w której każdy marynarz był rzeźnikiem. Rzekłbyś, iż ofiarowujemy bogom mórz dziesięć tysięcy czerwonych wołów.

W pierwszym rzędzie wywindowano na szczyt grotmasztu i mocno uwiązano do dolnego złącza steng — najpewniejszego miejsca nad pokładem statku — ową olbrzymią kiść winogron, czyli potężny osprzęt służący do oprawiania wieloryba, a składający się, prócz innych ciężkich części, z pęku zazwyczaj malowanych na zielono bloków, których żaden pojedynczy człowiek nie mógłby dźwignąć. Koniec liny, przypominającej holowniczą, przewleczony przez wszystkie te zawiłości, poprowadzono następnie do kabestanu, a olbrzymi dolny blok talii zawieszono ponad wielorybem; do bloku tego przyczepiono potężny hak ważący około stu funtów. Teraz z pomostu, wywieszonego za burtę żaglowca, obaj oficerowie, Starbuck i Stubb, zbrojni w długie łopatki, poczęli wycinać w ciele wieloryba tuż ponad bliższą z dwóch bocznych płetw otwór, w który miano zatknąć hak. Co uczyniwszy, zrobiono wokół otworu szerokie półkoliste nacięcie, założono hak, po czym większa część załogi przystąpiła zwartym szykiem do obracania kabestanu, w takt jakowejś dzikiej, chóralnej pieśni. Natychmiast cały statek przechylił się na bok, a każdy w nim sworzeń drgnął jak ćwiek w ścianie starego domostwa, kiedy mróz ściśnie; żaglowiec zadrżał, wstrząsnął się i skinął niebu

przerażonymi masztami. Coraz bardziej i bardziej kładł się na wieloryba, każdemu mozolnemu dźwignięciu kabestanu odpowiadało pomocne pchnięcie fal; aż na koniec usłyszano szybki, raptowny trzask, z potężnym pochlustem statek szarpnął się w górę i w tył od wieloryba, a hak ukazał się w tryumfie, pociągając za sobą coraz wyżej oderwany już, półkolisty koniec pierwszego płata tłuszczu. Otóż zważywszy, że tłuszcz okrywa wieloryba dokładnie tak samo jak skórka pomarańcze, obdziera się go więc spiralnie, tak właśnie jak się czasem obiera tenże owoc. Kabestan, ciągnąc nieustannie, sprawia, że wieloryb ustawicznie obraca się w wodzie, a owo pasmo tłuszczu odwija się zeń równomiernie wzdłuż linii nazywanej „szalem", jednocześnie nacinanej łopatkami oficerów — Starbucka i Stubba; przez cały ten czas, równie szybko jak się odwija, a właściwie przez sam ten fakt odwijania się, pas tłuszczu wciągany jest coraz wyżej i wyżej, dopóki jego górny koniec nie dotknie topu masztu. Wówczas ludzie u kołowrotu przestają go obracać i przez chwilę olbrzymia, ociekająca krwią masa kołysze się w lewo i w prawo, jak gdyby zawisła u nieboskłonu, wszyscy obecni zaś muszą dobrze uważać, żeby uskoczyć w porę, gdyż może ona snadnie dać kuksańca w ucho i wyrzucić człowieka na łeb za burtę.

Jeden z obecnych harpunników podchodzi teraz z długim, ostrym orężem, zwanym mieczem wielorybniczym, i uchwyciwszy sposobny moment, zręcznie wycina spory otwór w dolnej części rozkołysanej masy. W otwór ten zakłada się z kolei inny wielki hak, aby unieruchomić masę tłuszczu i przygotować się do tego, co ma teraz nastąpić. Wówczas ów znamienity rębacz, uprzedziwszy wszystkich, by się cofnęli, raz jeszcze wykonuje uczony atak na ową masę i kilkoma skośnymi, wściekłymi cięciami rozdziela ją na dwoje; i podczas gdy krótsza, dolna część jest jeszcze nieruchoma, długi, górny płat, zwany „kołdrą", zwisa już swobodnie i jest gotów do spuszczenia. Teraz ludzie z kabestanu podejmują na nowo śpiew i podczas gdy jeden blok obdziera i winduje w górę następne pasmo tłuszczu, drugi zostaje z wolna poluźniony i oto

przez główny luk ładowni, znajdujący się tuż pod nim, pierwszy płat opuszcza się do nie umeblowanego salonu, zwanego komorą tłuszczową. W półmroku owego apartamentu różne zręczne dłonie zwijają długą „kołdrę”, jak gdyby była wielkim, żywym kłębowiskiem węży. I tak postępuje praca; oba haki jednocześnie to idą w górę, to się opuszczają; wieloryb i kabestan ciągną, marynarze śpiewają, jegomoście z komory tłuszczowej zwijają, oficerowie nacinają, statek trzeszczy, a wszyscy klną od czasu do czasu, ażeby rozładować powszechne napięcie.

ROZDZIAŁ LXVIII
KOŁDRA

Poświęciłem sporo uwagi przedmiotowi, o którym niemało się dyskutuje, a mianowicie skórze wieloryba. Na morzu prowadziłem na ten temat spory z doświadczonymi wielorybnikami, a na lądzie z uczonymi naturalistami. Moja pierwotna opinia pozostaje bez zmiany, ale jest to jedynie opinia.

Gdzie się znajduje i czym jest skóra wieloryba — oto zagadnienie. Wiecie już, co to jest tłuszcz. Ma on coś z konsystencji zbitej, drobnowłóknistej wołowiny, ale jest twardszy, bardziej elastyczny i zwarty; grubość jego sięga od ośmiu czy dziesięciu do dwunastu lub piętnastu cali.

Owóż jakkolwiek niedorzeczne wyda się zrazu twierdzenie, że skóra jakiegoś stworzenia posiada tego rodzaju konsystencję i grubość, to jednak nie ma w gruncie rzeczy argumentów przemawiających przeciwko takiemu przypuszczeniu, ponieważ nie sposób zdjąć z ciała wieloryba jakąkolwiek inną zwartą pokrywę, prócz tego właśnie tłuszczu, a czymże, jeśli nie skórą, może być zewnętrzna powłoka okrywająca dane zwierzę, o ile posiada ona należytą zwartość? Prawda, że z jeszcze nie tkniętego cielska ubitego wieloryba można ręką zdrapać niesłychanie cienką i przezroczystą substancję, nieco przypominającą najcieńsze płytki żelatyny, tyle tylko, że niemal równie giętką i miękką jak atłas — oczywiście zanim się ją wysuszy, ponieważ wówczas nie tylko kurczy się i grubieje, ale też staje się raczej twarda i krucha. Posiadam kilka takich ususzonych kawałków, których używam jako zakładek do mych książek wielorybniczych. Jak już wspomniałem, są one

przezroczyste i czasami, położywszy je na zadrukowanej stronie, bawiłem się urojeniami, iż mają pewne właściwości powiększające. W każdym razie przyjemnie jest czytać o wielorybach, że tak powiem, przez ich własne okulary. Ale zmierzam tutaj do tego, co następuje: niepodobna uważać tej nieskończenie cienkiej, żelatynowatej substancji za skórę wieloryba, mimo że, jak przyznaję, okrywa ona całe jego ciało; już raczej przyjąć należy, iż jest to, powiedzmy, jakiś naskórek skóry, byłoby bowiem po prostu śmieszne twierdzić, że właściwa skóra przepotężnego wieloryba jest cieńsza i miększa od skórki nowo narodzonego dziecięcia. Ale dość już o tym.

Przyjąwszy, iż tłuszcz jest skórą wieloryba, należy wziąć pod uwagę, że ponieważ ta skóra — jak to się dzieje w wypadkach bardzo dużego kaszalota — dostarcza stu baryłek oleju, a ów olej po wytopieniu stanowi pod względem ilości czy raczej wagi ledwie trzy czwarte substancji całej powłoki — to można stąd powziąć niejakie wyobrażenie o ogromie tej żywej masy, jeśli zaledwie część jej skóry dostarcza podobnego jeziora cieczy. Licząc po dziesięć baryłek na tonę, macie dziesięć ton wagi netto z ledwie trzech czwartych całej skóry wieloryba.

Zwierzchnia powłoka kaszalota, widoczna za życia, jest nie najmniejszym z dziwów, w jakie on obfituje. Niemal zawsze, zwartym gąszczem, krzyżują się na niej po wielokroć ukośne, niezliczone linie, podobne do tych, jakie się widuje na najprzedniejszych włoskich miedziorytach. Jednakże te linie nie wydają się być wyciśnięte na wyżej wspomnianej żelatynowatej substancji, ale jakby tylko przez nią widocznie; rzekłbyś, są one wyryte na samym ciele kaszalota. I to jeszcze nie wszystko. W niektórych przypadkach owe linearne znaki stanowią dla bystrego, uważnego oka, podobnie jak na prawdziwym miedziorycie, zaledwie podstawę zgoła innych delineacji. Te zaś są hieroglificzne; to znaczy, o ile owe tajemnicze znaki na ścianach piramid nazywacie hieroglifami, tedy jest to właściwe słowo i w tym wypadku. Zachowawszy dobrze w pamięci obraz hieroglifów na jednym w szczególności kaszalocie, wielce byłem uderzony widokiem ryciny przedstawiającej stare litery

indiańskie wykute na słynnych hieroglificznych urwiskach u brzegów Górnego Missisipi. Jak owe tajemnicze skały, tak i wieloryb z tajemnymi znaki pozostaje nie do odcyfrowania.

Ta wzmianka o skałach indiańskich przypomina mi coś jeszcze. Prócz innych fenomenów, jakimi się odznacza zewnętrzny widok kaszalota, nierzadko na jego grzbiecie, a zwłaszcza na bokach, owe regularne linie bywają w znacznej części zatarte przez rozliczne, ostre szramy zgoła nieregularnego, przypadkowego kształtu. Powiedziałbym, że owe skały na wybrzeżach Nowej Anglii, które, jak to sobie wyobraża Agassiz******, noszą ślady gwałtownych zderzeń z olbrzymimi górami lodowymi, bardzo przypominają pod tym względem kaszalota. Wydaje mi się również, że tego rodzaju szramy na ciele wieloryba pochodzą prawdopodobnie ze starcia z innymi wielorybami; mogłem je bowiem najczęściej zauważyć na dużych, wyrośniętych bykach owego gatunku.

Jeszcze parę słów na temat tej skóry czy tłuszczu wieloryba.

Powiedziano już, że zdejmuje się ją z niego długimi płatami, które noszą nazwę „kołder". Jak większość terminów morskich, i ten także jest bardzo szczęśliwie dobrany i znaczący. Albowiem wieloryb jest w istocie owinięty w tłuszcz, niczym w prawdziwą kołdrę czy koc; albo jeszcze lepiej w indiańskie *poncho,* zarzucone przez głowę i opadające wzdłuż całego ciała. To właśnie z uwagi na owo przytulne okrycie wieloryb może czuć się wygodnie w każdą pogodę, na każdym morzu, o każdym czasie czy porze roku. Cóż by się stało z takim, powiedzmy, walem grenlandzkim, gdyby na owych lodowatych, dreszczem przejmujących morzach Północy nie był zaopatrzony w tak cieplutki surdut? Co prawda, w tych hiperborejskich wodach znajdują się także inne ryby, które są niesłychanie żwawe, ale należy zauważyć, że chodzi tu o ryby zimnokrwiste i pozbawione płuc; sam ich brzuch jest już chłodnią, a istoty te grzeją się pod bokiem gór lodowych, podobnie jak podróżny, który zimową porą rozkoszuje się ogniem w gospodzie — natomiast wieloryb, tak samo jak człowiek, ma płuca i ciepłą krew. Zamroźcie mu krew, a

zemrze. Jakimże więc cudem jest — dopóki się tego nie wytłumaczy — iż ów ogromny potwór, dla którego ciepło cielesne jest równie niezbędne jak dla człowieka, czuje się jak w domu, zanurzony po same wargi w owych wodach arktycznych, kędy marynarzy, którzy wypadli za burtę, znajduje się czasem po miesiącach zamarzniętych w pozycji pionowej wewnątrz pól lodowych, na podobieństwo much tkwiących w kawałkach bursztynu. Ale, co jeszcze bardziej zadziwiające, dowiedziono na podstawie doświadczeń, że krew polarnego wieloryba jest cieplejsza od krwi Murzyna z Borneo w czas lata.

Tak mi się zdaje, że tu oto widzimy zalety silnej indywidualnej żywotności, rzadkie zalety grubych ścian, rzadkie zalety wewnętrznej przestrzenności. O, człowiecze! Podziwiaj wieloryba i wzoruj się na nim! I ty także pozostań ciepły pośród lodów. I ty także żyj na tym świecie, nie należąc do niego. Pozostań chłodny na równiku; utrzymaj swą krew w stanie ciekłym na biegunie. Jak wielka kopuła Św. Piotra i jak ten olbrzymi wieloryb, zachowaj, o człowieku, swą własną temperaturę o każdej porze roku!

Ale jakże to łatwo i jak beznadziejnie jest uczyć tych spraw wspaniałych! Jak niewiele budowli przykrytych jest kopułą na wzór Św. Piotra! Jak niewiele stworzeń odznacza się ogromem wieloryba!

ROZDZIAŁ LXIX
POGRZEB

Wciągać łańcuchy! Spuścić ścierwo za rufę! Ogromne haki spełniły już swą powinność. Obłupany biały korpus wieloryba z odciętym łbem połyskuje niby marmurowy sarkofag; choć zmienił barwę, nie utracił w sposób widoczny nic ze swego ogromu. Jest nadal kolosalny. Z wolna oddala się unoszony na wodzie, którą wokoło tłuką i rozbryzgują nienasycone rekiny; w górze rozdziera powietrze wrzask stad drapieżnych ptaków, których dzioby wbijają się w wieloryba niczym zdradzieckie sztylety. Olbrzymi, biały, bezgłowy upiór unosi się coraz dalej i dalej od statku, a za każdym łokciem, jaki przepływa, całe akry rekinów i sześcienne akry ptactwa wzmagają morderczą wrzawę. Ów ohydny widok można godzinami obserwować z nieledwie stojącego w miejscu żeglowca. Pod bezchmurnym, łagodnie lazurowym niebem, na pięknym licu rozkosznego morza owiniętym wesołymi bryzami, unosi się ciągle owa masa śmierci, dopóki nie zginie w nieskończonej dali.

Jakże żałosny i urągliwy to pogrzeb! Morskie sępy, wszystkie w należytej żałobie, powietrzne rekiny, skrupulatnie obleczone w czerń lub cętki. Tak mi się widzi, że za życia tylko nieliczne z nich poczęstowałyby czymkolwiek wieloryba, gdyby tego przypadkiem potrzebował, ale na jego stypie jakże żarliwie szarpią go pazurami! O, ta straszliwa sępowość świata! Nawet najpotężniejszy z wielorybów nie jest od niej wolny.

Na tym jeszcze nie koniec. Choć ciało jest zbezczeszczone, żyje przecie mściwy duch i unosi się nad nim, niecąc przerażenie. Niegroźnego trupa wieloryba wypatrzy czasem z oddali jakiś lękliwy okręt wojenny lub głupawy statek

odkrywczy, kiedy odległość przesłania wprawdzie roje ptactwa, ale jednak pozwala widzieć białą masę unoszącą się w świetle słonecznym i białe bryzgi piętrzących się na niej fal; wówczas to niezwłocznie ów nieszkodliwy trup zapisany zostanie drżącymi palcami w dzienniku okrętowym: „W *tych stronach mielizny, skały i rafy. Miejcie się na baczności!"* I być może przez całe lata od tej pory statki unikać będą owego miejsca, przeskakując przez nie podobnie jak głupie owce skaczą ponad pustką, ponieważ na początku ich przywódca przeskoczył nad trzymanym w tym miejscu kijem. Oto macie prawo precedensów; oto pożyteczność tradycji; oto historia upartego trwania starych wierzeń, co nigdy nie wspierały się na ziemi, a teraz nawet nie unoszą się w powietrzu! Oto ortodoksja!

I jak za życia ciało potężnego wieloryba było może prawdziwym postrachem jego wrogów, tak w śmierci duch jego staje się bezsilną grozą dla świata.

Czy wierzysz w duchy, przyjacielu? Są jeszcze inne duchy niż upiór z Cock-Lane, a wierzą w nie ludzie o wiele głębsi od doktora Johnsona.

ROZDZIAŁ LXX
SFINKS

Nie należałoby pominąć wzmianki o tym, że przed odarciem z tłuszczu cielska Lewiatana najpierw ucina mu się głowę. Otóż ścięcie kaszalota jest naukowym wyczynem anatomicznym, którym doświadczeni chirurdzy wielorybi wcale się chlubią, i to nie bez racji.

Zważcie, że wieloryb nie ma niczego, co by można właściwie nazwać szyją; wprost przeciwnie, właśnie miejsce, w którym jego łeb i ciało zdają się łączyć ze sobą, jest najgrubszą jego częścią. Pamiętajcie także, iż chirurg operować tu musi od góry, oddzielony od przedmiotu swoich zabiegów dystansem jakichś ośmiu czy dziesięciu stóp, oraz że tenże przedmiot jest niemal ukryty w mętnym, rozkołysanym, a często wzburzonym i rozchlustanym morzu. Miejcie też na uwadze, że w tych niesprzyjających okolicznościach ów chirurg winien dokonać cięcia przenikającego w ciało na głębokość wielu stóp, i że tym podziemnym sposobem, nie mając możliwości zajrzenia choć raz jeden do wnętrza ustawicznie zwierającego się przecięcia, jakie uczynił, musi zręcznie omijać wszystkie przyległe, zakazane części i dokładnie oddzielić kręgosłup w krytycznym punkcie, tuż przy miejscu, w którym wchodzi on w czaszkę. Czyż więc nie dziwicie się chełpliwości Stubba, który żądał ledwie dziesięciu minut dla odcięcia łba kaszalotowi?

Oddzieliwszy łeb od ciała puszcza się go za rufę i tam przytrzymuje za pomocą liny, dopóki korpus nie zostanie odarty z tłuszczu. Potem zaś, o ile głowa należy do niewielkiego wieloryba, winduje się ją na pokład, aby się nią spokojnie zająć. Jest to jednak niemożliwe, jeśli się ma do czynienia z

rozrośniętym Lewiatanem, ile że głowa kaszalota równa się niemal jednej trzeciej wszystkiej jego masy, toteż całkowite zawieszenie w powietrzu podobnego ciężaru — nawet u olbrzymich bloków statku — byłoby równie niemożliwe, jak próba zważenia holenderskiej stodoły na wadze jubilerskiej.

Gdy już obdarto tłuszcz z naszego wieloryba i odcięto mu głowę, wywindowano ją mniej więcej do połowy z wody po kadłubie statku i zawieszono w ten sposób, by w znacznej mierze unosiła się jeszcze na swym macierzystym żywiole. I tak oto, gdy umęczony statek chylił się ostro nad nią, ciągniony w dół przez olbrzymi ciężar uczepiony u dolnego złącza steng, a każda reja sterczała od tej strony nad falami niby ramię dźwigu — ów ociekający krwią łeb zawisł u boku „Pequoda” jak głowa olbrzyma Holofernesa u paska Judyty.

Gdy zakończono tę pracę, było już południe i marynarze zeszli na dół, aby zjeść obiad. Cisza zaległa na niedawno tak gwarnym, a teraz opustoszałym pokładzie. Ciężki, miedziany spokój, niby wielki, żółty kwiat lotosu, coraz bardziej i bardziej rozwijał ponad morzem bezgłośne, niezmierzone płatki.

Minęła niedługa chwila i oto w tę ciszę wkroczył ze swej kajuty samotny Ahab. Przeszedł się parę razy po mostku kapitańskim, przystanął, by wyjrzeć przez burtę, a następnie zbliżył się z wolna do grotwanta, wziął długą łopatką Stubba, która tam jeszcze stała po odcięciu głowy wieloryba, wbił ją w dolną część zawieszonej masy, umieścił sobie pod pachą drugi koniec drzewca niby kulę i wsparł się na nim utkwiwszy w tę głowę uważne spojrzenie.

Była to głowa czarna i nieprzenikniona; wisząc tam wpośród tak napiętej ciszy zdawała się być sfinksem na pustyni.

— Przemów, olbrzymia i czcigodna głowo — szepnął Ahab — co choć niezdobna w brodę, przecie tu i ówdzie nosisz osędzieliznę mchów. Przemów, głowo potężna, i powierz nam tajemnicę, która jest w tobie. Ze wszystkich nurków, ty nurkowałaś najgłębiej. Ta głowa, na którą teraz śle swoje światło słońce wyniosłe, poruszała się wśród posad tego światła. Tam, gdzie rdzewieją nie znane imiona i floty, gdzie

gniją nie wypowiedziane nadzieje i kotwice, gdzie w morderczej komorze tej naszej fregaty-ziemi spoczywa balast kości milionów topielców, tam, w owej strasznej krainie wód, był twój dom rodzinny. Byłaś w miejscach, do których nigdy nie dotarł żaden nurek. Spałaś u boku niejednego żeglarza, tam gdzie bezsenne matki chętnie by spoczęły za cenę własnego życia. Widziałaś złączonych uściskiem kochanków, jak skakali z płonącego statku i z sercem na sercu niknęli pod tryumfującymi falami, wierni sobie wzajemnie, gdy zdało się, że Nieba ich zdradziły. Widziałaś zamordowanego oficera, o północy wyrzuconego z pokładu przez piratów. Godzinami opadał w jeszcze głębszą noc nienasyconej paszczęki, a mordercy jego żeglowali dalej, nietknięci, podczas gdy chybkie błyskawice oświetlały widniejący opodal statek, co byłby poniósł prawego małżonka w wyciągnięte, stęsknione ramiona. O, głowo! Widziałaś dość, by pękły od tego planety, Abraham zaś utracił wiarę — a przecie nie chcesz przemówić ni sylaby!

— Żagiel, ho! — zakrzyknął tryumfalny głos ze szczytu grotmasztu.

— Tak? A, to wieść pocieszająca! — zawołał Ahab, nagle się prostując, podczas gdy piorunowe chmury pierzchały z jego czoła. — Ten gromki okrzyk wśród tak śmiertelnej ciszy mógłby zmiękczyć człowieka. Gdzież ten żagiel?

— Trzy rumby od sterbortu, kapitanie. Niesie nam swoją bryzę!

— Coraz lepiej, człowiecze. Oby św. Paweł szedł teraz tą drogą i przyniósł podmuch wiatru mojej bezwietrzności! O, Naturo, o, duszo ludzka! Jakże niewysłowione bywają łączące was analogie! Najmniejszy atom nie drgnie, nie zazna życia w materii, który by nic miał przemyślnego odpowiednika w ludzkiej duszy!

ROZDZIAŁ LXXI
HISTORIA „JEROBOAMA”

Statek i wiatr mknęły zgodnie, ale wiatr nadleciał szybciej niż żaglowiec i wkrótce „Pequod” począł się kołysać.

Przez szkła można było coraz wyraźniej rozpoznać po szalupach i obsadzonych masztach, że to statek wielorybniczy. Jednakże ponieważ był tak daleko po nawietrznej i tak szybko mknął mimo, najwidoczniej kierując się na jakieś inne tereny łowieckie, „Pequod” nie mógł mieć nadziei, że go doścignie. Wywieszono więc sygnał, by się przekonać, jaka zostanie udzielona odpowiedź.

Należy tu nadmienić, że podobnie jak okręty wojenne, wszystkie statki amerykańskiej floty wielorybniczej mają własne sygnały, które są zebrane w książkach wraz z dołączonymi do nich nazwami danych statków, a każdy kapitan jest w książkę taką zaopatrzony. W ten sposób dowódcy żaglowców wielorybniczych mogą na oceanie rozpoznać się nawzajem z łatwością, i to nawet ze znacznej odległości.

Na sygnał „Pequoda” odpowiedział wreszcie nieznajomy statek wywieszając swój własny; okazało się wtedy, że jest to „Jeroboam” z Nantucket. Zbrasował reje, zbliżył się, ustawił od zawietrznej równoległe do „Pequoda” i spuścił szalupę. Ta wkrótce podpłynęła, ale właśnie gdy na rozkaz Starbucka zrzucono drabinkę na przyjęcie odwiedzającego nas kapitana, ów zamachał ręką z rufy swojej łodzi, by dać znać, że tego rodzaju kroki są całkowicie zbyteczne. Okazało się, że na pokładzie „Jeroboama” panuje złośliwa epidemia i że Mayhew, jego kapitan, obawia się zarazić załogę „Pequoda”. Choć bowiem sam kapitan i ludzie z jego łodzi nie byli dotychczas

chorobą dotknięci, choć statek jego znajdował się o pół strzelania z karabinu, a między nami kolebało się przeczyste morze i przelatywał świeży powiew — przecie, sumiennie się trzymając roztropnych zasad lądowej kwarantanny, kapitan stanowczo odmówił wejścia w bezpośredni kontakt z „Pequodem".

To jednak bynajmniej nie uniemożliwiło nawiązania rozmowy. Szalupa „Jeroboama", zachowując odległość kilku jardów od statku, potrafiła uderzając od czasu do czasu wiosłami utrzymać się równo z „Pequodem", który z przyciśniętymi do masztów żaglami ciężko pruł wodę (bowiem naówczas wiatr od przodu dął już dość silnie), choć chwilami chluśnięcie jakiejś większej fali wypychało szalupę nieco naprzód; zaraz jednak zręcznie przywracano ją do właściwego położenia. Pominąwszy więc takie momenty oraz inne podobne zakłócenia zdarzające się od czasu do czasu, obie strony podtrzymywały rozmowę, chwilami jednak nie bez innych jeszcze przeszkód zgoła odmiennej natury.

Przy jednym z wioseł łodzi „Jeroboama" siedział człowiek o wyglądzie dziwnym nawet w warunkach dzikiego życia wielorybniczego, gdzie wszelka całość składa się z indywidualnych osobliwości. Był to niski, krępy, dość młody mężczyzna o bujnej, żółtej czuprynie i twarzy nakrapianej piegami. Okrywał go długopoły, spłowiały surdut orzechowej barwy i przedziwnego kroju; przydługie rękawy podwinięte były nad napięstkami. Głęboki, nieruchomy, fanatyczny obłęd wyzierał z oczu tego człowieka.

Ledwie ujrzano tę figurę, Stubb zakrzyknął: — To on, to on! Ten sam po miejsku ubrany błazen, o którym gadali nam ludzie z „Town-Ho"! — Stubb miał na myśli dziwną historię, jaką niedawno opowiadano nam o „Jeroboamie" i pewnym człowieku z jego załogi, kiedy to nawiązaliśmy rozmowę z „Town-Ho". Według owej relacji i tego, o czym się później dowiedzieliśmy, pajac ten najwyraźniej pozyskał przedziwny wpływ na niemal całą załogę „Jeroboama". Historia jego była następująca:

Wychowywał się początkowo wśród zwariowanego Stowarzyszenia Shakerów w Neskyeuna, gdzie uchodził za wielkiego proroka; podczas ich opętanych, potajemnych zebrań po kilkakroć zstępował z nieba za pomocą klapy w suficie, oznajmiając rychłe otwarcie siódmej flaszki noszonej w kieszeni od kamizelki, która to flaszka jednak, miast zawierać proch strzelniczy, była podobno napełniona laudanum. Nawiedzony osobliwym apostolskim kaprysem, opuścił Neskyeuna i udał się do Nantucket, gdzie z ową chytrością właściwą obłędowi przedzierzgnął się zewnętrznie w spokojnego, rozsądnego człowieka i zaofiarował swe usługi jako nowicjusz kandydujący do wzięcia udział w wielorybniczej wyprawie „Jeroboama". Przyjęto go, ale zaledwie stracono lądu z oczu, a już jego szaleństwo buchnęło świeżym strumieniem. Oznajmił, że jest Archaniołem Gabrielem, i rozkazał, by kapitan wyskoczył za burtę. Ogłosił manifest, w którym oświadczył, iż jest zbawicielem wysp morza i wikariuszem generalnym całej Oceanii. Niezachwiana powaga, z jaką to wszystko oznajmiał, tajemna, zuchwała gra jego bezsennej podnieconej fantazji i wszystkie nadnaturalne straszliwości prawdziwego obłędu otoczyły pospołu owego Gabriela w umysłach większości ciemnych marynarzy jakąś atmosferą świętości. Co więcej, lękano się go. Ponieważ jednak z praktycznego punktu widzenia taki człowiek był na statku niezbyt użyteczny, jako że pracował tylko wtedy, kiedy mu się podobało, więc też kapitan-niedowiarek chętnie by się go był pozbył; wszelako archanioł powziąwszy wiadomość, iż kapitan ma zamiar wysadzić go na ląd w pierwszym lepszym porcie, niezwłocznie pootwierał wszystkie swoje flaszki i pieczęcie utrzymując, że statek wraz z całą załogą skazany będzie na bezwzględne zatracenie w wypadku, gdyby ów zamiar w czyn wprowadzono. Pracował tak usilnie nad swoimi zwolennikami spośród załogi, iż na koniec udali się jak jeden mąż do kapitana i oświadczyli mu, że jeżeli Gabriel wydalony zostanie ze statku, ani jeden z nich nie pozostanie na pokładzie. Kapitan zmuszony był więc porzucić swój plan. Nie pozwolono też na jakiekolwiek maltretowanie

szaleńca, bez względu na to, co by powiedział czy uczynił, tak że wreszcie doszło do tego, iż Gabriel mógł na statku robić, co mu się żywnie podobało. W wyniku tego wszystkiego archanioł nie liczył się niemal wcale z kapitanem ani z oficerami, a ponieważ wybuchła epidemia, poczynał sobie jeszcze zuchwalej niż kiedykolwiek, twierdząc, że owa plaga, jak ją nazywał, wynikła wyłącznie na jego rozkaz i że nie ustanie, dopóki tak mu się nie spodoba. Marynarze, przeważnie prostaczkowie, otaczali go czołobitnością, a niektórzy wręcz płaszczyli się przed nim; czasem na jego rozkaz składali mu osobiste hołdy niczym Bogu. Podobne rzeczy mogą się zdawać niewiarygodne, a jednak, choć tak zdumiewające, zdarzyły się przecie naprawdę. Historia fanatyków jest uderzająca nie tyle przez bezmierne samooszustwo fanatyka, co przez jego niezmierzoną moc oszukiwania i opętania tak wielu innych ludzi. Czas już jednakże powrócić do „Pequoda”.

— Nie boję się twojej epidemii, człowieku — powiedział znad burty Ahab do kapitana Mayhew, stojącego w tyle łodzi. — Wejdź na pokład.

Ale wówczas Gabriel zerwał się na równe nogi.

— Pomyśl, pomyśl o febrze, żółtej i okrutnej! Strzeż się straszliwej plagi!

— Gabrielu, Gabrielu! — zawołał kapitan Mayhew. — Albo musisz… — lecz w tej chwili gwałtowna fala pchnęła łódź daleko w przód, a syk wody zagłuszył słowa.

— Czy widzieliście białego wieloryba? — zapytał Ahab, gdy szalupa podsunęła się z powrotem.

— Pomnij, pomnij na swą łódź strzaskaną i zatopioną! Strzeż się straszliwego ogona!

— Powiadam ci raz jeszcze, Gabrielu, że… — ale znowu łódź rzuciła się do przodu, jakby ją ciągnęły złe duchy. Na kilka chwil zapadło milczenie, podczas gdy przetaczały się kolejno huczące fale, które przez jeden z kaprysów morza popychały szalupę, miast nią kołysać. Tymczasem wisząca głowa kaszalota kolebała się bardzo gwałtownie, a Gabriel, jak zauważono,

spoglądał na nią z większym niepokojem, niżby się tego należało spodziewać po jego archanielskiej naturze.

Po owej przerwie kapitan Mayhew począł opowiadać ponurą historię dotyczącą Moby Dicka, wszelako nie bez częstych przerywań, tak ze strony Gabriela — za każdym razem, gdy wymieniano jego imię — jak również i rozszalałego morza, które zdawało się być z nim w zmowie.

Okazało się, że niedługo po tym, gdy „Jeroboam" opuścił kraj rodzinny, załoga statku podczas spotkania z innym żaglowcem wielorybniczym dowiedziała się w sposób niezbity o istnieniu Moby Dicka oraz o spustoszeniach, jakie poczynił. Chciwie chłonąc te wieści Gabriel uroczyście przestrzegł kapitana przed atakiem na białego wieloryba w wypadku, gdyby napotkał potwora; w swym obłędnym bełkocie ogłosił Moby Dicka ni mniej, ni więcej tylko wcieleniem bóstwa Shakerów, którym Pismo Święte zostało objawione. Kiedy jednakże w jakiś rok czy dwa później rzeczywiście ujrzano z masztów Moby Dicka, Macey, pierwszy oficer, zapałał chęcią zmierzania się z wielorybem; mimo wszelkich proroctw i przestróg archanioła udało mu się namówić pięciu ludzi, by wyruszyli łodzią pospołu — zwłaszcza że sam kapitan bynajmniej mu tego nie wzbraniał. Macey popłynął więc z owymi ludźmi i po długim, utrudzającym wiosłowaniu oraz wielu niebezpiecznych, nieudanych atakach powiodło mu się wreszcie ulokować w ciele wieloryba jeden harpun. Tymczasem Gabriel wylazł na szczyt najwyższej stengi głównego masztu i potrząsając ręką opętańczym gestem, miotał proroctwa o rychłej zagładzie, jaka czeka tych, co świętokradczo napadli na jego bożyszcze. I kiedy oficer Macey, stojąc na dziobie łodzi, z całą nieopamiętaną zajadłością, właściwą ludziom jego zawodu, ryczał dziko na wieloryba i usiłował znaleźć sposobny moment do ciosu lancą — podniosła się z morza ogromna, biała zjawa, nagłym, zamiatającym ruchem wypierając na chwilę dech z piersi wioślarzom. W następnym momencie nieszczęsny oficer, pełen tak wściekłej żywotności, wyrzucony został w powietrze i zakreśliwszy długi łuk runął w morze o jakieś pięćdziesiąt

jardów od szalupy. Ani jedna jej drzazga nie doznała szwanku, żadnemu wioślarzowi włos nie spadł z głowy, ale oficer zaginął na wieki. Należy tu dodać nawiasem, że przy połowach kaszalotów ten rodzaj fatalnych wypadków zdarza się może niemal równie często, jak którykolwiek inny. Czasami nikt nie ponosi szkody prócz człowieka, który zostaje w ten sposób unicestwiony; jeszcze - częściej urywany bywa dziób łodzi lub odbita deska udowa, na której wspiera się dowódca, i wtedy leci ona w wodę wraz z jego ciałem. Ale najdziwniejszy bywa taki przypadek, który nieraz się już wydarzył, kiedy po wyłowieniu ciała niepodobna znaleźć na nim jednego choćby śladu obrażeń; człowiek jednakże jest martwy.

Całą katastrofę, łącznie ze spadającym w morze ciałem Maceya, wyraźnie widziano ze statku. Wzniósłszy przeszywający okrzyk: — Flaszka! Flaszka! — Gabriel odwołał przerażoną załogę od dalszej pogoni za wielorybem. Ów straszliwy wypadek jeszcze pomnożył wpływ archanioła na ludzi, ponieważ jego łatwowierni wyznawcy uwierzyli, iż go przepowiedział wyraźnie, miast wygłaszać tylko ogólne proroctwo, co każdy był w stanie uczynić, i w ten sposób utrafił w samo sedno, choć tyle rzeczy mogło się przecie wydarzyć. Stał się nieopisanym postrachem na statku.

Gdy Mayhew zakończył swą opowieść, Ahab zadał mu kilka takich pytań, że kapitan nie mógł się powstrzymać, żeby go nie zagadnąć, czy zamierza zapolować na białego wieloryba, w razie gdyby się nadarzyła po temu okazja. Na to Ahab odparł: — A jakże! — Natychmiast Gabriel znowu zerwał się na równe nogi i patrząc nań błyszczącym wzrokiem wskazał w dół palcem i wykrzyknął:

— Pamiętaj, pamiętaj o bluźniercy! Martwy on tam, w dole! Strzeż się śmierci bluźniercy!

Ahab odwrócił się obojętnie i powiedział do Mayhewa:

— Kapitanie, właśnie przypomniałem sobie o worku z pocztą, który wiozę. Jeśli się nie mylę, jest tam list do jednego z waszych oficerów. Starbuck, zajrzyj no do worka!

Każdy żaglowiec wielorybniczy zabiera pokaźną ilość listów dla różnych statków; doręczenie tych listów osobom, do których są adresowane, zależy jedynie od możliwości spotkania ich na wszystkich czterech oceanach. Dzięki temu większość listów nigdy nie dociera do celu, wiele zaś otrzymuje się dopiero, kiedy osiągną wiek dwóch, trzech albo więcej lat.

Wkrótce Starbuck powrócił z listem w ręku. Papier był srodze wymiętoszony, wilgotny i pokryty matową, cętkowaną, zieloną pleśnią, jako że przechowywano go w ciemnej szafeczce kajuty. Gońcem doręczającym list taki mogłaby snadnie być sama Śmierć.

— Nie możesz przeczytać? — zawołał Ahab. — Dajże go mnie, człowieku. Istotnie, to jakieś niewyraźne gryzmoły. Cóż to? — gdy Ahab przyglądał się listowi, Starbuck wziął długie drzewce od łopatki wielorybniczej i nożem zrobił na iego końcu małe nacięcie, aby zatknąć w nie list i tym sposobem podać go na łódź, tak aby nie musiała się do statku przybliżyć. Tymczasem Ahab trzymając list szeptał:

— „Pan Har”.., tak, „Pan Harry” (niepewna ręka kobieca — założyłbym się, że to żona) — tak, „Pan Harry Macey, statek »Jeroboam«” — no, to przecie do Maceya, a on nie żyje!

— Biedaczysko, biedaczysko — i to od żony! — westchnął Mayhew. — Ale dajcie mi ten list.

— Nie, zachowaj go sobie! — krzyknął Gabriel Ahabowi. — Sam rychło pójdziesz jego śladem.

— Niech cię zaraza zdusi! — ryknął Ahab. — Kapitanie Mayhew, przybliż się teraz i odbierz ten list. — Wziął na powrót fatalne pismo z rąk Starbucka, wetknął je w nacięcie na drzewcu i wyciągnął ku łodzi. Ale właśnie wioślarze w oczekiwaniu przestali wiosłować i szalupa odsunęła się nieco ku rufie „Pequoda”, tak że list jak gdyby pod wpływem czarów znalazł się nagle na wprost chciwej dłoni Gabriela. Ów porwał go natychmiast, chwycił nóż znajdujący się w łodzi, nadział nań list i cisnął z powrotem na statek. Nóż upadł u stóp Ahaba. Wówczas Gabriel wrzasnął na swoich towarzyszy, by się wzięli

do wioseł, i w ten sposób buntownicza łódź chyżo odsunęła się od „Pequoda”.

Kiedy po owym wydarzeniu marynarze powrócili do pracy nad skórą wieloryba, snuli wiele dziwnych domysłów w związku z tą niesamowitą sprawą.

ROZDZIAŁ LXXII
MAŁPIA LINA

Podczas całego tego rozgardiaszu przy cięciu i oprawianiu wieloryba załoga musi się wiele nabiegać tam i z powrotem. To tu kogoś potrzeba, to ówdzie kogoś wołają. Nie sposób ustać w miejscu, gdyż w jednym i tym samym czasie wszędzie wszystko musi być zrobione. Podobnie dzieje się i z tym, kto usiłuje opisać tę scenę. Musimy zatem cofnąć się nieco. Wspominałem już, że po dobraniu się do grzbietu wieloryba, umieszczono ów hak tłuszczowy w otworze uprzednio wy krajanym łopatkami oficerów. Ale jakże to tak niezdarna i ciężka masa, jak ten hak, dała się w ów otwór założyć? Uczynił to mój osobisty przyjaciel, Queequeg, którego obowiązkiem, jako harpunnika, było zstąpić w tym specjalnie celu na grzbiet potwora. W wielu jednakże przypadkach okoliczności wymagają, żeby harpunnik pozostał na wielorybie, dopóki nie zakończy się całej operacji krajania i obdzierania cielska z tłuszczu. Należy tu zauważyć, że wieloryb pozostaje niemal w całości pod wodą, z wyjątkiem tylko tych części, na których się pracuje. I tak oto tam w dole, ów biedny harpunnik, jakieś dziesięć stóp poniżej poziomu pokładu, kotłuje się na poły w wodzie, na poły na wielorybie, a olbrzymia masa obraca się pod nim niby młyn pedałowy. Przy omawianej okazji Queequeg figurował w kostiumie szkockim — a mianowicie w koszuli i w skarpetkach — w którym, przynejmniej moim zdaniem, wyglądał nader korzystnie; a jak się to zaraz okaże, nikt nie miał lepszej ode mnie sposobności, aby go obserwować.

Ponieważ byłem dziobowym wioślarzem dzikiego, to znaczy tym, który zasiada w jego łodzi przy wiośle dziobowym (drugim

od przodu), było więc moim miłym obowiązkiem pomagać mu przy owym mozolnym gramoleniu się po grzbiecie martwego wieloryba. Widywaliście włoskich kataryniarzy dzierżących na długim sznurze tańcującą małpę. Tak właśnie ze stromej burty żaglowca trzymałem Queequega w dole, na wodzie, za pomocą liny, w technicznym języku wielorybniczym zwanej „małpią liną", a przytwierdzonej do mocnego kawała płótna, którym dziki był opasany.

Komicznie niebezpieczna to była sprawa dla nas obu. Zanim bowiem przejdziemy dalej, trzeba tu powiedzieć, że małpia lina była zamocowana na obu końcach: jednym u szerokiego, płóciennego pasa Queequega, a drugim u mojego wąskiego rzemienia. Tak więc chwilowo byliśmy ze sobą złączeni na złą czy dobrą dolę; i gdyby biedny Queequeg miał pójść na zawsze pod wodę, zarówno zwyczaj jak i honor wymagałby, żebym miast przecinać linę, dał się jej pociągnąć śladem towarzysza. W ten sposób łączyła nas wydłużona syjamska więź. Queequeg był moim własnym, nieodłącznym bratem bliźnim, ja zaś nie mogłem w żaden sposób pozbyć się niebezpiecznych obowiązków, jakie na mnie nakładały owe konopne więzy.

Tak dobitnie i metafizycznie wyobraziłem sobie wtedy swoją sytuację, że gdym z powagą śledził ruchy Queequega, zdało mi się, iż wyraźnie dostrzegam, jak osobowość moja wtapia się w towarzystwo akcyjne złożone z dwóch istot; jak moja wolna wola otrzymuje śmiertelną ranę, gdyż omyłka czy nieszczęśliwy przypadek drugiego może niezasłużenie pogrążyć mnie, Bogu ducha winnego, w otchłań nieszczęścia i śmierci. Dlatego też pojąłem, że mam tu do czynienia z rodzajem bezkrólewia u Opatrzności, albowiem jej równo odmierzona sprawiedliwość nigdy by nie usankcjonowała tak grubej niesłuszności. Zastanawiając się zaś jeszcze dalej — i od czasu do czasu podrywając Queequega ze szczeliny pomiędzy wielorybem a statkiem, który groził mu zmiażdżeniem — zastanawiając się więc dalej, postrzegłem, że ta moja sytuacja była dokładnie sytuacją, w jakiej się znajduje każdy śmiertelnik, co żyje i oddycha; tyle tylko, że w większości przypadków owe syjamskie

więzy *łączą* go w ten czy inny sposób z całą masą innych śmiertelników. Jeżeli zbankrutuje twój bankier — załamujesz się; jeśli twój aptekarz przez pomyłkę prześle ci w pigułkach truciznę — umierasz. Co prawda, powiecie, być może, iż przez zachowanie niesłychanych ostrożności można uniknąć tych oraz niezliczonych innych złych kolei życia. Ale choć obchodziłem się z liną Queequega najostrożniej, jak umiałem, przecie on czasem szarpnął nią tak, że mało brakowało, a wypadłbym za burtę. Nie mogłem też żadną miarą zapomnieć, że choćbym nie wiedzieć co robił, mogłem panować tylko nad jednym końcem owej liny.*******

Wspomniałem już, że często podrywałem biednego Queequega ze szczeliny między bokiem statku a wielorybem, w którą od czasu do czasu wpadał na skutek ustawicznego kołysania się i chwiania ich obu. Zmiażdżenie nie było jednak jedynym niebezpieczeństwem, jakie mu zagrażało. Nie zastraszone masakrą, dokonaną na nich w nocy, rekiny — od nowa i jeszcze silniej zwabione krwią, która dotychczas zatrzymana w ciele, poczęła znowu zeń wypływać — wściekle roiły się dokopoca niczym pszczoły w ulu.

I oto właśnie wpośród owych rekinów stał Queequeg, często odpychając je obsuwającą się nogą. Rzecz owa byłaby wręcz nie do wiary, gdyby nie to, że wszystkożerny zazwyczaj rekin, zwabiony taką zdobyczą jak ubity wieloryb, rzadko kiedy tknie wówczas człowieka.

Nie należy jednak wątpić, że skoro rekiny tak drapieżnie sobie poczynają, jest oczywiście rzeczą roztropną mieć na nie pilne baczenie. Toteż prócz małpiej liny, za pomocą której od czasu do czasu wyrywałem biedaka ze zbyt bezpośredniej bliskości paszczy jakiegoś szczególnie zażartego rekina — Queequeg był wyposażony w jeszcze inną ochronę. Tasztego i Daggoo, stojąc na jednym z pomostów wywieszonych przez burtę, ustawicznie wymachiwali nad głową dzikiego ostrymi łopatkami wielorybniczymi, którymi mordowali tyle rekinów, ile zdołali dosięgnąć. Ta czynność była oczywiście całkiem bezinteresowna i z życzliwości płynąca. Chcieli jak najlepiej dla

Queequega, to przyznaję; lecz w gorliwym pośpiechu, by mu dopomóc, oraz z uwagi na fakt, że tak jego, jak i rekiny czasem na poły zalewała zmieszana z krwią woda — te ich niebaczne łopatki chwilami bliższe były odcięcia nogi niż ogona. Ale Queequeg, biedaczysko, wytężając wszystkie swoje siły i dysząc tam nad owym wielkim żelaznym hakiem, tylko modlił się zapewne do swojego Jodża i składał życie w ręce bogów.

„Cóż, cóż, drogi kolego i bliźniaku — myślałem sobie to przyciągając, to popuszczając linę za każdym wzdęciem fal — cóż to wszystko ma za znaczenie? Czyliż nie jesteś cennym obrazem każdego z nas na tym wielorybniczym świecie? Ów bezdenny ocean, wpośród którego dyszysz — to Życie; rekiny — to twoi wrogowie; te łopatki — to przyjaciele, a między rekinami i łopatkami w jakimże paskudnym znajdujesz się położeniu, w jakim niebezpieczeństwie, o, biedny chłopaku!”

Ale odwagi! Czeka cię coś radosnego, Queequegu. Bo oto gdy z posiniałymi wargami i krwią nabiegłą źrenicą zmordowany dziki nareszcie wdrapuje się po łańcuchach i cały ociekający wodą, dygocąc mimo woli, przełazi orzez burtę, podchodzi doń steward i z życzliwym, pocieszającym spojrzeniem podaje mu — co? Trochę grzanego koniaku? Nie, podaje mu — o, bogowie! — kubek ciepławej wody z imbirem!

— Imbir? Czy tu pachnie imbirem? — zapytał podejrzliwie Stubb podchodząc bliżej. — Tak, to musi być imbir. — Z tymi słowy zajrzał do jeszcze nie tkniętego kubka. Następnie przystanął na chwilę, jakby z niedowierzaniem, i ruszył spokojnie w stronę zdumionego stewarda mówiąc powoli: — Imbir? Imbir? A bądźże pan tak łaskaw powiedzieć mi, panie Klucho, na czym polegają zalety imbiru? Też dopiero! To takiego używasz paliwa, by rozniecić ogień w tym dygocącym kanibalu? Imbir! Czymże on jest, u diabła — węglem? — smolnymi szczapami? — zapałkami? — hubką? — prochem strzelniczym? Czymże u diabła jest imbir, że ofiarowujesz ten kubek naszemu biednemu Queeque-gowi?

— W tym tkwi jakieś łajdackie Towarzystwo Trzeźwości — dorzucił nagle, zbliżając się do Starbucka, który właśnie

nadszedł od dziobu. — Popatrz pan na ten kubek i powąchaj, proszę. — Następnie obserwując minę oficera dodał: — Panie Starbuck, steward miał czelność podać ten kalomel czy inny środek przeczyszczający Queequegowi, który w tej chwili zlazł z wieloryba. Czyż steward to aptekarz? A chciałbym też zapytać, czy tymi oto kroplami ma zamiar tchnąć na powrót życie w człowieka na poły utopionego?

— Sądzę, że nie — odparł Starbuck. — To przecie paskudztwo.

— Tak, tak, stewardzie! — zawołał Stubb. — Nauczymy cię truć harpunnika! Zabieraj stąd te swoje aptekarskie środki. chcesz nas potruć, co? Masz nasze polisy ubezpieczeniowe i zamierzasz nas wymordować, by schować pieniądze do kieszeni?

— To nie ja! — krzyknął steward. — To ciocia Charity przyniosła imbir na statek i przykazała mi, żebym nigdy nie dawał harpunnikom wódki, tylko ten puchar imbiru, jak go nazywała.

— Puchar imbiru! Masz, masz, ty łotrze! Zabieraj to, ganiaj do szafki i przynieś coś lepszego. Myślę, że nie robię nic złego. Starbuck? Wszak rozkaz kapitana brzmi: „grog dla harpunnika na wielorybie”.

— Dość — odparł Starbuck. — Tylko go już więcej nie bij, bo…

— O, nigdy nie robię krzywdy, gdy uderzam, chyba wielorybowi albo czemuś w tym guście — zresztą ten chłop to chytry lis. Co pan chciałeś powiedzieć?

— Tylko to, żebyś zeszedł z nim razem i sam wziął, czego chcesz.

Gdy Stubb ukazał się znowu, niósł w jednej ręce ciemną butlę, a w drugiej coś w rodzaju puszki od herbaty. Pierwsza zawierała mocny alkohol i wręczona została Queequegowi, druga była darem cioci Charity i tę wspaniałomyślnie ofiarowano falom.

ROZDZIAŁ LXXIII
STUBB I FIASK UBIJAJĄ WIELORYBA WŁAŚCIWEGO, A NASTĘPNIE GWARZĄ NAD NIM

Należy pamiętać, że przez cały czas wisi u boku „Pequoda” olbrzymia głowa kaszalota. Musimy ją tam jednak pozostawić czas jakiś, dopóki nie znajdziemy okazji, by się nią zająć. Na razie są inne pilne sprawy i wszystko, co możemy dla tej głowy uczynić, to prosić Niebiosa, żeby bloki wytrzymały.

Otóż w czasie poprzedniej nocy i przedpołudnia „Pequod” stopniowo przesunął się na obszary morskie dające rozproszonymi tu i ówdzie plamami żółtego britu pewną rękojmię bliskości wielorybów właściwych — odmiany Lewiatana, o której prawie nikt nie przypuszczał, że może się gdzieś kryć w pobliżu o tym właśnie czasie. A choć na ogół wszyscy marynarze gardzili polowaniem na te stworzenia niższego rzędu i choć „Pequod” bynajmniej nie miał za zadanie poszukiwać ich, choć minęliśmy wiele tych zwierząt w pobliżu Krozetów nie spuszczając łodzi — przecie teraz, kiedy już do boku statku przycumowano kaszalota i odcięto mu głowę, oznajmiono ku zdumieniu wszystkich, że należy tego dnia upolować wieloryba właściwego, jeśli się po temu nadarzy sposobność.

Niedługo trzeba było na nią czekać. Po zawietrznej ujrzano wysokie fontanny i dwie szalupy — Stubba i Fiaska — puściły się w pogoń. Wiosłowały coraz dalej i dalei, aż wreszcie niemal znikły z oczu ludziom stojącym na masztach. Nagle jednak

dostrzeżono w oddali ogromne kłęby pian i wkrótce przyszła z góry wiadomość, że jedna albo obie łodzie musiały trafić wieloryba. Minęła chwila i oto je wyraźnie rozpoznaliśmy ciągnione przezeń wprost w kierunku statku. Potwór tak blisko dotarł do kadłuba, iż zrazu się zdało, że ma jakoweś złe zamiary, ale nagle, o kilkanaście łokci od burty, zanurzył się w wirze pod wodę, i całkiem zniknął nam z oczu, jak gdyby dając nurka popod kil.

— Ciąć! Ciąć linę! — krzyknięto ze statku, gdyż przez chwilę wydawało się, iż ciągnione łodzie roztrzaska mordercze uderzenie o kadłub żaglowca. Ponieważ jednak wieloryb nie nurkował zbyt szybko, a łodzie miały jeszcze w bębnach zapas liny, wyrzucono więc znaczną jej ilość wiosłując jednocześnie z całej mocy aby wyminąć statek. Przez kilka minut sytuacja była niezwykle krytyczna, ponieważ ludzie ustawicznie poluźniali napiętą linę ciągnącą ich w jednym kierunku, jednocześnie wiosłując w przeciwnym, i te dwie sprzeczne siły groziły im pociągnięciem w dół. Chcieli jednak zyskać ledwie kilka stóp. I nie ustawali, póki tego nie osiągnęli, a wówczas na statku poczuliśmy natymiast nagłe drżenie przebiegające jak błyskawica wzdłuż kilu, gdy napięta lina, przeszorowawszy po dnie „Pequoda”, z trzaskiem wystrzeliła w górę przed dziobem, cała rozedrgana, śmigając bryzgami wody, tak że krople spadły na fale niby odłamki szkła; wieloryb zaś wynurzył się również po drugiej stronie i znowu łodzie mogły mknąć swobodnie. Ale umęczony zwierz zmniejszył szybkość i na oślep, zmieniwszy kierunek, opłynął rufę „Pequoda” ciągnąc za sobą obie szalupy, tak że zakreśliły pełne koło.

Tymczasem łodzie przyciągały liny coraz bardziej, aż wreszcie, znalazłszy się tuż przy obu bokach zwierza, Stubb i Flask poczęli weń na zmianę miotać lancę po lancy; i tak bitwa toczyła się wokoło „Pequoda”, a niezliczone rekiny, które przedtem pływały przy cielsku ubitego kaszalota, rzuciły się na świeżo rozlaną krew, chciwie ją chłepcząc za każdym ponownym chluśnięciem, niczym spragnieni Izraelici u źródła niespodzianie tryskającego z rozszczepionej skały.

Wreszcie słup pary, wyrzucany przez wieloryba, zgęstniał i zwierz, rzygając posoką, straszliwym dźwignięciem przewrócił się na grzbiet — martwy.

Podczas gdy obaj dowódcy zajęli się przytwierdzaniem lin do ogona oraz czynili jeszcze inne przygotowania, ażeby poholować masę, wynikła między nimi następująca rozmowa:

— Ciekawym, co stary chce zrobić z tą bryłą paskudnego łoju? — rzekł Stubb, nie bez odrazy myśląc o tym, że musi mieć do czynienia z tak nikczemną odmianą Lewiatana.

— Co chce? — odrzekł Fiask zwijając jakąś zbędną linę na dziobie łodzi. — Czyś pan nigdy nie słyszał, Stubb, że statek, który choć raz ma głowę kaszalota zawieszoną u sterbortu, a jednocześnie głowę wieloryba właściwego u bakbortu, nigdy potem nie może zatonąć?

— A czemuż to?

— Nie mam pojęcia, ale słyszałem, jak to gadał ten azjatycki upiór, Fedallah. A zdaje się, że jemu wszystko wiadomo o czarach żeglarskich. Tylko czasem mi się widzi, że on tak zaczaruje statek, iż w końcu nic dobrego z tego nie wyjdzie. Wcale, a wcale nie lubię tego chłopa, Stubb. Czyś kiedy zauważył, że ten jego kieł wygląda, jakby go wyrzeźbiono w kształt łba węża?

— Do diabła z nim! W ogóle nigdy na niego nie patrzę, ale jeżeli mi się nawinie okazja w ciemną noc, kiedy on stanie tuż przy burcie, a opodal nie będzie nikogo, to słuchaj mnie pan, Fiask — tu wskazał na morze czyniąc zarazem osobliwy ruch obiema rękami — tak zrobię! Fiask, uważam, że ten Fedallah to diabeł w przebraniu. Alboż wierzysz w tę niestworzoną historię o przeszmuglowaniu go na statek? Powiadam ci, to sam diabeł. Jeżeli nie widzisz jego ogona, to tylko dlatego, że go sobie gdzieś utyka i chowa. Pewnie go nosi zwinięty w kieszeni. Do kata! Teraz sobie przypominam, że mu zawsze potrzeba pakuł do wypychania pustych nosów od butów!

— Sypia w butach, prawda? Nie ma hamaka, a widywałem go, jak nocą leżał na zwoju lin.

— Oczywiście, a to właśnie przez ten jego przeklęty ogon. On go, widzisz, wpuszcza w to próżne miejsce pośrodku zwoju.

— Po co stary tyle z nim przestaje?

— Ubija z nim jakiś targ alb interes.

— Interes? Jaki?

— Otóż, widzisz, stary jest okrutnie zażarty na tego białego wieloryba, a ten tu diabeł chce go nabrać i zmusić do przefrymarczenia srebrnego zegarka albo własnej duszy, albo czegoś podobnego w zamian za odstąpienie Moby Dicka.

— Ech, Stubb, bajesz pan! Jakże Fedallah mógłby to uczynić?

— Nie wiem, Fiask, ale szatan to ciekawy chłop i kawał łotra, mówię ci. Przecież gadają, że kiedyś wlazł na okręt flagowy machając ogonem diablo swobodnie, a po pańsku, i zapytał, czy stary admirał jest w domu. Otóż był w domu i spytał diabła, czego by chciał. Diabeł, trzasnąwszy kopytami, staje i powiada: „Chcę Jana". „A to na co?" — pyta go stary. „Co ci do tego? — diabeł na to rozeźlony. — Potrzebuję go". „Weź go sobie" — rzekł admirał i, na Boga, Fiask, jeżeli diabeł nie zadał owemu Janowi cholery azjatyckiej, zanim się ten obejrzał, to niech zjem tego wieloryba za jednym zamachem. Ale patrzaj no pan, czyś przypadkiem nie gotów? Więc płyńmy dalej i przyciągnijmy wieloryba do statku.

— Zdaje mi się, że przypominam sobie jakąś podobną historię — powiedział Fiask, kiedy obie łodzie z wolna posuwały się ze swym ciężarem w stronę żaglowca — tylko nie pamiętam skąd.

— Z opowieści o trzech Hiszpanach. Z przygód tych trzech krwiożerczych żołdaków. Tam ją pan czytał, Fiask? Myślę, że tak.

— Nie, nigdym takiej książki nie widział na oczy, chociaż o niej słyszałem. Ale powiedz no mi pan, czy myślisz, że tamten diabeł, o którym dopiero co mówiłeś, to ten sam, co teraz, twoim zdaniem, przebywa na „Pequodzie"?

— Alboż jestem tym samym człowiekiem, który dopomógł ci ubić tego oto wieloryba? Alboż diabeł nie żyje wiecznie? Słyszał kto, żeby diabeł umarł? Czyś pan kiedykolwiek widział, żeby jakiś pleban nosił żałobę po szatanie? A jeżeli diabeł ma klucz

do kajuty admirała, to czy sądzisz, że nie potrafi wpełznąć przez iluminator? Powiedzże pan sam, Fiask!

— W jakim wieku może być ten Fedallah?

— Widzisz pan ten grotmaszt? — Tu Stubb wskazał na statek. — No więc to jest jedynka. A teraz weź wszystkie obręcze z ładowni „Pequoda" i ustaw je rzędem koło tego masztu jako zera. Otóż nawet to nie odpowiadałoby ani w części latom Fedallaha. Wszyscy bednarze na całym świecie nie zebraliby dość obręczy, aby ustawić dosyć zer.

— No, ale widzisz pan, Stubb, myślę, żeś się dopiero co odrobinę przechwalał, kiedyś mówił, że zamierzasz wrzucić Fedallaha w morze, gdyby się nadarzyła sposobność. Przecież jeżeli jest już tak stary, jak pokazują wszystkie te pańskie obręcze, i jeżeli ma żyć wiecznie, to na cóż by się zdało wywalać go za burtę — sam pan powiedz?

— Przynajmniej bym go porządnie skąpał.

— Przecie wylezie z powrotem.

— To go znowu w wodę — i tak ciągle.

— A przypuśćmy, że mu przyjdzie do głowy skąpać pana — a tak, i utopić — cóż wtedy?

— Chciałbym to widzieć. Niechby tylko spróbował, to bym mu tak pięknie podbił ślepia, że przez długi czas nie ośmieliłby się pokazać gęby w kajucie admirała, nie mówiąc już o urlopie na dole, gdzie przemieszkuje, ani też o górnych pokładach, gdzie się tak często wałęsa. Do kata z diabłem, Fiask! Więc pan przypuszcza, że go się boję? A któż to go się boi, prócz starego admirała, co nie śmiał chwycić go i zakuć w łańcuszki, jak na to zasługiwał, ale pozwolił mu porywać ludzi i jeszcze na dobitkę podpisał z nim pakt, że mu usmaży wszystkich tych, których porwie? To mi dopiero szef!

— Myślisz pan, że Fedallah chce porwać kapitana Ahaba?

— Czy tak myślę? Sam się niebawem przekonasz, Fiask. Ale teraz będę miał pilne na niego oko i jeżeli zobaczę coś bardziej podejrzanego, to go po prostu chwycę za kark i powiem: „Słuchaj no, Belzebubie, tego nie zrobisz!” A jak mi się zacznie stawiać, to, na Boga, wyciągnę mu ten ogon z kieszeni,

przyczepię do kabestanu i tak okręce, i wyszarpię, że mu się oderwie u zadka — a wówczas, kiedy zobaczy, że go w tak osobliwy sposób skurtyzowano, to da drapaka nie mając nawet tej nędznej satysfakcji, aby wziąć ogon pod siebie.

— A cóż pan zrobisz z ogonem, Stubb?

— Co zrobię z ogonem? Sprzedam go jako bicz na woły, kiedy wrócimy do domu — a cóż by innego?

— Czy rzeczywiście myślisz pan to, co mówisz i co mówiłeś przez cały ten czas Stubb?

— Myślę, nie myślę, a oto jesteśmy przy statku.

Z „Pequoda" krzyknięto łodziom, żeby przyholowały wieloryba od bakbortu, gdzie przygotowano łańcuchy oraz inny sprzęt potrzebny do przycumowania zwierza.

— A nie mówiłem panu? — rzekł Fiask. — Tak, niebawem ujrzysz łeb tego wieloryba zawieszony obok głowy kaszalota.

Rychło sprawdziły się słowa Fiaska. O ile dotąd „Pequod" pochylał się silnie pod ciężarem głowy kaszalota, o tyle teraz, przez przeciwwagę, odzyskał pionową pozycję, chociaż, możecie mi wierzyć, ogromnie był przeciążony. Tak właśnie, jeśli u jednego boku zawiesicie sobie głowę Locke'a, to przechylicie się na tę stronę. Ale zawieście tylko u drugiego głowę Kanta, a zaraz odzyskacie równowagę, choćby kosztem ciężkiego mozołu. Tak to niektóre umysłowości wiecznie rozmieszczają balast na swym statku. O, głupcy! Wyrzućcie za burtę wszystkie te gromowe głowy, a wówczas pożeglujecie prosto i swobodnie.

Przed oprawieniem cielska wieloryba właściwego, przyciągniętego do boku statku, odbywają się zazwyczaj te same wstępne czynności, co w wypadku kaszalota; tyle tylko, że temu ostatniemu odrąbuje się głowę w całości, a wielorybowi właściwemu odcina osobno wargi oraz język i wciąga je na pokład wraz z całą dobrze znaną czarną kością, połączoną z tak zwanym ciemieniem. Tym razem nie uczyniono niczego podobnego. Cielska obu wielorybów pozostawiono za rufą, a obwieszony głowami statek niemało przypominał muła objuczonego parą zbyt ciężkich sakw.

Tymczasem Fedallah spokojnie spoglądał na głowę wieloryba właściwego, od czasu do czasu przenosząc wzrok z głębokich jej fałd na linie własnej dłoni. Ahab zaś stanął przypadkiem w ten sposób, że ów pars ******** znajdował się w jego cieniu; toteż, o ile Fedallah sam w ogóle cień jakiś posiadał, to zapewne wtapiał się on tylko w cień Ahaba i wydłużał go. Między pracującą zażarcie załogą krążyły najprzedziwniejsze domysły co do wszystkich tych faktów.

ROZDZIAŁ LXXIV
GŁOWA KASZALOTA — WIDOK KONTRASTOWY

Otóż i mamy dwa wielkie wieloryby uradzające twarz w twarz ze sobą; pójdźmy za ich przykładem i uczyńmy to samo.

Z wielkiego szeregu Lewiatanów *In Folio*, kaszalot i wieloryb właściwy są bezwzględnie najwybitniejsze. Jedyne to wieloryby, na jakie człowiek regularnie poluje. Dla nantucketańczyka stanowią one dwa przeciwieństwa wszystkich znanych odmian wieloryba. Zważywszy, że zewnętrzne między nimi różnice dają się głównie zaobserwować w ich głowach, zważywszy, że głowa każdego z nich wisi w tej chwili u boku „Pequoda” i że możemy swobodnie krążyć od jednej do drugiej, po prostu przechodząc przez pokład — gdzież, chciałbym wiedzieć, znajdziecie lepszą niż tutaj sposobność studiowania cetologii praktycznej?

Po pierwsze uderza nas ogólny kontrast między tymi głowami. Obie są bez wątpienia bardzo masywne, ale w głowie kaszalota jest jakaś matematyczna symetria, której niestety brak głowie wieloryba właściwego. Głowa kaszalota ma więcej charakteru. Gdy się jej przyglądać, to mimo woli trzeba kaszalotowi przyznać ogromną wyższość pod względem przenikającego go dostojeństwa. W obecnym przypadku dostojeństwo to jeszcze bardziej podnosi popielata barwa wierzchu jego łba, znamionująca podeszły wiek tudzież wielkie doświadczenie. Krótko mówiąc, jest on takim wielorybem, jakiego poławiacze technicznie nazywają „siwogłowym”.

Zwróćmy teraz uwagę na to, czym owe głowy najmniej się między sobą różnią — a mianowicie na dwa najważniejsze

organy: oko i ucho. Otóż jeżeli pilnie poszukacie, to na koniec ujrzycie daleko w tyle i z boku głowy bardzo nisko, opodal kąta warg obu wielorybów bezrzęse oko, które można by wziąć za oko młodego źrebaka, tak bardzo jest nieproporcjonalne do wielkości głowy.

Owóż jasne jest, że z uwagi na to osobliwe boczne osadzenie oczu u wieloryba, nigdy nie może on widzieć przedmiotu znajdującego się dokładnie na wprost, tak samo jak tego, który jest za nim. Jednym słowem położenie oczu wieloryba odpowiada położeniu uszu człowieka, a możecie sobie wyobrazić, jak byście się czuli, gdybyście mieli bokiem oglądać przedmioty za pomocą uszu. Stwierdzilibyście, że macie pole widzenia obejmujące ledwie około trzydziestu stopni do przodu i tyluż stopni do tyłu linii od linii biegnącej prostopadle w bok od waszego ciała. Gdyby w biały dzień wasz najzaciętszy wróg następował na was prosto od przodu i z podniesionym sztyletem, nie bylibyście go w stanie dostrzec, tak samo jak wówczas, gdyby się podkradał z tyłu. Jednym słowem mielibyście, że się tak wyrażę, dwa tyły, ale też jednocześnie i dwa przody (boczne przody), po czymże bowiem odróżnia się przód człowieka, jeśli nie po jego oczach?

Co więcej, podczas gdy u większości zwierząt, jakie mi się w tej chwili na myśl nasuwają, oczy są tak osadzone, że w sposób niedostrzegalny stapiają ze sobą swoją zdolność widzenia i w mózgu wywołują jeden a nie dwa obrazy — to szczególne rozmieszczenie oczu wieloryba, skutecznie przedzielonych wieloma stopami sześciennymi masywnej głowy, która się piętrzy między nimi niczym potężna góra przedzielająca dwa jeziora w dolinach, musi oczywiście całkowicie rozdzielać wrażenia, jakie przekazuje każdy z tych niezależnych od siebie organów. Dlatego też wieloryb musi widzieć jeden osobny obraz z tej strony, a drugi osobny obraz z tamtej, wszystko zaś, co znajduje się między nimi, stanowi dlań zapewne głęboki mrok i nicość. O człowieku można zaiste powiedzieć, że wygląda na świat z budki wartowniczej o dwóch połączonych szczelinach miast okna. Natomiast u wieloryba obie te szczeliny

są rozmieszczone z osobna, tworząc wprawdzie dwa odrębne okna, ale jednak ogromnie upośledzając widzenie. Tę osobliwość oczu wieloryba należy zawsze mieć na uwadze w czasie połowu; winien o niej również pamiętać czytelnik przy niektórych następnych scenach.

Można by wysunąć ciekawy i zagadkowy problem dotyczący tych spraw wzroku u Lewiatana. Muszę się jednak zadowolić tylko wzmianką o nim. Jak długo oczy człowieka są otwarte przy świetle, akt widzenia jest mimowolny; to znaczy człowiek musi wówczas, choćby nie chciał, mechanicznie widzieć wszelkie znajdujące się przed nim przedmioty. Niemniej jednak doświadczenie pouczy każdego, że choć może od razu ogarnąć spojrzeniem przeróżne przedmioty, jednak nie jest w stanie obejrzeć uważnie i dokładnie jakichkolwiek dwóch rzeczy w jednej i tej samej chwili — bez względu na to, czy są duże, czy małe, czy spoczywają tuż obok siebie i dotykają się wzajemnie. Ale jeśli z kolei rozdzielicie te dwa przedmioty i otoczycie każdy z nich kręgiem głębokiej ciemności, wówczas aby zobaczyć któryś z nich, tak żeby w umyśle powstał jego obraz, trzeba na ów moment całkowicie wyłączyć ten drugi ze świadomości. Jakże więc dzieje się to u wieloryba? Faktem jest, że jego oczy muszą, każde z osobna, działać jednocześnie, ale czyżby mózg jego był o tyle bardziej pojętny, kojarzący i subtelny od ludzkiego, żeby pozwolić mu na uważne poglądanie w tej samej chwili dwóch osobnych widoków, z których jeden znajduje się po jednej jego stronie, a drugi po wprost przeciwnej? Jeśli wieloryb jest do tego zdolny, to rzecz owa jest w nim równie zadziwiająca, jak gdyby człowiek byt w stanie jednocześnie dowodzić dwóch różnych twierdzeń Euklidesa. Po dokładniejszym wniknięciu w tę sprawę okaże się, że w takim porównaniu nie ma nic niedorzecznego.

Może to tylko być czcze przywidzenie, ale zawsze mi się wydawało, iż niesłychana niepewność ruchów, jaką zdradzają niektóre wieloryby, gdy je osaczą trzy czy cztery łodzie, oraz lękliwość i skłonność do nagłych popłochów, tak w owych razach u wielorybów pospolita, wynika pośrednio z bezradnej

niemocy woli, w którą muszą pogrążać zwierzęta ich dwie osobne i diametralnie przeciwstawne zdolności widzenia.

Ale ucho wieloryba jest zupełnie tak samo ciekawe jak oko. Jeżeli jesteście całkiem z tą rasą nieobeznani, to moglibyście godzinami obszukiwać obie głowy i nie wykryć tego organu. Ucho nie ma w ogóle żadnej zewnętrznej muszli, a w sam otwór ledwie by można wetknąć gęsie pióro, tak zdumiewająco jest maleńkie. Znajduje się ono nieco z tyłu za okiem. Należy zauważyć następującą doniosłą różnicę między uchem kaszalota i wieloryba właściwego: podczas gdy u pierwszego posiada ono zewnętrzny otwór, u drugiego jest całkowicie i równo powleczone błoną, tak że nie sposób je dostrzec od zewnątrz.

Czyż to nie osobliwe, że tak potężna istota jak wieloryb ogląda świat przez oko tak maleńkie i słyszy huk grzmotu uchem mniejszym od ucha zająca? Ale gdyby oczy jego były tak ogromne jak soczewka wielkiego teleskopu Herschla, a uszy przestronne jak portyki katedr, czyż wydłużyłoby to jego wzrok lub wyostrzyło słuch? Bynajmniej. Po cóż więc usiłujecie „rozszerzać” swój umysł? Wysubtelniajcie go.

A teraz, za pomocą wszelkich lewarów czy maszyn parowych, jakie mamy pod ręką, przewróćmy głowę kaszalota w ten sposób, żeby jej dół znalazł się w górze, a następnie wydostańmy się na szczyt po drabinie i zajrzyjmy w paszczękę. Gdyby nie to, że ciało jest teraz zupełnie oddzielone od głowy, moglibyśmy zejść z latarnią w ręku do owej wielkiej Pieczary Mamutowej z Kentucky — jego brzucha. Ale uchwyćmy się tego oto kła i obejrzyjmy miejsce, w którym się znajdujemy. Jakaż to prawdziwie piękna i schludna paszczęka! Od podłogi do sufitu wybita czy raczej wytapetowana połyskliwą białą błoną, lśniącą niczym atłasy oblubienicy.

A wyjdźcie teraz i spojrzyjcie na tę potężną dolną szczękę, która przypomina długie a wąskie wieko olbrzymiej tabakiery z zawiasem u końca miast u szerszego boku. Jeśli ją podważymy tak wysoko, by znalazła się nad naszą głową ukazując szeregi zębów, wówczas wyda nam się straszliwą kratą forteczną; a

niestety stała się nią w istocie dla niejednego biednego rybaka, na którego owe ostrokoły spadły z przeszywającą mocą. A jeszcze okropniejszy to widok, gdy na całe sążnie zanurzony pod powierzchnią morza jakiś markotny wieloryb unosi się w wodzie, z olbrzymią szczęką, długości niemal piętnastu stóp, zwisającą w dół pod prostym kątem do jego ciała i do złudzenia przypominającą bukszpryt żaglowca. Wieloryb ten nie jest martwy, a jedynie przygnębiony, może zniechęcony czy też ogarnięty hipochondrią, a tak osowiały, że zawiasy jego szczęki puściły zostawiając go w tak niezdarnej posturze na hańbę całego jego plemienia, które z pewnością marzy, by go nawiedził szczękościsk.

W większości przypadków ową dolną szczękę — którą artysta doświadczony w tym zawodzie łatwo z zawias wyważy — odejmuje się i wciąga na pokład, a to w celu wyrwania zębów i zaopatrzenia się w zapas owej twardej, białej kości wielorybiej, z której rybacy wykonują wszelkiego rodzaju osobliwości, włącznie z laskami, kijkami do parasoli oraz rączkami do szpicrut.

Po długim, mozolnym windowaniu wciąga się szczękę na pokład niby kotwicę, a gdy nadejdzie odpowiednia po temu chwila — w jakieś kilka dni po ukończeniu innych prac — Queequeg, Dagoo i Tasztego, jako wytrawni dentyści, zabierają się do wyrywania zębów. Ostrą łopatką wielorybniczą Queequeg nacina dziąsła, następnie szczękę przywiązuje się do pierścieni, a spuściwszy blok z góry, wyciąga z niej zęby, podobnie jak woły z Michigan wywlekają pnie starych dębów z dzikich leśnych kniej. Na ogół bywa wszystkiego razem czterdzieści dwa zęby; u starych wielorybów są one silnie starte, ale ani zepsute, ani plombowane według naszego sztucznego obyczaju. Następnie szczękę piłuje się na płyty, te zaś układa w stos, niczym dźwigary przy budowie domu.

ROZDZIAŁ LXXV
GŁOWA WIELORYBA WŁAŚCIWEGO — WIDOK KONTRASTOWY

Przejdźmy teraz na drugą stronę pokładu i dobrze a długo przyjrzyjmy się głowie wieloryba właściwego.

O ile z ogólnego kształtu głowę szlachetnego kaszalota można porównać do rzymskiego rydwanu bojowego (szczególnie z frontu, gdzie jest tak szeroko zaokrąglona), to biorąc z grubsza, głowę wala właściwego cechuje raczej niezbyt wytworne podobieństwo do gigantycznego trzewika o kwadratowym nosie. Dwieście lat temu pewien podróżnik holenderski przyrównał jej kształt do szewskiego kopyta. A w tymże kopycie czy trzewiku mogłaby się wygodnie pomieścić owa staruszka z dziecinnej bajki wraz z całym swym rojnym potomstwem.

Kiedy się jednak podchodzi bliżej do tej głowy olbrzymiej, zaczyna ona przybierać coraz to inny wygląd, zależnie od punktu, z którego patrzymy. Jeżeli się stanie na jej wierzchołku i spojrzy na dwa otwory nozdrzowe w kształcie liter f, można wziąć całą głowę za olbrzymią basetlę, a te tryskawki za otwory w jej pudle. Jeśli zaś znowu skierować spojrzenie na ową dziwną, czubatą, grzebieniowatą narośl na czubku masy — to coś zielonego, usianego skorupiakami, co Grenlandczycy nazywają „koroną”, a łowcy południowi „czepcem” wieloryba właściwego — jeśli skierować oczy wyłącznie na to, wówczas można wziąć ową głowę za pień jakiegoś olbrzymiego dębu z

ptasim gniazdem uwitym w rozwidleniu konarów. Tak czy owak, kiedy się ogląda żywe kraby gnieżdżące się na owym czepcu, myśl tana niemal z pewnością musi przyjść do głowy, chyba że waszą fantazję przyciągnął techniczny termin „korona”, również mu nadawany. W tym razie będzie bardzo interesujące pomyśleć, że ów potężny potwór został koronowanym królem mórz, dla którego w sposób tak przedziwny sporządzono ów zielony diadem. Wszelako, jeśli ten wieloryb jest królem, to ma zbyt markotną minę, ażeby podnieść świetność swojego diademu. Spójrzcie na tę obwisłą dolną wargę! Jakież w niej jest przepotężne nadąsanie i odęcie! Nadąsanie i odęcie, które, mierzone miarą ciesielską, ma około dwudziestu stóp długości i pięciu głębokości; nadąsanie i odęcie, które dostarczy wam z pięćset albo więcej galonów oleju.

Jakaż to szkoda, że ten nieszczęsny wieloryb ma zajęczą wargę! Szczelina w niej jest szeroka mniej więcej na stopę. Prawdopodobnie jego matka musiała w ważnym momencie życia przepływać opodal wybrzeży peruwiańskich rozszczepionych przez trzęsienie ziemi. Przez ową wargę niby przez śliski próg dostajemy się do paszczy. Daję słowo, gdybym był w Mackinaw, wziąłbym ją za wnętrze indiańskiego wigwamu. Wielki Boże! To więc jest owa droga, którą przebył Jonasz! Dach znajduje się na jakieś dwanaście stóp wysoko i spada pod dość ostrym kątem, jak gdyby pośrodku podpierał go drąg namiotu, a w żebrowanych, łukowatych i kosmatych ściankach ukazują się nam zadziwiające, nieomal pionowe listewki fiszbinów, o kształcie tureckich bułatów, po trzysta mniej więcej z każdej strony. Zwisając z górnej części głowy, czyli od ciemienia, tworzą one te weneckie żaluzje, o których przelotnie na innym miejscu wspomniano. Kości owe obrzeżone są frędzlą włochatych włókien, przez które wieloryb wyciska wodę zatrzymując w ich gęstwie małe rybki, kiedy w czas żeru płynie z otwartą paszczą poprzez morza *britu*. Na żaluzjach kostnych, według naturalnego porządku znajdujących się pośrodku, bywają różne osobliwe znaki, kręte linie,

wklęsłości i krawędzie, po których pewni wielorybnicy obliczają wiek zwierzęcia, podobnie jak poznaje się wiek dębu po jego krągłych słojach. Chociaż pewności tego kryterium udowodnić nie sposób, jednak przez analogię ma ono posmak prawdopodobieństwa. W każdym razie, o ile je przyjmiemy, musimy przyznać wielorybowi wiek o wiele sędziwszy, niżby się to na pierwszy rzut oka mogło wydać właściwe.

W dawnych czasach panowały, zdaje się, najosobliwsze wyobrażenia o tych żaluzjach. Pewien podróżnik u Purchasa nazywa je dziwacznymi „bokobrodami" wewnątrz paszczy wieloryba*********; inny — „świńską szczeciną", a znów trzeci starszy pan u Hackluyta używa następujących wytwornych słów: „Po każdej stronie górnej części jego mordy rośnie około dwustu pięćdziesięciu płetw, które z obu stron wyginają się łukowato ponad językiem".

Każdemu wiadomo, że te właśnie „świńskie szczeciny", „płetwy", „bokobrody", „żaluzje", czy jak się komu podoba, dostarczają damom gorsetów oraz innych usztywniających urządzeń. Ale pod tym względem popyt od dawna się zmniejsza. To za czasów królowej Anny fiszbin osiągnął pełnię chwały, wtedy bowiem krynolina była jak najbardziej w modzie. A wzorem owych starodawnych dam, co krzątały się wesoło, choć można powiedzieć, w paszczy wieloryba — i my dzisiaj, w czas ulewy, z podobnym brakiem zastanowienia uciekamy dla bezpieczeństwa pod te same szczęki, jako że parasol jest przecie namiotem rozpiętym na tychże kościach.

Ale teraz zapomnijcie na chwilę o żaluzjach czy wąsach i stojąc w paszczy wieloryba właściwego rozejrzyjcie się ponownie wokoło. Czyż widząc te wszystkie tak metodycznie rozmieszczone kolumnady z kości nie można pomyśleć, że znajdujemy się wewnątrz wielkich organów z Haarlem i spoglądamy na tysiąc ich piszczałek? Miast dywanu przed organami mamy kobierzec z najdelikatniejszej tureckiej wełny — język, który jest jakby przyklejony do podłogi paszczy. Bardzo tłusty i miękki, ma skłonność do rwania się na kawałki, kiedy go wciągać na pokład. Mamy przed sobą ten właśnie

język i na oko powiedziałbym, że to sześciobeczkowiec, to znaczy, że tyle mniej więcej dostarczy nam oleju.

Jeszcze przedtem musieliście jasno dostrzec prawdziwość faktu, od którego zacząłem — a mianowicie, że kaszalot i wieloryb właściwy mają głowy nieomal całkowicie odmienne. Reasumując więc: w głowie wieloryba właściwego nie ma tego wielkiego źródła olbrotu, w ogóle żadnych zębów ani długiego, smukłego dzioba dolnej szczęki tak jak u kaszalota. Kaszalot zaś nie posiada wcale żaluzji kostnych ani olbrzymiej dolnej wargi i ledwie że ma jakiś tam język. A znowu wieloryb właściwy ma dwie zewnętrzne tryskawki wydechowe, kaszalot zaś tylko jedną.

Spójrzcie więc po raz ostatni na te czcigodne, nieprzeniknione głowy, póki jeszcze razem spoczywają; jedna z nich bowiem niebawem pogrąży się, zapomniana, w morzu, a druga niedługo będzie czekać, by pójść w jej ślady.

Czy potraficie uchwycić wyraz tego kaszalota? To ten sam, który miał w chwili śmierci tylko kilka długich fałd na czole, które jakby się wygładziło. Sądzę, że to jego czoło szerokie jest pełne jakiegoś spokoju prerii, zrodzonego z przemyślanej obojętności wobec śmierci. Zauważcie natomiast wyraz drugiej głowy. Przyjrzyjcie się tej zdumiewającej dolnej wardze, przypadkiem przyciśniętej do boku statku tak, że mocno ogarnia szczękę; czy cała ta głowa nie zdaje się mówić o ogromnej, rzeczywistej śmiałości w stawianiu czoła śmierci? Uważam, że ten wieloryb właściwy był stoikiem, a kaszalot platończykiem, który w ostatnich latach mógł się zajmować Spinozą.

ROZDZIAŁ LXXVI
TARAN

Zanim rozstaniemy się chwilowo z głową kaszalota, chciałbym, żebyście, po prostu jako rozsądni fizjologowie, zwrócili szczególną uwagę na to, jak ona wygląda od przodu w całym swym skupionym spokoju. Pragnąłbym, żebyście obejrzeli ją teraz wyłącznie w celu wyrobienia sobie jakiegoś nieprzesadnego, rozumnego poglądu o tkwiącej w niej taranowej sile. Punkt to niezmiernie istotny, bo albo musicie sami rozstrzygnąć to zagadnienie w sposób zadowalający, albo też ra zawsze pozostaniecie niedowiarkami co do jednego z może najstraszliwszych, choć niemniej prawdziwych wydarzeń, jakie gdziekolwiek można znaleźć w kronikach historii.

Zaobserwowaliście, że gdy kaszalot płynie w zwykii.ej pozycji, przód jego głowy tworzy linię niemal prostopadłą do powierzchni wody; zauważyliście, że dolna część tego przodu jest wyraźnie cofnięta, tak iż zapewnia ochronę długiemu łożysku podniebienia, w które wchodzi do belki podobna dolna szczęka; zauważyliście, że paszcza znajduje się całkowicie pod spodem głowy, zupełnie tak samo jak gdyby wasze własne usta umieszczone były pod brodą. Co więcej, zaobserwowaliście, że kaszalot nie ma zewnętrznego nosa, a te nozdrza, jakie posiada — jego tryskawka — znajdują się na szczycie głowy; że oczy i uszy osadzone są po bokach, niemal na jednej trzeciej długości całego ciała licząc od przodu. Dlatego też musieliście już spostrzec, że przód łba kaszalota jest nieczułą, ślepą ścianą bez jednego organu czy jakiegokolwiek wrażliwego miejsca. A dalej powinniście teraz zważyć, że tylko w najwyższej, cofniętej, przedniej części głowy istnieją jakiekolwiek ślady kości, zaś

dopiero około dwudziestu stóp od czoła natrafić można na pełny rozwój czaszki. Tak więc cała ta olbrzymia bezkostna masa jest jakby jednym tamponem. No a wreszcie jej zawartość, jak to wkrótce wyjawimy, obejmuje również najdelikatniejszy olej; jeszcze się dowiecie o naturze substancji, która ową pozorną zniewieściałość taką otacza osłoną. Na którymś miejscu opisałem wam już, jak to tłuszcz okrywa ciało wieloryba niby skórka pomarańczę. To samo dotyczy i głowy; z tą tylko różnicą, że na niej ta pokrywa, choć nie tak gruba, ma bezkostna twardość, której nikt nie jest w stanie ocenić, jeżeli jej sam nie dotknął. Najbardziej spiczasty harpun, najostrzejsza lanca ciśnięta najmocniejszym ludzkim ramieniem bezsilnie od niej odskakuje. To zupełnie tak jak gdyby czoło kaszalota było wyłożone kopytami końskimi. Nie sądzę, żeby w nim było jakieś czucie.

Zastanówcie się nad jeszcze jedną rzeczą. Cóż robią marynarze, kiedy dwa duże, wyładowane statki z Indii przypadkiem stłoczą się i napierają na siebie w dokach? Nie zawieszają między nimi, w punkcie, w którym mają się zetknąć, po prostu jakiejś twardej substancji, jak żelazo czy drzewo. Nie; trzymają w tym miejscu duży, krągły tampon z pakuł i korka, okryty najgrubszą i najtwardszą wołową skórą. Tampon ten dzielnie i bez szwanku wytrzymuje ciśnienie, które strzaskałoby wszelkie dębowe hanszpugi czy żelazne sztaby. To samo przez się dostatecznie ilustruje oczywisty fakt, do którego zmierzam. A w dodatku nasunęła mi się taka hipoteza: zważywszy, że zwykle ryby posiadają tak zwany pęcherz pływacki mogący się rozciągać i kurczyć zależnie od woli, kaszalot zaś, o ile mi wiadomo, nie ma podobnych urządzeń; zważywszy również niewytłumaczony skądinąd sposób opuszczania przezeń głowy całkiem pod powierzchnię, to znów płynięcia z łbem wysoko z wody wydźwigniętym; zważywszy nieskazitelną elastyczność pokrywy oraz jedyne w swoim rodzaju wnętrze jego głowy — nasuwa mi się, jak mówię, hipoteza, że owe tajemnicze, komórkowe plastry miodu, które się w niej znajdują, mogą mieć jakiś dotychczas nie znany i nie

podejrzewany związek z otaczającym powietrzem, polegający na zdolności atmosferycznego kurczenia się i rozszerzania. Jeżeli tak jest, to wyobraźcie sobie nieodpartość owej mocy, do której się przyczynia najbardziej nieuchwytny i niszczący ze wszystkich żywiołów.

Otóż uważajcie tylko. Popychając niechybnie przed sobą ową nieczułą, niezwyciężoną, nienaruszalną ścianę, zamykającą tyle wewnętrznej lekkości, płynie za tym wszystkim masa potężnego życia, którą odpowiednio pomierzyć można tylko tak, jak sąg drzewa — na łokcie; masa wszystka posłuszna jednej woli, niczym najdrobniejszy z owadów. Tak więc, kiedy wam później będę szczegółowo wyliczał wszystkie osobliwości i skupienia mocy utajone wszędzie w owym tak bujnym potworze, kiedy ukażę wam niektóre z pomniejszych czynów, jakich dokonuje, ufam, iż porzucicie wszelkie nieoświecone niedowiarstwo i będziecie gotowi przyznać, że gdyby kaszalot utorował sobie przejście przez przesmyk Darien czy zmieszał Atlantyk z Pacyfikiem, nie podnieślibyście ze zdziwienia nawet jednego włoska waszych brwi.

Bo jeśli nie uznacie potęgi wieloryba, to będziecie jedynie zaściankowcami i sentymentalistami w Prawdzie. Ale czysta Prawda to rzecz, na którą natrafić mogą tylko salamandrowe olbrzymy; jakże więc słabe są szanse dla zaściankowców! Cóż to się przygodziło słabowitemu młodzieńcowi, który uniósł zasłonę straszliwej bogini w Lais?

ROZDZIAŁ LXXVII
WIELKA BECZKA HEIDELBERSKA

Teraz kolej na opróżnienie „pudła”. Ale żeby to właściwie zrozumieć, winniście dowiedzieć się coś niecoś o ciekawej strukturze wewnętrznej rzeczy, o którą chodzi.

Przyjąwszy, że głowa kaszalota jest jednolitego, podłużnego kształtu, można w płaszczyźnie pochyłej podzielić ją skośnie na dwa kliny**********, z których dolnym będzie budowa kostna tworząca czaszkę i szczęki, górnym zaś — gęsta masa całkowicie wolna od kości. Jej szeroka przednia część stanowi widoczne, rozłożyste, pionowe czoło wieloryba. Podzielcie teraz ten górny klin poziomo pośrodku czoła, a otrzymacie dwie niemal równe części, które przedtem dzieliła w sposób naturalny wewnętrzna ścianka gęstej substancji ścięgnowej.

Dolna z tych pod-części, zwana płatem, jest jednym olbrzymim, oleistym plastrem miodu, który na całej przestrzeni składa się z dziesięciu tysięcy napełnionych olejem komórek utworzonych przez wzajemne krzyżowanie się na wasze strony twardych, elastycznych białych włókien. Część górna, znana pod nazwą pudła, może być uważana za wielką „heidelberską beczkę” kaszalota. I podobnie jak tamta słynna beczka ma na przodzie tajemnicze wyrycia, tak i ogromne, pofałdowane czoło kaszalota tworzy niezliczone, przedziwne wzory, niby emblematyczne ozdoby jego niesamowitej beczki. Co więcej, jak tamta heidelberska zawsze napełniona była najprzedniejszym winem z dolin nadreńskich, również i beczka kaszalota zawiera najkosztowniejszy z jego oleistych trunków — a mianowicie

wysoko ceniony olbrot w absolutnie czystej, przejrzystej i wonnej postaci. Owej drogocennej substancji w stanie nieskażonym nie sposób znaleźć w jakiejkolwiek innej części ciała wieloryba. Choć za jego życia substancja ta jest doskonale płynna, to jednak jeśli ją po śmierci ryby wystawić na działanie powietrza, rychło zaczyna krzepnąć wypuszczając piękne, krystaliczne igiełki, niby pierwszy delikatny lód, właśnie tworzący się na wodzie. Pudło dużego kaszalota dostarcza zazwyczaj około pięciuset galonów olbrotu, choć na skutek nieuniknionych okoliczności znaczna jego część bywa rozlana, wycieka, skapuje lub też w jakiś inny sposób zostaje bezpowrotnie stracona podczas delikatnych zabiegów, polegających ma tym, by łapać, co się da.

Nie wiem, jakim przepysznym i kosztownym materiałem wybita była wewnątrz beczka heidelberska, ale w swym najwyższym bogactwie z pewnością nie mógł on się równać z jedwabistą, perłową błoną, przypominającą podbicie wspaniałej delii, a tworzącą wewnętrzną powierzchnię pudła kaszalota.

Widzieliśmy już, że heidelberska beczka kaszalota obejmuje całą długość górnej części głowy, a ponieważ — jak to gdzie indziej wyłuszczono — głowa stanowi jedną trzecią całej długości zwierza, przeto określając tę ostatnią na osiemdziesiąt stóp u dobrze rozrośniętego kaszalota, otrzymamy głębokość beczki wynoszącą przeszło dwadzieścia sześć stóp, kiedy się głowę pionowo przywiesi u boku statku.

Przy odcinaniu głowy kaszalota narzędzie operatora przenika w bezpośrednią bliskość miejsca, w którym następnie otwiera się dostęp do magazynu olbrotu; dlatego też trzeba zachować niezwykłą ostrożność, gdyż w przeciwnym razie niebaczny, niewłaściwy cios naruszy sanktuarium i zmarnuje jego bezcenną zawartość. To właśnie ten koniec głowy, z którego ją odcięto, wyciąga się wreszcie z wody i utrzymuje w tej pozycji za pomocą olbrzymich bloków, których konopne liny tworzą nieprzeniknioną gęstwinę.

Wysłuchawszy tego wszystkiego, przyjrzyjcie się teraz, proszę, owej zdumiewającej — a w tym szczególnym przypadku omal że fatalnej — operacji odszpuntowania wielkiej heidelberskiej beczki kaszalota.

ROZDZIAŁ LXXVIII
CYSTERNA I WIADRA

Zwinny jak kot Tasztego wdrapuje się na górę i nie zmieniając wyprostowanej postawy biegnie prosto po zawieszonej tam grotrei aż do jej części sterczącej wprost ponad wywindowaną beczką. Zabrał ze sobą lekki sprzęt zwany „żurawiem", składającym się tylko z dwóch linek biegnących poprzez jednokrążkowy blok. Przymocowawszy go tak, żeby zwisał u noku rei, Tasztego huśta jednym końcem liny, dopóki któryś z marynarzy na pokładzie nie schwyci go i nie przytrzyma mocno. Teraz po drugiej części liny, chwytając ją kolejno dłońmi coraz niżej, Indianin opuszcza się przez powietrze i zręcznie ląduje na czubku głowy kaszalota. Tam — ciągle jeszcze wysoko wzniesiony ponad resztą załogi, do której żywo pokrzykuje — wydaje się być jakimś tureckim muezzinem wzywającym ze szczytu wieży zacnych ludzi na modlitwę. Podano mu na górę ostrą łopatkę z krótką rękojeścią i teraz pilnie poszukuje właściwego miejsca, aby rozpocząć włamywanie się do beczki. Poczyna sobie przy tym z wielką ostrożnością, niczym poszukiwacz skarbów ostukujący w jakimś starym domostwie ściany, by znaleźć miejsce, w którym zamurowano złoto. Kiedy ukończył już owe ostrożne poszukiwania, do jednego końca liny przytwierdzone zostaje tęgie wiadro okute żelazem, podobne do wiadra studziennego, drugi zaś koniec naciągnięty ponad pokładem przytrzymywany jest przez kilka żwawych dłoni. One właśnie windują teraz wiadro tak, by Indianin mógł go dosięgnąć, podczas gdy ktoś inny podaje mu bardzo długi drąg. Tasztego wsuwa go do wewnątrz wiadra i prowadzi je w dół, do środka beczki, póki w

niej zupetnie nie zniknie; po czym, na znak dany przez Indianina marynarzom trzymającym linę, wiadro ukazuje się znowu całe spienione niby ceber dójki pełen świeżego mleka. Napełnione naczynie, ostrożnie opuszczane z wysokości, chwytają wyznaczone po temu ręce i szybko wylewają zawartość do ogromnej kadzi. Następnie znowu idzie ono w górę i odbywa tę samą drogę, dopóki głęboka cysterna nie zostanie opróżniona. Pod koniec Tasztego musi wpychać długi drąg coraz mocniej i mocniej, coraz głębiej i głębiej w beczkę, póki nie schowa się w niej jakieś dwadzieścia stóp drzewca.

Załoga „Pequoda" pracowała już tak przez czas jakiś i kilka kadzi napełniono wonnym olbrotem, kiedy ni stąd, ni zowąd wydarzył się osobliwy wypadek. Czy to ów dziki Indianin, Tasztego, był tak nieroztropny i niebaczny, że trzymając się jedną ręką lin od ogromnych bloków, na których wisiała głowa, wpuścił je na chwilę; czy miejsce, w jakim stał, było tak zdradzieckie i oślizgłe; czy sam Zły zapragnął, żeby się tak stało, nie dając po temu żadnych osobistych racji — jak do tego doszło, nie sposób teraz dociec, ale oto nagle, gdy osiemdziesiąty czy dziewięćdziesiąty kubeł wynurzył się z chlupotem — Boże mój! — biedny Tasztego niby bliźniacze powrotne wiadro u prawdziwej studni spadł głową naprzód do wnętrza owej wielkiej heidelberskiej beczki i z okropnym, oleistym bulgotem zniknął nam z oczu!

— Człowiek za burtą! — ryknął Daggoo, który wśród powszechnej konsternacji pierwszy odzyskał przytomność umysłu. — Spuścić tu wiadro! — Uchwycił się dłonią liny i aby umocnić swój śliski punkt oparcia na „żurawiu", wetknął w wiadro jedną nogę i pozwolił marynarzom wywindować się wysoko na szczyt głowy, nieledwie zanim Tasztego dosięgnął wewnątrz jej dna. Tymczasem powstało straszne zamieszanie. Ludzie wyglądając przez burtę ujrzeli, iż dotąd martwa głowa drga i kotłuje się tuż pod powierzchnią morza, jak gdyby ją ogarnęła jakaś przemożna myśl; był to jednak tylko nieszczęsny Indianin, który przez swe zmagania nieświadomie pokazywał, w jak groźną głębinę się zapadł.

W tejże chwili, gdy Daggoo na szczycie głowy rozplątywał linę, która gdzieś zaczepiła się o wielkie bloki — usłyszano ostry trzask i ku niewymownemu przerażeniu wszystkich obecnych jeden z dwóch ogromnych haków, na którym głowa była uczepiona, wydarł się z niej i olbrzymia masa, drgając potężnie, zwisła bokiem, aż statek zatoczył się jak pijany i zatrząsł, jakby weń ugodziła góra lodowa. Jedyny pozostały hak, który utrzymywał teraz cały ciężar, mógł w każdej chwili puścić, co byłotym prawdopodobniejsze, że głowa gwałtownie się poruszali.

— Złaź, złaź! — ryczeli marynarze do Daggoo, ale Murzyn uczepiony jedną ręką u ciężkich bloków, tak że zawisłby w powietrzu, nawet gdyby głowa spadła, uwolnił zaplątaną linę i wepchnął wiadro w zapadniętą studnię, żeby pogrzebany harpunnik mógł je uchwycić i w ten sposób dać się wyciągnąć na wierzch.

— Na litość boską, człowieku! — krzyknął Stubb. — Co ty wyrabiasz? Ładujesz nabój do lufy czy co? Stój! Nic nie pomożesz waląc mu na łeb okute wiadro! Stój, mówię ci!

— Uciekaj od bloków! — ryknął jakiś głos niby trzask wybuchającej rakiety.

Niemal w tej samej chwili olbrzymia masa runęła z piorunowym hukiem w morze, niczym Skała Stołowa opadająca w wirowisko Niagary. Nagle odciążony statek odchylił się gwałtownie w tył, ukazując lśniące blachy miedziane okrywające dół kadłuba, a wszyscy zatrzymali dech w piersiach, gdy poprzez gęstą kurzawę pian niewyraźnie dojrzano uczepionego u rozchwianych bloków Daggoo, kołyszącego się to ponad wodą, to nad głowami marynarzy, podczas gdy nieszczęsny, żywcem pogrzebany Tasztego osuwał się nieuchronnie na dno morza! Zaledwie jednak opadła oślepiająca mgławica, ujrzano na jedno mgnienie oka nagą postać, która z mieczem wielorybniczym w dłoni przelatywała nad burtą. W następnym momencie rozgłośny plusk oznajmił, że mój dzielny Queequeg skoczył na pomoc. Zwartą ciżbą rzucono się do burty; wszystkie oczy śledziły każdą bańkę na

wodzie; chwila mijała za chwilą, a tonącego i nurka nie było ni śladu. Kilka ludzi skoczyło teraz do szalupy i odbiło nieco od statku.

— Ha! ha! — krzyknął nagle Daggoo ze swej wiszącej grzędy, która już przestała się kołysać. Wychyliliśmy się mocniej przez burtę i ujrzeliśmy rękę wytkniętą prosto z błękitnej toni; widok to był równie niezwykły, jak ramię wysunięte z trawy porastającej mogiłę.

— Obaj! Obaj! Są obaj! — ryknął znowu radośnie Daggoo i wkrótce ujrzano Queequega śmiało odgarniającego wodę jedną ręką, drugą zaś dzierżącego długie włosy Indianina. Wciągnięto ich na czekającą już łódź i szybko przewieziono na pokład, ale Tasztego długo nie mógł odzyskać przytomności, a i Queequeg nie wyglądał zbyt rześko.

Jakże dokonał on tego szlachetnego dzieła ratunku? Otóż nurkując za powoli opadającą głową, zadał ostrym mieczem kilka ukośnych cięć w pobliżu jej dna, aby wyrąbać tam dużą dziurę; następnie, odrzuciwszy broń, wepchnął w głąb i ku górze swoje długie ramię w ów otwór i wywlókł za głowę biednego Tasztega. Utrzymywał, że za pierwszym razem natrafił na nogę; wszelako wiedząc dobrze, iż nie jest to tak, jak być powinno, i może nastręczyć wiele kłopotu, wepchnął tę nogę z powrotem i zręcznym przerzutem przekręcił Indianina, tak że za następną próbą wydostał go starym, dobrym sposobem — głową naprzód. A ta druga, wielka głowa sprawiała się tymczasem nie gorzej, niż można się było spodziewać.

Tak więc dzięki odwadze oraz wielkiej biegłości Queequega w położnictwie przeprowadzono pomyślnie oswobodzenie albo raczej poród Tasztega, i to pośród najbardziej niesprzyjających i pozornie beznadziejnych okoliczności, co jest lekcją, której żadną miarą zapomnieć nie wolno. Położnictwa winno się uczyć tak samo, jak fechtunku i boksu, jazdy konnej i wiosłowania.

Wiem, że ta osobliwa przygoda Gay-Headera z całą pewnością wyda się niewiarygodna niektórym ludziom z lądu, choć

przecie oni sami zapewne widzieli albo słyszeli, że ktoś na lądzie wpadł do cysterny; jest to wypadek, który zdarza się nierzadko i z uzasadnieniem o wiele mniejszym niż ten, zwłaszcza jeśli się zważy niezwykłą śliskość krawędzi owej studni kaszalota.

Ale a nuż mnie ktoś mądrze zagadnie, jak to było możliwe? Sądziliśmy, że utworzona z komórek, przesycona tłuszczem głowa kaszalota jest najlżejszą, najbardziej korkowatą jego częścią; a przecie każesz jej tonąć w żywiole o znacznie większym ciężarze właściwym. Tu cię mamy! Bynajmniej — to ja mam was, albowiem w chwili gdy biedny Tasztego zleciał do pudła, było ono prawie całkowicie opróżnione ze swej lżejszej zawartości; pozostały już niemal tylko zbite, ścięgnowate ściany studni, utworzone, jak już powiedziałem, z wielce spoistej, kowanej substancji, o wiele cięższej od wody morskiej, w której każdy ich kawał tonie prawie jak ołów. Wszelako tendencji do zbyt szybkiego tonięcia przeciwdziałał fizycznie w tym wypadku fakt, że inne części głowy nie były jeszcze od niej oddzielone, wskutek czego opadała rzeczywiście bardzo powoli i statecznie, dając Quee-quegowi wyborną sposobność dokonania, można powiedzieć, w ruchu, zręcznych zabiegów położniczych. Tak, był to w istocie ruchomy poród.

Gdyby zaś Tasztego zginął wewnątrz tej głowy, byłaby to śmierć wielce wspaniała; udusiłby się w najbielszym, najczystszym, wonnym olbrocie; spoczął̨by w trumnie, na katafalku i w grobowcu sekretnej, wewnętrznej komnaty, *sanctum sanctorum* wieloryba. Można łacno przypomnieć tylko jeden słodszy zgon — rozkoszną śmierć pewnego pszczelarza z Ohio, który w dziupli drzewa znalazł tak niebywały zapas miodu, że przechyliwszy się za daleko, wleciał weń i zmarł zabalsamowany. Jak wam się zdaje, iluż to ludzi wpadło w ten sposób w miodową głowę Platona i tam zginęło pośrodku słodkości?

ROZDZIAŁ LXXIX
PRERIA

Zbadanie linii na obliczu tego Lewiatana czy też obmacanie guzów jego głowy — oto zadanie, którego nie podjął się dotąd żaden fizjonomista ani frenolog. Tego rodzaju przedsięwzięcie wydaje się równie obiecujące, jak dla Lavatera przestudiowanie zmarszczek na skale gibraltarskiej czy dla Galia włażenie po drabinie celem manipulowania około kopuły Panteonu. A jednak w swoim słynnym dziele Lavater nie tylko traktuje o twarzach ludzkich, ale też pilnie studiuje oblicza koni, ptaków, węży i ryb, rozwodząc się szczegółowo nad dającymi się na nich odróżnić zmianami wyrazu. Również i Gall oraz jego uczeń, Spurzheim, nie omieszkali dorzucić kilku uwag o frenologicznych cechach innych stworzeń niż człowiek. Dlatego też, choć słabe mam kwalifikacje na pioniera w stosowaniu do wieloryba owych dwóch pseudonauk, przecie uczynię taką próbę. Próbuję bowiem wszystkiego, a osiągam to, co potrafię.

Pod względem fizjonomistycznym kaszalot jest anomalią. Nie ma właściwego nosa. A ponieważ nos jest centralnym i najbardziej widocznym z rysów, ponieważ najdobitniej zmienia i koniec końców przesądza o ich łącznej ekspresji, przeto zdawałoby się, że całkowity brak tego zewnętrznego dodatku musi w znacznym stopniu wpływać na wyraz oblicza wieloryba. Jak bowiem w układzie krajobrazu za jego niemal niezbędne wykończenie uważa się jakąś wieżycę, kopułę, pomnik czy basztę, tak też i żadna twarz nie może być fizjonomistycznie harmonijna bez wyniosłego motywu dzwonnicy nosa. Odbijcie nos marmurowemu Jowiszowi Fidiasza, a jakaż smutna resztka pozostanie! Niemniej jednak

Lewiatan jest tak potężnych rozmiarów, proporcje jego są tak okazałe, że ten sam brak, który byłby ohydny w posągu Jowisza, w nim nie jest bynajmniej skazą. Przeciwnie, dodaje mu jeszcze wspaniałości. Nos u wieloryba byłby impertynencją. Gdy odbywając swoją fizjonomistyczną podróż opływacie czółnem ową głowę olbrzymią, waszym szlachetnym wyobrażeniom o wielorybie nigdy nie uwłacza refleksja, że ma on nos, za który można by go pociągnąć. Jest to myśl natrętna, która często narzuca się uparcie nawet wówczas, kiedy oglądamy najpotężniejszą królewską kukłę zasiadającą na tronie.

Pod pewnymi względami może najbardziej imponujący fizjonomistycznie aspekt kaszalota to widok jego głowy prosto od frontu. Jest on wręcz wzniosły.

Piękne ludzkie czoło pogrążone w zadumie przypomina wschodnią część nieba zasępioną o brzasku. Wśród spokoju pastwiska pofałdowane czoło byka ma w sobie nutę wielkości. Czoło słonia, pchającego ciężkie działo poprzez górskie przesmyki, jest majestatyczne. Ludzkie czy też zwierzęce, to czoło tajemnicze jest niby wielka złota pieczęć, którą cesarze niemieccy przykładali na swoich dekretach. Znaczy ona: „Boże, uczyniono dnia dzisiejszego ręką moją.” Ale u większości stworzeń, zaiste i u samego człowieka, czoło bardzo często jest ledwie pasemkiem alpskiej krainy leżącym wzdłuż linii śniegów. Nieliczne są takie czoła, jak Szekspira czy Melanchtona, które wynoszą się tak wysoko, a zstępują tak nisko, że same oczy są niby czyste, odwieczne, spokojne jeziorka górskie, a powyżej nich, w zmarszczkach na czole można, zda się, wytropić rogate myśli, schodzące tam do wodopoju, podobnie jak łowcy górscy tropią po śniegu jelenia. Ale u wielkiego kaszalota owa wysoka, potężna i boska godność, właściwa czołu, jest tak ogromnie zwiększona, że kiedy na nią patrzeć wprost, wyczuwa się bóstwo i straszliwe moce o wiele silniej niż oglądając jakikolwiek inny przedmiot w żywej przyrodzie Nie widzi się bowiem właściwie żadnego poszczególnego punktu; ani jeden wyraźny rys nam się nie ujawnia; nie ma tam nosa ni oczu, ni uszu czy warg, nie ma

twarzy, bo też kaszalot jej nie posiada; nic, prócz tego jednego szerokiego firmamentu czoła, pofałdowanego zagadkami, niemo grożącego zatratą łodziom i statkom, i ludziom. Z profilu nie malaje owo czoło zadziwiające, chociaż od tej strony jego potęga już nas tak nie przytłacza. Z profilu wyraźnie dostrzegacie owo poziome, półsierpowate zagłębienie pośrodku czoła, które Lavater uważa u człowieka za znamię geniuszu.

Ale jakże to? Geniusz u kaszalota? Czyż kaszalot kiedykolwiek napisał książkę, wygłosił przemówienie? Nie, jego wielki geniusz objawia się w tym, że kaszalot nie czyni nic szczególnego, by dowieść jego istnienia. Co więcej, objawia się on w jego piramidowym milczeniu. To zaś nasuwa mi myśl, że gdyby wielki kaszalot był znany młodemu światu Wschodu, zapewne owe dziecinne zabobonne umysły uczyniłyby go bóstwem. Ubóstwiają tam krokodyla z Nilu, ponieważ nie posiada języka, kaszalot zaś również go nie ma, a przynajmniej jest on tak niezwykle mały, że nie może wysuwać się na zewnątrz. Gdyby jakikolwiek wysoce kulturalny, poetyczny naród chciał kiedyś przywrócić radosnych, majowych bogów z czasów starożytnych do przyrodzonych im praw, gdyby ich znowu chciał żywcem intronizować na samotne już teraz niebiosa, na wzgórze obecnie opustoszałe — wówczas, bądźcie tego pewni, wyniesion na wysoki tron jowiszowy, królować tam będzie wielki kaszalot.

Champollian********** odcyfrował kręte granitowe hieroglify. Ale nie ma Champolliona, który by odcyfrował Egipt twarzy każdego człowieka i każdej istoty. Fizjonomistyka, jak wszelka inna ludzka wiedza, to jedynie przemijająca bajka. Skoro więc sir William Jones, który czytał w trzydziestu językach, nie umiał wyczytać w twarzy najprostszego wieśniaka głębszej, subtelniejszej treści, to jakże nieuczony Izmael może mieć nadzieję odczytać ów straszliwy chaldejski język czoła kaszalota? Ja tylko przedkładam to czoło wam. Odczytajcie je, jeżeli potraficie.

ROZDZIAŁ LXXX
MAKÓWKA

O ile, fizjonomistycznie rzecz biorąc, kaszalot jest sfinksem, to frenologowi mózg jego wyda się owym geometrycznym kołem, którego kwadratury dokonać nie sposób.

U zwierza w pełni wyrośniętego czaszka mierzy co najmniej dwadzieścia stóp długości. Odejmijcie dolną szczękę, a czaszka, widziana z boku, będzie przypominała lekko pochyły hebel stolarski, spoczywający całą długością na poziomej płaszczyźnie. Ale za życia — jakeśmy to gdzie indziej widzieli — ten pochyły hebel jest kanciasto dopełniony do kształtu niemal prostokątnego przez leżącą na nim olbrzymią masę płata i olbrotu. U góry czaszka tworzy krater, w którym osadza się odpowiednia część masy, a pod długim dnem tego krateru — w innym wydrążeniu rzadko przekraczającym dziesięć cali długości i tyleż głębokości — spoczywa mała garstka mózgu owego potwora. Za życia zwierza mózg znajduje się w odległości co najmniej dwudziestu stóp od zewnętrznej strony czoła, ukryty jest za jego obszernymi bastionami niby centralna cytadela pośród rozległych fortyfikacji Quebeku. Utajony jest w nim, niczym najcenniejsza szkatułka, do tego stopnia, że znałem wielorybników, którzy stanowczo przeczyli, żeby kaszalot posiadał jakikolwiek inny mózg prócz owego uchwytnego pozoru mózgu, jakim są sześcienne łokcie jego magazynu olbrotu. Skłębiony w przedziwne fałdy, skręty i zwoje, wydaje się w ich pojęciu bardziej odpowiadać wyobrażeniu o całej potędze zwierza i dlatego uważają tę tajemniczą część za siedlisko jego mądrości.

Jasne jest więc, że z frenologicznego punktu widzenia głowa tego Lewiatana w nienaruszonym, żywym stanie naturalnym jest czymś całkowicie zwodniczym. Nie sposób wówczas dostrzec ani wyczuć w niej jakichkolwiek śladów prawdziwego mózgu. Wieloryb, jak wszystkie rzeczy potężne, nosi dla świata fałszywe oblicze.

Jeżeli wyładujecie z czaszki kaszalota stosy olbrotu i popatrzycie na nią od tyłu, czyli od wyższego końca, wówczas uderzy was jej podobieństwo do czaszki ludzkiej oglądanej w tym samym położeniu i z tego samego punktu widzenia. W istocie, połóżcie tę czaszkę tak odwróconą (i zmniejszoną do proporcji człowieka) wśród czaszek ludzkich, a mimo woli pomiesza się ona wam z nimi; zauważywszy zagłębienia na jednej części jej wierzchołka, powiecie słowami frenologa: „Ten człowiek nie ma poczucia własnej godności ani szacunku dla samego siebie”. I przez te dwie negacje, jeśli je rozważyć łącznie z pozytywnym faktem niesłychanego ogromu i siły kaszalota, najlepiej można sobie utworzyć najprawdziwszą, choć nie nazbyt wesołą koncepcję tego, czym jest wszechpotężna moc.

O ile jednak z rozmiarów właściwego mózgu kaszalota wnosicie, że go niepodobna należycie zbadać, to powiem wam co innego. Jeśli obejrzycie uważnie kręgosłup niemal każdego czworonoga, zauważycie uderzające podobieństwo jego kręgów do nanizanego na sznurek naszyjnika ze skarłowaciałych czaszek, jako że wszystkie kręgi odznaczają się szczątkowym podobieństwem do właściwej czaszki. To pomysł niemiecki, że kręgi są bezwzględnie niedorozwiniętymi czaszkami. Zdaje się jednak, że Niemcy nie byli pierwszymi, którzy zauważyli owo ciekawe zewnętrzne podobieństwo. Wskazał mi je niegdyś pewien mój cudzoziemski przyjaciel na przykładzie szkieletu zabitego przez siebie wroga, którego kręgami wykładał, niby płaskorzeźbą, spiczasty dziób swojego czółna. Otóż uważam, że frenologowie popełnili poważne przeoczenie, nie posuwając swych badań od mózgowia wzdłuż stosu pacierzowego. Sądzę bowiem, że wiele cech charakteru człowieka odzwierciedla się w jego kręgosłupie. Już bym raczej wolał badać wasz stos

pacierzowy, niż waszą czaszkę, bez względu na to, kim jesteście. Cienka belka kręgosłupa nigdy jeszcze nie podtrzymywała szlachetnej i silnej duszy. Cieszę się moim kręgosłupem jako krzepkim i zuchwałym drzewcem sztandaru, który na wpół rozwijam przed światem.

Zastosujcie tę kręgosłupową gałąź frenologii do kaszalota. Jama jego czaszki łączy się z pierwszym kręgiem szyjnym, zaś w owym kręgu kanał rdzeniowy mierzy u dołu dziesięć cali średnicy, a osiem wysokości, mając kształt trójkąta z podstawą zwróconą ku dołowi. Przechodząc przez pozostałe kręgi kanał zwęża się wprawdzie, ale na znacznej długości zachowuje jeszcze duży przekrój. Otóż ów kanał jest oczywiście wypełniony niemal tą samą co mózg, dziwnie włóknistą substancją — rdzeniem pacierzowym — i łączy się bezpośrednio z mózgiem. Co więcej, na długości wielu stóp po wydostaniu się z jamy mózgowej kanał rdzeniowy zachowuje niezmniejszony obwód, niemal równy obwodowi mózgu. Czyż więc w tym stanie rzeczy byłoby nierozsądne pomierzyć i zbadać frenologicznie kręgosłup kaszalota? W tym bowiem świetle zdumiewająca stosunkowa drobność jego właściwego mózgu jest więcej niż powetowana przez zdumiewającą stosunkową wielkość jego rdzenia pacierzowego.

Niech jednak ten pomysł podziała jak może na frenologów; ja tylko przyjmę na chwilę teorię kręgosłupową w związku z garbem kaszalota. Ów garb dostojny, jeśli się nie mylę, wznosi się ponad jednym z większych kręgów i z tego względu jest dlań do pewnego stopnia jakby wypukłą zewnętrzną pokrywą. Z uwagi na jego tak uwarunkowane położenie nazwałbym więc ten wyniosły garb organem stanowczości i nieposkromienia u kaszalota. A że ów wielki potwór jest nieposkromiony, o tym będziecie się jeszcze mogli przekonać.

ROZDZIAŁ LXXXI
„PEQUOD” SPOTYKA „DZIEWICĘ”

Los zrządził, że pewnego dnia spotkaliśmy statek „Jungfrau” z Bremy, płynący pod dowództwem kapitana Dericka De Deer.

Dwa niegdyś największe narody wielorybnieze świata, Holendrzy i Niemcy, zaliczają się dziś do najpośledniejszych; jednak tu i ówdzie można jeszcze na odległych częściach Pacyfiku spotkać od czasu do czasu ich banderę.

Z jakiejś przyczyny „Jungfrau” bardzo widać pragnęła złożyć nam swoje uszanowanie. Już na pewnej odległości od „Pequoda” zatrzymała się i opuściła szalupę, która poniosła w naszą stronę kapitana niecierpliwie stojącego na dziobie miast na rufie.

— Cóż on trzyma w ręce? — zawołał Starbuck wskazując jakiś przedmiot, którym Niemiec wywijał. — Niemożliwe! Zbiornik od lampy!

— Gdzie tam! — odparł Stubb. — Nie, nie, panie Starbuck, to dzbanek od kawy. Ten szwab przyjeżdża nagotować nam jej trochę. Widzisz pan tę wielką blaszankę koło niego? To gotowana woda. Zacny chłop z tego Niemca!

— A idźże pan! — zawołał Fiask. — To zbiornik od lampy i blaszanka po oleju. Skończył mu się olej i dlatego przebywa po prośbie.

Choć może się to wydać osobliwe, żeby statek tłuszczowy pożyczał tłuszczu na terenie wielorybniczym, i jakkolwiek fakt ten potwierdza stare przysłowie, że szewc bez butów chodzi, przecie czasami rzecz taka istotnie się zdarza, a w tym przypadku kapitan Derick De Deer, jak to oświadczył Fiask, wiózł niewątpliwie zbiornik od lampy.

Gdy wszedł na pokład, Ahab obcesowo go zagadnął, nie bacząc wcale na to, co tamten trzyma w ręku; jednakże Niemiec łamanym językiem rychło dał dowód całkowitego braku wiadomości o białym wielorybie i natychmiast skierował rozmowę na swój zbiornik i blaszankę, czyniąc kilka uwag o tym, jak się musi przewracać nocą na hamaku w głębokich ciemnościach, ponieważ wyszła mu już ostatnia kropla oleju z Bremy, a nie ułowił dotąd nawet latającej ryby, która by uzupełniła te braki

Zakończył dając do zrozumienia, że jego statek jest rzeczywiście tym, co w rybołówstwie nazywa się fachowo statkiem czystym (to znaczy próżnym) dobrze zasługującym na swą nazwę „Jungfrau”, czyli „Dziewicy”.

Uzyskawszy, czego mu było potrzeba, Derick odpłynął; jednak nie zdążył jeszcze dotrzeć do swego statku, gdy z masztów obu żaglowców spostrzeżono niemal równocześnie kaszaloty. Derick tak zajadle pragnął coś upolować, że nie zatrzymawszy się nawet, by oddać na pokład zbiornik i blaszankę, zakręcił łodzią i ruszył za lewiatańskimi zbiornikami do lamp.

Ponieważ zwierzyna ukazała się od zawietrznej, Derick wraz z trzema innymi łodziami niemieckimi, które szybko za nim podążyły, znacznie wyprzedził szalupy „Pequoda”. Wielorybów było osiem, czyli przeciętne stado. Świadome niebezpieczeństwa szły z wiatrem jeden obok drugiego z ogromną szybkością, ocierając się o siebie bokami niby konie w zaprzęgu. Pozostawiały w tyle ogromny, szeroki wart, jakby ktoś nieprzerwanie odwijał na morzu wielki, szeroki zwój pergaminu.

Pośrodku owego bystrego wartu, na wiele sążni w tyle, płynął olbrzymi, garbaty, stary byk, który wnosząc ze stosunkowo wolnego tempa oraz niezwykłych, żółtawych zeskorupień, jakie go pokrywały, musiał chyba cierpieć na żółtaczkę czy jakąś inną chorobę. Wydawało się wątpliwe, żeby ten wieloryb należał już przedtem do stada, bowiem takie czcigodne Lewiatany nie mają zwyczaju żyć towarzysko. Niemniej trzymał się wartu tamtych wielorybów, choć wzburzona po ich przejściu woda musiała

opóźniać jego pochód, gdyż białe piany i fale wokół szerokiej paszczy bryzgały podobnie jak wówczas, gdy dwa przeciwne prądy natykają się na siebie. Jego fontanna była krótka, ociężała i mozolna; wzbijała się jakby zdławionym wytryskiem i opadała poszarpana na strzępy, po czym wielorybem miotały jakoweś dziwne, podziemne wstrząsy, znajdujące snadź ujście u drugiego, ukrytego końca jego cielska, jako że woda kotłowała się za nim gwałtownie.

— Kto tam ma trochę opium? — zapytał Stubb. — Obawiam się, że boli go brzuch. O Boże! Pomyślcie tylko: mieć pół akra bólu brzucha! Przeciwne wiatry hulają w nim, chłopcy. To pierwszy zły wiatr wiejący z rufy, o jakim słyszałem. Ale patrzajcie: czyż kiedykolwiek wieloryb zbaczał tak z kursu? Ani chybi, musiał zgubić rumpel.

Jak przeładowany statek handlowy, mknący ku wybrzeżom Hindustanu z pokładem pełnym wystraszonych koni, przewala się, nurza, kołysze i pławi po drodze, tak i ten stary wieloryb dźwigał swe sędziwe cielsko, a od czasu do czasu, przewracając się niezdarnie na bok, ukazywał przyczynę krętości szlaku, jaki kreślił, a mianowicie nienaturalny kikut swej prawobocznej płetwy. Trudno by orzec, czy ją postradał w walce, czy też się bez niej urodził.

— Zaczekaj nieco, stary, już ja ci dam temblak na tę ranną rękę! — zawołał okrutny Fiask wskazując leżącą obok linę od harpuna.

— Uważaj pan, żeby sobie z niej nie zrobił procy na was! — odkrzyknął Starbuck. — Pchajmy się, bo Niemiec go weźmie.

Jednym wiedzione zamiarem wszystkie współzawodniczące ze sobą szalupy skierowały się ku tej jednej rybie, ponieważ była nie tylko największa, i przez to najcenniejsza, ale też znajdowała się najbliżej, a co więcej, inne wieloryby płynęły z tak ogromną chyżością, że na razie niemal urągały pościgowi. Łodzie „Pequo-da” przemknęły już obok trzech szalup niemieckich spuszczonych na statku, ale łódź Dericka nadal prowadziła pościg ze względu na znaczną przewagę, jaką zyskała na początku, choć z każdą chwilą zbliżali się do niej

cudzoziemscy rywale. Jedyną rzeczą, jakiej się lękali, była możliwość, że Derick, znajdujący się tak blisko celu, będzie mógł rzucić swoje żelazo, zanim go doścignąą i miną. On natomiast był widać zupełnie pewny, że tak się stanie w istocie, i od czasu do czasu potrząsał szyderczo zbiornikiem od lampy w stronę pozostałych łodzi.

— A gruboskórny, niewdzięczny pies! — krzyknął Starbuck. — Szydzi sobie ze mnie i urąga tą samą puszką żebraczą, którą mu napełniłem pięć minut temu! — A po chwili dorzucił swym zwykłym, pełnym napięcia szeptem: — Wiosłować, charty! Za nim!

— Coś wam powiem, chłopcy! — zawołał Stubb do swej załogi. — Religia moja zabrania wpadać we wściekłość, ale chętnie bym pożarł tego parszywego szwaba! Wiosłujcież przecie! Czyż. pozwolicie, żeby ten łajdak was pobił? Lubicie wódkę? Więc garniec wódki dla najlepszego wioślarza! Nuże, dlaczego żadnemu jeszcze żyły nie pękły? Któryż tam zrzucił kotwicę z tej szalupy — przecież się na cal nie ruszamy, stoimy w miejscu! Patrzcie tylko, na dnie łodzi trawa już porasta — przebóg, maszt tu zaczyna kiełkować! Tak to na nic, chłopcy! Patrzcie na tego szwaba. Krótko mówiąc, pluniecie ogniem, czy nie?

— Spójrzcie, jak się za nim mydli woda! — wrzeszczał Fiask podskakując w łodzi. — Co za garb! Najedźcież na tego byka! Leży jak kłoda! O, chłopcy, walcie naprzód — placki i małże na kolację — pieczone ślimaki i racuchy — ho, skaczcie za nim — to stubeczkowiec — nie puszczać go teraz — nie, nie! Widzicie Niemca? Zaróbcie sobie na pudding, chłopaki! Cóż to za beczka, co za mokradło! Lubicie olbrot? Tam go płynie za trzy tysiące dolarów, ludzie! Bank! Cały bank! Bank angielski! Och, dalej, dalej, dalej! A cóż to znowu robi ten szwab?

W tej chwili Derick cisnął właśnie zbiornik i blaszankę w stronę nadpływających łodzi, być może w podwójnym celu: opóźnienia pogoni rywali, a jednocześnie zapobiegliwszego przyspieszenia własnej, dzięki chwilowemu pchnięciu od rufy.

— A, grubiański holenderski śledź! — krzyknął Stubb. — Pchajcie się teraz, ludzie, jak sto tysięcy okrętów liniowych pełnych rudych szatanów! Co byś powiedział, Tasztego? Potrafisz połamać sobie kręgosłup na dwadzieścia dwa kawałki dla honoru starego Gay-Head? Co na to powiesz?

— Powiem: wiosłować jak sto piorunów! — odkrzyknął Indianin.

Trzy szalupy „Pequoda", równie wściekle podjudzone szyderstwami Niemca, poczęły się teraz formować niemal w jeden rząd i w tym szyku natychmiast się do niego zbliżyły. Trzej oficerowie stanęli dumnie we wspaniałej, swobodnej, rycerskiej postawie dowódcy, który zbliża się do swej ofiary; od czasu do czasu rzucali za siebie tylnemu wioślarzowi radosny okrzyk: — Tam teraz sunie! Hura, wiwat jesionowe wiosła! Precz ze szwabem! Przejechać po nim!

Derick zyskał jednak z początku tak zdecydowaną przewagę, że mimo całej ich dzielności zostałby zwycięzcą w tym wyścigu, gdyby nie spadła nań sprawiedliwa kara pod postacią kraba, który uczepił się pióra jego środkowego wiosła. Gdy niezdarny drągal, który nim władał, próbował uwolnić jesionową deskę, na skutek czego łódź Dericka omal się nie wywróciła, sam zaś kapitan grzmiał na swych ludzi okropną uniesiony wściekłością — nadeszła dla Starbucka, Stubba i Fiaska odpowiednia chwila. Z krzykiem rzucili się naprzód i zakosem zrównali z szalupą Niemca. W następnym momencie wszystkie cztery łodzie znalazły się na przekątnej wartu wieloryba, tuż za płynącym zwierzem; po obu ich stronach rozbryzgiwały się pieniste bałwany, które ten za sobą zostawiał.

Był to widok straszliwy, żałosny i obłędny. Wieloryb płynął teraz z podniesioną głową wyrzucając przed siebie wydmuchy ustawicznymi, udręczonymi tryśnięciami, zaś jedna nieszczęsna płetwa waliła go po boku w męce przerażenia. Zbaczał to w jedną, to znowu w drugą stronę, uciekając niepewnie, a za każdym rozbitym przez siebie bałwanem zapadał się spazmatycznie w morzu lub też przewracając na bok wznosił ku niebu swą jedyną ruchomą płetwę. Podobnie

widziałem ptaka z podciętymi skrzydłami, kreślącego w powietrzu przerażone, łamane koła w daremnym usiłowaniu wymknięcia się pirackim sokołom. Ale ptak ma głos i żałosnymi krzykami oznajmia o swoim lęku, natomiast strach tej olbrzymiej, niemej bestii był w niej zaklęty i zakuty w łańcuchy; nie wydawała żadnego głosu, prócz zdławionego oddechu przez nozdrza i to właśnie sprawiało, że widok jej był tak przejmująco żałosny, choć niebywały ogrom zwierzęcia, jego zębata paszcza i wszechpotężny ogon wystarczały przecie, by przerazić najsilniejszego człowieka, który by się nad nim litował.

Widząc teraz, że dość będzie kilku chwil, aby łodzie „Pequoda" uzyskały przewagę, Derick, nie chcąc być pozbawionym zdobyczy, postanowił, zanim ostatnia szansa pierzchnie na zawsze, zaryzykować rzut, który wydawał mu się niepospolicie długi.

Ale ledwie jego harpunnik wstał do ciosu, wszystkie trzy tygrysy — Queequeg, Tasztego i Daggoo — instynktownie zerwały się na nogi i stojąc skośnym szeregiem jednocześnie wycelowały groty; ciśnięte ponad głową harpunnika niemieckiego ich trzy nantucketańskie żelaza wbiły się w wieloryba. Buchnęła oślepiająca mgła pian i bryzgów wodnych. W pierwszej furii skoku rzucającego się łbem naprzód zwierza trzy łodzie odtrąciły na bok szalupę niemiecką z taką siłą, że i Derick, i jego osłupiały harpunnik wypadli za burtę, a trzej rywale minęli ich w pędzie.

— Nie bójcie się, pludraki! — krzyknął Stubb rzucając na nich przelotne spojrzenie, w chwili gdy śmigał obok. — Zaraz was wyłowią… W porządku… Widziałem w tyle kilka rekinów — takie psy św. Bernarda, wiecie, co to ratują podróżników w opresji. Hura! Tak trzeba wiosłować! Każda łódź niby promień słońca! Hura! Lecimy jak trzy cynowe puszki uwiązane do ogona wściekłego kuguara! To tak, jakby ktoś zaprzągł na równinie słonia do kariolki — dopieroż to szprychy kół latają, jak się tak do niego uczepić. A można też i wypaść, gdy się najedzie na kamień. Hura! Tak właśnie czuje się marynarz, gdy

idzie do Davy Jonesa — leci w dół po nieskończonej pochylni! Hura! Ten wieloryb pędzi jak z pocztą!

Ale ucieczka wieloryba nie trwała już długo. Sapnął nagle i znurkował burzliwie. Trzy liny chrobocząc poczęły się odwijać z pachołków z taką siłą, że żłobiły w nich głębokie bruzdy; harpunnicy lękali się, żeby owo szybkie nurkowanie rychło nie wyczerpało zapasu lin, toteż używając całej swej zręczności i siły, po kilkakroć chwytali dymiące zwoje liny, aby ją przytrzymać, aż wreszcie dzięki pionowemu ciągnięciu w dół za wybite blachą ołowianą korytka dziobowe, z których owe trzy liny biegły już prosto w wodę, nadburcia u dziobów zanurzyły się niemal całkowicie, natomiast trzy rufy podniosły wysoko w górę. Ponieważ wieloryb wkrótce przestał się dalej zagłębiać, łodzie pozostały przez jakiś czas w tej pozycji, mimo że położenie było dość ryzykowne; obawiano się jednak wypuszczać więcej lin. Ale choć zdarzało się, że szalupy bywały w ten sposób wciągnięte w głębinę i ginęły, jednakże właśnie owo „przytrzymywanie”, jak je nazywają, owo zawieszenie żywego ciała wieloryba na ostrych zadziorach harpuna często tak dręczy Lewiatana, iż zmusza go do ponownego wypłynięcia na spotkanie ostrej lancy wroga. Natomiast nie mówiąc już o niebezpieczeństwach, jakie to nastręcza, wątpić należy, czy ten system jest zawsze najlepszy; można bowiem nie bez racji przypuszczać, że im dłużej rażony wieloryb pozostanie pod wodą, tym bardziej go to wyczerpie.

Z uwagi bowiem na olbrzymią jego powierzchnię — niemal 2000 stóp kwadratowych u rozrośniętego kaszalota — ciśnienie wody jest ogromne. Wszystkim nam wiadomo, pod jakim zdumiewającym ciężarem atmosferycznym sami się znajdujemy, nawet tu, na ziemi, na powietrzu; jakie więc ogromne jest brzemię wieloryba, noszącego na grzbiecie słup dwustu sążni oceanu! Musi się on równać co najmniej ciśnieniu pięćdziesięciu atmosfer. Pewien wielorybnik obliczył, że odpowiada to ciężarowi dwudziestu liniowców wojennych ze wszystkimi działami, zapasami i całą załogą.

Gdy trzy szalupy spoczywały tak na łagodnie kołyszącym się morzu zaglądając w jego wieczyście błękitne południe, gdy żaden jęk czy jakikolwiek krzyk, ba, nawet żadna zmarszczka lub bańka powietrza nie dobywała się z głębiny — któryż z ludzi lądu pomyślałby, że pod całą tą ciszą i spokojem najpotężniejszy potwór mórz wije się i skręca w męczarni! U dziobów łodzi nie było widać więcej, jak osiem cali pionowo w dół biegnącej liny. Czyż to do wiary, żeby na trzech tak wątłych niciach zawieszony był olbrzymi Lewiatan, niby potężne wahadło ośmiodniowego perpendykułu? Zawieszony? I u czego? U trzech kawałków desek. Czyliż to ta sama istota, o której ongiś tak tryumfalnie powiedziano: „Zali możesz skórę jego kolczastymi najeżyć groty, a głowę jego dzidami? Miecz onego, który się nań targnie, zdzierżyć nie może, ni włócznia, oszczep, czyli też kolczuga; żelazo słomką mu jest; przed strzałą nie pierzchnie, a spisy za ciernie uważa; śmieje się, gdy włócznią nad nim potrząsają!” To ta istota? Onże to? O, nie spełniają się słowa proroków! Albowiem mając siłę tysiąca ud w swym ogonie, Lewiatan zemknął, by schronić głowę popod góry morza i ukryć się przed lancami „Pequoda”!

W ukośnie padających, popołudniowych promieniach słońca, cienie, które trzy łodzie rzucały w głąb wód, były zapewne dość długie i szerokie, by okryć pół armii Kserksesa. Któż potrafi powiedzieć, jak bardzo musiały przerażać rannego wieloryba takie olbrzymie zjawy migające mu ponad głową!

— Uwaga, chłopcy, rusza się! — zawołał Starbuck, gdy nagle trzy liny zawibrowały w wodzie, wyraźnie przenosząc w górę, ku ludziom, niby magnetycznymi drutami, drgawki zmagającego się na śmierć i życie wieloryba, tak że każdy wioślarz wyczuł je na swojej ławce. W następnej chwili łodzie, w znacznej mierze uwolnione od ciągnienia w dół za dzioby, szarpnęły się nagle ku górze, niby kra lodowa, kiedy przepłoszyć z niej w morze zbite stadko białych niedźwiedzi.

— Wybierać linę! Wybierać linę! — znowu zakrzyknął Starbuck. — Wypływa!

Liny jeszcze przed chwilą tak napięte, że nie sposób by było podciągnąć je choćby na dłoń, poczęto teraz odrzucać na tył łodzi długimi, szybkimi zwojami, z których ociekała woda, i wkrótce wieloryb wynurzył się o dwie długości statku od łowców.

Ruchy jego wyraźnie zdradzały najwyższe wyczerpanie. U większości zwierząt lądowych istnieją w licznych żyłach pewnego rodzaju zawory czy śluzy, dzięki którym w wypadku zranienia odpływ krwi zostaje w różnych kierunkach do pewnego stopnia zamknięty bez zwłoki. Inaczej rzecz się ma z wielorybem, gdyż jedną z jego właściwości jest to, że posiada całkowicie bezzastawkową budowę naczyń krwionośnych, toteż jego system tętniczy, przebity nawet tak niewielkim ostrzem jak harpun, rozpoczyna się natychmiast śmiertelnie opróżniać; jeżeli zaś potęguje to jeszcze nadzwyczajne ciśnienie wody na znacznej głębokości pod powierzchnią, wówczas można powiedzieć, że życie wylewa się ze zwierzęcia nieustannym strumieniem. Jednakże ilość krwi jest w nim tak ogromna, a wewnętrzne jej źródła tak odległe i liczne, że wieloryb może w ten sposób krwawić i krwawić przez znaczny okres czasu niby rzeka, co płynie wśród suszy, biorąc swój początek u źródła ukrytego wśród dalekich, niewidocznych gór. Nawet i teraz, kiedy szalupy sunęły na wieloryba, niebezpiecznie się zbliżając do rozchwianego ogona, za każdym ciosem lancy posoka bluzgała równomiernie z nowej rany nie ustając ani na chwilę, podczas gdy naturalny otwór wydechowy na głowie tylko z przerwami, choć bardzo krótkimi, wyrzucał z siebie przerażone tryśnięcia. Z tego otworu nie dobywała się jeszcze krew, jako że nie ugodzono dotąd żadnej żywotnej części wieloryba. Jego życie, jak się to znacząco nazywa, było jeszcze nie tknięte.

Ponieważ teraz łodzie ciaśniej otoczyły wieloryba, można było dokładnie widzieć całą górną część jego ciała, która zazwyczaj znajduje się w znacznej mierze pod wodą. Ujrzano jego oczy, a raczej miejsca, gdzie były. Podobnie jak dziuple obalonych najwspanialszych dębów porasta dziwna, bezkształtna masa, tak też i z miejsc, w których niegdyś

znajdowały się oczy wieloryba, sterczały teraz oślepłe pęcherze, straszliwe i litość budzące. Ale tutaj litości nie było. Mimo sędziwego wieku, mimo swej jednej ręki i niewidzących oczu, musiał zemrzeć śmiercią i zamordowany zostać po to, by oświetlać wesołe zaręczyny tudzież inne ludzkie uciechy, a także iluminować dostojne kościoły, w których głosi się bezwarunkowy obowiązek nieczynienia krzywdy komukolwiek przez kogokolwiek. Ciągle się pławiąc we własnej krwi ukazał wreszcie część widniejącego nisko na jego boku, dziwnie odbarwionego wybrzuszenia czy wypukłości, rozmiarów sporego worka.

— Ładne miejsce! — zawołał Fiask. — Niechże go tam raz ukłuję!

— Stój! — krzyknął Starbuck. — Już nie potrzeba!

Ale humanitarny Starbuck spóźnił się. W chwili ciosu bluznęła ropa z okrutnej rany, a wieloryb, ogarnięty męką nie do zniesienia, począł tryskać gęstą juchą i we wściekłej furii rzucił się na oślep ku szalupom opryskując je i ich tryumfujące załogi kaskadami posoki. Przewrócił łódź Fiaska i roztrzaskał jej dziób. Było to jego przedśmiertne uderzenie. Albowiem tak go już wówczas wyczerpała utrata krwi, że bezwładnie odsunął się od rozbitej przez siebie łodzi, przewalił dysząc na bok, bezsilnie zamachał kikutem płetwy, po czym powoli przetoczył się niby zanikający świat, ukazał białe tajniki swego brzucha, opadł jak kłoda i skonał. Ostatni jego wydmuch był niezmiernie żałosny. Podobnie jak wtedy, gdy niewidzialne ręce stopniowo zamykają dopływ wody bijącej z jakiejś potężnej fontanny, a rozpylony jej słup, z na wpół zdławionym, melancholijnym bulgotem zniża się i zniża ku ziemi — tak właśnie trysnął ostatni, długi, zamierający wydmuch wieloryba.

Wkrótce potem, gdy łodzie oczekiwały na przybycie statku, ciało poczęło zdradzać skłonność do zatonięcia wraz ze swymi wszystkimi nie splądrowanymi jeszcze skarbami. Natychmiast z rozkazu Starbucka przymocowano doń w różnych miejscach liny, tak że niebawem każda z szalup stała się boją, a zanurzony wieloryb zawisł u lin na kilka cali pod nimi. Dzięki wielce

ostrożnym manewrom dociągnięto go do boku statku, kiedy ten nadpłynął, i tam mocno przytwierdzono najtęższymi łańcuchami; było bowiem jasne, że cielsko, o ile się go sztucznie nie przytrzyma, natychmiast pójdzie na dno.

Zdarzyło się, że nieledwie za pierwszym rozcięciem wieloryba przy pomocy łopatki znaleziono u dołu owej przedtem opisanej wypukłości wrośnięty w ciało cały harpun zżarty przez rdzę. Ponieważ jednak w ciałach upolowanych wielorybów często się znajduje ułomki harpunów, a mięso wokoło nich jest całkowicie zagojone i żadna wypukłość nie zdradza miejsca, w którym tkwią, dlatego też w tym wypadku musiała z pewnością istnieć jakaś inna, nie znana przyczyna, która tłumaczyła owo zropienie. Ale jeszcze ciekawszy był fakt, że niedaleko od zagrzebanego w wielorybie harpuna znaleziono kamienny grot od włóczni, wokół którego mięso było już najzupełniej jędrne. Któż mógł cisnąć ową włócznię kamienną? I kiedy? Może rzucił ją jakiś Indianin z północo-zachodu na długo przed odkryciem Ameryki?

Trudno powiedzieć, jakie jeszcze cuda można było wyszperać w tym olbrzymim gabinecie osobliwości. Musiano bowiem raptownie przerwać dalsze poszukiwania, ponieważ statek ciągniony był na bok w morze z niebywałą siłą, a to z tej racji, że tendencja ciała do zatonięcia wzrastała w sposób ogromny. Jednakowoż Starbuck, który kierował akcją, nie puszczał go do ostatka a tak nieustępliwie, że wreszcie statek obaliłby się na bok, gdyby nadal jeszcze dzierżył cielsko w objęciach. Toteż gdy dano rozkaz, by się odeń uwolnić, nacisk na noki rej, do których przytwierdzono łańcuchy i liny, był już tak niewzruszony, iż nie sposób było zrzucić te ostatnie. Tymczasem wszystko na „Pequodzie” przyjęło ukośne położenie. Przejście na drugą stronę pokładu równało się włażeniu na stromy, spadzisty dach domu. Statek stękał i dyszał. Nienaturalne wywichnięcie wysadziło z miejsc wiele kościanych ozdób jego burt i kajut. Na próżno poznoszono hanszpugi i sztaby, żeby podważyć nimi niewzruszalne łańcuchy i zrzucić je z noków; wieloryb bowiem opadł już tak nisko, że nie można było dosięgnąć drugich

końców lin, znajdujących się pod wodą. Wydawało się, że ciężar tonącej masy wzrasta z każdą chwilą o całe tony i że statek zaraz się przewróci.

— Wytrzymaj, wytrzymaj! — wrzeszczał Starbuck do trupa. — Nie spiesz się tak piekielnie z tonięciem! Do pioruna, ludzie, musimy coś zrobić, bo wszystko przepadnie. Nie ma co tam podważać, dajcie pokój z tymi hanszpugami. Niech któryś leci po książkę do modlitwy i kozik i niech przecina te wielkie łańcuchy!

— Kozik? Tak, tak! — zowołał Queequeg i porwawszy ciężki topór ciesielski wysunął się przez otwór w burcie i począł rąbać największe łańcuchy dzwoniąc stalą o żelazo. Ledwie jednak zadał kilka ciosów, od których trysnęły iskry, a już olbrzymi ciężar dokonał reszty. Ze straszliwym trzaskiem puściły wszystkie więzy; statek wyprostował się, a martwe cielsko wieloryba zniknęło pod wodą.

Otóż takie nieuniknione zatonięcie świeżo ubitego kaszalota zdarza się od czasu do czasu i jest rzeczą wielce interesującą. Żaden poławiacz nie potrafił dotąd należycie tego wytłumaczyć. Zazwyczaj ubity kaszalot unosi się na wodzie z ogromną lekkością, bok zaś jego lub brzuch znacznie wystaje ponad powierzchnię. Gdyby jedynymi wielorybami, jakie w ten sposób toną, były tylko stare, chuderlawe, przygnębione osobniki o zmniejszonej podściółce tłuszczowej, a kościach ciężkich i zreumaty-zowanych, można by nie bez racji utrzymywać, że takie tonięcie spowodowane bywa przez niezwykły ciężar właściwy zapadającej się ryby, czego przyczyną jest brak owej lekkiej substancji. Tak jednak nie jest. Albowiem młode wieloryby cieszące się najlepszym zdrowiem, przepełnione szlachetnymi aspiracjami, przedwcześnie zgasłe z gorącym rumieńcem życia w samej jego wiośnie, obficie pokryte sadłem — nawet te muskularne, bujne junaki idą czasami na dno.

Należy jednak nadmienić, że kaszalot jest o wiele mniej skłonny do podobnych wypadków niż jakikolwiek inny gatunek wieloryba. Na jednego kaszalota, jakiemu się to przydarzy, idzie na dno dwadzieścia wielorybów właściwych. Bez wątpienia

taką różnicę należy w niemałym stopniu przypisać większej liczbie kości u wieloryba właściwego; same jego weneckie żaluzje ważą niekiedy ponad tonę. Od tego obciążenia kaszalot jest całkowicie wolny. Bywają jednak przypadki, że po upływie wielu godzin lub też kilku dni wieloryb wynurza się ponownie, jeszcze lżejszy niż za życia. Przyczyna tego jest oczywista. Powstają w nim gazy, rozdyma się do olbrzymich rozmiarów i staje czymś w rodzaju zwierzęcego balonu. Wówczas nawet wojenny okręt liniowy ledwie by go potrafił utrzymać pod sobą. Kiedy podczas połowów przybrzeżnych, na płyciznach wśród zatok Nowej Zelandii, wieloryb właściwy zaczyna zdradzać skłonność do zatonięcia, przyczepia się doń boje z wielką ilością lin, tak że jeśli ciało pójdzie na dno, łowcy wiedzą, gdzie go szukać, gdy się ponownie wynurzy.

Niedługo po zatonięciu kaszalota, z masztów „Pequoda" doleciał krzyk oznajmiający, że „Jungfrau" znowu spuszcza szalupy, mimo że jedyna dostrzegalna fontanna wyrzucana była przez finwala należącego do gatunku wielorybów, które nie sposób ułowić z racji niewiarygodnej szybkości. Jednakże wydmuch finwala tak bardzo przypomina fontannę kaszalota, że często biorą go za nią niedoświadczeni rybacy. Na skutek tego Derick wraz z całą swoją czeredą wdał się teraz w dziarską pogoń za ową niedościgłą bestią. „Dziewica" rozwinąwszy wszystkie żagle gnała za swymi czterema młodymi łodziami i tak zniknęły nam z oczu daleko po zawietrznej, nie ustając w swym śmiałym i ufnym pościgu.

O, wiele jest finwali i wielu Dericków, przyjacielu!

ROZDZIAŁ LXXXII
SZCZYTNOŚĆ I CHWAŁA WIELORYBNICTWA

Bywają takie przedsięwzięcia, w których właściwą metodą jest staranny bezład. Im bardziej się zagłębiam w zagadnienie wielorybnictwa, posuwając badania aż do samych jego źródeł, tym większe wywiera na mnie wrażenie ogromna szczytność i starodawność owego rzemiosła; w szczególności, gdy widzę, że tylu wielkich półbogów, herosów i proroków wszelkiego autoramentu w ten czy inny sposób okryło je dostojeństwem, odczuwam uniesienie na myśl, że ja sam, lubo niski rangą, do tak herbowej należę konfraterni.

Waleczny Perseusz, syn Jowiszowy, był pierwszym wielorybnikiem, i trzeba stwierdzić ku wieczystej chwale naszego zawodu, że pierwszy wieloryb, zaatakowany przez nasze bractwo, nie został ubity z jakowychś niskich pobudek. Były to czasy rycerskie naszego rzemiosła, kiedy chwytaliśmy za broń, by nieść pomoc uciśnionym, a nie po to, żeby napełniać ludziom zbiorniki do lamp. Każdy zna piękną historię Perseusza i Andromedy; każdy wie, jak to nadobną Andromedę, córkę królewską, przywiązano do skały na morskim wybrzeżu i właśnie w chwili, gdy miał ją porwać Lewiatan, wystąpił nieustraszony Perseusz, książę wielorybników, ubił harpunem potwora, oswobodził dziewicę i pojął ją za żonę. Był to wspaniały, artystyczny wyczyn, jakiego rzadko dokonują najlepsi harpunnicy naszych czasów, gdyż ów Lewiatan zabity został od pierwszego ciosu. I niechaj nikt nie powątpiewa w prawdziwość owej przedwiecznej historii, albowiem w

starożytnej Joppie, obecnie Jaffie, na wybrzeżu syryjskim, przez wiele wieków stał w jednej z pogańskich świątyń olbrzymi szkielet wieloryba, o którym tamtejsze legendy oraz wszyscy mieszkańcy utrzymywali, że jest kośćcem tego samego potwora, którego zabił Perseusz. Kiedy Rzymianie zdobyli Joppę, szkielet ów poniesiono w triumfie do Italii. Rzeczą najosobliwszą, najważniejszą i wiele dającą do myślenia w całej tej historii wydaje się być fakt, że to właśnie z Joppy wypłynął na morze Jonasz.

Pokrewną przygodzie Perseusza i Andromedy — a nawet, jak sądzą niektórzy, z niej się pośrednio wywodzącą, jest słynna historia św. Jerzego i smoka, który to smok, jak twierdzę, był wielorybem, ponieważ w licznych dawnych kronikach przedziwnie plątano wieloryby ze smokami i często występują one jeden w miejsce drugiego. „Jesteś jako lew wód, jako smok morza” — mówił Ezechiel mając tu najwyraźniej na myśli wieloryba; a i w istocie niektóre wersje Biblii tego właśnie używają słowa. Poza tym, ujęłoby wiele chwały samemu czynowi, gdyby św. Jerzy potykał się tylko z pełzającym gadem lądowym, miast podejmować walkę z wielkim potworem głębin. Pierwszy lepszy potrafił ubić węża, ale tylko taki Perseusz, taki św. Jerzy czy Coffin mają dosyć ducha, by śmiało natrzeć na wieloryba.

Niech nas nie zwodzą nowoczesne malowidła przedstawiające tę scenę, bo choć zwierza, z którym się potyka dzielny wielorybnik starożytny, wyobrażono mgliście pod postacią jakowegoś gryfa, choć walka odmalowana jest na lądzie, a sam święty dosiada rumaka, przecie zważywszy wielką ignorancję owych czasów, kiedy to prawdziwy kształt wieloryba był artystom nie znany, a także zważywszy, że, jak w przypadku Perseusza, wieloryb św. Jerzego mógł wypełznąć z morza na brzeg, oraz że zwierzę, którego święty dosiada, mogło po prostu być sporą foką czy koniem morskim — z uwagi na to wszystko, nie będzie chyba całkiem sprzeczne ze świętą legendą i najdawniejszymi przedstawieniami tej sceny, jeśli się uzna, że tak zwany smok to nic innego, tylko sam wielki Lewiatan. W

istocie, jeżeli tę samą historię zestawić ze ścisłą i nagą prawdą, wówczas stanie się z nią to samo, co z owym rybim, zwierzęcym i ptasim bóstwem Filistynów, imieniem Dagon, któremu, gdy go postawiono przed arką Izraela, odpadła końska głowa i obie dłonie, a pozostał jedynie kikut jego rybiej części. Tak więc jeden z naszego szlachetnego grona, również wielorybnik, jest opiekuńczym stróżem Anglii, a my, harpunnicy nantucketańscy, mamy dobre prawo zaciągnąć się do najdostojniejszego zakonu św. Jerzego. I dlatego niechaj kawalerowie tego czcigodnego stowarzyszenia (z których żaden, ośmielę się twierdzić, nie miał do czynienia z wielorybem w przeciwieństwie do swego wielkiego patrona) nigdy nie spoglądają ze wzgardą na nantucketańczyka, ponieważ nawet w naszych wełnianych kurtach i usmolonych spodniach mamy o wiele lepszy tytuł do orderu św. Jerzego niż oni.

Długo miałem wątpliwości, czy należy przyjąć między nas Herkulesa, czy też nie, choć bowiem według mitologii greckiej ów starożytny Crockett i Kit Carson********** — ten krzepki sprawca wesołych, dobrych uczynków — został połknięty i wyrzucony przez wieloryba, jednakże można się spierać, czy ściśle biorąc czyni to zeń wielorybnika. Nigdzie nie powiedziano, żeby kiedykolwiek rzeczywiście ugodził harpunem rybę — chyba że od wewnątrz. Niemniej jednak można go poczytywać za coś w rodzaju wielorybnika mimo woli, jako że w każdym razie wieloryb go pochwycił, nawet jeżeli on nie pochwycił wieloryba. Żądam zaliczenia go do naszego klanu.

Jednakże najwybitniejsze przeciwne autorytety uważają, że owa grecka historia Herkulesa i wieloryba wywodzi się z jeszcze dawniejszej hebrajskiej historii Jonasza i wieloryba oraz vice versa; z pewnością obie są bardzo do siebie podobne. Jeśli więc żądam półboga, to czemuż nie miałbym zażądać proroka?

Atoli sami herosi, święci, półbogi i prorocy nie tworzą jeszcze pełnego rejestru naszego zakonu. Należy mianować wielkiego mistrza, bowiem na podobieństwo starożytnych królów szukamy źródeł naszego bractwa ni mniej, ni więcej tylko

między samymi wielkimi bogami. Trzeba tu teraz powtórzyć za Księgami Szastra********** ową przedziwną wschodnią historię straszliwego Wisznu, jednej z trzech osób bóstwa Hindusów, historię, która daje nam owego boskiego Wisznu za pana naszego — Wisznu, który pierwszym ze swych dziesięciu ziemskich wcieleń po wiek wieków wyróżnił i uświęcił wieloryba. Kiedy Brahma, czyli bóg bogów — mówią Szastra — postanowił na nowo stworzyć świat po jednym z jego okresowych rozpadów, spłodził Wisznu, który miał doglądać tego dzieła; wszelako Wedy, czyli księgi tajemne, których odczytanie wydawało się niezbędne dla Wisznu przed rozpoczęciem dzieła stworzenia i które musiały przeto zawierać coś w rodzaju praktycznych wskazówek dla młodych architektów, spoczywały na dnie wód. Wobec tego Wisznu wcielił się w wieloryba i, zanurzywszy się aż do najdalszych głębin, uratował święte wolumina. Czyż zatem ów Wisznu nie był wielorybnikiem — podobnie jak człowiek, który dosiada konia, zowie się kawalerzystą?

Perseusz, św. Jerzy, Herkules, Jonasz i Wisznu! Oto macie listę członków! Któryż klub poza wielorybniczym może się taką poszczycić?

ROZDZIAŁ LXXXIII
JONASZ Z HISTORYCZNEGO PUNKTU WIDZENIA

W poprzednim rozdziale wspomniano o historycznej opowieści o Jonaszu i wielorybie. Otóż niektórzy nantucketańczycy odnoszą się raczej nieufnie do owej historycznej opowieści. Ale przecie byli tacy sceptyczni Grecy i Rzymianie, którzy w odróżnieniu od ortodoksyjnych pogan swej epoki również wątpili w historię Herkulesa i wieloryba oraz Ariona i delfina**********, a mimo to ich wątpliwości nie uczyniły owych tradycji ani na jotę mniej prawdziwymi.

Główna przyczyna, dla której pewien stary wielorybnik z Sag-Harbour podawał w wątpliwość ową historię hebrajską, była następująca: posiadał on mianowicie jedną z tych osobliwych, staroświeckich Biblii, ozdobionych ciekawymi nienaukowymi rycinami, z których jedna przedstawiała jonaszowego wieloryba z dwiema fontannami tryskającymi ze łba; otóż ta osobliwość cechuje tylko pewien rodzaj Lewiatana (wieloryba właściwego oraz inne podobne odmiany), o którym poławiacze ułożyli powiedzenie, że „udławiłby się bułką za pensa”, tak wąski ma przełyk. Ale na to mamy w pogotowiu przewidującą odpowiedź Jebba **********. „Nie potrzebujemy — powiada biskup — uważać, że Jonasz był pogrzebany w brzuchu wieloryba, ale że chwilowo umieszczony został w którejś części jego paszczęki.” I to się wydaje dość rozsądne u tego zacnego biskupa. Bo przecież istotnie paszcza wieloryba właściwego pomieściłaby kilka stolików do wista, a wszyscy gracze mogliby się rozsiąść wygodnie. Może też Jonasz usadowił

się w jakimś wypróchniałym zębie; chociaż znów z drugiej strony nie trzeba zapominać, że wieloryb właściwy jest bezzębny.

Inną przyczyną, jaką „Sag-Harbour” (taki mu nadano przydomek) uzasadniał swój brak wiary w historię proroka, było coś, co niejasno dotyczyło uwięzionego w wielorybie ciała tego ostatniego i soków trawiennych zwierzęcia. Ale i to zastrzeżenie upada, jako że pewien egzegeta niemiecki przypuszcza, iż Jonasz musiał znaleźć schronienie w pływającym ciele *martwego* wieloryba — podobnie jak żołnierze francuscy podczas kampanii rosyjskiej przemieniali zabite konie w namioty i wpełzali do środka. Poza tym inni komentatorzy z kontynentu odgadli, że kiedy Jonasza wyrzucono za burtę statku płynącego z Joppy, on niezwłocznie umknął na znajdujący się w pobliżu okręt, który miał na dziobie wyrzeźbionego wieloryba. Ja zaś dodałbym jeszcze, że może nosił nazwę „Wieloryb”, podobnie jak dzisiaj chrzci się niektóre statki imieniem „Rekin”, „Mewa” czy „Orzeł”. Nie zbrakło również uczonych egegetów, którzy zawyrokowali, iż wieloryb wspomniany w księdze jonaszowej oznaczał tylko jakiś przyrząd ratunkowy — worek nadymany powietrzem — i ku niemu popłynął zagrożony prorok, w ten sposób ratując się od wodnej zagłady. Tak więc wydaje się, że biedny „Sag-Harbour” jest ze szczętem zakasowany. Istniała jednak jeszcze jedna przyczyna jego braku wiary. Jeżeli dobrze pamiętam, była ona następująca: Jonasz został połknięty przez wieloryba na Morzu Śródziemnym i po trzech dniach wyrzucony gdzieś o trzy dni drogi od Niniwy, miasta leżącego nad Tygrysem, o wiele dalej niż trzy dni podróży od najbliższego punktu wybrzeża śródziemnomorskiego. Jakże się to stało?

Czy zatem wieloryb nie miał innego sposobu, żeby wysadzić proroka na ląd w tak niewielkiej odległości od Niniwy? I owszem. Mógł go ponieść drogą okólną przez Przylądek Dobrej Nadziei. Ale pomijając już, że trzeba by przebyć Morze Śródziemne na całej długości a dalej Zatokę Perską i Morze Czerwone, tego rodzaju supozycja musiałaby zakładać

kompletne opłynięcie całej Afryki w ciągu trzech dni, nie mówiąc już o tym, że wody Tygrysu w pobliżu Niniwy są zbyt płytkie, by mógł na nie wpłynąć jakikolwiek wieloryb. Ponadto ów pomysł, jakoby Jonasz miał dotrzeć do Przylądka Dobrej Nadziei w tak wczesnej epoce, odebrałby zaszczyt odkrycia tego wielkiego cypla Bartłomiejowi Diazowi, jego słynnemu odkrywcy, i w ten sposób zadałby kłam nowoczesnej historii.

Ale te wszystkie niemądre argumenty starego „Sag-Harboura" wykazały tylko jego głupie chełpienie się swym rozumem — rzecz tym bardziej naganną, jeśli się zważy, że miał bardzo mało wiedzy poza tą, którą przejął od słońca i morza. Twierdzę, że to tylko wskazuje na jego głupią, bezecną pychę tudzież wstrętny, szatański bunt przeciwko wielebnemu duchowieństwu. Albowiem tę właśnie myśl, że Jonasz udał się do Niniwy *via* Przylądek Dobrej Nadziei, wysunął pewien portugalski kapłan katolicki, jako rzecz widomie sam cud potęgującą. Tak też i było. Prócz tego, wysoce oświeceni Turcy po dziś dzień święcie wierzą w historyczną opowieść o Jonaszu. A jakieś trzy wieki temu pewien wędrowiec angielski w *Podróżach* starego Harrisa opowiadał o meczecie tureckim wybudowanym ku czci Jonasza, w którym to meczecie znajdowała się cudowna lampa płonąca bez oliwy.

ROZDZIAŁ LXXXIV
KOZIOŁKOWANIE

Aby pojazdy toczyły się lekko i wartko, oliwi się ich osie; dla bardzo podobnych powodów niektórzy wielorybnicy dokonują analogicznej operacji na swojej łodzi, a mianowicie smarują jej dno. Niepodobna wątpić, iż tego rodzaju metoda nie może wyrządzić szkody; może natomiast przynieść korzyść nie do pogardzenia, jeśli się zważy, że olej i woda są sobie wrogie, że olej jest rzeczą śliską, a celem, jaki tu przyświeca, jest sprawić, by szalupa dzielnie się ślizgała. Queequeg ogromnie wierzył w smarowanie łodzi i któregoś ranka, niedługo po zniknięciu niemieckiego statku „Jungfrau”, zadał sobie większy niż zazwyczaj trud przy tej czynności; wpełznął pod dno łodzi wiszącej u burty i wcierał tłuszcz, jak gdyby pilnie usiłował wywołać porost włosów na łysym jej kilu. Zdawał się działać pod wpływem jakiegoś szczególnego przeczucia. Nie omieszkały potwierdzić go wypadki.

Około południa dostrzeżono wieloryby, ale gdy tylko statek ruszył w ich kierunku, skręciły i pierzchły z niezwykłym pośpiechem; była to równie bezładna ucieczka, jak wówczas gdy barki Kleopatry umykały z Actium.

Mimo to jednak szalupy ruszyły w pogoń, a Stubb płynął na przedzie. Dzięki ogromnym wysiłkom udało się Tasztegowi wbić jedno żelazo, ale rażony wieloryb, nie nurkując wcale, nadal ze wzmożoną chyżością umykał w kierunku poziomym. Takie nieprzerwane ciągnięcie za wbite żelazo musi je nieuchronnie prędzej czy później wyrwać z ciała. Stało się nieodzowne albo skłuć lancą pędzącego zwierza, albo też pogodzić się z jego utratą. Nie sposób jednak było doholować

szalupę do jego boku, tak szybko i zajadle płynął. Cóż więc pozostawało?

Ze wszystkich zadziwiających sposobów i sztuczek, kuglarstw i niepoliczonych wymyślności, do jakich tak często zmuszany bywa stary, doświadczony wielorybnik, żadna nie przewyższa wspaniałego manewru lancą, zwanego koziołkowaniem. Ani rapier, ani szabla nie mogą się poszczycić niczym podobnym spośród wszystkich właściwych im założeń. Jest ono niezbędne tylko w stosunku do uparcie uciekającego wieloryba; zasadniczą jego istotą i cechą jest zdumiewająca odległość, na jaką długa lanca zostaje celnie rzucona z gwałtownie rozkołysanej i miotanej łodzi, mknącej w najwyższym pędzie. Cała ta włócznia z drzewcem i grotem włącznie liczy około dziesięciu czy dwunastu stóp długości; drzewce jest o wiele cieńsze niż u harpuna, a także sporządzone z lżejszego materiału — z sośniny. Zaopatrzona jest w cienką linkę znacznej długości zwaną „osnową”, za pomocą której można lancę przyciągnąć z powrotem po rzucie.

Ale zanim przejdziemy dalej, trzeba tu nadmienić, że chociaż harpun można przekoziołkować w taki sam sposób jak lancę, to jednak rzadko do tego dochodzi, a jeśli nawet się to czyni, jeszcze rzadziej osiąga się powodzenie, z uwagi na większy ciężar i mniejszą długość harpuna w porównaniu z lancą, co jest w efekcie poważną przeszkodą. Dlatego też na ogół trzeba najpierw przytrzymać wieloryba, zanim jakiekolwiek koziołkowanie wejdzie w rachubę.

Przyjrzyjcie się Stubowi. Oto człowiek, który z uwagi na swój pogodny, zdecydowany spokój i opanowanie w najsroższej opresji ma szczególne dane, by celować w koziołkowaniu. Przypatrzcie mu się: stoi na podrzucanym przez fale dziobie pędzącej szalupy; o czterdzieści stóp przed nim płynie ciągnący go wieloryb spowity w wełniaste piany. Stubb lekko manipuluje długą lancą i rzuciwszy po niej okiem dwa czy trzy razy, by sprawdzić, czy jest bezwzględnie prosta, pogwizdując zbiera w jedną rękę zwój „osnowy”, aby zatrzymać w garści jej wolny koniec, resztę zaś puści swobodnie. Następnie dzierżąc lancę na

wprost środka pasa, wymierza ją w wieloryba, bierze go na cel, z wolna opuszcza w ręku drugi koniec drzewca, w ten sposób unosząc w górę grot, dopóki broń nie stanie dobrze zbalansowana na jego dłoni, stercząc na piętnaście stóp w powietrzu. Przypomina poniekąd kuglarza, który żongluje długim drążkiem utrzymywanym na brodzie. W następnej chwili wyrzucona nagłą, niepojętą siłą błyszcząca stal wspaniałym, wyniosłym łukiem przemierza pienistą odległość i oto drga już w żywotnym punkcie ciała wieloryba. Miast tryskać perlistą wodą, chlusta on teraz czerwoną posoką.

— A to mu wybiło szpunt! — krzyknął Stubb. — Dziś jest nieśmiertelny Czwarty Lipca. Dziś wszystkie fontanny muszą tryskać winem! A, żeby to tak było stare whisky orleańskie czy stare Ohio, czy też niewysłowione stare Monongahela! Wtedy, Tasztego, kazałbym ci nadstawić dzban pod tę fontannę i wszyscy byśmy wkoło popili! Tak, naprawdę, moi drodzy, uwarzylibyśmy sobie przedniego ponczu w jego trykawce i z tej żywej wazy żłopalibyśmy żywy trunek.

Raz po raz powtarza się zręczny cios w takt owych żartobliwych słów, a lanca powraca do swego pana niczym chart umiejętnie trzymany na smyczy. Umęczonego wieloryba ogarnia atak szału, rozluźnia się linę holującą, a oszczepnik siada na rufie, zaplata ręce na piersiach i w milczeniu przygląda się śmierci potwora.

ROZDZIAŁ LXXXV
FONTANNA

To, że przez lat sześć tysięcy — a nikt nie wie, przez ile milionów wieków przedtem — wielkie wieloryby tryskały po wszystkich morzach skrapiając i opylając ogrody głębin niby konewki czy rozpylacze; że od kilku stuleci tysiące poławiaczy zbliżało się tuż do wielorybiej fontanny śledząc owe krople i tryśnięcia — że to wszystko było, a jednak do tej jeszcze minuty (piętnaście i ćwierć minuty po pierwszej w południe, dnia dzisiejszego, szesnastego grudnia, A.D. 1851) nadal pozostaje problemem, czy owe fontanny są w gruncie rzeczy naprawdę wodą, czy też niczym innym jak parą — to rzecz z pewnością godna uwagi.

Wejrzyjmy zatem w tę sprawę tudzież w niektóre interesujące czynniki z nią związane. Każdemu wiadomo, że dzięki szczególnej zdolności swoich skrzeli, upłetwione plemiona na ogół oddychają powietrzem, które jest zawsze zmieszane z żywiołem, w jakim pływają; i dlatego śledź czy dorsz mógłby żyć sto lat, nie wytykając ni razu głowy nad powierzchnię. Natomiast wieloryb, który ze względu na swoistą wewnętrzną budowę wyposażony jest, tak jak człowiek, w regularne płuca, może żyć tylko wdychając samo powietrze na otwartej przestrzeni. Stąd konieczność składania przezeń od czasu do czasu wizyty światu na górze. Nie może on jednak żadną miarą oddychać przez paszczę, która w zwykłym położeniu jest u kaszalota zanurzona co najmniej na osiem stóp pod powierzchnią wody, a co więcej, jego przewód oddechowy nie ma połączenia z paszczęką. Nie; oddycha on tylko przez swoją tryskawkę, ta zaś znajduje się na czubku głowy.

Nie sądzę, żebym zbłądził, jeżeli powiem, że u każdego stworzenia oddychanie jest funkcją niezbędną dla życia, ile że pobiera z powietrza jakiś pierwiastek, który następnie, zetknąwszy się z krwią, udziela jej swojej ożywczej siły; może używam tylko trochę zbędnych naukowych wyrażeń. Jeżeli to przyjąć za słuszne, wówczas wyniknie stąd, że gdyby całą krew człowieka można było nasycić powietrzem za jednym oddechem, człowiek ów mógłby sobie wtedy opieczętować nozdrza i nie zaczerpnąć następnego tchu przez długi okres czasu. To znaczy, żyłby wówczas bez oddychania. Mimo że jest to na pozór anomalią, przecie tak vlaśnie rzecz się ma z wielorybem, który systematycznie przezywa od czasu do czasu pełną godzinę lub więcej (jeśli przebywa na dnie) bez jednego oddechu, nie wciągając w ogóle nawet cząsteczki powietrza; pamiętajcie bowiem, że nie posiada on skrzeli. Jakże się to dzieje? Między żebrami oraz po każdej stronie kręgosłupa ma on niezwykły, powikłany labirynt kreteński naczyń przypominających makaron, które to naczynia, kiedy wieloryb opuszcza powierzchnię, całe nabrzmiewają od utlenionej krwi. W ten sposób przez godzinę czy więcej, na tysiąc sążni zagłębiony w morzu, nosi w sobie dodatkowy zapas żywotności, zupełnie tak samo jak wielbłąd, co przemierzając bezwodną pustynię niesie w swych czterech dodatkowych żołądkach nadzwyczajny zapas napoju na przyszły użytek. Anatomiczny fakt istnienia owego labiryntu jest bezsporny, a że oparte na nim przypuszczenia są rozsądne i prawdziwe, to wydaje mi się tym bardziej przekonywające, kiedy wspomnę nie dający się inaczej wytłumaczyć upór Lewiatana, żeby powyrzucać *z siebie wydmuchy*, jak to określają rybacy. Mam na myśli, co następuje. Jeśli go nie molestować, gdy wynurzy się na powierzchnię, kaszalot pozostanie na niej przez czas dokładnie taki sam jak za każdym innym razem, kiedy wypływa nie napastowany przez nikogo. Powiedzmy, że pozostaje tak jedenaście minut i tryska siedemdziesiąt razy, to znaczy robi siedemdziesiąt oddechów; z całą pewnością, kiedykolwiek się znowu wynurzy, zaczerpnie te swoje siedemdziesiąt oddechów co do joty. Aliści jeżeli po

nabraniu kilku oddechów zostanie spłoszony, tak że zanurkuje, wówczas zawsze wypłynie ponownie, by uzupełnić zwykły zapas powietrza. I dopiero po tych siedemdziesięciu oddechach pójdzie ostatecznie pod wodę, aby tam przebyć swój zwykły odstęp czasu.

Zauważcie jednak, że u różnych osobników okresy te bywają rozmaite, ale u każdego poszczególnego są do siebie podobne. A więc czemu by wieloryb miał się tak upierać, żeby wyrzucić z siebie wydmuchy, jeżeli nie po to, aby napełnić swój rezerwuar powietrza przed zanurkowaniem na dobre? Jakże to oczywiste, że owa konieczność wynurzania się wystawia go na wszystkie fatalne hazardy łowów! Albowiem płynąc na tysiąc sążni poniżej światła słonecznego ów olbrzymi Lewiatan nie mógłby zostać pochwycony żadnym hakiem czy siecią. Nie tyle zatem twoja zręczność, o, łowco, co wielkie konieczności trąbią ci zwycięstwo!

U człowieka oddychanie trwa bez przestanku, ponieważ jeden oddech wystarcza tylko na dwie czy trzy pulsacje; toteż czymkolwiek innym człowiek by się zajął, we śnie czy na jawie, oddychać musi, bo inaczej zemrze. Natomiast kaszalot oddycha tylko mniej więcej przez jedną siódmą swojego żywota, czyli tak jak gdyby w same niedziele.

Mówiono już, że wieloryb oddycha jedynie przez swoją tryskawkę; gdyby można jeszcze było zgodnie z prawdą dodać, iż jego wydmuchy zmieszane są z wodą, mielibyśmy, moim zdaniem, przyczynę faktu, że jego powonienie wydaje się być w zaniku; jedyną bowiem rzeczą, jaka u wieloryba odpowiada w ogóle nosowi, jest ta właśnie tryskawka; ponieważ zaś tak bardzo na nią cisną dwa żywioły, trudno się spodziewać, żeby miał zdolność wąchania. Ale z uwagi na tajemnicę wydmuchu — nie wiadomo, czy to woda, czy para — nie osiągnięto dotychczas absolutnej pewności w tej mierze. Pewnym jest jednak, że kaszalot nie posiada właściwych narządów powonienia. Ale i na cóż mu one? W morzu nie ma róż ani fiołków, ani wody kolońskiej.

Następnie, ponieważ jego tchawica ma ujście wyłącznie w rurze kanału tryskawki, a ten długi kanał — wzorem wielkiego Kanału Erie — zaopatrzony jest w rodzaj śluz (otwierających się i zamykających) dla zatrzymywania na dole powietrza oraz niedopuszczania od góry wody — dlatego wieloryb nie posiada głosu, chyba żebyście go znieważyli twierdząc, iż kiedy tak dziwnie bulgocze, to mówi przez nos. Ale też co ma wieloryb do powiedzenia? Rzadko kiedy znałem jakąś istotę głęboką, która by miała coś do powiedzenia temu światu, chyba że była zmuszona bełkotać cokolwiek bądź, aby zarobić na chleb. O, jakież to szczęście, że świat jest tak doskonałym słuchaczem!

Otóż ten kanał tryskawki kaszalota, którego głównym przeznaczeniem jest dostarczenie powietrza, kanał leżący poziomo na długości kilku stóp, nieco z boku tuż pod górną powierzchnią głowy — ów kanał osobliwy ogromnie przypomina rurę gazową ułożoną w mieście z jednego boku ulicy. Ale znów nasuwa się pytanie, czy owa rura gazowa jest również rurą wodociągową; innymi słowy czy fontanna wyrzucana przez kaszalota jest tylko parą wydechu, czy też ów wydech zmieszany jest z wodą nabieraną w paszczę i wydalaną przez tryskawkę. Pewne jest, że paszcza łączy się pośrednio z kanałem tryskawki; niepodobna jednak dowieść, że ma to na celu wyrzucanie wody przez tę ostatnią. Największa bowiem potrzeba czegoś podobnego powstaje chyba wtedy, gdy podczas żerowania kaszalot nabierze przypadkiem wody w paszczę. Ale pożywienie kaszalota znajduje się głęboko pod powierzchnią, a tam nie może on tryskać, nawet gdyby chciał. Prócz tego, o ile go będziecie ściśle obserwowali sprawdzając czas według zegarka, spostrzeżecie, iż jeśli kaszalota nie napastować, to okresy wyrzucania przezeń fontanny mają niechybnie ten sam rytm, co zwykłe odstępy między jednym oddechem a drugim.

Ale po co zamęczać kogoś wszystkimi tymi wywodami? Wypowiedzże się pan! Widziałeś, jak wieloryb tryska, stwierdź więc, czym jest owa fontanna; zaliż nie potrafisz odróżnić wody od powietrza? Drogi panie, nie tak to łatwo ustalać rzeczy proste na tym świecie. Zawsze się przekonywałem, że właśnie te

proste sprawy najbardziej są powikłane. Jeśli zaś idzie o fontanną wieloryba, to można by nieledwie stać pośród niej, a jeszcze nie być pewnym, czy ona jest w istocie.

Jej trzon kryje się w śnieżnym, perlistym tumanie, który go spowija, a jakże można stwierdzić z pewnością, czy spada zeń woda, jeżeli człowiek zawsze wtedy dopiero znajdzie się dość blisko wieloryba, by się móc dobrze przypatrzeć jego wydmuchowi, kiedy potwór miota się okrutnie, a woda chlusta wokół kaskadami. Jeżeli zaś w takiej chwili sądzicie, że istotnie dostrzegacie cząsteczki wody w wydmuchu, to skąd możecie wiedzieć, czy nie jest to po prostu skroplona para; albo skąd możecie wiedzieć, czy to nie te same krople, co z wierzchu usadowiły się w szczelinie tryskawki, która ma ujście w zagłębieniu na szczycie głowy? Albowiem nawet wówczas, gdy o południu spokojnie płynie przez morze w czas ciszy, z wyniosłym garbem osuszonym przez słońce niczym garb dromadera na pustyni — nawet wtedy wieloryb nosi na głowie mały basen wody, podobnie jak pod gorejącym słońcem czasem znajdziecie zagłębienie w skale, kroplami deszczu napełnione.

Toteż nie jest bynajmniej roztropne, by łowca zdradzał nadmierne zainteresowanie właściwą naturą wydmuchu wielorybiego. Nic mu nie przyjdzie z wpatrywania się czy wtykania weń twarzy. Nie sposób podejść z dzbanem do tej fontanny, napełnić go i zabrać ze sobą. Bo nawet, kiedy się choćby przelotnie zetkniecie z zewnętrznymi drobinami oparu wydmuchu — co często się zdarza — skóra będzie was piekła gorączkowo, tak żrące jest to, co jej dotknęło. A znam kogoś, komu, gdy wszedł w jeszcze bliższy kontakt z fontanną — nie wiem, czy w celach naukowych, czy też w jakichś innych — skóra zeszła z policzka i ręki. Toteż wśród wielorybników uważa się, iż wydmuch jest trujący; usiłują więc go unikać. Jeszcze jedno: słyszałem, jak mówiono — i raczej w to nie wątpię — że jeśli fontanna tryśnie komuś prosto w oczy, to człowiek ów oślepnie. Wydaje mi się więc, że najmądrzejszą rzeczą, jaką badacz może uczynić, to zostawić tę morderczą fontanną w spokoju.

Możemy jednak wysuwać hipotezy, nawet jeżeli niepodobna ich dowieść i potwierdzić. Moją hipotezą jest, że fontanna to nic innego jak opar. Oprócz innych racji, do konkluzji tej skłania mnie wzgląd na ogromne dostojeństwo i wzniosłość właściwą kaszalotowi; nie uważam go za żadne pospolite, płytkie stworzenie, ponieważ jest faktem bezspornym, że go się nigdy nie znajduje na płyciznach czy też w pobliżu wybrzeży, jak to czasami bywa ze wszystkimi innymi wielorybami. Kaszalot jest zarówno ważki, jak i głęboki. Jestem zaś przeświadczony, że z głów wszystkich wielkich i głębokich myślicieli, jak Platon, Pyrrhon, Szatan, Jowisz, Dante i tak dalej, zawsze dobywa się półwidzialny opar, w chwili gdy snują głębokie rozmyślania. Układając kiedyś mały traktat o wieczności, przez ciekawość ustawiłem przed sobą zwierciadło i oto niebawem dostrzegłem odbite w nim dziwne, pogmatwane skłębienia i sfalowania powietrza ponad własną głową. Dodatkowym argumentem dla powyższej supozycji wydaje się stała wilgotność moich włosów, kiedy w sierpniowe popołudnie, po sześciu filiżankach gorącej herbaty, siedziałem pogrążony w głębokich rozmyślaniach u siebie, na poddaszu krytym cienkimi gontami.

A jak wspaniale podnosi to nasze mniemanie o potężnym, mglistym potworze, kiedy oglądamy go uroczyście płynącego poprzez spokojne morze tropikalne; gdy nad jego olbrzymią, łagodną głową zwisa baldachim pary zrodzonej z nieprzekazywalnej kontemplacji, ów opar zaś — co czasami ujrzeć można — uświetnia tęcza, jak gdyby same nieba położyły pieczęć na jego rozmyślaniach. Albowiem, widzicie, tęcze nie nawiedzają czystego powietrza; opromieniają tylko parę. Tak poprzez wszystkie gęste tumany mglistych wątpliwości mojego umysłu wystrzelają od czasu do czasu boskie intuicje, zapalając moją mgłę niebiańskim promieniem. I za to Bogu niech będą dzięki, gdyż wszyscy mają wątpliwości, wielu zaprzecza, ale czy tak, czy owak, tylko nieliczni miewają jednocześnie przeczucia. Wątpliwości co do wszystkich spraw ziemskich, a przeczucie niektórych spraw niebieskich — oto połączenie, które nie czyni

z człowieka ani wierzącego, ani niedowiarka, ale kogoś, kto na obu jednakim okiem spogląda.

ROZDZIAŁ LXXXVI
OGON

Inni poeci wyśpiewali pochwałą słodkich oczu antylopy i cudnych piór ptaka, co nigdy ziemi nie tyka; ja, mniej od nich niebiański, opiewać będę ogon.

Licząc, że ogon największego kaszalota zaczyna się od punktu korpusu, w którym ten zwęża się mniej więcej do obwodu człowieka, otrzymamy co najmniej pięćdziesiąt stóp kwadratowych samej tylko górnej jego powierzchni. Zwarty, krągły trzon nasady rozszerza się w dwa szerokie, mocne, płaskie płaty, czyli płetwy ogonowe, które stopniowo cienieją, aż wreszcie nie mają więcej nad cal grubości. U rozwidlenia, czyli w punkcie styku, obie te płetwy z lekka na siebie zachodzą, a następnie rozwierają się na boki niby skrzydła, pozostawiając w środku szerokie, puste miejsce. W żadnej istocie żyjącej esowate linie nie zostały wykreślone cudowniej niż w półksiężycowych krawędziach owych płetw. U całkowicie wyrośniętego wieloryba ogon w pełni rozwoju znacznie przekracza dwadzieścia stóp rozpiętości.

Cała ta część ciała wydaje się być zbitym, tkankowym pokładem spoistych ścięgien, ale rozetnijcie ją, a przekonacie się, że jest złożona z trzech odrębnych warstw; górnej, środkowej i dolnej. Włókna górnej i dolnej warstwy są długie i poziome; środkowej zaś bardzo krótkie i krzyżujące się pomiędzy obiema zewnętrzaymi warstwami. Owa troista struktura, nie mniej od innych czynników, przydaje mocy ogonowi. Badaczowi starych murów rzymskich ta środkowa warstwa dostarczy ciekawej paraleli do cienkiego pokładu cegiełek, które zawsze znajdujemy na przemian z kamieniami

w owych wspaniałych zabytkach antyku i które niewątpliwie bardzo się przyczyniły do wielkiej mocy ich roboty murarskiej.

Ale jak gdyby nie dość było tej olbrzymiej siły, umiejscowionej w ścięgnistym ogonie, całe ciało Lewiatana oplecione jest osnową i wątkiem mięśniowym włókien i pasemek, które przechodząc po obu stronach lędźwi wpadają w płetwy, niepostrzeżenie się z nimi stapiają i wiele przydają im siły, tak że wszystka niezmierzona moc całego wieloryba zdaje się zbiegać w ogonie i koncentrować w tym jednym punkcie. Gdyby materię mogło spotkać unicestwienie, ta siła właśnie mogłaby go dokonać.

Ale owa zdumiewająca moc w niczym nie upośledza pełnej wdzięku gibkości ruchów ogona; z dziecięcą swobodą faluje on dzięki tytanizmowi mocy. Wprost przeciwnie, z niej właśnie ruchy czerpią swe najstraszliwsze piękno. Prawdziwa siła nigdy nic nie ujmuje krasie czy też harmonii, owszem, często ją jeszcze pomnaża; i we wszystkim, co imponujące i piękne, siła ma wiele wspólnego z wywieranym urokiem. Odejmjicie napięte muskuły, co zda się chcą wyprysnąć z marmuru statuy Herkulesa, a piękno jej przepadnie. Gdy wierny Eckerman uniósł płócienne prześcieradło, okrywające nagie zwłoki Goethego, zdumiał go masywny tors tego człowieka, przypominający jakowyś rzymski łuk tryumfalny. A zważcie, jaką krzepkość nadaje Michał Anioł nawet Bogu Ojcu, kiedy Go w ludzkiej maluje postaci. Bez względu zaś na to, jak wiele boskiej miłości Syna ukazują miękkie, płynne, hermafrodytyczne obrazy włoskie, w których znakomicie Jego wyobrażenie ucieleśniono, są one przecie obrane ze wszelkiej muskularności, nie mówiąc nic o jakiejkolwiek sile, prócz tej negatywnej, niewieściej mocy poddania i wytrwania, która dla każdego, komu jest dana, stanowi o szczególnych cnotach praktycznych Jego nauki.

Taka jest niepojęta elastyczność organu, o którym tu mowa, że czy nim owładnie igraszka, powaga, czy gniew, w jakimkolwiek by był nastroju, jego gibkie ruchy niezmiennie

nacechowane są wdziękiem. W tym nie potrafi go przewyższyć żadne ramię czarodziejki.

Pięć wielkich ruchów jest ogonowi właściwych. Pierwszy, gdy jest używany jako płetwa dla posuwania się naprzód; drugi — gdy działa jako maczuga w bitwie: trzeci — to zamiatanie; czwarty — strzepnięcie; piąty — wyrzucanie w górę.

Pierwszy: ze względu na położenie poziome, ogon Lewiatana działa w sposób odmienny od ogonów wszystkich innych stworzeń morskich. Nigdy się nie wije. Wicie się jest u człowieka czy u ryby oznaką niższości. Dla wieloryba ogon jest jedynym środkiem napędowym. Zagięty krągło do przodu, popod ciało, a następnie raptownie rozprostowany do tyłu, w ten właśnie sposób nadaje wściekle płynącemu potworowi ów szczególny ruch skoku czy rzutu. Boczne płetwy służą mu jedynie do sterowania.

Drugi: jest dość znamienne, że kaszalot walczy za pomocą łba oraz szczęki tylko z innym kaszalotem, w konfliktach z człowiekiem używa głównie, i to z pogardą, swojego ogona. Gdy godzi w szalupę, wówczas szybko zagina nad nią ogon i zadaje cios samym odrzutem. Jeśli jest on wymierzony bez przeszkód, przez powietrze, a zwłaszcza jeśli spadnie na swój cel, wówczas jest po prostu nieodparty. Żadne żebra, człowieka czy łodzi, zdzierżyć go nie zdołają. Jedyny ratunek, to mu umknąć; gdy natomiast cios zadany zostanie z boku, poprzez oporną wodę, wtedy częściowo dzięki znacznej lekkości łodzi wielorybniczej tudzież elastyczności materiału, z jakiego jest sporządzona, najpoważniejszym skutkiem będzie zazwyczaj pęknięta szpanta albo wybita jedna czy dwie deski — coś w rodzaju sójki w bok. Owe podwodne, boczne uderzenia tak często otrzymuje się przy połowach, że uważane są za dziecinną igraszkę. Ktoś zrzuca kurtę i dziura już jest zatkana.

Trzeci: nie potrafię tego dowieść, ale wydaje mi się, że u wieloryba zmysł dotyku skoncentrowany jest w ogonie; bowiem w tym względzie odznacza się on delikatnością, której dorównuje tylko wrażliwość trąby słonia. Owa delikatność przejawia się głównie w funkcji zamiatania nim, kiedy to

wieloryb z dziewiczą łagodnością, miękko a powoli porusza z boku na bok olbrzymim ogonem po powierzchni morza; a jeśli natrafi choćby na wąs żeglarza, biada temu żeglarzowi razem z jego wąsami. Jakaż jest czułość w owym wstępnym dotknięciu! Gdyby ten ogon miał jakąkolwiek chwytliwość, zaraz by mi na myśl przywiód słonia Darmonodesa, co odwiedzał targi kwiatowe i z niskim ukłonem ofiarowywał bukiety dziewojom, po czym pieścił ich kibić. Z wielu względów szkoda, że wieloryb nie posiada w ogonie owej chwytliwości; słyszałem bowiem o jeszcze innym słoniu, który, raniony w walce, zagiął trąbę i wyciągnął grot z ciała.

Czwarty: jeśli się podkradniecie nie zauważeni do wieloryba wśród urojonego bezpieczeństwa odludnych mórz, ujrzycie, jak w chwili odprężenia od swego niebywale korpulentnego dostojeństwa igra niczym mały kotek w oceanie, jak gdyby ten był kominkiem. Ale nawet w zabawie widzicie jego potęgę. Wyrzuca wysoko w górę szerokie płaty ogona, po czym wali nim o powierzchnię wody, aż grzmiący odgłos milami się niesie. Można by niemal pomyśleć, że to dano ognia z potężnej armaty; a gdybyście zauważyli lekki kłąb pary wznoszący się z tryskawki na drugim końcu ciała, pomyślelibyście pewnie, że to dymek u zapału.

Piąty: ponieważ w zwykłym położeniu, kiedy Lewiatan unosi się na wodzie, ogon znajduje się znacznie poniżej poziomu jego grzbietu, jest więc zupełnie ukryty pod powierzchnią morza. Kiedy natomiast zwierz ma znurkować w głębinę, cały ogon wraz z co najmniej trzydziestu stopami ciała wyrzucony zostaje pionowo w górę i tak trwa drgając przez chwilę, aż wreszcie zapada się prosto w dół i znika nam z oczu. Wyjąwszy wzniosły wyskok — który będzie gdzie indziej opisany — to wyrzucenie w górę ogona wielorybiego jest może najwspanialszym widokiem, jaki oglądać można w całej ożywionej przyrodzie. Ów ogon gigantyczny zdaje się spazmatycznie wydzierać z bezdennej głębiny ku najwyższemu niebu. Podobnie w snach widywałem majestatycznego Szatana, jak wyciągał udręczone, kolosalne szpony z płomienistego Bałtyku piekieł. Ale gdy się

ogląda takowe sceny, wszystko zależy od tego, w jakim jesteście nastroju: jeżeli w dantejskim, ukażą się wam czarty; jeśli w izajaszowym — to archaniałowie. Stojąc kiedyś na maszcie mojego żaglowca, o wschodzie słońca, co szkarłatem okrył niebiosa i morze, ujrzałem w owej stronie duże stado wielorybów, które kierując się ku słońcu, przez chwilę razem potrząsało wyrzuconymi w górę ogonami. Wydało mi się wówczas, że tak wspaniałego przykładu adoracji bogów nie oglądano nigdy, nawet w Persji, ojczyźnie czcicieli ognia. Wzorem więc Ptolemeusza Filopatra, który świadczył na rzecz słonia afrykańskiego, ja uczyniłem to wówczas na rzecz wieloryba ogłaszając go najpobożniejszym ze wszystkich stworzeń. Albowiem według króla Juby bojowe słonie czasów starożytnych częstokroć pozdrawiały poranek trąbami wzniesionymi pośród najgłębszej ciszy.

Przypadkowe porównanie w tym rozdziale wieloryba ze słoniem, jeśli idzie o pewne aspekty ogona pierwszego i trąby drugiego, nie powinno zmierzać do postawienia na jednym poziomie obu tych przeciwstawnych organów, a tym mniej stworzeń, do których każdy z nich należy. Albowiem jak najpotężniejszy słoń jest ledwie foksterierem wobec Lewiatana, tak i jego trąba w porównaniu z ogonem tego ostatniego jest tylko łodygą lilii. Najsroższe uderzenie trąby słoniowej byłoby jak figlarne klepnięcie wachlarzem w zestawieniu z przepotężnym grzmotnięciem i łomotem ciężkiego ogona kaszalota, który nieraz wyrzucał w powietrze jedną po drugiej całe szalupy wraz z wiosłami i ludźmi, zupełnie jak kuglarz hinduski wyrzuca w górę swoje piłki.**********

Im bardziej rozmyślam nad tym potężnym ogonem, tym więcej ubolewam nad swoją niezdolnością opisania go. Czasami miewa on gesty, które byłyby wprawdzie ozdobą ręki ludzkiej, u niego jednak są całkiem nie wytłumaczone. W dużym stadzie owe gesty tajemnicze tak bywają niezwykłe, żem słyszał, jak niektórzy łowcy twierdzili, iż są pokrewne znakom i symbolom masońskim, oraz że tym sposobem wieloryb rozumnie gada ze światem. Nie brak też i innych ruchów całego ciała wieloryba,

które są pełne dziwności i niepojęte nawet dla najbardziej doświadczonego poławiacza. Choćbym więc nie wiedzieć jak badał tego wieloryba, nie przeniknę dalej niż na głębokości skóry; nie znam go i znać nigdy nie będę. Ale skoro nie znam nawet jego ogona, jakże tu pojąć jego głowę? A tym bardziej jak zrozumieć jego oblicze, skoro go wcale nie ma? „Z drugiej mnie ujrzysz strony, ogon mój obaczysz — zdaje się on mówić — ale twarzy mojej oglądać nie będziesz.” Nie mogę jednak na dobre rozeznać się w jego tylnych częściach; a cokolwiek by mówił o swoim obliczu, ja raz jeszcze powtarzam, że go wcale nie ma.

ROZDZIAŁ LXXXVII
WIELKA ARMADA

Długi i wąski półwysep Malakka, rozciągający się ku południowemu wschodowi od terytoriów Burmy, stanowi najbardziej na południe wysunięty punkt całej Azji. Za nim ciągłą linią rozłożyły się długie wyspy: Sumatra, Jawa, Bali i Timor, które wraz z wieloma innymi tworzą ogromny pomost czy wał, podłużnie łączący Azję z Australią i oddzielający puste obszary Oceanu Indyjskiego od gęsto rozsianych archipelagów wschodnich. Ów wał poprzebijany jest kilkoma furtami dla wygody okrętów i wielorybów; najbardziej z nich widoczne są cieśniny Sundajska i Malakka. Statki, idące do Chin z zachodu, wypływają na Morze Chińskie głównie przez Cieśninę Sundajską.

Owa wąska cieśnina oddziela Sumatrę od Jawy i gdy się zatrzymać pośrodku tego rozległego wału wysp wspartych o stromy, zielony cypel, który żeglarzom jest znany pod nazwą Głowy Jawy, spostrzeże się niemałe podobieństwo do centralnej bramy, otwierającej się na jakieś potężne, murami opasane imperium; a jeśli zważyć niewyczerpane bogactwo korzeni i jedwabi, złota, klejnotów i kości słoniowej, w jakie obfituje tysiąc wysp owego orientalnego morza, uznać należy za wielce znamienne zrządzenie natury, że podobne skarby, dzięki samemu ukształtowaniu terenu, mają przynajmniej pozór, choćby nieistotny, jakiejś ochrony przed nazbyt zachłannym światem Zachodu. Brzegi Cieśniny Sundajskiej nie są wyposażone w owe przemożne fortece, co strzegą wejść na Morze Śródziemne, na Bałtyk i Propontydę. W przeciwieństwie do Duńczyków owi ludzie Wschodu nie wymagają uniżonego

hołdu opuszczonych żagli od nieskończonej procesji idących z wiatrem okrętów, które wiekami całymi, nocą i dniem, przechodziły między Sumatrą i Jawą, naładowane najcenniejszymi towarami Wschodu, Ale choć odrzucają niedbale podobny ceremoniał, przecie bynajmniej nie wyrzekają się prawa do solidniejszej daniny.

Od niepamiętnych czasów pirackie *proa* Malajów czyhające pośród cienistych zatok i wysepek Sumatry wypadały na statki żeglujące poprzez cieśniny, zaciekle domagając się haraczu pod grozą nastawionych włóczni. Choć dzięki wielokrotnym, krwawym karom, jakie im wymierzyły europejskie krążowniki, zuchwalstwo owych korsarzy zostało w ostatnich latach nieco okiełznane, przecież po dziś dzień słyszymy od czasu do czasu o angielskich czy amerykańskich statkach, które na tych wodach bezlitośnie napadnięte i splądrowane zostały.

Pchany pomyślnym, mocnym wiatrem „Pequod" zbliżał się właśnie do owych cieśnin; jakoż zamiarem Ahaba było przepłynąć przez nie na Morze Jawajskie, a stamtąd kierując się ku północy, przez wody, o których wiedziano, że nawiedza je tu i ówdzie kaszalot, podsunąć się do wysp filipińskich i dotrzeć do dalekiego wybrzeża Japonii, tak aby zdążyć na tamtejszy wielki sezon łowiecki. W ten sposób krążący „Pequod" przemierzyłby niemal wszystkie znane łowiska kaszalotowe świata przed spłynięciem na równik na Pacyfiku; Ahab, choćby się wprawdzie zawiódł w swych poszukiwaniach, liczył stanowczo, że tam wyda walkę Moby Dickowi, na owym morzu, które, jak to było wiadomo, potwór najczęściej odwiedzał, oraz w takiej porze, w której najpewniej można go się było tam spodziewać.

Ale jakże to? Czyż w tych okolnych poszukiwaniach Ahab w ogóle nie przybija do lądu? Czy jego załoga pije powietrze? Z pewnością zatrzymają się gdzieś dla nabrania wody. Nie. Od dawien dawna słońce obiega swą arenę po płomienistym kolisku, nie potrzebując żadnego pożywienia prócz tego, które jest w nim samym. Podobnie i Ahab. Zakonotujcie sobie jedno o żaglowcu wielorybniczym. Podczas gdy inne okręty załadowane są cudzym towarem, który należy przewieźć do obcych

przystani, ów obieżyświat, statek wielorybniczy, nie wiezie żadnej ładugi oprócz samego siebie, załogi, jej broni i zapasów. W obszernej komorze ma zabutelkowaną całą zawartość jeziora. Jego balast to rzeczy niezbędne, a nie żaden bezużyteczny ołów czy żelastwo. Niesie w sobie wodę na całe lata. Czystą, wyborną wodę ze starego Nantucket, którą nawet po trzech latach wyprawy nantucketańczyk na Pacyfiku przenosi nad ową słonawą ciecz z peruwiańskich czy indyjskich potoków ledwie wczoraj beczkami na tratwach przywiezioną. Dlatego to, o ile inne okręty płynąc z Nowego Jorku do Chin i z powrotem, zawijają do dwudziestu portów, statek wielorybniczy może przez cały ten czas nie oglądać ani szczypty ziemi, a jego załoga nie widzi nikogo prócz takich jak ona sama, pływających żeglarzy. Toteż gdybyście wtedy przynieśli tym ludziom nowinę, że nastąpił nowy potop, oni odrzekliby tylko: „No cóż, chłopcy, mamy arkę!”

Jako że wiele kaszalotów upolowano u zachodnich wybrzeży Jawy, w bezpośrednim sąsiedztwie Cieśniny Sundajskiej, a co więcej, ponieważ większość dookolnych terenów rybacy powszechnie uznają za wyśmienite miejsce połowów, więc też gdy „Pequod” zbliżał się coraz bardziej i bardziej do Głowy Jawy, często nawoływano posterunki na masztach upominając je, by zachowywały najwyższą czujność. Ale choć wkrótce po sterborcie zamajaczyły zielone od plam, nadbrzeżne urwiska i zachwyconymi nozdrzami wyczuwaliśmy w powietrzu zapach świeżego cynamonu, przecie nie zoczono ani jednej fontanny. Już niemal rezygnując ze wszelkiej myśli o natknięciu się w tych stronach na zwierzynę, statek już niemal wpływał w cieśninę, gdy z góry doleciał znany, radosny okrzyk i niebawem widowisko szczególnie wspaniałe ukazało się naszym oczom.

Trzeba tu jednak na wstępie zaznaczyć, że dzięki niezmordowanej energii, z jaką w ostatnich czasach poluje się na nie po wszystkich czterech oceanach, kaszaloty, miast pływać w niewielkich, osobnych gromadkach, jak to niemal zawsze za dawnych czasów bywało, teraz często są spotykane w ogromnych stadach, czasem obejmujących tak wielką ich

mnogość, iż mogłoby się niemal wydawać, że rozliczne nacje tych zwierząt poprzysięgły sobie uroczysty sojusz i pakt wzajemnej pomocy i obrony. Owemu skupianiu się kaszalotów w tak olbrzymie karawany należy może przypisać okoliczność, że nawet na najlepszych terenach łowieckich można niekiedy pływać tygodniami i miesiącami całymi, nie napotkawszy ani jednej fontanny, po czym ni stąd, ni zowąd powita was taka ich ilość, że wydaje się ona iść w tysiące.

Przed nami po lewej i prawej stronie, w odległości jakichś dwóch czy trzech mil, tworząc ogromne półkole obejmujące pół horyzontu, nieprzerwany łańcuch wydmuchów wielorybich igrał i perlił się w południowym powietrzu. Odmienne od prostych, pionowych, bliźniaczych fontann wieloryba właściwego, które rozwidlając się u góry opadają dwiema odroślami niby odłupane, obwisłe gałęzie wierzby, pojedynczy, pochylony do przodu wydmuch kaszałota tworzy gęsty, skłębiony kierz białego oparu, stale się wzbijający i opadający z wiatrem.

Widziane z pokładu „Pequoda”, w chwili gdy statek wznosił się na którymś z wysokich wzgórz morza, owe zastępy rozpylonych wydmuchów, z których każdy z osobna kłębił się w powietrzu, wyglądały wskroś spowijającego wszystko błękitnawego tumanu niby tysiąc wesołych kominów jakiejś gęsto zaludnionej metropolii, kiedy ją zoczy z pagórka jeździec w balsamiczny, jesienny poranek.

Jak maszerujące armie, zbliżając się do zdradzieckiego wąwozu wśród gór, przyśpieszają kroku, ile że pragną z całego serca mieć już owo groźne przejście poza sobą i znowu rozwinąć się stosunkowo bezpiecznie na równinie — tak i owa olbrzymia flota wielorybia zdawała się pośpieszać przez cieśninę, stopniowo ściągając skrzydła półkola i płynąc dalej w jednym zwartym, choć nadal półksiężycowym szyku.

Rozwinąwszy wszystkie żagle, „Pequod" parł za nimi; na dziobach szalup, jeszcze zawieszonych u boku statku, harpunnicy potrząsali orężem wznosząc rozgłośne, radosne okrzyki. Nie mieli wątpliwości, że jeśli tylko wiatr się utrzyma,

ogromne stado wielorybów pędzone przez Cieśninę Sundajską rozwinie się na wschodnich morzach jedynie po to, ażeby być świadkiem klęski niejednego ze swych członków. A któż mógł wiedzieć, czy wśród tak gromadnej karawany nie płynie chwilowo sam Moby Dick niby święty biały słoń w koronacyjnej procesji Syjamu! Toteż mknęliśmy dalej pod wszystkimi żaglami, pędząc przed sobą owe Lewiatany, kiedy nagle dosłyszano głos Tasztego donośnie zwracający naszą uwagę na coś, co znajdowało się w naszym kilwaterze.

Ujrzeliśmy za sobą inny półksiężyc, odpowiadający temu, który płynął w awangardzie. Tworzyły go osobne, białe mgiełki, zrywające się i opadające na kształt wydmuchów wielorybich; tyle tylko, że nie wzbijały się i nie spadały tak całkowicie, ale unosiły się stale w powietrzu, nie znikając ostatecznie. Ahab skierował w tę stronę perspektywę, po czym obrócił się szybko na nodze tkwiącej w otworze i zawołał:

— Jazda na górę, wciągać „żurawie” i wiadra do zwilżania żagli! Malaje za nami!

Jak gdyby nazbyt długo czaili się za przylądkiem, czekając, by „Pequod” na dobre już wpłynął w cieśninę, owi łotrowscy Azjaci ścigali nas teraz zaciekle, chcąc nadrobić zbyt ostrożną zwłokę. Ale jako że chybki „Pequod” mknąc z mocnym wiatrem sam trwał w zażartej pogoni, było to bardzo ładnie ze strony owych śniadych filantropów, że dopomagali mu przyśpieszyć jego własny pościg, odgrywając w ten sposób po prostu rolą szpicruty i ostrogi. Zdawało się, że to samo musiał sobie wyobrażać Ahab, gdy z lunetą pod pachą przemierzał tam i z powrotem pokład i zawracając u dzioba oglądał potwory, które ścigał, a z rufy patrzał na krwiożerczych piratów, co ścigali jego. Kiedy zaś spojrzał na zielone ściany wodnego wąwozu, przez który statek naówczas przepływał, gdy uprzytomnił sobie, że przez tę samą bramę on ściga i sam jest ścigany na śmierć i życie — nie dość na tym: gdy pojął, że horda bezecnych, dzikich piratów, nieludzkich, bezbożnych piekielników, po diabelsku obrzuca go przekleństwami — kiedy wszystkie te myśli przebiegły mu przez mózg, czoło Ahaba okryło się chmurą i

pofałdowało niby czarny żwir wybrzeża, które nadgryza jakiś burzliwy przepływ, nie mogąc go jednak poruszyć z miejsca.

Wszelako podobne myśli trapiły tylko bardzo niewielu spośród junackiej załogi; toteż gdy „Pequod”, pozostawiając piratów coraz bardziej za rufą, na koniec przemknął opodal jaskrawozielonego Cypla Kakadu po stronie Sumatry, wynurzając się wreszcie na rozlane za nim szerokie wody, wówczas harpunnicy bardziej chyba boleli nad tym, że chyże wieloryby oddaliły się od statku, niż się cieszyli, że statek tak zwycięsko oddalił się od Malajów. Płynięto jednak dalej śladem wielorybów i wreszcie wydało się, że szybkość ich maleje; statek począł się do nich stopniowo przybliżać, a że wiatr właśnie zamierał, dano rozkaz zajęcia miejsc w szalupach. Jednakże ledwie stado, zapewne wiedzione jakimś zadziwiającym instynktem kaszalota, wyczuło, iż gonią je trzy łodzie — choć jak dotychczas o milę oddalone — a już zebrało się znowu i uszykowane w zwarte szeregi i bataliony, tak że wszystkie wydmuchy wyglądały niby roziskrzone rzędy nastawionych bagnetów, ruszyło naprzód ze zdwojoną szybkością.

Rozebrani do bielizny porwaliśmy za wiosła i po kilku godzinach mozołu już niemal byliśmy skłonni zaniechać pogoni, kiedy między wielorybami zakotłowało się nagle, co było oznaką, że stado chce się zatrzymać i najdobitniej zwiastowało, że wreszcie potwory znalazły się pod wpływem owego przedziwnego bezwładu i niezdecydowania, o którym rybacy, gdy to spostrzegą, mówią, że wieloryb „zbzikował”. Zwarte, bojowe kolumny, płynące dotąd szybko i równo, rozpadły się teraz w jedną niezmierną ciżbę; zdawało się, że wieloryby oszalały z przerażenia, podobnie jak owe indyjskie słonie króla Porusa podczas bitwy z Aleksandrem. Rozpuszczone na wsze strony w wielkie, nieregularne kręgi, płynąc bez celu to tu, to tam, wyraźnie zdradzały swymi krótkimi, gęstymi wydmuchami lęk, jaki je opętał. Jeszcze osobliwiej dawały go po sobie poznać te z nich, co jakby kompletnie sparaliżowane, bezradnie unosiły się na morzu

niczym zalane wodą, ogołocone z masztów okręty. Gdyby te Lewiatany były zwykłym stadem pospolitych owiec ściganym po pastwisku przez trzy zajadłe wilki, nie mogłyby chyba przejawiać tak niebywałego przestrachu. Ale owa lękliwość bywa czasami właściwa niemal wszystkim zwierzętom stadnym. Chociaż skupiają się w dziesiątki tysięcy, zachodnie bawoły o lwich grzywach zmykają czasem przed samotnym jeźdźcem. A patrzcie, jak to ludzkie istoty spędzone w owczarni widowni teatralnej, na najmniejszy alarm pożarowy rzucają się na złamanie karku ku wyjściu, tłocząc się, depcąc, cisnąc i bez litości wzajemnie na śmierć się tratując. Lepiej więc pohamujcie wszelkie zdumienie nad dziwnie „zbzikowanymi" wielorybami, które widzimy przed sobą, nie masz bowiem na tej ziemi szaleństwa bestii, którego by nie przewyższył nieskończenie obłęd człowieka.

Mimo że, jako się rzekło, liczne wieloryby były w gwałtownym ruchu, należy przecie zauważyć, iż stado jako całość ani nie posuwało się naprzód, ani nie cofało, ale w całości pozostawało na miejscu. Jak to się zazwyczaj czyni w tych przypadkach, łodzie od razu się rozproszyły i każda ruszyła ku jakiemuś samotnemu wielorybowi na skraju stada. W ciągu mniej więcej trzech minut rzucony został harpun Queenquega i trafiona ryba cisnęła nam w twarz oślepiające bryzgi, po czym jak błyskawica pomknęła wraz z nami prosto w sam środek stada. Choć taki manewr wieloryba, ugodzonego w podobnych okolicznościach, nie jest bynajmniej bez precedensu i w gruncie rzeczy można go się niemal zawsze mniej lub więcej spodziewać, przecie stanowi jedną z najniebezpieczniejszych przygód łowieckich. Albowiem gdy chyży potwór wciąga was głębiej i głębiej w oszalałe stado, żegnacie się z przytomnym życiem, istniejąc tylko w obłędnym zamęcie serca.

Gdy oślepły i głuchy wieloryb gnał naprzód, jakby chcąc przez samą szybkość pozbyć się żelaznej pijawki uczepionej u jego ciała, gdyśmy tak rozdzierali morze białą szramą pian, w pędzie swym zewsząd zagrożeni przez opętane bestie miotające się tam i sam wokoło, nasza osaczona łódź przypominała okręt,

na który w czas burzy napierają wyspy lodowe, on zaś usiłuje się przemknąć przez ich zawiłe kanały i przesmyki nie wiedząc, w której chwili zamknięty i strzaskany zostanie.

Ale Queequeg, nie zastraszony ni odrobinę, sterował dzielnie naszą łodzią, to odsuwając się od potwora, który zagradzał nam drogę, to znów odpychając innego, którego olbrzymi ogon zawisł nad nami; a przez cały ten czas Starbuck stał na dziobie z lancą w ręku, przepędzając z drogi wszelkie wieloryby, jakich mógł dosięgnąć krótkimi ciosami, gdyż na długie nie starczało czasu. A i wioślarze też się nie lenili, choć byli teraz całkowicie wolni od swoich zwykłych obowiązków. Zajmowali się głównie częścią głosową całej sprawy. „Z drogi, komodorze!" — wrzeszczał jeden z nich do wielkiego dromadera, który raptem wynurzył się na powierzchnię i przez chwilę zagrażał nam zalaniem wodą. „W dół ten ogon!” — wołał drugi do innego wieloryba, który tuż u naszej burty niby to spokojnie się chłodził swą wachlarzowatą kończyną.

Wszystkie szalupy wielorybnicze mają pewne ciekawe przyrządy, pierwotnie wymyślone przez Indian nantucketańskich, a zwane kolcami. Dwa grube bloki drewna, równych rozmiarów, spaja się mocno ze sobą, tak żeby ich słoje krzyżowały się prostopadle; następnie pośrodku przyczepia się dosyć długą linę, która zakończona jest pętlą, żeby każdej chwili móc ją przytroczyć do harpuna. Urządzenia tego używa się głównie wśród „zbzikowanych” wielorybów, naówczas bowiem jest ich więcej wkoło nas, niżbyście mogli upolować za jednym zamachem. A przecie kaszalotów nie spotyka się codziennie; trzeba więc ubić ich tyle, ile się da, póki czas. Ponieważ zaś niepodobna zabić wszystkich od razu, musi się więc je zbarczyć, aby następnie pozabijać bez pośpiechu. Dlatego to w takich razach stosuje się ów kloc.

Łódź nasza wyposażona była w trzy takie sztuki. Pierwsza i druga została pomyślnie wyrzucona i ujrzeliśmy, jak wieloryby umykają niezdarnie, spętane olbrzymim, ciągnącym je w bok ciężarem kloca. Były obezwładnione niby złoczyńcy, którym uwiązano u nogi żelazną kulę na łańcuchu. Jednakże za trzecim

razem, w chwili gdy wyrzucano za burtę niezgrabny, drewniany kloc, zaczepił on o jedną z ławek szalupy, wyrwał ją od razu i poniósł z sobą, a wioślarz opadł na dno łodzi w momencie, gdy wysunęło się spod niego siedzenie. Poprzez okaleczone deski wdarła się z obu stron woda, jednakże zatkaliśmy otwory bielizną, co chwilowo powstrzymało przeciekanie.

Byłoby prawie niepodobieństwem rzucić tak obciążone harpuny, gdyby nie to, że w miarę jak się posuwaliśmy w głąb stada, znacznie malała szybkość naszego wieloryba; a nadto im bardziej oddalaliśmy się od obwodu całej ciżby, tym wyraźniej zdawał się ustępować ów okropny nieład. Tak że gdy na koniec szarpany przez wieloryba harpun wysunął mu się z ciała, a holujący nas potwór znurkował bokiem i zniknął, my, pociągnięci rozpędem jego ostatniego szarpnięcia, wśliznęliśmy się między dwa wieloryby w samym sercu stada, zupełnie jakbyśmy spłynęli z jakiegoś górskiego potoku na spokojne jezioro w dolinie. Tutaj burze ryczące w wąwozach między zewnętrznymi wielorybami dawały się tylko słyszeć, ale już ich nie odczuwano. Na tej środkowej przestrzeni morze miało ową równą, jedwabistą powierzchnię, noszącą nazwę flauty, a wywołaną przez delikatną ciecz, jaką wyrzuca wieloryb, gdy jest w spokojniejszym nastroju. Tak, znajdowaliśmy się oto pośród owego zaklętego spokoju, który, jak powiadają, kryje się w jądrze każdego rozruchu. A w niewyraźnej dali widzieliśmy kotłowisko zewnętrznych koncentrycznych kręgów oraz kolejne stadka wielorybów po osiem lub dziesięć sztuk, szparko krążących w kółko, jedno za drugim niby rozliczne pary koni na arenie; i to tak blisko siebie, że jakiś tytaniczny jeździec cyrkowy mógłby snadnie stanąć okrakiem ponad środkowymi i w ten sposób objechać koło na ich grzbietach. Z uwagi na zbitą ciżbę odpoczywających wielorybów, bezpośrednio otaczających zewsząd zamkniętą oś stada, nie mieliśmy żadnej w ogóle możliwości ucieczki. Musieliśmy wypatrywać jakiegoś wyłomu w żywym murze, co nas otaczał, a wpuścił jedynie po to, żeby nas zamknąć w swym wnętrzu. Utrzymując się na środku

owego jeziorka, byliśmy od czasu do czasu odwiedzani przez małe, łagodne krowy i cielęta wielorybie — kobiety i dzieci owych burzliwych zastępów.

Owóż włącznie z widniejącymi tu i ówdzie szerokimi odstępami między jednym kręgiem krążącym na zewnątrz a drugim, a także wraz z pustymi miejscami dzielącymi stadka w każdym z owych kół, całkowita przestrzeń ogarnięta w tej chwili przez roje wielorybów musiała obejmować przynajmniej dwie czy trzy mile kwadratowe. W każdym razie — choć podobny sprawdzian dokonany w owym momencie był zapewne zwodniczy — nawet z naszej niskiej szalupy mogliśmy wypatrzeć fontanny tryskające niemal na samym skraju horyzontu. Wspominam o tej okoliczności, ponieważ czy to krowy i cielęta rozmyślnie zamknięto w tej wewnętrznej zagrodzie, czy ogromna rozległość stada nie pozwoliła im dotąd poznać właściwej przyczyny zatrzymania — czy też, kto wie, dlatego, że były tak młode, niezepsute i pod każdym względem niewinne i niedoświadczone — dość że te pomniejsze wieloryby, od czasu do czasu przybywające ze skraju jeziorka z wizytą do naszej uspokojonej łodzi, wykazywały zdumiewający brak strachu tudzież pewność siebie czy też jakby czarem okiełzanny lęk, na którego widok niepodobna było oprzeć się zdumieniu. Podpływały zewsząd, obwąchując nas niby domowe psy, zbliżały się do samych burt i dotykały ich; aż wydawało się, że jakieś zaklęcie nagle je obłaskawiło. Queequeg klepał je po czołach, Starbuck łechtał ich grzbiety lancą, wszelako w obawie przed skutkami na razie wstrzymywał się od ciosu.

Lecz oto hen, w dole, pod tym zdumiewającym światem na powierzchni wód, oczy nasze, gdyśmy wyjrzeli przez burtę, spotkały inny, jeszcze dziwniejszy świat. Albowiem zawieszone wśród owych wodnych sklepień unosiły się kształty karmiących matek wielorybich i tych, które sądząc po olbrzymiej grubości, najwyraźniej miały niedługo matkami zostać. Jak już wspomniałem, jeziorko było do znacznej głębokości niesłychanie przeźroczyste; i podobnie jak ludzkie niemowlęta ssąc spoglądają nieruchomo i spokojnie nie na pierś, a w

przestrzeń, jak gdyby wiodły jednocześnie dwa odrębne życia i wchłaniając doczesny pokarm, duchowo brały jeszcze udział w biesiadzie złożonej z jakichś nieziemskich wspomnień — tak właśnie młode tych wielorybów zdawały się patrzeć w górę, ku nam, ale nie na nas, jak gdybyśmy w ich nowo narodzonych oczach byli jedynie kępką morskich wodorostów. Matki leżące na boku jakby również spokojnie na nas spoglądały. Jedno z tych maleńkich niemowląt, które, jak można było wnosić z pewnych szczególnych oznak, nie miało więcej niż dzień, mierzyło około czternastu stóp długości, a sześciu w obwodzie. Było ono nieco rozdokazywane, chociaż na razie ciało jego niezbyt snadź odpoczęło po uciążliwej pozycji, którą jeszcze tak niedawno zajmowało w matczynym łonie, kędy to z ogonem przy głowie, w pełnej gotowości do ostatecznego skoku, nie narodzony wieloryb leży wygięty niczym łuk tatarski. Delikatne płetwy boczne, płaty jego ogona jeszcze nadal zachowały pofałdowany i zmiętoszony wygląd uszu dziecka świeżo przybyłego z nieznanych stron.

— Lina! Lina! — krzyknął Queequeg wyglądając przez burtę. — Złapany! Złapany! Czyja lina? Kto go trafić? Dwie wieloryby: jedna duży, druga mały!

— Co cię ukąsiło, człowieku? — zawołał Starbuck.

— Patrzeć tutaj — odparł Queequeg wskazując w dół. Podobnie jak wtedy, gdy ugodzony wieloryb, wyciągnąwszy z bębna setki sążni liny, znurkuje głęboko, a potem znów wypływa do góry ukazując luźne jej skręty, lekko podnoszące się spiralami ku powierzchni, tak i teraz Starbuck ujrzał długie zwoje pępowiny Madame Lewiatanowej, którymi młode cielę było snadź nadal przytwierdzone do swej matki. Nierzadko w toku błyskawicznych wydarzeń polowania owa naturalna lina, której matczyny koniec jest już wolny, splącze się z liną konopną, w ten sposób pętając cielaka. Niektóre z najskrytszych tajników morza objawiły nam się w owej zaklętej sadzawce. Ujrzeliśmy w głębinach miłosne igraszki młodych Lewiatanów.**********

I tak oto, choć je otaczał krąg za kręgiem lęku i trwogi, owe niepojęte stworzenia, znajdujące się pośrodku, swobodnie i bez obawy oddawały się wszelkim pokojowym zajęciom, a nawet z pogodą rozkoszowały się pustotą i uciechą. Ale tak samo przecie pośród huraganowego Atlantyku mojego jestestwa, zawsze w środku raduję się niemym spokojem i podczas gdy ważkie planety nie ustającej zgryzoty obracają się wokoło mnie, gdzieś głęboko, gdzieś daleko w głębi lądu nadal się pławię w wieczystej słodyczy radości.

Tymczasem, gdyśmy tak trwali jak urzeczeni, w oddali nagłe, opętańcze sceny od czasu do czasu dawały znać o działaniu innych szalup zajętych łowami na skraju stada czy może prowadzących wojnę wewnątrz pierwszego kręgu, gdzie miały obfitość miejsca i łatwość odwrotu. Wszelako widok spętanych klocami, wściekłych wielorybów, tam i sam rzucających się na oślep wskroś kręgów stada, był niczym w porównaniu z tym, cośmy na koniec ujrzeli. Istnieje czasem zwyczaj, że gdy łódź przytrzyma wieloryba o niepospolitej sile i zręczności, usiłuje go się jak gdyby okulawić przecinając lub okaleczając jego gigantyczne ścięgno ogonowe. Dokonuje się tego przez rzucenie łopatki wielorybniczej o krótkiej rękojeści, do której uwiązana jest linka dla przyciągnięcia jej z powrotem. Otóż (jak się później dowiedzieliśmy) jeden z wielorybów zraniony w tę część ciała, wszakże podobno nieskutecznie, wyrwał się łodzi zabierając z sobą połowę liny harpunowej i w niesłychanej męce, jaką mu zadawała rana, gnał teraz wskroś krążących kół stada, niby ów samotny konny straceniec Arnold w bitwie pod Saratogą, niecąc popłoch, gdziekolwiek się zjawił.

Jednakże choć rana owego wieloryba była tak bardzo dręcząca, a widok rzeczywiście straszliwy, przecież szczególne przerażenie, jakie najwyraźniej niecił pośród reszty stada, wynikało z przyczyny, którą zrazu przysłoniła nam odległość. Nareszcie jednak dostrzegliśmy, że przez jeden z nieprawdopodobnych wypadków łowieckich ów wieloryb zaplątał się w ciągnioną przez siebie linę harpunową; uciekał mając wbitą we własne ciało łopatkę i podczas gdy wolny

koniec linki przytwierdzonej do tej ostatniej uwikłał się na dobre w zwoje linki harpunowej, owiniętej wokoło ogona, sama łopatka wysunęła się z ciała wieloryba. Tak więc, umęczony do szaleństwa, roztrącał teraz toń młócąc gwałtownie swym giętkim ogonem i miotał wokoło ostrą łopatkę, raniąc i mordując własnych towarzyszy.

Ów widok straszliwy najwyraźniej wyrwał całe stado z odrętwiałego lęku. Naprzód wieloryby tworzące skraj naszego jeziora zaczęły się nieco tłoczyć i przepychać wzajemnie, jakby je uniosły słabnące fale, co przypłynęły z oddali; następnie samo jezioro poczęło się lekko wzdymać i kołysać, znikły podmorskie komnaty małżeńskie oraz dziecinne pokoje, wieloryby tworzące środkowe koła poczęły pływać w coraz bardziej zbitych gromadkach po stale zacieśniającej się orbicie. Tak pierzchał długotrwały spokój. Rychło usłyszano stłumiony, coraz to bliższy szum i wreszcie, niby rozhukane masy kry, kiedy to wiosną pękają lody na wielkiej rzece Hudson, całe zastępy wielorybów wwaliły się w sam środek, jak gdyby chciały się spiętrzyć w jedną wspólną górę. Natychmiast Starbuck i Queequeg zamienili się miejscami, tak że Starbuck zasiadł na rufie.

— Do wioseł! Do wioseł! — szepnął w napięciu, chwytając rękojeść steru. — Łapcie się teraz za wiosła i bierzcie w kupę! Trzymajcie się, na Boga! Odepchnij go tam, ty, Queequeg, o, tego wieloryba! Dziabnij go! Wal go! Wstawaj i zostań tak! Nuże, ludzie, wiosłować. Nie zważać na ich grzbiety. Podrapcie po nich!

Szalupa była teraz niemal ściśnięta między dwoma wielkimi czarnymi wielorybami, które pozastawiały między swymi długimi cielskami tylko wąziutkie Dardanele. Dzięki rozpaczliwym wysiłkom wyrwaliśmy się nareszcie na chwilowo otwartą przestrzeń, a następnie szybko się cofnęliśmy, jednocześnie gorliwie wypatrując innego ujścia. Po wielu podobnych wymykaniach się o włos od katastrofy, wypłynęliśmy wreszcie bystro na przestrzeń niedawno objętą jednym z zewnętrznych kół, a przemierzaną teraz przez

najróżniejsze wieloryby, które kierowały się gwałtownie do jednego centralnego punktu. Owo szczęśliwe ocalenie okupione zostało tanio utratą kapelusza Queequega, któremu, gdy stał na dziobie i kłuł uciekające wieloryby, zdmuchnął go z głowy wir powietrzny, wywołany przez nagłe a bliskie strzepnięcie szerokich płetw ogonowych.

Aczkolwiek powszechne poruszenie było teraz tak burzliwe i bezładne, wkrótce przecie przybrało pozór systematycznego ruchu, gdy skupiwszy się wreszcie w jedną zwartą masę, wieloryby ponowiły ucieczkę przed siebie ze zwiększoną chyżością. Dalszy pościg był już bezcelowy, ale szalupy trwały jeszcze na szlaku, aby pochwytać spętane klocami wieloryby, które mogły w tyle pozostać, jak również aby zabrać tego, którego Fiask ubił i naznaczył proporczykiem. Proporczyk ów jest to drążek z chorągiewką; dwa lub trzy takie zabiera ze sobą każda szalupa i kiedy ma się na podorędziu dodatkową zwierzynę, zatyka się je pionowo w pływające ciało ubitego już wieloryba po to, aby oznaczyć jego miejsce na morzu, a także jako dowód pierwotnego zięcia w posiadanie, na wypadek, gdyby szalupy jakiegoś innego statku znalazły się w pobliżu.

Wynik tych łowów był poniekąd ilustracją mądrego powiedzenia rybackiego: „Im więcej wielorybów, tym mniejsza zdobycz.” Ze wszystkich spętanych klocami wielorybów pojmaliśmy tylko jednego. Reszta zdołała na razie ujść, ale tylko po to, by stać się łupem innego statku, jak to się później okaże.

ROZDZIAŁ LXXXVIII
SZKOŁY I NAUCZYCIELE

Poprzedni rozdział mówił o olbrzymiej masie, czyli o stadzie kaszalotów; podano w nim również prawdopodobne przyczyny zbierania się ich w tak wielkie skupiska.

Owóż choć czasami spotyka się takie ogromne stada, jednakże, jak się o tym z całą pewnością przekonano, po dziś dzień obserwować można małe, oderwane gromadki obejmujące od dwudziestu do pięćdziesięciu sztuk każda. Takie gromadki znane są pod nazwą „szkół". Bywają one zazwyczaj dwóch rodzajów; pierwsze składają się niemal wyłącznie z samic, w drugich zaś skupiają się tylko młode krzepkie samce, poufale zwane bykami.

Przy szkole żeńskiej niezmiennie widzimy towarzyszącego jej z galanterią samca w pełni rozrostu, ale nie starego, który za lada alarmem wykazuje swoją rycerskość zajmując miejsce w tyle i osłaniając ucieczkę dam. W rzeczywistości ów dżentelmen jest rozmiłowanym w rozkoszach Ottomanem, co pływa po wodnym świecie otoczony wszelkimi uciechami i karesami haremu. Kontrast między owym Sułtanem i jego konkubinami jest uderzający, gdyż o ile on sam ma zawsze największe lewiatańskie rozmiary, to damy, nawet w pełni wyrośnięte, nie przekraczają jednej trzeciej wielkości przeciętnego samca. Są one w istocie stosunkowo delikatne; powiedziałbym, że nie mają więcej niż pół tuzina jardów w talii. Niemniej jednak nie sposób zaprzeczyć, że na ogół mają dziedziczną skłonność do *embonpointu*.

Jest rzeczą bardzo ciekawą obserwować harem i jego pana w trakcie ich gnuśnych wędrówek. Wzorem osób wytwornych są

one bowiem wiecznie w poszukiwaniu nowych wrażeń. Spotyka się je na równiku w porze pełnego rozkwitu ekwatorialnego sezonu żerowego, dokąd, być może, dopiero co powróciły po spędzeniu lata na morzach północnych, w ten sposób wykpiwszy się od wszelkich nieprzyjemnych znojów i upałów letniej pory. Przespacerowawszy się nieco tam i na powrót po promenadzie równika, ruszają na wody wschodnie w oczekiwaniu tamtejszego chłodnego sezonu i tak unikają tej drugiej zbyt wysokiej temperatury roku.

Spokojnie odbywając jedną z tych wędrówek, imć pan wieloryb, jeżeli jakikolwiek dziwny, podejrzany dostrzeże widok, ma zaraz przezorne baczenie na swoją interesującą familię. Gdyby jakiś nieobliczalny, zuchwały młody Lewiatan, spotkany po drodze, zamyślał zbliżyć się poufale do którejś z dam, z jakąże szaloną furią natrze nań Basza i precz go przepędzi! W istocie piękne by to były czasy, gdyby pozbawionym zasad młodym lowelasom miano zezwolić na wdzieranie się w świętość szczęścia domowego; choć z drugiej strony Basza może robić, co chce, a przecie nie jest w stanie utrzymać najbardziej notorycznego Lotaria z dala od swej łożnicy, ile że — niestety! — wszystkie ryby dzielą ze sobą jedno łoże. Podobnie jak na lądzie damy często stają się przyczyną najsroższych pojedynków między rywalizującymi ze sobą wielbicielami, tak samo rzecz się ma i u wielorybów, które czasem wdają się w śmiertelne bitwy, a wszystko z miłości. Fechtują się siwymi długimi dolnymi szczękami, czasem je sczepiają z sobą, i w ten sposób walczą o zdobycie przewagi, wzorem łosi, co w walce splątują swe rosochy. Niemało chwyta się wielorybów noszących głębokie blizny po owych potyczkach — bruzdy na głowach, wyłamane zęby, postrzępione płetwy, a w niektórych przypadkach wybite i wywichnięte paszcze.

Przypuściwszy jednak, iż burzyciel domowego ogniska zabierze się precz na pierwszy odruch pana haremu — wówczas ogromnie zabawne jest obserwować tego ostatniego. Wsuwa on delikatnie ogromny kadłub między swą trzódkę i zabawia się tam przez chwilę, zadając męki Tantala

przebywającemu w pobliżu młodemu Lotarowi, niczym pobożny Salomon żarliwie się modlący pośród tysiąca nałożnic. O ile inne wieloryby są w zasięgu wzroku, poławiacze rzadko kiedy rozpoczną łowy na któregoś z owych Padyszachów; Padyszachowie bowiem zbyt rozrzutnie szafują swoimi siłami i dlatego niewiele posiadają oleju. Co się zaś tyczy synów i córek, które płodzą, to owi synowie i córki muszą sobie samodzielnie dawać radę, co najwyżej jedynie z matczyną pomocą. Albowiem wzorem innych wszystkożernych, wędrownych kochanków, jakich by można wymienić, imć Wieloryb nie ma upodobania do dziecinnego pokoju, choć mu go nie brak do buduaru; toteż będąc wielkim podróżnikiem, pozostawia po całym świecie bezimienne dzieci, z których każde jest mu nie znane. Po pewnym czasie wszelako przygasają ognie młodości, w miarę jak narastają lata i melancholia, jak przychodzi zastanowienie wraz ze swymi uroczystymi momentami spokoju; krótko mówiąc ogólne znużenie ogarnia nasyconego Turczyna i wówczas umiłowanie ukojenia i cnoty wypiera miłość do dziewcząt: nasz Padyszach wkracza w bezsilny, skruszony, przestrogami brzemienny okres żywota, wyrzeka się haremu i rozpuszcza go, a przemieniwszy się w przykładnego, markotnego starucha wędruje samotnie wśród południków i równoleżników, odmawiając modlitwy i przestrzegając każdego młodego Lewiatana przed miłosnymi błędami.

Otóż jak harem wielorybi zwany jest przez łowców szkołą, tak też pan i władca owej szkoły nosi fachowe miano nauczyciela. Nie jest więc rzeczą całkiem właściwą, choć kryje się w tym wspaniała satyra, iż choć sam do szkoły uczęszczał, teraz chadza po świecie wdrażając innym nie to, czego się tam nauczył, ale poczucie całej tego niedorzeczności. Zdawałoby się, że jego tytuł nauczyciela wywodzi się w sposób całkiem naturalny od nazwy nadanej samemu haremowi, ale niektórzy mniemają, że człowiek, który po raz pierwszy tak nazwał ów rodzaj sułtańskiego wieloryba, musiał czytać memuary Vidocqa i dowiedzieć się, jakiego typu wiejskim nauczycielem był za

młodu ów głośny Francuz, tudzież jakiej natury były owe tajemnicze lekcje udzielane przezeń niektórym z uczennic.

To samo odosobnienie oraz izolację, do jakiej ucieka się nauczyciel w podeszłych leciech, stwierdzić można u wszystkich sędziwych kaszalotów. Pojedynek — jak nazywają samotnego Lewiatana — niemal powszechnie okazuje się starcem. Niby czcigodny, omszałobrody Daniel Boone nie chce on mieć nikogo w pobliżu prócz samej Natury i ją właśnie bierze sobie za małżonkę pośród pustkowia wód, ona zaś jest mu najlepszą z żon, choć tyle posępnych zachowuje tajemnic.

Wspomniane już wyżej szkoły złożone wyłącznie z młodych i krzepkich samców stanowią jaskrawy kontrast ze szkołami haremowymi. Albowiem o ile samice wielorybie cechuje charakterystyczna bojaźliwość, to młode samce, czyli Byki-Szkunery, jak je nazywają, są bezwzględnie najbardziej wojowniczymi ze wszystkich Lewiatanów i przysłowiowo najniebezpieczniejszymi w spotkaniu, wyjąwszy owe przedziwne, siwogłowe, popielate wieloryby, które się czasem spotyka, a które walczyć z wami będą niczym zawzięte szatany, rozwścieczone dotkliwą podagrą.

Szkoły złożone z Byków-Szkunerów są większe od szkół haremowych. Niby ciżba młodych studentów, awanturnicze, żądne uciech i zepsute, taczają się po świecie, tak zuchwałe i rozhukane, że żaden roztropny urzędnik nie ubezpieczyłby ich, podobnie jak nie uczyniłby tego z jakimś awanturniczym chłopakiem z Yale czy też z Harvardu. Rychło jednak porzucają owe brewerie i gdy już urosną do jakichś trzech czwartych pełnego rozmiaru, rozłącza ją się i osobno ruszają na poszukiwanie sposobu urządzenia sobie życia, to znaczy haremu.

Inny moment różniący szkoły męskie od żeńskich jest jeszcze bardziej charakterystyczny dla płci obojga. Przypuśćmy, że ugodzicie takiego Byka-Szkunera. Biedaczysko! Wszyscy koledzy go opuszczają. Ale jeśli porazicie damę ze szkoły haremowej, to jej towarzyszki pływać będą wokół niej ze

wszystkimi oznakami troski, czasem marudząc w pobliżu tak długo, że same padają ofiarą.

ROZDZIAŁ LXXXIX
RYBA PRZYTRZYMANA I RYBA WOLNA

Aluzja do proporczykóww oraz ich drążków, zamieszczona w przedostatnim rozdziale, nasuwa konieczność złożenia pewnych wyjaśnień co do praw tudzież reguł wielorybnictwa, za których główny symbol i oznakę można uważać ów właśnie proporczyk.

Często się zdarza, że kiedy kilka statków poluje pospołu, jakiś wieloryb, trafiony przez jeden z nich, może się następnie wymknąć i wreszcie paść ofiarą innego; z tym też się łączą liczne pomniejsze ewentualności, które razem składają się na jedną główną całość. Na przykład po znojnym i niebezpiecznym pościgu i upolowaniu wieloryba cielsko jego może się oderwać od żaglowca w czasie gwałtownego sztormu i odsunąwszy się daleko ku zawietrznej, wpaść w ręce innych poławiaczy, którzy wśród spokojnej pogody cichutko je przyholują do boku swego statku nie ryzykując życia ani lin. W ten sposób między wielorybnikami często mogłyby najprzykrzejsze i najgwałtowniejsze wyniknąć kłótnie, gdyby nie istniało pewne pisane czy nie pisane, powszechne, niesporne prawo dające się stosować do wszelkich przypadków.

Zapewne jedynym formalnym kodeksem wielorybniczym, autoryzowanym przez nadanie mu mocy prawnej, był kodeks holenderski. Wydany został przez Stany Generalne w roku pańskim 1695. Ale choć żaden inny naród nigdy nie posiadał jakiegokolwiek oisaneso prawa wielorybniczego, przecie amerykańscy poławiacze sami dla siebie stali się

prawodawcami i jurystami w tej mierze. Stworzyli system, którego zwięzłość i wszechstronność przewyższa Pandekta Justyniana tudzież statuty Chińskiego Towarzystwa do Walki z Wtrącaniem się w Sprawy Innych Ludzi. Owszem, prawa owe można by wyryć na szelągu królowej Anny czy na zadziorze harpuna i nosić je zawieszone na szyi — tak są krótkie:

I. Ryba Przytrzymana należy do tego, kto ją przytrzymał.

II. Ryba Wolna jest zwierzyną dozwoloną każdemu, kto ją pierwszy pochwycić potrafi.

Tym jednak, co płata figle owemu mistrzowskiemu kodeksowi, jest jego podziwu godna zwięzłość, która wymaga dużego tomu komentarzy, aby go należycie objaśnić.

Po pierwsze: co to jest Ryba Przytrzymana? Ryba żywa czy martwa wówczas nazywa się Przytrzymaną, kiedy jest połączona z obsadzonym przez ludzi statkiem czy łodzią za pomocą jakiegokolwiek środka, nad którym ów stanowiący obsadę człowiek czy ludzie mogą w ogóle panować — obojętne, czy będzie to maszt, czy wiosło, dziewięciocalowa lina, drut telegraficzny, czy pasmo pajęczyny. Tak samo ryba uważana jest za Przytrzymaną, jeśli nosi proporzec czy jakikolwiek inny uznany symbol posiadania — póki załoga, która ją oznaczyła, w sposób oczywisty wykazuje zdolność do przycumowania jej w Itażdej chwili tudzież zamiar dokonania tego.

To są komentarze naukowe; wszelako komentarze samych wie-lorybników czasem polegają na mocnych słowach i jeszcze mocniejszych razach — takich Coke-Littletonach pięści. Oczywiście, uczciwsi i bardziej honorowi wielorybnicy zawsze uwzględniają szczególne przypadki, w których byłoby jaskrawą moralną niesprawiedliwością ze strony jednej załogi rościć sobie prawo do wieloryba uprzednio ściganego czy ubitego przez drugą. Jednakże inni bynajmniej nie mają podobnych skrupułów.

Jakieś pięćdziesiąt lat temu rozpatrywany był w Anglii ciekawy spór o prawo własności do wieloryba; powodowie wyjaśnili, że kiedy po ciężkiej pogoni za wielorybem na morzach północnych udało się im (powodom) trafić go

harpunami, zmuszeni zostali, z uwagi na niebezpieczeństwo życia, do porzucenia nie tylko swych lin, ale nawet własnej szalupy. Ostatecznie pozwani (załoga innego statku) podpłynęli do wieloryba, ugodzili go, zabili, pochwycili i wreszcie przywłaszczyli sobie w oczach powodów. Kiedy zaś upominano owych pozwanych, ich kapitan machnął ręką przed nosem powodów i upewnił ich, że dla uświęcenia dokonanego przez siebie czynu zatrzyma jeszcze ich liny, harpuny oraz łódź, która była przyczepiona do wieloryba w momencie zagarnięcia ryby. Toteż powodowie wytoczyli teraz sprawę o zasądzenie na ich korzyść równowartości wieloryba, lin, harpunów i szalupy.

Pan Erskine był obrońcą pozwanych, a lord Ellenborough sędzią. W trakcie obrony dowcipny Erskine począł ilustrować swoje wywody wspomnieniami o niedawnej sprawie na tle seksualnym, kiedy to pewien dżentelmen, po daremnych próbach okiełznania rozwiązłości swojej małżonki, nareszcie ją porzucił na morzach żywota; jednakże z biegiem lat pożałował tego kroku i wszczął sprawę o przywrócenie posiadania. Erskine występował wówczas po przeciwnej stronie i popierał jej stanowisko, twierdząc, że lubo ów jegomość pierwotnie trafił damę harpunem i niegdyś ją przytrzymał, a porzucił ją wreszcie jedynie z uwagi na ogromnie silne napięcie wynikające z jej nurkującego zepsucia, uczynił to przecie, a więc stała się ona Rybą Wolną; toteż kiedy następny dżentelmen znowu ją zharpunował, dama stała się jego własnością włącznie ze wszelkimi harpunami, jakie w jej ciele znaleźć by można.

Otóż w niniejszym przypadku Erskine dowodził, że przykłady wieloryba i damy wzajemnie się ilustrują.

Wysłuchawszy jak należy owych argumentów i kontrargumentów wielce uczony sędzia w dobitny sposób sprawę rozstrzygnął, a mianowicie: jeśli idzie o szalupę, to przyznał ją powodom, ponieważ opuścili ją jedynie dlatego, aby ratować własne życie, natomiast co do spornego wieloryba, harpunów i lin uznał, że należą one do pozwanych; wieloryb, ponieważ w chwili ostatecznego pochwycenia był Rybą Wolną, a harpuny i liny dlatego, że kiedy ryba zemknęła wraz z nimi,

nabyła do tych przedmiotów prawa własności i stąd, ktokolwiek ją później pochwycił, również to prawo do nich zyskiwał. Owóż pozwani pochwycili rybę później, *ergo* wyżej wymienione artykuły im się należą.

Zwykły człowiek, zastanawiając się nad tą decyzją wielce uczonego sędziego, będzie może miał wobec niej zastrzeżenia. Ale jeśli się dokopać do samego pierwotnego sedna sprawy, to owe dwie wielkie zasady, ustanowione w uprzednio zacytowanych bliźniaczych prawach wielorybniczych tudzież zastosowane i wyjaśnione przez lorda Ellenborough w przytoczonej powyżej sprawie, a dotyczące Ryby Przytrzymanej oraz Ryby Wolnej, uznamy po namyśle za podwaliny wszelkiej ludzkiej jurysprudencji; bowiem mimo swoich wymyślnie rzeźbionych ozdób, Świątynia Sprawiedliwości, podobnie jak Świątynia Filistynów, ma tylko dwie podpory, na których stanąć może.

Czyż nie jest powszechnie znane owo powiedzenie, że Posiadanie to połowa Prawa, i to bez względu na sposób, w jaki dana rzecz w posiadanie się dostała? Ale często Posiadanie jest całością Prawa. Czymże są mięśnie i dusze rosyjskich poddanych i republikańskich niewolników, jeśli nie Rybą Przytrzymaną, której posiadanie całość prawa stanowi? Czym dla drapieżnego właściciela ziemskiego jest ostatni szeląg wdowi, jeśli nie Rybą Przytrzymaną? A czym ów marmurowy pałac niewykrytego łotra, mający na drzwiach tabliczkę miast proporczyka — czym, jeżeli nie Rybą Przytrzymaną? Czym, jeśli nie Rybą Przytrzymaną, jest rujnujący procent, jaki pośrednik Wysysacz potrąca biednemu bankrutowi, Nędzocie, od pożyczki mającej uchronić rodzinę Nędzoty od śmierci głodowej? Czym jest owe 100 000 funtów dochodu arcybiskupa Ratujdusza, ściągnięte ze skąpego chleba z serem setek tysięcy robotników, którym grzbiet pęka od znoju (a którzy mają zapewnione miejsce w niebiesiech bez żadnej pomocy Ratujdusza), czymże jest owe krągłe 100 000, jeśli nie Rybą Przytrzymaną? Czym są dziedziczne miasteczka i wioski księcia Wartogłowa, jeśli nie Rybą Przytrzymaną? Czym jest biedna Irlandia dla owego

straszliwego harpunnika, Johna Bulla, jeżeli nie Rybą Przytrzymaną? Czym Teksas dla apostolskiego oszczepnika, Brata Jonatana, jeśli nie Rybą Przytrzymaną? A więc zważywszy to wszystko, czyż Posiadanie nie jest całością Prawa?

Atoli o ile doktryna Ryby Przytrzymanej daje się niemal powszechnie stosować, to pokrewna doktryna Ryby Wolnej ma zakres jeszcze szerszy. Tę można stosować międzynarodowo i powszechnie.

Czym była w roku 1492 Ameryka, jeśli nie Rybą Wolną, na której Kolumb zatknął sztandar hiszpański, znacząc ją tym proporcem w imieniu swego królewskiego Pana i Pani? Czym była Polska dla cara? Czym Grecja dla Turka? Czym Indie dla Anglii? Czym wreszcie stanie się Meksyk dla Stanów Zjednoczonych? Wszystko to Ryby Wolne.

Czym są Prawa Człowieka i Wolności Świata, jeśli nie Rybami Wolnymi? Czym są zdania i opinie wszystkich ludzi, jeśli nie Rybami Wolnymi? A czym jest zasada religijnej w nie wiary, jeśli nie tym samym? Czym są dla ostentacyjnych szmuglerzy-werbalistów słowa myślicieli, jeśli nie Rybą Wolną? Czym jest sama ta wielka kula ziemska, jeżeli nie Rybą Wolną? A czymże ty jesteś, człowieku, jeśli nie Rybą Wolną i Rybą Przytrzymaną zarazem?

ROZDZIAŁ XC
GŁOWY CZY OGONY

De balaena vero sufficit, si rex habeat caput, et regina caudam. Bracton, 1. 3, c. 3.

Oto łaciński cytat z księgi praw Anglii, który wraz z kontekstem oznacza, że ze wszystkich wielorybów upolowanych przez kogokolwiek u wybrzeży tego kraju, król, jako Honorowy Wielki Harpunnik, winien otrzymać głowę, królowej zaś należy z respektem ofiarować ogon. Jest to podział, który u wieloryba mocno przypomina przepołowienie jabłka, ponieważ brak tu jakiejś pośredniej reszty. A jako że to prawo w zmodyfikowanej formie po dziś dzień w Anglii obowiązuje oraz z uwagi na fakt, że pod różnymi względami stanowi dziwną anatomię w stosunku do ogólnych przepisów o Rybie Wolnej i Przytrzymanej, omówione to więc zostanie w osobnym rozdziale, na tej samej kurtuazyjnej zasadzie, która skłania koleje angielskie do pokrywania kosztów osobnego wagonu specjalnie zarezerwowanego na użytek rodziny królewskiej. Przede wszystkim, jako osobliwy dowód faktu, że wyżej wspomniane prawo nadal pozostaje w mocy, przystąpię do przedstawienia wam pewnego wypadku, który zdarzył się przed dwoma laty.

Mianowicie jakimś zacnym marynarzom z Dovru czy Sandwich, czy też któregoś z Cinąue Ports udało się po uciążliwej pogoni ubić i wyciągnąć na brzeg pięknego wieloryba, którego pierwotnie wypatrzyli daleko od wybrzeża. Otóż Cinąue Ports znajdują się czy to częściowo, czy jakoś inaczej pod jurysdykcją kogoś w rodzaju policjanta bądź pedla, zwanego Lordem Strażnikiem. Ponieważ, jak mi się zdaje,

otrzymuje on swój urząd wprost od Korony, zatem wszelkie królewskie dochody, wpływające z terytorium Cinąue Ports, przypadają mu w udziale. Niektórzy pisarze zowią ów urząd synekurą. Tak jednak nie jest. Albowiem Lord Strażnik bywa czasem bardzo zajęty ściąganiem dochodów, które głównie dzięki temu właśnie ściąganiu stają się jego własnością.

Otóż kiedy ci biedni, ogorzali majtkowie, na bosaka, w portkach wysoko podwiniętych na chuderlawych nogach, z trudem wywlekli na suchy ląd tłustą rybę, obiecując sobie dobre 150 funtów za cenny olej i kości, i w wyobraźni, za pieniądze uzyskane z przypadających im części, już pociągali wyborną herbatę w towarzystwie swoich małżonek oraz przednie piwo z przyjaciółmi — podchodzi do nich wielce uczony i bardzo chrześcijański a litościwy jegomość z egzemplarzem Blackstone'a pod pachą i położywszy dłoń na głowie wieloryba powiada: — Ręce precz! Ta ryba, moi panowie, jest Rybą Przytrzymaną. Konfiskuje ją jako własność Lorda Strażnika. — Na to biedni majtkowie w pełnej uszanowania konsternacji — tak rzetelnie angielskiej — nie wiedząc, co powiedzieć, nuże się energicznie drapać po głowach, jednocześnie pozierając żałośliwie to na wieloryba, to na nieznajomego. To jednak w żadnej mierze nie poprawiło sprawy ani bynajmniej nie zmiękczyło twardego serca uczonego dżentelmena z egzemplarzem Blackstone'a. Wreszcie jeden z marynarzy, po długim drapaniu się w głowę w poszukiwaniu pomysłu, ośmielił się przemówić:

— Przepraszam wielmożnego pana, ale kto to jest Lord Strażnik?

— Książę.

— Ale książę nie miał nic wspólnego z ułowieniem tej ryby.

— Ryba należy do księcia.

— Znieśliśmy wiele trudów, niebezpieczeństw, mieliśmy trochę wydatków — a to wszystko ma wyjść na korzyść księciu, my zaś nie dostaniemy nic a nic za nasz znój, krom bąbli na rękach?

— Ryba należy do księcia.

— Czyżby książę był tak ubogi, że zmuszony jest do podobnie rozpaczliwego sposobu zarabiania na życie?

— Ryba należy do księcia.

— Częścią mojego udziału chciałem nieco ulżyć starej matce przykutej do łoża.

— Ryba należy do księcia.

— Czy książę nie zadowoliłby się ćwiartką albo też połową?

— Ryba należy do księcia.

Jednym słowem wieloryb został skonfiskowany i sprzedany, a Jaśnie Oświecony książę Wellington otrzymał pieniądze. Mniemając, że istnieje niejaka możliwość, iż sprawa oglądana w pewnym szczególnym świetle może być — zważywszy okoliczności — w jakimś drobnym stopniu uważana za raczej nieprzyjemną, pewien poczciwy pastor z miasta skierował z całym uszanowaniem pismo do Jaśnie Oświeconego, upraszając go, aby zechciał gruntownie rozpatrzeć sprawę owych nieszczęsnych marynarzy. Na co książę odpowiedział mniej więcej (oba listy zostały opublikowane), że już to uczynił, otrzymał pieniądze i będzie zobowiązany wielebnemu kapłanowi, jeżeli ten w przyszłości (wielebny kapłan) zaniecha wtrącania się w nie swoje sprawy.

Tenże to był bojowy jeszcze starzec stojący u węgłów trzech królestw, a wszędzie wymuszający jałmużnę od żebraków?

Łatwo spostrzec, że w tym wypadku rzekome prawo księcia do wieloryba było mu przekazane przez monarchę. Musimy więc zastanowić się, na jakiej zasadzie nadano pierwotnie owo prawo monarsze. Ono samo zostało już wyłożone. Natomiast Plowden podaje nam przyczynę jego powstania. Mówi on, iż wieloryb w ten sposób upolowany należy do króla i królowej „z uwagi na jego znamienitą jakość”. A najtęższi komentatorzy zawsze uznawali to za przekonywający argument w podobnych materiałach.

Czemu jednak król miałby otrzymać głowę, a królowa ogon? Podajcie powód po temu, prawnicy!

W swoim traktacie o „Złocie królowej”, czyli o jej pieniądzach „na szpilki”, pewien dawny autor z Ławy Królewskiej, niejaki

William Prynne, tak rzecz wywodzi: „Ogon przypada królowej gwoli wyposażenia jej garderoby w fiszbiny.” Otóż słowa te pisano w epoce, kiedy czarne, giętkie fiszbiny wala grenlandzkiego, czyli właściwego, miały szerokie zastosowanie w damskich gorsetach. Ów fiszbin nie znajduje się jednak w ogonie, a w głowie, tedy mamy tu paskudną pomyłkę u tak mądrego prawnika jak Prynne. Czyż jednak królowa jest syreną, że należy jej ofiarować ogon? Mógłby się tu kryć pewien sens alegoryczny.

Istnieją dwie ryby królewskie, tytułowane tak przez angielskich pisarzy prawników — wieloryb i jesiotr; obie stanowią własność królewską z pewnymi ograniczeniami i nominalnie dostarczają jednej dziesiątej zwykłych dochodów koronnych. Nic mi nie wiadomo, żeby jakikolwiek inny autor o tym wspominał, ale nasuwa mi się wniosek, że jesiotra musi się dzielić w ten sposób co wieloryba i że król otrzymuje niezwykle zwartą i elastyczną głowę, rybie owej właściwą, co z symbolicznego punktu widzenia jest być może krotochwilnie oparte na jakiejś przypuszczalnej pokrewności. Tak więc najwidoczniej wszystko ma swoją przyczynę, nawet prawo.

ROZDZIAŁ XCI
„PEQUOD” SPOTYKA „PĄK RÓŻY”

Próżno się było grzebać w trzewiach onego
Lewiatana za ambrą szarą, albowiem fetor
nieznośny poszukiwań wzbraniał. Sir T. *Browne,*
V. E.

W jakiś tydzień czy dwa po ostatniej scenie wielorybniczej, jaką opowiedziano, właśnie kiedyśmy o południu z wolna płynęli po sennym, zamglonym morzu, liczne nosy na pokładzie „Pequoda” okazały się czujniejszymi odkrywcami od trzech par oczu na górze. Doleciał nas szczególny i nie nazbyt przyjemny zapach rozchodzący się po morzu.

— Założyłbym się o coś — rzekł Stubb — że gdzieś w pobliżu jest kilka tych rannych wielorybów, któreśmy wtedy połechtali. Takem i myślał, że niebawem wypłyną brzuchem do góry.

Rychło opary przed nami rozpierzchły się na boki i oto w oddaleniu ujrzeliśmy statek, którego zwinięte żagle zwiastowały, iż musi mieć u kadłuba jakiegoś wieloryba. Gdyśmy podpłynęli bliżej, dostrzegliśmy na dziobie barwy francuskie, a po kłębiącej się chmurze drapieżnego ptactwa morskiego, które wokoło krążyło, unosiło się w powietrzu i spadało w dół, wnosić było można z pewnością, iż przycumowany wieloryb musi być takim, którego rybacy nazywają „wielorybem zwiędłym”, to znaczy wielorybem, co sczezł nie nękany na morzu i pływał jako bezpańskie zwłoki. Można sobie snadnie wyobrazić, jak nieprzyjemny odór

wydzielać musi taka masa; gorsze to niźli asyryjskie miasto w czas zarazy, kiedy żywi nie nadążają grzebać umarłych. W istocie odór ten jest przez niektórych uważany za tak nieznośny, że żadna chciwość nie mogłaby ich skłonić, by przycumować statek do takiego wieloryba. Są jednak tacy, co czynią to, mimo faktu, że olej otrzymany z podobnych sztuk jest bardzo niskiej jakości i bynajmniej nie posiada własności olejku różanego.

Zbliżywszy się jeszcze bardziej z zamierającą bryzą, ujrzeliśmy, że Francuz ma u kadłuba drugiego wieloryba, ten zaś zdawał się być jeszcze przedniejszym bukietem niż pierwszy. W istocie okazało się, że jest on jednym z tych zagadkowych wielorybów, co zdają się schnąć i zdychają z czegoś w rodzaju potężnej dyspepsji, czyli niestrawności, pozostawiającej martwe ciała w stanie niemal całkowitego bankructwa, jeśli idzie o cośkolwiek, co by przypominało olej. Niemniej jednak na właściwym miejscu zobaczymy, że nigdy żaden świadomy rzeczy poławiacz nie kręci nosem na takiego właśnie wieloryba, choćby w ogólności nie wiedzieć jak unikał zwiędłych wielorybów.

„Pequod" podpłynął teraz tak blisko do obcego statku, iż Stubb przysięgał się, że poznaje drzewce swojej łopatki uwikłane w liny, które omotały ogon jednego z tych wielorybów.

— A piękny mi kolega! — śmiał się szyderczo, stojąc na dziobie statku. — Patrzajcie szakala! Wiem dobrze, że te ropuchy, Francuzi, to w wielorybnictwie niedojdy. Czasem spuszczają łódź za pryskającą falą biorąc ją za wydmuch kaszalota, a jakże. Czasem też wypływają z portu z komorą pełną skrzynek z łojówkami i pudełek z nożycami do świec, w przewidywaniu, że cały olej, jaki zdobędą, nie wystarczy, by w nim zamoczyć knot dla kapitana! Tak, wszyscy to wiemy, ale, widzicie, tu jest ropucha, co się kontentuje naszymi odpadkami, to znaczy tym oto wielorybem z klocem. Owszem zadowala się też oskrobaniem suchych gnatów tej drugiej cennej ryby, którą tam ma. Biedaczysko! Mówię wam, puść tam który kapelusz w obrót, zrobimy mu przez litość prezent z odrobiny oleju, bo ten,

który dostanie z owego wieloryba, nie nada się do palenia w więzieniu, ba, nawet w celi skazańców. Co zaś się tyczy drugiej ryby, to cóż, gotówem wydobyć więcej oleju wytapiając posiekane trzy nasze maszty, niżeli oni go wyciągną z tej kupy gnatów — ale znów z drugiej strony a nuż zawiera ona coś wartego o wiele więcej niż olej — a tak, szarą ambrę? Ciekaw jestem, czy nasz stary o tym pomyślał. Warto by popróbować. Tak, wezmę się do tego! — z tymi słowy ruszył w stronę mostka kapitańskiego.

Tymczasem słaby podmuch ustąpił miejsca zupełnej ciszy, tak że chcąc nie chcąc „Pequod" był teraz na dobre uwięziony w owym zapachu, bez żadnej nadziei na ucieczkę, chyba żeby powiało znowu. Wyszedłszy z kajuty Stubb zwołał załogę swej szalupy i powiosłował ku obcemu statkowi. Przepływając pod jego dziobem zauważył, że zgodnie z wymyślonym gustem francuskim górna część stewy przedniej wyrzeźbiona była w kształt ogromnej zwisającej łodygi pomalowanej na zielono; miast kolców miała sterczące tu i ówdzie szpikulce z miedzi, całość zaś wieńczyła zwinięta symetrycznie bulwa jaskrawoczerwonej barwy. Na deskach dzioba odczytał wypisane wielkimi, złoconymi literami słowa: „Bouton de Rose" — czyli „Pąk Róży" i to właśnie było romantyczne miano owego aromatycznego żaglowca.

Mimo że Stubb nie zrozumiał w napisie owego *Bouton*, przecie słowo Rose oraz bulwiasta ozdoba na dziobie, zestawione razem, dostatecznie wyjaśniły mu całość.

— Drewniany pączek róży, co? — zawołał zatykając sobie ręką nos. — Pięknie on wygląda, ale za to jak pachnie!

Owóż aby nawiązać bezpośredni kontakt z ludźmi znajdującymi się na pokładzie, musiał przepłynąć wokoło dziobu na stronę sterbortu, w ten sposób znaleźć się blisko zwiędłego wieloryba i rozmawiać ponad nim.

Dotarłszy do tego miejsca, z ręką ciągle przy nosie, wrzasnął: — „Bouton de Rose", ahoy! Jest tam u was który z *bouton de ros'ów,* co by gadał po angielsku?

— Tak — odparł zza burty jakiś człowiek z Guernsey, który okazał się pierwszym oficerem.

— A więc, mójże ty pączku różany, czy widziałeś pan białego wieloryba?

— *Jakiego* wieloryba?

— *Białego* wieloryba — kaszalota — Moby Dicka! Widziałeś go pan?

— Nigdy w życiu nie słyszałem o takim wielorybie. *Cachalot blanc!* Biały wieloryb — nie.

— Dobrze więc. Żegnam tymczasem i wpadnę jeszcze za minutę.

Następnie chyżo powiosłował z powrotem do „Pequoda" i widząc, że Ahab, wychylony przez poręcz mostka kapitańskiego, oczekuje odeń relacji, złożył w trąbkę dłonie i krzyknął: — Nie, kapitanie! Nie! — po których to słowach Ahab cofnął się, a Stubb powrócił do Francuza.

Zauważył teraz, że ów człowiek z Guernsey, który właśnie przełazi przez burtę i manipulował łopatką wielorybniczą, wsadził sobie na nos coś w rodzaju woreczka.

— Co się panu stało w nos? — zagadnął Stubb. — Złamałeś go może?

— Ba, wolałbym, żeby był złamany albo żebym go w ogóle nie miał! — odparł człowiek z Guernsey, który bynajmniej nie zdawał się gustować w pracy, jaką wykonywał. — Ale czemu pan się tak trzymasz za swój własny?

— O, nic takiego. To nos z wosku. Muszę go przytrzymywać. Piękny dzień, nieprawdaż? Powietrze, można powiedzieć, całkiem kwietne. Rzuciłbyś tak nam parę bukiecików, *bouton de rose?*

— Czego, u diabła, pan tu chcesz? — ryknął tamten wpadając w nagłą pasję.

— No, no, zachowajże pan trochę chłodu. Chłodu? Tak, o to właśnie chodzi. Czemu nie zapakujesz tych wielorybów do lodu na ten czas, gdy przy nich pracujesz? Ale żart na stronę. Wiesz pan, pączku różany, że próba wydobycia jakiegokolwiek oleju z takich wielorybów to zupełny absurd? Jeśli idzie o tego tu,

wyschniętego, to nie ma on nawet kwaterki w całym swoim ścierwie.

— Wiem o tym bardzo dobrze, ale, widzi pan, nasz kapitan nie chce w to uwierzyć. To jego pierwsza wyprawa — był przedtem fabrykantem w Kolonii. Wejdźże pan na pokład, a nuż uwierzy tobie, skoro nie chce wierzyć mnie, i tak się może wymigam od tej brudnej roboty.

— Dla pana wszystko, drogi i miły kolego — odparł Stubb i po tych słowach zaraz wdrapał się na pokład. Tam osobliwy widok ukazał się jego oczom. Marynarze w czerwonych włóczkowych czapkach z chwastami przygotowywali ciężkie bloki do windowania wielorybów. Pracowali jednak powoli, a mówili bardzo szybko i bynajmniej nie zdawali się być w dobrym humorze. Wszyscy wysuwali w górę sterczące nosy niczym bukszpryty. Od czasu do czasu kilku z nich rzucało robotę i wdrapywało się na maszty, aby zaczerpnąć nieco świeżego powietrza. Niektórzy, obawiając się zarazy, maczali pakuły w smole węglowej i co chwila podnosili je do nozdrzy. Inni, ułamawszy cybuchy fajek niemal tuż u samej nasady, energicznie wciągali dym tytoniowy, tak że im nieprzerwanie wypełniał drogi oddechowe.

Stubba zaskoczyła ulewa krzyków i klątw, dobywających się z budki kapitańskiej na rufie, spojrzawszy więc w tę stronę ujrzał ogniste oblicze wytknięte zza drzwi uchylonych od wewnątrz. Był to udręczony lekarz okrętowy, który na próżno protestując przeciwko zajęciom tego dnia, wycofał się do budki kapitana *(cabinet,* jak ją nazywał), aby uniknąć zarazy, wszelako chwilami nie mógł pohamować błagalnych lub pełnych oburzenia okrzyków.

Zauważywszy to wszystko Stubb dobrze sobie wróżył o powodzeniu swego planu i zwróciwszy się do człowieka z Guernsey przeprowadził z nim małą pogawędkę, w czasie której obcy oficer dał wyraz swej odrazie dla własnego kapitana jako zarozumiałego kpa, który ich wszystkich w tak niewonne i niekorzystne wciągnął tarapaty. Wysondowawszy go starannie, Stubb spostrzegł się, że jego rozmówca nie ma najmniejszych

podejrzeń co do szarej ambry. Dlatego zachował milczenie na ten temat, ale poza tym rozmawiał zupełnie szczerze i poufale, toteż obaj rychło nagotowali pewien mały plan mający na celu zarówno wyprowadzenie w pole, jak i ośmieszenie kapitana, tak aby temu nawet się nie śniło wątpić w ich szczerość. W myśl owego małego planu człowiek z Guernsey miał pod pozorem funkcji tłumacza mówić kapitanowi, co mu się żywnie spodoba, podając to jednak jako słowa pochodzące od Stubba; ten zaś miał wygadywać wszelakie bzdury, jakie mu w trakcie rozmowy ślina na język przyniesie.

W tym momencie ich przyszła ofiara wynurzyła się ze swej kajuty. Był to niski i ciemnowłosy człowiek, wyglądający nieco zbyt delikatnie jak na kapitana morskiego, noszący wszelako ogromne bokobrody i wąsy; miał na sobie kurtkę z czerwonego bawełnianego welwetu, u boku zaś zwisały mu pieczątki od zegarka. Temu to dżentelmenowi przedstawił uprzejmie Stubba człowiek z Guernsey, który natychmiast począł ostentacyjnie udawać, że tłumaczy rozmowę toczącą się między nimi.

— Co mam mu na wstępie powiedzieć? — zapytał.

— No cóż — odparł Stubb przyglądając się welwetowej kurtce, zegarkowi i pieczęciom. — Możesz mu pan na początek powiedzieć, że wygląda mi nieco dziecinnie, chociaż nie twierdzę, że jestem dobrym sędzią.

— On mówi, *monsieur* — rzekł po francusku człowiek z Guernsey zwracając się do kapitana — że nie dalej jak wczoraj ich statek rozmawiał z innym, którego kapitan i pierwszy oficer wraz z sześcioma marynarzami zmarli na febrę, bo zarazili się od zwiędłego wieloryba przycumowanego do statku.

Kapitan drgnął i chciwie zażądał dalszych wiadomości.

— Co teraz? — powiedział człowiek z Guernsey do Stubba.

— No, ponieważ tak to łatwo przyjmuje, powiedz mu pan, że kiedy mu się już dobrze przyjrzałem, jestem całkiem pewny, że nie lepiej się nadaje na dowódcę statku wielorybniczego niż małpa z St. Jago. A w ogóle powiedz mu pan ode mnie, że jest szympansem.

— Przysięga się, *monsieur*, że tamten drugi wieloryb, ten suchy, jest jeszcze bardziej śmiertelnie niebezpieczny, niż ten zwiędły, i wreszcie zaklina nas, żebyśmy, jeśli nam życie miłe, odcięli te ryby.

Kapitan niezwłocznie podskoczył naprzód i donośnym głosem rozkazał załodze, aby przestała wciągać bloki i natychmiast rozluźniła liny i łańcuchy przytrzymujące wieloryby przy statku.

— A teraz co? — zapytał człowiek z Guernsey, gdy kapitan do nich powrócił.

— No zaraz, cóż by tu jeszcze? Możesz mu pan teraz powiedzieć, że… że istotnie — powiedz mu, że go wystrychnąłem na dudka, a także — to dodał po cichu do siebie — być może jeszcze i kogoś innego.

— Mówi, *monsieur*, że jest bardzo szczęśliwy, iż mógł nam oddać przysługę.

To usłyszawszy kapitan zaklął się, że wdzięczność jest po ich stronie (mając na myśli siebie tudzież oficera), i zakończył zaproszeniem Stubba na dół, do swojej kajuty, na flaszkę bordeaux.

— Prosi, żeby pan z nim wypił lampkę wina — rzekł tłumacz.

— Podziękuj mu pan z całego serca, ale powiedz, że jest sprzeczne z moimi zasadami pić z człowiekiem, którego oszwabiłem. Powiedz mu w ogóle, że muszę już odejść.

— Mówi, *monsieur*, że jego zasady nie pozwalają mu pić, ale jeżeli *monsieur* chce wyżyć jeszcze jeden dzień, żeby się napić, to najlepiej uczyni spuszczając wszystkie cztery łodzie i odciągając statek od tych wielorybów, bo jest taka cisza, że same nie spłyną.

Stubb był już za burtą i zlazłszy do szalupy zakrzyknął na człowieka z Guernsey obwieszczając mu, że ponieważ ma w łodzi długą linę holowniczą, uczyni, co potrafi, żeby im przyjść z pomocą i odciągnąć od ich żaglowca lżejszego z dwóch wielorybów. I podczas gdy szalupy francuskie zabrały się do holowania statku w jedną stronę, Stubb życzliwie odciągał

swego wieloryba w drugą, ostentacyjnie wypuszczając z łodzi niebywale długi hol.

Wprędce powiała bryza; Stubb udał, że porzuca wieloryba, Francuz wciągnąwszy swe szalupy rychło się oddalił, a „Pequod” wsunął się między niego i Stubbowego wieloryba. Wówczas Stubb szybko powiosłował do unoszącego się na wodzie cielska i zakrzyknąwszy do „Pequoda”, by mu oznajmić o własnych zamiarach, natychmiast przystąpił do zbierania owoców swego nieuczciwego podstępu. Chwycił ostrą łopatkę i począł wycinać w ciele wydrążenie, nieco w tyle za boczną płetwą. Można było niemal pomyśleć, że wykopuje tam w morzu piwnicę; kiedy zaś wreszcie jego łopatka uderzyła o chude żebra, było to tak, jakby potrącił stare, rzymskie kafle czy naczynia zagrzebane w tłustym angielskim ile. Cała załoga jego łodzi zdradzała niezwykłe podniecenie i pilnie dopomagała swojemu dowódcy z gorliwością równą tej, jaką się odznaczają poszukiwacze złota.

A przez cały czas nieprzeliczone rzesze ptactwa nurkowały, pluskały się i biły wokoło nich. Stubb zaczynał zdradzać rozczarowanie, zwłaszcza że wzmagał się straszliwy odór, gdy nagle z samego jądra tego smrodu dobył się wątły strumyk woni perfum, który spłynął wskroś potopu cuchnących wyziewów nie dając się przez nie pochłonąć, niby jedna rzeka, co wpływa w drugą i podąża pospołu dalej, przez czas jakiś z nią się nie mieszając.

— Mam! Mam! — krzyknął w zachwyceniu Stubb i uderzył o coś w owych podziemnych regionach. — Skarb! Skarb!

Odrzucił łopatkę, wepchnął do środka obie dłonie i wyciągnął garść czegoś, co wyglądało jak dostałe mydło windsorskie czy też tłusty, cętkowany, stary ser, bardzo mazisty i jednocześnie wonny. Łatwo go można było nagnieść palcem; kolor miał pośredni między żółtym i barwą popiołu. I to właśnie, drodzy przyjaciele, była szara ambra, dla każdego aptekarza warta złotą gwineę za uncję. Zebrano jej jakieś sześć garści, ale jeszcze więcej bezpowrotnie przepadło w morzu; można było wydobyć znacznie większą ilość, gdyby nie donośny rozkaz

zniecierpliwionego Ahaba, który wołał, by Stubb dał pokój i wracał na pokład, gdyż w przeciwnym razie statek pożegna się z nimi.

ROZDZIAŁ XCII
SZARA AMBRA

Owóż ta szara ambra jest wielce ciekawą substancją i tak ważnym przedmiotem handlu, że w roku 1791 niejaki kapitan Coffin, pochodzący z Nantucket, był na ten temat przesłuchiwany w brytyjskiej Izbie Gmin. Albowiem w owej dobie, a zresztą i do stosunkowo niedawnych czasów, właściwe pochodzenie szarej ambry, zarówno jak i ona sama pozostawały zagadką dla uczonych.

Należy tu stwierdzić, że istnieją dwa zupełnie odrębne rodzaje ambry. Albowiem choć zwykłą ambrę można wprawdzie czasem znaleźć na morskim wybrzeżu, bywa ona jednak wykopywana także z ziemi położonej daleko w głębi lądu; natomiast ambry szarej nigdzie się poza morzem nie znajduje. Prócz tego ambra zwykła jest twardą, przezroczystą, łamliwą i bezwonną substancją, używaną do wyrobu ustników do fajek, paciorków i ozdób, natomiast ambra szara jest miękka, woskowata, a tak niezwykle aromatyczna i ostro pachnąca, że ma szerokie zastosowanie przy wyrobie perfum, kadzideł, drogich świec, pudru do włosów oraz pomad. Turcy używają jej przy gotowaniu potraw, a także noszą do Mekki dla tych samych celów, dla których nosi się kadzidło do Sw. Piotra w Rzymie. Niektórzy winiarze wrzucają kilka ziarenek ambry do klaretu, ażeby podnieść jego aromat.

Któż by pomyślał, że tak wykwintne damy i panowie rozkoszują się esencją znajdowaną w sromotnych jelitach chorego wieloryba! A jednak tak się dzieje. Szarą ambrę jedni uważają za przyczynę, inni zaś za skutek niestrawności u wieloryba. Trudno orzec, w jaki sposób należy leczyć podobną

niestrawność — można by chyba tylko zastosować wielorybowi trzy czy cztery pełne szalupy pigułek przeczyszczających, a następnie zmykać przed niebezpieczeństwiem, podobnie jak to czynią robotnicy wysadzający w powietrze skały.

Zapomniałem nadmienić, że w tej szarej ambrze znaleźliśmy twarde, krągłe, kościane płytki, które Stubb wziął zrazu za guziki od spodni marynarskich; okazało się jednak później, że nie było to nic innego, jak kawałki kości drobnych mięczaków, w ten sposób zabalsamowane.

Czyż jest rzeczą bez znaczenia, iż ową nieskazitelność najwonniejszej ambry znajduje się w samym sercu takiego rozkładu? Przypomnijcie sobie słowa św. Pawła w liście do Koryntian, mówiące o skazitelności i nieskazitelności, o tym, jak to wsiewani jesteśmy w niesławie, ale wschodzimy w chwale. A także przywołajcie sobie na pamięć owo powiedzenie Paracelsusa ********** o tym, co czyni piżmo najprzedniejszym. Nie zapominajcie także i o dziwnym fakcie, że ze wszystkich rzeczy cuchnących najgorsza jest woda kolońska w swoich początkowych stadiach wytwarzania.

Chciałbym zakończyć rozdział powyższym wezwaniem, nie mogę jednak tego uczynić, jako że gorąco pragnę odeprzeć często stawiany wielorybnikom zarzut, który w opinii pewnych uprzedzonych ludzi mógłby znaleźć pośrednie potwierdzenie w tym, co tu powiedziano o obu wielorybach Francuza. Na innym miejscu w książce niniejszej odparta już została oszczercza plotka, iż rzemiosło wielorybnicze jest zajęciem na wskroś niechlujnym i brudnym. Jest wszakże jeszcze inna rzecz, której należy dać odprawę. Mówi się, iż wszystkie wieloryby zawsze cuchną. Skądże się wzięło owo piętno ohydne?

Moim zdaniem jest jasne, że bierze ono swój początek od chwili, kiedy to przed z górą dwustu laty pierwsze statki wielorybnicze przybyły z Grenlandii do Londynu. A to mianowicie dlatego, że owi wielorybnicy ani naówczas, ani obecnie nie wytapiają oleju na morzu, jako to zawsze czynią statki południowe, lecz pociąwszy świeży tłuszcz na niewielkie kawałki, wpychają je przez otwory szpuntowe do ogromnych

beczek i w ten sposób wiozą do domu, ile że krótkotrwałość sezonu łowieckiego na owych lodowatych morzach oraz nagłe, a gwałtowne sztormy, na jakie są narażeni, nie pozwalają na jakiekolwiek inne rozwiązanie. Skutek jest taki, że kiedy otworzyć komory i rozładować na nabrzeżu portowym któryś z owych wielorybich cmentarzy, wydaje on woń przypominającą poniekąd tą, która się rozchodzi, kiedy się rozkopuje stary cmentarz miejski, aby założyć w tym miejscu fundamenty pod szpital położniczy.

Domyślam się również, że to nikczemne oskarżenie, wymierzone przeciwko wielorybnikom, częściowo przypisać można istnieniu za dawnych czasów na wybrzeżu Grenlandii wioski holenderskiej zwanej Schmerenburgh albo Smeerenberg, przy czym właśnie tego ostatniego miana używa uczony Fogo Von Slack w swym wielkim dziele o zapachach, będącym źródłową pracą na ten temat. Jak sama nazwa wskazuje (smeer — tłuszcz; berg — stawiać), wioskę ową wybudowano po to, by w owym miejscu holenderska flotylla wielorybnicza mogła wytapiać tłuszcz nie wożąc go do Holandii. Było to skupisko pieców, kadzi do tłuszczu oraz składów oleju; kiedy zaś fabryka była w pełnym ruchu, musiała z pewnością wydzielać woń niezbyt przyjemną. Rzecz się ma jednak zgoła inaczej ze statkiem wielorybniczym z mórz południowych, który podczas mniej więcej czteroletniej wyprawy, wypełniając po brzegi ładownię olejem, na wytopienie go nie poświęca nawet pięćdziesięciu dni; w tym zaś stanie, w jakim się olej załadowuje do beczek, jest on prawie bezwonny. Prawda wygląda tak, że wieloryby jako gatunek — żywe czy martwe — jeśli się z nimi przyzwoicie obchodzić, nie są bynajmniej zwierzętami cuchnącymi, a wielorybników nie sposób rozpoznać tak, jak rzekomo ludzie wieków średnich rozpoznawali Żyda wśród zebranych — a mianowicie za pomocą nosa. Niepodobna też, żeby wieloryb nie był pachnący, skoro z reguły cieszy się tak wybornym zdrowiem, zażywa w bród ruchu i zawsze przebywa poza domem, choć co prawda rzadko kiedy na otwartym powietrzu. Twierdzę, że poruszenie

ogona kaszalota ponad wodą rozsiewa woń perfum, podobnie jak wówczas, gdy piżmem pachnąca dama poruszy sukniami w nagrzanym salonie. Do czegóż więc mam przyrównać kaszalota pod względem aromatyczności, jeśli wziąć pod uwagę jego ogrom? Czy nie do owego przesławnego, pachnącego mirrą słonia o kłach zdobnych w klejnoty, którego wyprowadzono z pewnego indyjskiego ogrodu, by uczcić Aleksandra Wielkiego?

ROZDZIAŁ XCIII
ROZBITEK

Nieledwie w kilka dni po spotkaniu z Francuzem niesłychanie znaczący wypadek przydarzył się najmniej znaczącemu spośród członków załogi „Pequoda”; wypadek niezwykle opłakany, w wyniku którego płynący ku swemu przeznaczeniu żaglowiec, jakże często szalony wesołością, zyskał żywą i stale towarzyszącą mu przepowiednię nieszczęsnego losu, jaki mógł mu przypaść w udziale.

Otóż na statku wielorybniczym nie każdy wsiada do szalup. Pozostają nieliczni marynarze zwani „dozorcami”, których zadaniem jest prowadzenie żaglowca, podczas gdy łodzie ścigają wieloryba. Z reguły owi dozorcy to ludzie równie krzepcy jak ci, co tworzą załogi szalup. Ale jeśli na statku trafi się jakiś niezwykle wiotki, niemrawy czy lękliwy osobnik, będzie on niechybnie uczyniony dozorcą. Tak było i na „Pequodzie” z owym małym Murzynkiem przezwiskiem Pippin, w skróceniu: Pip. Biedny Pip! Słyszeliście już o nim przedtem; musicie pamiętać ten jego bębenek owej dramatycznej nocy, tak ponuro wesołej.

Zewnętrznym wyglądem Pip i Klucha pasowali do siebie niczym biały i czarny kucyk równego wzrostu, choć odmiennej maści, w jednym ekscentrycznym idące zaprzęgu. O ile jednak nieszczęsny steward miał z natury umysł tępy i niemrawy, to Pip, choć nazbyt czułego serca, był w gruncie rzeczy bardzo żywy, tą miłą, radosną, wesołą żywością, właściwą jego plemieniu, które zawsze obchodzi wszystkie święta i uroczystości *z* większą i bardziej niewymuszoną radością niż jakakolwiek inna rasa. Dla czarnych kalendarz powinien by

wskazywać wyłącznie trzysta sześćdziesiąt pięć Czwartych Lipca lub Dni Noworocznych. Nie uśmiechajcie się też, gdy napiszę, że ten czarnulek był błyskotliwy, albowiem nawet czerń ma swój połysk; spójrzcie tylko na lśniący heban boazerii w komnatach królewskich. Ale Pip kochał życie i wszystko, co w nim spokojne i bezpieczne, toteż owo straszliwe rzemiosło, w które się jakimś niepojętym sposobem uwikłał, srodze przyćmiło żywość jego usposobienia. Jednakże, jak się niebawem okaże, to, co w nim było chwilowo zdławione, miały później ponuro opromienić dziwne ognie szaleństwa, przydając mu pozornie po dziesięćkroć większego blasku od owego przyrodzonego, którym niegdyś, w swoim ojczystym hrabstwie Tollan w Connecticut, ożywiał niejedną zabawę muzykantów wśród zieleni, o rozśpiewanym wieczorze, zmieniając wesołymi okrzykami krągły horyzont w jedno gwiazdami dzwoniące tamburino. Tak właśnie, chociaż czysty diament, zawieszony na znaczonej błękitnymi żyłkami szyi, będzie w jasnym świetle dnia promieniał zdrowym połyskiem, to jednak, kiedy przebiegły jubiler zechce wam klejnot ukazać w najbardziej imponującym blasku, położy go na tle ciemnym i oświetli nie słońcem, a jakimś nienaturalnym światłem. Wówczas to wystąpią ogniste, szatańsko wspaniałe promienie; wówczas to diament niedobrym gorejący blaskiem, niegdyś boski symbol niebios kryształowych, wyda się klejnotem koronnym skradzionym królowi piekieł. Powróćmy jednak do naszej historii.

Zdarzyło się, że podczas tamtej sprawy z ambrą wioślarz szlakowy Stubba tak sobie wywichnął rękę, iż na czas jakiś został zupełnym kaleką i Pipa wyznaczono chwilowo na jego zastępcę.

Gdy Stubb po raz pierwszy ruszył wraz z Pipem na łowy, ten okazywał ogromną nerwowość, na szczęście jednak uniknął wtedy bliższego kontaktu z wielorybem i dlatego wyszedł z tej przygody niecałkiem niechlubnie, choć obserwujący chłopaka Stubb nie omieszkał później go zaklinać, by zebrał w kupę całą odwagę, gdyż często może mu się okazać potrzebna.

Atoli za drugim spuszczeniem łódź ich natknęła się na wieloryba, i gdy ten otrzymał cios żelazem, szarpnął się jak zwykle i tym razem uderzenie trafiło w łódź akurat pod siedzenie biednego Pipa. W odruchu przerażenia chłopiec wyskoczył wówczas z szalupy z wiosłem w ręku i to w taki sposób, że trafiwszy piersią na część luźnej liny harpunowej wypchnął ją swym ciałem za burtę, a wpadając wreszcie do wody, oplatał się w jej zwoje. W tej chwili ugodzony wieloryb pomknął wściekłym pędem, a lina poczęła się szybko napinać; rychło nieszczęsny Pip, cały przesłonięty pianą, wypłynął na powierzchnię pod korytkiem linowym szalupy, ciągniony bezlitośnie przez linę, która po kilkakroć owinęła się wkoło jego piersi i szyi.

Na dziobie stał Tasztego gorejąc łowieckim zapałem. Nie cierpiał Pipa za jego tchórzostwo. Wyrwawszy z pochwy nóż szalupowy wzniósł ostrą klingę nad liną i obróciwszy się do Stubba wykrzyknął pytająco: — Ciąć? — Tymczasem sina, zdławiona twarz Pipa wyraźnie mówiła: „Tak, na litość boską!” Wszystko przyszło jak błyskawica. Cała rzecz trwała mniej niż pół minuty.

— Niech go diabli! Tnij! — ryknął Stubb i w ten sposób stracono wieloryba, a uratowano Pipa.

Ledwie biedny Murzynek przyszedł do siebie, już nań spadły złorzeczenia i krzyki marynarzy. Stubb spokojnie zaczekał, póki owe bezładne przekleństwa nie rozwiały się w powietrzu, po czym sklął Pipa w prosty, rzeczowy, ale na poły żartobliwy sposób, a następnie udzielił mu nieoficjalnie wielu zbawiennych rad. Istota ich polegała na tym: „Nigdy nie wyskakuj z łodzi, Pip, chyba żeby…”, cała reszta jednak była nieokreślona, jak to zazwyczaj bywa z najroztropniejszymi radami. Otóż na ogół w wielorybnictwie właściwe motto brzmi: „Trzymaj się łodzi”; czasami jednak zdarzają się przypadki, kiedy jeszcze lepsze będzie: „Wyskakuj z łodzi”. Nadto Stubb, jak gdyby spostrzegłszy się wreszcie, że jeśli nie będzie Pipowi udzielał treściwych, nierozwodnionych rad, to pozostawi mu na przyszłość zbyt szerokie możliwości wyskakiwania, zaniechał

nagle wszelkich wskazówek i zakończył stanowczym rozkazem: „Trzymaj się łodzi, Pip, i na Boga, pamiętaj, że nie będę cię wyławiał, jak wyskoczysz. Nie możemy sobie pozwolić na tracenie wielorybów, przez takich jak ty. Wieloryba można sprzedać za trzydziestokrotnie wyższą sumę od tej, którą za ciebie dadzą w Alabamie. Zakonotuj to sobie dobrze i więcej nie wyskakuj.” W ten sposób, być może, Stubb dał pośrednio do zrozumienia, że choć człowiek miłuje bliźniego swego, przecie jest zwierzęciem robiącym pieniądze, która to skłonność aż nazbyt często tłumi w nim uczucie życzliwości.

Wszyscy jednakże jesteśmy w rękach bogów i Pip wyskoczył znowu. Odbyło się to w okolicznościach bardzo podobnych do pierwszego razu; teraz jednak nie wyrzucił piersiami liny, toteż kiedy wieloryb począł pędzić, Pip pozostał w tyle na morzu, niby walizka podróżnego, który się zbytnio pośpieszył. Niestety! Stubb okazał się aż nazbyt wierny danemu słowu. Był to przepiękny, szczodrobliwy, błękitny dzień; roziskrzone morze, spokojne i chłodne, płasko rozpościerało się wszędy wokoło aż po horyzont niby skowany do ostatka arkusz złotej folii. W tym morzu podrzucana w górę i w dół hebanowa głowa Pipa wydawała się główką cebuli. Żaden nóż nie podniósł się w szalupie, gdy chłopak wypadł tak raptownie za rufę. Nieubłagane plecy Stubba odwróciły się od niego; wieloryb zaś mknął jak na skrzydłach. Po trzech minutach Pipa i Stubba dzieliła już cała mila bezbrzeżnego oceanu. Ze środka morza Pip wzniósł kudłatą, kędzierzawą, czarną głowę ku słońcu — temu drugiemu rozbitkowi, samotnemu, choć najwynioślejszemu i najbardziej promiennemu.

Otóż pływanie na pełnym morzu podczas spokojnej pogody jest równie łatwe dla człowieka doświadczonego, jak na lądzie przejażdżka resorowanym powozem. Nieznośna jest tylko straszliwa samotność. Mój Boże, któż potrafi opisać napiętą koncentrację własnego „ja” wpośród tak bezlitosnego ogromu? Uważcie, jak to marynarze, zażywający kąpieli na pełnym morzu w czasie absolutnej ciszy, blisko się tulą do swojego statku i pływają tylko wzdłuż jego kadłuba.

Czy jednak Stubb naprawdę pozostawił biednego Murzynka na pastwę losu? Nie, a przynajmniej wcale nie miał takiego zamiaru. Jego szlakiem płynęły bowiem jeszcze dwie szalupy i Stubb bez wątpienia przypuszczał, że bardzo szybko przybliżą się do Pipa i wyłowią go, chociaż co prawda tego rodzaju względy dla wioślarzy, którzy się narazili na niebezpieczeństwo dzięki własnej lękliwości, nie zawsze bywają okazywane przez łowców w podobnych okolicznościach, a przypadki takie nierzadko się zdarzają i w wielorybnictwie tchórz jest niemal zawsze napiętnowany tą samą okrutną nienawiścią, która jest właściwa wojsku czy marynarce wojennej.

Tak się jednak zdarzyło, że owe łodzie nie widziały Pipa, natomiast nagle wypatrzyły wieloryby niedaleko w bok od siebie, skręciły więc i rozpoczęły pościg; a szalupa Stubba była już teraz tak daleko, zaś on sam i jego załoga tak zapatrzeni w swoją rybę, że otaczający Pipa horyzont zaczął się okrutnie wokół niego poszerzać. Najczystszym przypadkiem sam statek ocalił go na koniec, ale od tej chwili mały Murzynek chodził po pokładzie niespełna rozumu; za takiego przynajmniej go uważano. Morze, jak na urągowisko, utrzymało na powierzchni jego doczesną powłokę, pochłonęło natomiast nieskończoność jego duszy. Nie całkiem jednak. Raczej ją żywcem poniosło w niesamowite głębiny, kędy przedziwne kształty niezmienionego, pierwotnego świata przesuwały się tam i z powrotem przed jej biernymi oczami; kędy owa skąpa wodnica, Mądrość, ukazała swe nagromadzone bogactwa, a pośród radosnych, okrutnych, zawsze młodych, wieczystych spraw Pip ujrzał nieprzeliczone, jak Bóg wszechobecne, koralowe owady, co z głębi firmamentu wód dźwigają olbrzymie globy. Ujrzał stopę Boga na pedale krosien i opowiadał o tym — dlatego też koledzy-marynarze nazwali go szaleńcem. Tak więc szaleństwo człowiecze jest w niebie rozumem, a odchodząc od wszelkiego ludzkiego rozsądku człowiek dociera wreszcie do owej myśli niebiańskiej, co dla rozumu jest niedorzeczna i obłędna; w złej czy dobrej doli czuje się on wówczas nieustępliwy i obojętny jak Bóg.

A zresztą nie potępiajcie Stubba zbyt surowo. Rzecz taka jest w wielorybnictwie pospolita i w dalszym ciągu tej powieści okaże się jeszcze, w jak podobnym opuszczeniu ja sam się znalazłem.

ROZDZIAŁ XCIV
UŚCISK DŁONI

Owego tak drogo okupionego wieloryba Stubba przyciągnięto z kolei do boku „Pequoda”, gdzie wszelkie wyżej wyszczególnione operacje krajania i windowania odbyły się jak należy, aż do odszpuntowania heidelberskiej beczki, czyli pudła włącznie.

Gdy jedni marynarze zajęci byli tymi czynnościami, inni odciągali większe beczki, ledwie je napełniono olbrotem; we właściwym zaś czasie ów olbrot poddano starannym zabiegom poprzedzającym przetopienie, o czym zaraz będzie mowa.

Ostygł on i skrystalizował się do tego stopnia, że kiedy wraz z kilkoma towarzyszami zasiadłem przy wypełnionej nim potężnsj wannie Konstantyna, okazało się, iż osobliwie zakrzepł w grudki, tu i ówdzie pływające w części płynnej. Naszym zadaniem było rozgniatać owe grudki z powrotem na ciecz. Słodki to i namaszczony obowiązek! Nie dziwota, że za dawnych czasów olbrot był tak ulubionym kosmetykiem. Jak on oczyszcza! Jaką ma słodycz! A delikatność! I jak cudownie zmiękcza skórę! Potrzymawszy w nim dłonie zaledwie przez kilka minut, poczułem, że palce moje stają się niby węgorze, że zaczynają jakby wić się i spiralizować.

Kiedy po zaciekłych mozołach u kabestanu zasiadłem wygodnie na pokładzie skrzyżowawszy po turecku nogi, a nad głową miałem spokojne, błękitne niebo; kiedy statek pod leniwymi żaglami sunął tak pogodnie naprzód; kiedy zanurzałem dłonie między owe miękkie, delikatne kuleczki utworzone z nasiąkniętych cieczą tkanek, co ukształtowały się niemal w ciągu godziny; kiedy one szczodrze pękały pod moimi

palcami rozlewając całe swe bogactwo niby w pełni dojrzałe, tryskające sokiem winne jagody; kiedym wdychał ich aromat niepokalany — doprawdy zupełnie podobny do woni wiosennych fiołków — w owej chwili, oświadczam to wam, poczułem się jakby pośród pachnącej łąki. Zapomniałem ze szczętem o naszej straszliwej przysiędze; umywałem od niej dłonie i serce w owym niewysłowionym olbrocie; już niemal zacząłem wierzyć w stary przesąd Paracelsusa, że olbrot posiada rzadką właściwość uśmierzania żaru gniewu; pławiąc się w owej kąpieli, poczułem się bosko wolny od wszelkiej złej woli, rozdrażnienia czy zawiści jakiegokolwiek rodzaju.

Wyciskać! Wyciskać! Wyciskać! I tak przez cały ranek; wyciskałem ów olbrot, aż na koniec niemal sam się w nim roztopiłem; wyciskałem go, aż wreszcie przyszło na mnie coś w rodzaju osobliwego zapamiętania i zauważyłem, że nieświadomie ściskam dłonie moich towarzyszy pracy, biorąc je za owe miękkie kuleczki. To zajęcie zrodziło we mnie tak szczodre, serdeczne, przyjazne i miłościwe uczucia, iż koniec końców ciągle ściskałem ich dłonie i zaglądałem im sentymentalnie w oczy, jak gdybym chciał powiedzieć: „Ach, drodzy bliźni moi, czemuż mielibyśmy dłużej żywić wobec siebie jakowąś gorycz czy też doświadczać najlżejszego choćby złego humoru lub zawiści! Pójdźcie, zewrzyjmy wokół w uścisku nasze dłonie. Nie — wciśnijmy się wszyscy w siebie nawzajem — roztopmy się powszechnie w samym mleku i olbrocie życzliwości.”

Obym tak mógł wyciskać ów olbrot po wsze czasy! Albowiem teraz, kiedy po długich i ponawianych doświadczeniach pojąłem, że w każdym wypadku człowiek musi na koniec obniżyć, a przynajmniej odmienić swoje pojęcie osiągalnego szczęścia i lokować je nie w umyśle ani fantazji, ale w żonie, w sercu, łóżku, stole, siodle, kominku czy kraju — teraz kiedy pojąłem to wszystko, gotówem tak wyciskać na wieki. W widzeniach nocnych myślami oglądałem długie szeregi aniołów w raju, z których każdy miał dłonie zanurzone w dzbanie olbrotu.

Rozprawiając o olbrocie wypada pomówić o innych pokrewnych mu rzeczach, na które natrafiamy w trakcie przygotowywania kaszalota do wytapiania tłuszczu.

Mamy tu przede wszystkim tak zwaną „pianę", którą się otrzymuje ze zwężonego końca ciała ryby, a także i z grubszych części jej płetw ogonowych. Jest ona twarda od stężałych ścięgien — to jakby podściółka z muskułów — zawiera jednak nieco oleju. Po wycięciu „piany" z wieloryba, kraje się ją najpierw na podłużne, dające się przenosić bryły, a potem sieka na kawałki. Bryły te bardzo przypominają bloki marmuru z Berkshire.

Miano „plum-puddingu" nadano pewnym cząstkom mięsa wielorybiego, tu i ówdzie przywartym do „kołdry" tłuszczu i często w znacznym stopniu dzielącym z nią jej mazistość. Rzecz to niezwykle odżywcza, wesoła i piękna dla oka. Jak nazwa jej wskazuje, jest niezwykle soczystej, nierównej barwy, z tłem w śnieżne i złociste smugi, nakrapianym plamkami najgłębszego szkarłatu i purpury. Są to rodzynki z rubinów na tle cytrynowym. Wbrew rozsądkowi trudno powstrzymać się od jedzenia tego mięsa. Wyznam, że kiedyś zakradłem się za fokmaszt, by go pokosztować. Smakowało ono po trosze tak, jak, wyobrażam sobie, mógłby smakować królewski kotlet z udźca Louis le Gros, przyjąwszy, iż zabito by go pierwszego dnia po sezonie polowań na dziczyznę, a ów właśnie sezon zbiegł się z niezwykle udanym rocznikiem z winnic Szampanii.

Istnieje jeszcze inna substancja, i to bardzo osobliwa, która się ujawnia w toku roboty; uważam jednak, że zbyt jest zagadkowa, aby ją należycie opisać. Nazywana jest „szlamem"; miano to pochodzi od wielorybników i owa substancja taką się w istocie naturą odznacza. Jest to bowiem coś niewymownie szlamowatego i włóknistego, a znajdowane bywa najczęściej na dnie kadzi, po dłuższym wyciskaniu, a następnie zlaniu olbrotu. Ja osobiście uważam, że są to zebrane na dnie, nieprawdopodobnie cienkie, porwane błonki pudła.

Tak zwane „odpadki" to termin stanowiący w gruncie rzeczy własność poławiaczy wielorybów właściwych; czasem jednak

zdarzy się, iż go użyją łowcy kaszalotów. Oznacza on ciemną, kleistą substancję, którą się zeskrobuje z grzbietu wala grenlandzkiego, czyli właściwego, i której wielkie ilości zaścielają pokłady tych jednostek niższego rzędu, co polują na owe podlejsze Lewiatany.

„Kleszcze". Ściśle rzecz biorąc, wyraz ten nie przynależy do wielorybiego słownictwa. Ponieważ jednak używany jest przez wielorybników, stał się więc jego częścią. Kleszcze wielorybnicze oznaczają krótkie, mocne pasmo ścięgnowe wycięte ze zwężającej się części ogona Lewiatana; ma ono przeciętnie cal grubości, a poza tym jest mniej więcej rozmiarów żelaznej części motyki. Pociągane kantem po zatłuszczonym pokładzie działa jak skórzana graca i najróżniejszymi sztuczkami pociąga ku sobie, jak za zaklęciem, wszelkie nieczystości.

Najlepszym jednak sposobem, żeby dowiedzieć się wszystkiego o rzeczach tak niejasnych, będzie zejść natychmiast do komory tłuszczowej i dłużej pogadać z jej domownikami. O tej komorze wspomniano już wyżej jako o miejscu, w którym składa się „kołdry" po zdarciu ich z wieloryba i wywindowaniu na górę. Kiedy nadejdzie właściwy czas, by pociąć zawartość komory, ów apartament staje się widownią okropności w oczach wszystkich nowicjuszy, a już szczególnie nocą. Oto z jednej strony pozostawiono dla pracujących tutaj wolną przestrzeń, oświetloną mdłym światłem latarni. Tworzą oni zazwyczaj pary: jeden niesie pikę i bosak, drugi łopatkę. Pika wielorybnicza przypomina broń tej samej nazwy używaną do walki wręcz na fregatach wojennych. Bosak jest właściwie taki sam, jak ten, którym przyciąga się łodzie. Człowiek uzbrojony w ów bosak zahacza nim płat tłuszczu i usiłuje przytrzymać go na miejscu, aby się nie wyśliznął, gdy statek miota się i przechyla na boki. Tymczasem człowiek z łopatką staje na samym płacie i pionowo z góry szatkuje go na przenośne kawałki. Łopatka jest wyostrzona do ostateczności; stopy człowieka są bose, to, na czym stoi, czasem wyśliźnie się spod niego niepowstrzymanie niczym sanki. Czyż więc bardzo byście się dziwili, gdyby obciął

palec u nogi sobie samemu albo swemu pomocnikowi? Palce u nóg są rzadkością wśród weteranów komory tłuszczowej.

ROZDZIAŁ XCV
SUTANNA

Gdybyście wstąpili na pokład „Pequoda” w pewnej fazie owej sekcji zwłok wieloryba i przespacerowali się na przód, w pobliże bratszpilu, jestem pewien, iż obejrzelibyście z niemałym zaciekawieniem bardzo a bardzo dziwny, zagadkowy przedmiot leżący tam wzdłuż korytek odpływowych po zawietrznej. Ani zdumiewająca cysterna olbrzymiej głowy wieloryba, ani dziwo jego wyważonej z zawias dolnej szczęki, ani cud symetrycznego ogona — żadna z tych rzeczy tak by was nie zadziwiła, jak jeden rzut oka na ów niepojęty stożek, dłuższy niż wzrost mieszkańca Kentucky, mający niemal stopę w przekroju u podstawy, i kruczoczarny, niczym Jodżo, hebanowe bożyszcze Queequega. W istocie owa część ciała jest bożyszczem albo raczej był nim jej wizerunek w czasach starożytnych. Takim bożyszczem jak to, które znajdowało się w sekretnych gajach królowej Maacha w Judei; właśnie za oddawanie mu czci, syn jej, król Asa, zdetronizował matkę, zniszczył bałwana i spalił jako ohydę u potoku Cedron, co niejasno wyłożono w piętnastym rozdziale pierwszej Księgi Królów.

Spójrzcie na marynarza zwanego siekaczem, który właśnie podchodzi. Z pomocą dwóch towarzyszy zarzuca sobie z wysiłkiem na plecy grandissimusa, jak zowią go marynarze, i zgiąwszy grzbiet, kuśtyka z nim, niczym grenadier unoszący poległego towarzysza z pola bitwy. Rozłożywszy go na pokładzie forkasztelu poczyna teraz cylindrycznie ściągać zeń ciemną skórę, niby afrykański myśliwiec skórę z węża boa. Z tym się uporawszy, przewraca ją na drugą stronę niby nogawkę od

spodni, rozciąga dobrze, tak aby niemal podwoić jej średnicę, i wreszcie, dla wysuszenia, zawiesza mocno napiętą na olinowaniu. Niebawem zdejmuje się ją stamtąd, a ów marynarz, odciąwszy z niej jakieś trzy stopy od spiczastego końca, wykrawa dwa otwory na ręce z drugiej strony i wślizguje się do środka. Siekacz stoi teraz przed wami przybrany w pełne szaty kanoniczne swojego zawodu. Używany od niepamiętnych czasów przez cały jego zakon, jedynie ten strój należycie go zabezpieczy przy wykonywaniu szczególnych funkcji wynikających z jego urzędu.

Funkcje te polegają na siekaniu kawałów tłuszczu przeznaczonych do kotła; operacji tej dokonuje się na osobliwym drewnianym koźle, ustawionym jednym końcem przy nadburciu; pod nim umieszczona jest pojemna kadź, w którą posiekane kawałki spadają równie szybko jak kartki z pulpitu uniesionego oratora. Przybrany w godną czerń, stojący na widocznej zewsząd kazalnicy, skupiony nad kartkami Biblii * — jakimże kandydatem na arcybiskupa, ba, na samego papieża mógłby być ów siekacz!

ROZDZIAŁ XCVI
WYTAPIALNIA

Amerykański żaglowiec wielorybniczy wyróżnia się zewnętrznie, prócz zawieszonych nad burtami szalup, także i wytapialnia tłuszczu. Stanowi ona ciekawą anomalię, gdyż tęgi mur przyłącza się tu do dębu i konopii, by złożyć się na całość statku. Jest to po trosze tak, jak gdyby na pokład przeniesiono z szerokich pól piec do wypalania cegieł.

Wytapialnia stoi między fok- i grotmasztem, w najprzestronniejszym miejscu pokładu. Belki pod nią mają szczególną moc, zdolną do utrzymania ciężaru niemal całkowicie zwartej masy cegieł i zaprawy o wymiarach mniej więcej dziesięciu stóp na osiem i pięciu stopach wysokości. Fundament nie przenika pod pokład, natomiast mury są mocno przytwierdzone do powierzchni tego ostatniego za pomocą ciężkich klamer żelaznych przytrzymujących ze wszech stron i przygważdżających je do belek. Po bokach ściany obite są drzewem, a od góry całość zamknięta jest dużą, wzmocnioną łatami, pochyłą pokrywą. Kiedy ją podnieść, ujrzy się dwa wielkie kotły do wytapiania tłuszczu, każdy z nich o pojemności kilku beczek. Gdy nie są w użyciu, kotły te utrzymuje się w niezwykłej czystości. Czasem poleruje się je proszkiem i piaskiem, aż lśnią od wewnątrz niczym srebrne wazy do ponczu. W czasie wacht nocnych poniektórzy cyniczni starzy marynarze wpełzają do środka i tam układają się do drzemki. Kiedy w czasie polerowania owych kotłów w każdym z nich siedzi bok w bok marynarz, wiele poufnych zwierzeń przesyłanych bywa ponad ich żelaznymi wargami. Jest to również miejsce odpowiednie do głębokich matematycznych

medytacji. To właśnie w lewym kotle „Pequoda”, kiedy proszek pracowicie wirował w kółko, po raz pierwszy uderzył mnie pośrednio ów zastanawiający fakt, że w geometrii wszystkie ciała sunące po cykloidzie, na przykład tenże mój proszek, opadają z każdego punktu w dokładnie tym samym czasie.

Kiedy się zdejmie klapę żelazną umieszczoną z przodu kotłów, ukaże się nam od tej strony nagi mur, przez który przenikają dwa żelazne wyloty palenisk umieszczone wprost pod kotłami. Owe wyloty wyposażone są w ciężkie drzwiczki z *żelaza.* Tęgi żar płomienia nie może się przenieść na deski pokładu, gdyż zapobiega temu płytki rezerwuar umieszczony pod całą zamkniętą powierzchnią wytapialni. Za pomocą wprawionego w tyle przewodu dopełnia się stale ów rezerwuar, w miarę jak woda zeń paruje. Brak tu wszelkich zewnętrznych kominów; ujście otwiera się bezpośrednio w tylnej ścianie. A teraz cofnijmy się jeszcze na chwilę.

Po raz pierwszy podczas niniejszej wyprawy wytapialnia „Pequoda” ruszyła około dziewiątej wieczorem. Nadzór nad tą sprawą należał do Stubba.

— Wszystko gotowe? Więc zdjąć klapę i zaczynać! Ty, kucharzu, roznieć ogień pod kotłami! — Była to prosta sprawa, ponieważ przez cały czas podróży cieśla wrzucał do paleniska wióry. Należy tu nadmienić, że na wyprawie wielorybniczej pierwszy ogień pod kotłami trzeba przez pewien czas podtrzymywać drzewem. Potem nie używa się już drzewa, chyba tylko jako środka do szybkiego rozpalenia głównego paliwa. Krótko mówiąc, po wytopieniu kruche, wysuszone kawałki tłuszczu, w tym stanie zwane „odpadkami” lub „naleśnikami”, zachowują nadal znaczną część swych oleistych własności. Owe „naleśniki” podtrzymują ogień. Jak krwisty, płonący na stosie męczennik czy też mizantrop, który sam się zżera, wieloryb, gdy już raz ogień pod niego podłożyć, sam dostarcza dla siebie paliwa i spala się na ogniu z własnego ciała. Oby jeszcze pochłaniał własny dym! Albowiem straszna to rzecz dym jego wdychać, a trzeba to czynić; nie dość na tym, musi się w nim żyć przez czas pewien. Ma on niewysłowiony, okrutny,

hinduski odór, taki zapewne jak ten, który się snuje w pobliżu stosów ofiarnych. Pachnie on jak lewica w dzień Sądu Ostatecznego; jest argumentem na rzecz otchłani piekielnej.

O północy wytapialnia była już w pełnym ruchu. Odpłynęliśmy od truchła wielorybiego, rozwinięto żagle, wiatr się wzmagał, nieprzenikniony był mrok dzikiego oceanu. Mrok ów jednakże zlizywały wściekłe płomienie, które od czasu do czasu rozcapierzały się na zewnątrz pokrytych sadzą przewodów oświetlając w górze każdą linę takielunku niby owym słynnym ogniem greckim. Płonący statek sunął przed siebie, jak gdyby bezlitośnie dążąc do jakowegoś mściwego celu. Tak właśnie naładowane smołą i siarką brygi owego zuchwałego hydrioty, Kanarisa, opuszczały nocne kryjówki i, wypłynąwszy z wielkimi płatami płomienia miast żagli, spadały na tureckie fregaty spowijając je w pożogę.

Po usunięciu pokrywy z wierzchu całego urządzenia otwierało się teraz szerokie przed nim palenisko. Stały tam cienie z Tartaru — harpunnicy pogańscy, którzy są zawsze palaczami na żaglowcu wielorybniczym. Ogromnymi rozwidlonymi drągami wrzucali syczące masy tłuszczu do rozpalonych kotłów lub też poruszali pod nimi ogień, aż wężowe płomienie wyrywały się w skrętach na zewnątrz, by ich pochwycić za stopy. Dym toczył precz swe ponure kłęby. Każdemu kolebaniu się statku towarzyszyło chluśnięcie wrzącego oleju, który, rzekłbyś, pałał pragnieniem skoczenia w twarz ludziom. Naprzeciw wylotu, w pewnej odległości od tego szerokiego, drewnianego kominka, widniał kabestan. Ten służył za morską sofę. Tutaj zasiadali ludzie z wachty, kiedy nie mieli nic innego do roboty, i spoglądali w czerwony żar ognia, dopóki nie poczęły ich palić oczy pod czaszką. Ogorzałe lica, teraz całe usmolone sadzą i potem, skołtunione brody i kontrast barbarzyńskiego blasku białych zębów przedziwnie się jawiły w kapryśnym przepychu ognia. Gdy tak opowiadali sobie nawzajem swoje bezecne przygody, gdy snuli opowieści o okropnościach, ujęte w słowa pustackie, kiedy nieokrzesany ich śmiech wystrzelał w górę niczym ów płomień z pieca, kiedy

przed nimi harpunnicy dziko potrząsali ogromnymi widłami i czerpakami, kiedy wył wicher, morze chlustało, statek jęczał i nurzał się w toni, a jednak uparcie wrażał swe czerwone piekło coraz dalej i dalej w czerń morza i nocy, wzgardliwie gryząc trzymaną w zębach białą kość i gniewnie plując na boki — wówczas to prący naprzód „Pequod", pełen dzikich i ładowny ogniem, spalający trupa i nurkujący w czerń mroku, zdał się być materialnym odpowiednikiem duszy swojego maniackiego wodza.

Tak mi się to wszystko wydało, kiedy stałem u steru i przez długie godziny w milczeniu prowadziłem ów okręt ognisty poprzez morze. Sam na ten czas spowity w ciemność, tym lepiej widziałem czerwień, szaleństwo i upiorność innych. Ustawiczny widok szatańskich cieni, pląsających przede mną na poły w dymie, na poły w płomieniach, zrodził nareszcie w mej duszy pokrewne widziadła, gdy tylko zacząłem ulegać owej niepojętej senności, co zawsze mnie nachodzi, gdy o północy staję u steru.

Tej nocy jednak wydarzył mi się przedziwny (i dotąd nie wyjaśniony) wypadek. Ocknąwszy się z krótkiej drzemki na stojąco, uczułem, iż przenika mnie straszliwa świadomość, że dzieje się coś fatalnie złego. Rumpel z kości szczękowej uderzył mnie w bok, którym się oń opierałem; w uszach miałem cichy szum żagli, co właśnie poczęły łopotać na wietrze; mniemałem, że oczy mam otwarte; na wpół uświadomiłem sobie, iż przykładam palce do powiek i mechanicznie rozwieram je coraz szerzej. Jednakże mimo to wszystko nie mogłem dojrzeć przed sobą kompasu, według którego miałem sterować, choć wydawało mi się, że ledwie minutę temu śledziłem go w spokojnym świetle lampy naktuzowej. Przede mną nie było nic prócz czarnego mroku, raz po raz upiornie przerywanego błyskami czerwieni. Przemożne było wrażenie, że ta chyża i mknąca rzecz, na której stoję, nie tyle zmierza do jakiegokolwiek portu przed nami, co umyka od wszystkich portów, które zostały w tyle. Ogarnęło mnie drętwe uczucie oszołomienia, jak gdyby śmierci. Dłonie moje konwulsyjnie chwyciły za rękojeść steru, jednak z obłędną świadomością, że

w jakiś zaczarowany sposób odwróciła się ona w drugą stronę. „Boże mój! Co się ze mną dzieje?” — pomyślałem. Zaiste! W czasie krótkiego snu zrobiłem pół obrotu i stałem teraz twarzą do rufy, a plecami do dziobu i kompasu. W jednej chwili obróciłem się na powrót, akurat w sam czas, by zapobiec odpadnięciu statku od wiatru, co najprawdopodobniej przewróciłoby go na bok. Jakże radosne i pełne wdzięczności było to uwolnienie się od niesamowitej nocnej halucynacji oraz fatalnej ewentualności przewalenia się na burtę!

Nie spoglądaj zbyt długo w oblicze ognia, człowiecze! Przenigdy nie śnij z dłonią na rękojeści steru! Nie odwracaj się tyłem do kompasu; przyjmij pierwszą przestrogę szarpiącego się rumpla; nie dowierzaj sztucznemu ogniowi, gdy jego czerwień wszystkim przedmiotom nadaje pozór widmowy! Jutro, w naturalnym świetle słońca, niebiosa będą jasne, tych, co niby szatany gorzeli w językach płomieni, ranek w całkiem odmiennym, a przynajmniej łagodniejszym ukaże kształcie; przepyszne, złociste, radosne słońce, to jedyna rzetelna lampa — wszelkie inne to tylko kłamcy!

A jednak słońce nie ukrywa złowieszczych bagien Wirginii ani przeklętej rzymskiej Kampanii, ani rozległej Sahary, ani milionów mil pustkowi i zgryzot pod księżycem. Słońce nie kryje oceanu, który jest ciemną stroną tej ziemi i który jest dwiema trzecimi tej ziemi. Dlatego to ów śmiertelny człowiek, co więcej ma w sobie wesela niż smutku, nie może być prawdziwym człowiekiem — jest albo nieprawdziwy, albo też prostak. To samo z książkami. Najprawdziwszym ze wszystkich ludzi był Tamten, Boleściwy, a najprawdziwszą z ksiąg — księga Salomona, zaś Eklezjastes * to przednia, kowana stal niedoli. „Wszystko jest marnością.” WSZYSTKO. Ten świat uparty nie przejął jeszcze mądrości niechrześcijańskiego Salomona. Lecz ten, kto unika szpitali i więzień, kto szybkim krokiem przemierza cmentarze i woli mówić o operach niż o piekle; ten, kto Cowpera, Younga, Pascala i Rousseau nazywa chorymi biedakami; kto przez całe beztroskie życie zaklina się na Rabelais'ego jako na wielkiego mędrca i przeto właśnie

człowieka wesołego — ten nie jest zdatny, by zasiąść na kamieniach nagrobnych i wraz z niezgłębionym, cudownym Salomonem przebić zieloną, wilgotną pleśń.

Ale wszak nawet Salomon powiada: „Człek, któren zejdzie z drogi rozumu, pozostanie (tzn. nawet za życia) między rzeszą umarłych.” Nie poddawaj się więc ogniowi, gdyż ten cię odwróci i oszołomi, jak to na chwilę uczynił i ze mną. Istnieje mądrość, która jest nieszczęściem, ale istnieje też nieszczęście, które jest obłędem. A jest w niektórych duszach orzeł z Catskill **, co zarówno potrafi znurkować w najczarniejsze rozpadliny, jak też i wzbić się z nich znowu i zniknąć w słonecznych przestworach. A nawet jeśliby na zawsze krążył po owych rozpadlinach, toć znajdują się one wśród gór, więc nawet opuszczając się tak nisko, jak tylko może, ów orzeł górski pozostanie nadal wyżej od ptaków z równin, choćby się w górę wzbijały.

ROZDZIAŁ XCVII
LAMPA

Gdybyście przeszli od kotłów „Pequoda” na jego forkasztel, gdzie sypia nie pełniąca służby wachta, wówczas przez jedną chwilę pomyślelibyście zapewne, że stanęliście w jakowymś oświetlonym grobowcu kanonizowanych królów i kanclerzy. Tam oto spoczywali w swej trójkątnej, dębowej krypcie — każdy marynarz niby rzeźbione milczenie; a tuzin lamp świeciło im w przysłonięte oczy.

Na statkach handlowych olej dla marynarzy jest rzadszy niż mleko monarchiń. Zwykły to los żeglarza odziewać się w ciemnościach, jadać w ciemnościach i po ciemku potykać się w drodze na swój barłóg. Ale wielorybnik, jak szuka pokarmu dla światła, tak też i w świetle żyje. Ze swojej koi czyni lampę Aladyna i w niej się układa, tak iż wśród najciemniejszej nocy czarny kadłub żaglowca kryje w swym wnętrzu iluminację.

Spójrzcie, z jak całkowitą swobodą wielorybnik niesie garść swoich lamp — często po prostu starych butelek i flaszek — do miedzianego naczynia, w którym chłodzi się olej przy kotłach, i tam je na nowo napełnia niby dzbany od piwa u kadzi. A także wypala on najczystszy z olejów w nieprzerobionym i dlatego nieskażonym stanie — płyn nie znany jakimkolwiek słonecznym, księżycowym czy gwiezdnym urządzeniom na lądzie. Olej ten jest słodki jak masło z wczesnych traw kwietniowych. Wielorybnik rusza na łowy w poszukiwaniu swego oleju, aby być pewnym jego świeżości i czystości, tak właśnie jak na prerii podróżnik musi sam sobie upolować wieczerzę ze zwierzyny.

ROZDZIAŁ XCVIII
ROZLEWANIE I CZYSZCZENIE

Opowiedziano już, jak to z masztów wypatruje się w oddali wielkiego Lewiatana, jak go się ściga przez wodne rozłogi i ubija w dolinach głębin; jak go się wtedy przyciąga do statku i obcina mu głowę, a wreszcie, jak to (na tej samej zasadzie, która dawniej dawała katu prawo do odzieży ściętego skazańca) jego ogromny, watowany surdut staje się własnością oprawcy; jak w należytym czasie potwór skazany zostaje na wrzucenie do kotła i niby Sydrach, Misach i Abdenago, jego olbrot, tłuszcz i kości przechodzą bez szwanku przez ogień. Teraz jeszcze pozostaje ml zakończyć ostatni rozdział tej części opisu relacją — opiewaniem, jeżeli potrafię — romantycznego procederu rozlewania oleju do beczek i opuszczania ich do ładowni, kędy Lewiatan znowu powraca do swych rodzinnych głębin i sunie, jak przedtem, pod powierzchnią wód, niestety jednak po to, by nigdy już nie wypłynąć i nie dmuchnąć.

Olej, póki ciepły, rozlewa się jak gorący poncz do sześciobaryłkowych stągwi, a kiedy statek może właśnie miota się i kolebie w tę i tamtą stronę pośród nocnego morza, olbrzymie beki toczą się i koziołkują, czasem groźnie pędząc poprzez oślizły pokład niczym lawiny, póki wreszcie nie pochwycą ich ludzie i nie powstrzymają w pędzie; a wokół, po obręczach, łup, łup, wali je tyle młotków, ile się zmieści, teraz bowiem każdy marynarz jest *ex officio* bednarzem. W końcu, kiedy ostatnia kwarta wlana zostanie do beczek i wszystko już ostygnie, odpieczętowuje się wielkie pokrywy luków, trzewia żaglowca stają otworem i beczki opuszczają się na miejsce swego ostatecznego spoczynku na morzu. Po dokonaniu tego pokrywy

wracają na swoje miejsca i luki zostają hermetycznie zamknięte niby zamurowana skrytka.

Przy połowach kaszalotów należy to może do najbardziej uwagi godnych wydarzeń całego wielorybniczego rzemiosła. Jednego dnia deski pokładu spływają strumieniami krwi i oleju; na uświęconym mostku kapitańskim piętrzą się bezecnie olbrzymie kawały głowy kaszalota; wielkie zardzewiałe belki walają się tu i ówdzie niczym na dziedzińcu browaru; dym z wytapialni pokrył sadzą wszystkie nadburcia; marynarze chodzą zlani tłustością; cały statek zdaje się być samym wielkim Lewiatanem, a hałas jest wszędzie ogłuszający.

Ale w dzień czy dwa później rozglądasz się wokoło po tym samym żaglowcu i szczypiesz się w ucho; gdyby nie te wymowne szalupy i kotły, przysiągłbyś, iż stąpasz po jakimś cichym statku handlowym mającym niebywale schludnego dowódcę. Nie przerobiony olbrot posiada szczególnie oczyszczające własności. Oto przyczyna, dla której pokłady nigdy nie wyglądają równie biało jak tuż po tak ogólnie zwanej „sprawie tłuszczowej”. Poza tym z popiołu pozostałego po spalonych odpadkach wieloryba sporządza się z łatwością mocny ług; i jeśli tylko jakowaś lepkość z grzbietu ryby pozostanie jeszcze przywarta do kadłuba, ług ten szybko ją zniszczy. Majtkowie pilnie krzątają się wzdłuż burt i za pomocą gałganów oraz wiader wody przywracają je do stanu zupełnej czystości. Niższą część takielunku oczyszcza się z sadzy. Wszystkie tak liczne narzędzia, które były w użyciu, również czyści się najsumienniej i na bok odkłada. Wielka pokrywa, uszorowana i umieszczona z powrotem na wytapialni, kompletnie przesłania kotły; wszystkie beczki znikły, liny zwinięto w niewidzialnych zakątkach i kiedy dzięki połączonej i jednoczesnej zapobiegliwości niemal całej załogi żaglowca zakończy się nareszcie owa gruntowna praca, wówczas sami marynarze przystępują do ablucji, przebierają się od stóp do głów i wreszcie wychodzą na niepokalany pokład, wyświeżeni i promienni jak oblubieńcy, którzy tylko co wyskoczyli z jakiejś przeschludnej Holandii.

Teraz po dwóch, po trzech przemierzają pokład rozradowanym krokiem i żartobliwie rozprawiają o salonach, sofach, dywanach i delikatnych batystach, proponują, żeby wysłać deski matami, zastanawiają się, czy nie rozwiesić kotar na masztach, użalają się, że nie pijają herbaty przy księżycu na tarasie forkasztelu. Wspomnieć takim wypachnionym marynarzom o kościach, oleju czy tłuszczu byłoby niemal zuchwalstwem. Nawet nie znają tej rzeczy, o której tu mglisto napomykacie. Odejdźcie i podajcie nam serwetki!

Ale zważcie tylko: tam, w górze, na topach trzech masztów stoją trzej ludzie, pilnie wypatrując nowych wielorybów, które jeśli zostaną upolowane, niechybnie znowu zbrukają stare, dębowe sprzęty i pozostawią gdzieś przynajmniej jedną plamkę oleju. Tak jest — i nieraz się zdarza, że po najsurowszym, nieprzerwanym mozole, który nie zna, co to noc, i trwa jednym ciągiem przez dziewięćdziesiąt sześć godzin; kiedy z szalupy, gdzie puchły im ręce od całodziennego wiosłowania na równiku, marynarze wstępują na pokład tylko po to, by taskać ogromne łańcuchy, obracać ciężki kabestan, krajać a rąbać i zlani własnym potem wędzić się i znowu gorzeć w połączonym ogniu równikowego słońca i równikowych kotłów; kiedy po tym wszystkim zabiorą się wreszcie do oczyszczenia statku czyniąc zeń nieskazitelną izbę mleczarską — nieraz bywa, że biedacy, właśnie zapinając pod szyję czyste kaftany, drgną od okrzyku: „Tam dmucha!” — i znowu pędzą, by walczyć z następnym wielorybem i przejść ponownie przez wszystkie te znoje.

O, przyjaciele, to rzecz dla człowieka zabójcza! Ale takie jest życie. Albowiem ledwie my, śmiertelnicy, długim mozołem wydobędziemy z ogromnej bryły tego świata jego skąpy, lecz cenny olbrot, a potem z niezmordowaną cierpliwością obmyjemy się ze zmazy i nauczymy żyć w czystym tabernakulum duszy — ledwie się to stanie, gdy oto: „Tam dmucha!” — tryska w górę duch i znowu precz żeglujemy, by walczyć z jakimś innym światem i przejść przez stare koleje młodego żywota.

O, metempsychozo! O, Pitagorasie, któryś zmarł w jasnej Grecji dwa tysiące lat temu, tak dobrotliwy, tak mądry, tak łagodny; czasu ostatniej wyprawy żeglowałem wraz z tobą wzdłuż peruwiańskich wybrzeży i chociem głupi, przecie uczyłem ciebie, prostego nowicjusza, jak zaplatać liny.

ROZDZIAŁ XCIX
DUBLON

Opowiedziano już przedtem, jak Ahab zwykł był się przechadzać po mostku kapitańskim, regularnie zawracając u każdego końca, u naktuza i u grotmasztu, ale wśród mnogości innych spraw wymagających relacji nie dodano, że czasami w trakcie tych wędrówek, kiedy był najbardziej zatopiony w myślach, miał zwyczaj przystawać kolejno w każdym z tych miejsc i trwał tam, dziwnie wpatrzony w przedmiot znajdujący się przed nim. Kiedy tak stawał przed naktuzem, ze wzrokiem utkwionym w ostrą igłę kompasu, spojrzenie jego uderzało jak oszczep równie ostrym napięciem myśli, co nim owładnęła; kiedy zaś podjąwszy swój spacer stawał z kolei przed masztem i jego wzrok uparty wbijał się w tkwiącą tam złotą monetę — w oczach kapitana widniała znowu tak samo przygważdżająca stanowczość, zasnuta tylko jakowąś dziką tęsknotą czy nawet nadzieją.

Ale pewnego ranka, kiedy zawracał około dublonu, zdało się, iż go na nowo przyciągnęły dziwne znaki i napisy wybite na monecie, jak gdyby to po raz pierwszy zaczął w jakiś maniacki sposób tłumaczyć sobie mogący się w nich kryć sens. A przecież jakieś znaczenie musi się kryć we wszystkich rzeczach, gdyż inaczej wszystkie one byłyby mało warte, zaś cały ten krągły świat — jedynie pustą cyfrą, chyba żeby go sprzedawać na wzory dla zasypania bagien na Mlecznej Drodze, podobnie jak się sprzedaje wzgórza w pobliżu Bostonu.

Owóż ten dublon był z najczystszego, dziewiczego złota wykopanego gdzieś w samym sercu wspaniałych wzgórz, z których na wschód i zachód spływają po złotych piaskach wody

niejednego Paktolosa. I choć był teraz przybity wpośród całej tej rdzy żelaznych sworzni i śniedzi miedzianych bretnali, przecie niepokalany i niedotykalny dla jakiejkolwiek zmazy zachował nadal swój blask z Quita. A także chociaż się znalazł wśród nieokiełzanej załogi i każdej godziny przesuwały się po nim nieokiełzane ręce, zaś w czasie długich nocy okrywał go mrok głęboki, który mógłby przesłonić wszelkie złodziejskie poczynania — niemniej jednak każdy wschód zastawał dublon na tym samym miejscu, na którym go zachód zostawił. Albowiem odłożony był i uświęcony dla jedynego, lękiem przejmującego celu i przeto, jakkolwiek swawolne są obyczaje żeglarskie, każdy z marynarzy szanował monetę jako talizman białego wieloryba. Bywało, że o niej gwarzyli w czasie nużących wacht nocnych, zastanawiając się, komu miała wreszcie przypaść w udziale i czy ów człowiek pożyje dość długo, by móc ją wydać.

Otóż te szlachetne złote monety z Ameryki Południowej to jakby medale słońca i oznaki tropików. Wyobrażone są na nich w bujnej obfitości palmy, wulkany i lamy, tarcze słońc oraz gwiazdy, ekliptyki, rogi obfitości i bogate, łopocące sztandary, tak że to drogocenne złoto zdaje się zyskiwać dodatkową cenę i tym wspanialszą świetność przechodząc przez pełne fantazji mennice, tak po hiszpańsku poetyczne.

Zdarzyło się, że dublon „Pequoda” był najbogatszym przykładem tych rzeczy. Wokoło jego krągłej krawędzi biegł napis: REPUBLICA DEL ECUADOR: QUITO. Tak to więc owa błyszcząca moneta pochodziła z kraju tkwiącego pośrodku świata, pod wielkim ekwatorem, od którego wziął swoje miano; a została odiami gdzieś w Andach, w owej niewiędnącej krainie, co nie zna jesieni. Wewnątrz kręgu tych liter widniała podobizna trzech szczytów Andów; z jednego dobywał się płomień, na drugim stała wieża, na trzecim — piejący kogut, a nad tym wszystkim rozpiął się łukiem fragment zodiaku, którego wszystkie znaki ukazywały zwykłe swe cyfry kabalistyczne, sam zaś ośrodek — słońce przechodziło u Wag przez punkt, w którym dzień równa się z nocą.

Przed tą ekwatorialną monetą stanął teraz Ahab, co nie uszło uwagi innych.

— Jest zawsze coś z egzotyzmu w szczytach gór i wieżycach, we wszystkich innych rzeczach wspaniałych i wyniosłych. Patrzajcie: oto trzy turnie dumne jako Lucyper. Ta krzepka wieża to Ahab, ten wulkan to Ahab, dzielny, nieposkromiony, zwycięski ptak to także Ahab. Wszystkie one są Ahabem, a ten krążek złota to po prostu obraz jeszcze krągłejszego globu, co niby szkiełko czarodzieja każdemu po kolei odsyła odbicie jego własnej, tajemnej jaźni. Wielki znój, a mały zysk czeka tych, co chcą, by świat rozwiązał ich tajemnicę, on sam bowiem pojąć siebie nie potrafi. Wydaje mi się teraz, że słońce na tej monecie ma czerstwe lico, lecz patrzcie! Zaiste, oto wchodzi w znak burzy, w ekwinokcjuin. Ale ledwie sześć miesięcy temu wytoczyło się z poprzedniego, u Ariesa! Od burzy do burzy! Niech więc tak będzie. Słuszne jest, by człek, zrodzon z bólu, żył w bólu i pomarł w bólu! Niechże więc tak będzie! Oto przedni żer dla niedoli. Niech się tak stanie.

— To nie czarodziejskie palce dotknęły tego złota, ale szpony szatana musiały pozostawić na nim od wczoraj swe ślady — szepnął do siebie Starbuck oparty o burtę. — Stary zdaje się czytać straszliwy napis Baltazara. Nigdym się dobrze nie przyjrzał tej monecie. O, właśnie schodzi na dół. Odczytajmy więc sami. Ciemna dolina między trzema potężnymi, niebotycznymi szczytami, co zdaje się niemal jakimś nikłym, ziemskim symbolem Trójcy. Tak, zatem w tej Dolinie Śmierci otoczył nas Bóg, a ponad naszym smutkiem świeci nadal słońce Sprawiedliwości jako drogowskaz i nadzieja. Jeśli spuścimy oczy, mroczna dolina ukaże nam swój czarnoziem, ale kiedy je podniesiemy, wzrok nasz ku swej radości napotka w pół drogi jasne słońce. Lecz wielkie słońce nie trwa tam stale. Gdybyśmy o północy chcieli zeń czerpać słodkie ukojenie, próżno go będziemy wyglądali. Ten pieniądz mówi do mnie mądrze, łagodnie, prawdziwie, ale jednak smutnie. Odejdę, bo inaczej Prawda wstrząśnie mną zdradliwie.

— O, stary Mogoł! — rzekł do siebie Stubb stojący opodal, wytapialni. — Przyglądał się dublonowi. A teraz Starbuck stamtąd odchodzi, obaj zaś mają miny wydłużone, powiedziałbym, na jakieś dziewięć sążni. A wszystko przez to, że patrzyli na sztukę złota. A ja, gdybym ją teraz miał na Negro Hill albo w Carlear's Hook, nie oglądałbym się długo, żeby ją wydać. Hm, w moim skromnym, nic nie znaczącym mniemaniu jest to rzecz osobliwa. Widywałem ja już dublony w czasie moich wędrówek; dublony ze starej Hiszpanii, z Peru i z Chile, dublony z Boliwii, z Popayanu i w bród złotych moidorów i pistoli, i pensów, półpensów i ćwierćpensów. Cóż więc takiego miałoby tkwić w tym dublonie z Ekwadoru, żeby był tak zabójczo cudowny! Na Golkondę!* Niechże i ja raz przeczytam. Oho! Rzeczywiście, ależ tu znaki i cuda! O, właśnie to nazywa stary Bowditch w swym podręczniku zodiakiem. Tak samo zresztą zowie się i ten kalendarz, co go mam na dole. Przyniosę go i tak jakem słyszał, że można wywołać djabła za pomocą książki arytmetycznej Dabolla, tak samo popróbuję, czy potrafię wydobyć jakieś znaczenie z tych dziwnych wykrętasów przy pomocy kalendarza z Massachusetts. No, mamy go. Teraz się przyjrzyjmy. Znaki i cuda — i słońce; ono tam zawsze jest między nami. Hm, hm, hm — macież je wszystkie jak żywe: Aries, czyli Baran, Taurus, czyli Byk i — bodaj to! — Gemini, czyli Bliźnięta we własnej osobie. A słońce wśród nich kołuje. Tak, i na tej tu monecie właśnie przechodzi przez próg dzielący dwie komnaty spośród dwunastu ułożonych kołem. Leżże tu, książko. Fakt faktem, że wy, książki, winnyście znać swoje miejsce. Wystarczy, że nam dacie nagie słowa i fakty, a naszą jest rzeczą dostarczyć myśli. Takie jest moje małe doświadczenie, jeżeli idzie o kalendarz z Massachusetts, podręcznik żeglarski Bowditcha i arytmetykę Dabolla. Znaki i cuda, hę? Szkoda, że nie ma nic cudownego w znakach, a znaczącego w cudach! Gdzieś tu jest jakiś trop. Chwileczkę, zaraz... mam, na Jowisza! Słuchaj no, dublonie, ten twój zodiak to życie człowiecze w jednym okrągłym zamknięte rozdziale i teraz je odczytam wprost z księgi. Chodź tu, kalendarzu! Na

początku jest Aries, czyli Baran — rozpustny pies; i ten nas płodzi, dalej Taurus, czyli Byk — ten, pierwsza rzecz, guza nam nabija; wreszcie Gemini, czyli Bliźnięta — to znaczy Cnota oraz Występek. Chcemy sięgnąć po Cnotę, ale oto pojawia się Cancer, czyli Rak, i odciąga nas wstecz. A gdy od Cnoty odchodzimy, na ścieżce leży Leo, ryczący Lew — kilkakroć srogo kłapnie paszczęką i groźnie łapą uderzy. Zamykamy i pozdrawiamy Virgo, Dziewicę; to nasza pierwsza miłość. Żenimy się i już mniemamy, żeśmy na wieki szczęśliwi, gdy bęc! — nadchodzą Libra, czyli Wagi — waży się szczęście i stwierdza, że go brak. A kiedy siedzimy strapieni, Boże, jak nie skoczymy, bo Scorpio, czyli Skorpion wyciął nas z tyłu. Leczymy właśnie ranę, gdy oto brzdęk! — już lecą zewsząd strzały; to się zabawia Sagittarius, czyli Strzelec. Właśnie wyrywamy wbite bełty, a tu: na bok! Leci taran: Capricornus, czyli Koziorożec grzmi cwałem przed siebie i zwala nas na łeb na szyję. Wtem Aąuarius, czyli Wodnik, wylewa na nas cały potop i toniemy, zwijamy się w kłębek wraz z Pisces, czyli Rybami, i idziemy spać. Oto kazanie wypisane na niebie wysokim. Słońce przez nie co roku przebiega, a przecie wychodzi całkiem żywe i ochocze. Ono tam, w górze, wesoło się toczy poprzez trud i zmartwienia i tak samo tu, na dole, czyni wesoły Stubb. Wesołość, oto hasło na wieki! *Adieu,* dublonie! Lecz zaraz, oto tu zmierza mały „King-Post”. Schowajmy się za kotłami i posłuchajmy teraz, co ten będzie miał do powiedzenia. O, właśnie, już stoi przed dublonem — zaraz z czymś wyjedzie. Tak, tak, już zaczyna.

— Nic tu nie widzę, oprócz krągłego przedmiotu ze złota, a ktokolwiek wypatrzy pewnego wieloryba, otrzyma ten krążek na własność. Więc po co było tak mu się przyglądać? Prawda, że wart szesnaście dolarów, a licząc po dwa centy za cygaro, mamy tu dziewięćset sześćdziesiąt cygar. Nie paliłbym parszywej fajki, jak Stubb, ale cygara, owszem, lubię, a tu ich jest dziewięćset sześćdziesiąt. Więc Fiask wylezie na górę, aby je wypatrzeć.

— Czy nazwać to mądrym, czy też głupim? Jeśli jest rzeczywiście mądre, to ma trochę głupi pozór; jeśli rzeczywiście głupie, to wygląda mądrawo. Ale dość! Oto nadchodzi ten nasz

stary z Wyspy Man — stary karawaniarz, bo musiał chyba nim być, zanim wyruszył na morze. Zakręca przed dublonem, oho, i przechodzi na drugą stronę masztu; wszak tam jest przybita podkowa. Ale znów jest z powrotem. Cóż to ma znaczyć? Cicho, coś szepcze — głos niczym stary, sterany młynek od kawy. Nadstawmy uszu i słuchajmy!

— Jeżeli mają wypatrzeć białego wieloryba, stać się to musi w takim miesiącu i dniu, gdy słońce przebywać będzie w którymś z tych znaków. Badałem je i wiem, co znaczą. Nauczyła mnie tego w Kopenhadze stara wiedźma, czterdzieści lat temu. Przy którymże znaku znajdzie się wtedy słońce? Przy znaku podkowy, bo tam ona tkwi, właśnie na wprost złota. Czymże jest znak podkowy? To lew — ryczący i rozżarty lew. Statku, stary statku! Moja stara głowa trzęsie się, kiedy myślę o tobie.

— Znów nowe tłumaczenie, ale tekst wciąż ten sam. No tak; ludzie wszelkiego pokroju na jednym i tym samym świecie. Ukryjmy się znowu! Nadchodzi Queequeg, cały wytatuowany — sam wygląda jak znaki zodiaku. Cóż gada ten ludożerca? Jak mi Bóg miły, porównuje znaki. Patrzy na swoje udo — myśli, że słońce jest albo na nim, albo na łydce, albo może w jelitach. Podobnie gadają o astronomii stare baby po zapadłych kątach. Na Jowisza, znalazł coś w okolicy uda — pewnie to Sagittarius, czyli Strzelec. Nie, nie ma on pojęcia, co myśleć o tym dublonie. Pewnie go bierze za stary guzik od spodni jakiegoś króla. Ale cofnijmy się znowu. Idzie tu ów stary duch-szatan, Fedallah! Jak zawsze ogon zwinięty i ukryty, a pakuły w nosach trzewików. Cóż ten znowu gada, a jak patrzy po swojemu! Aha, tylko znak daje znakowi i składa mu ukłon; na monecie jest słońce — a on to czciciel ognia, ani chybi. Ho, coraz ich więcej. Idzie tu Pip, biedaczysko! Bogdajby był zginął, on albo ja! Straszny mi jego widok. I on też przyglądał się tym wszystkim tłumaczom — ze mną włącznie — a teraz, patrzcie, idzie sam przeczytać, z tą swą nieziemską twarzą głuptaka. Odsuńmy się znowu i posłuchajmy go. Cyt!

— Ja patrzę, ty patrzysz, on patrzy, my patrzymy, wy patrzycie, oni patrzą.

— Na mą duszę, musiał studiować gramatykę! Rozwija swój umysł, biedaczysko. Cóż teraz mówi — tss!

— Ja patrzę, ty patrzysz, on patrzy, my patrzymy, wy patrzycie, oni patrzą.

— Cóż to, na pamięć się uczy… Cicho! Znowu…

— Ja patrzę, ty patrzysz, on patrzy, my patrzymy, wy patrzycie, oni patrzą.

— No, to zabawne…

— I ja, ty i on; my, wy i oni, wszyscy jesteśmy nietoperzami. Ja zaś jestem wroną, zwłaszcza gdy wlezę na czubek tej sosny. Kra! Kra! Kra!.Kra! Kra! Kra! Czyżem nie wrona? A gdzie straszydło na wrony? Tam stoi: dwa gnaty wetknięte w parę starych spodni, dwa inne wsunięte w rękawy starej kurty.

— Ciekawe, czy mnie ma na myśli? A to pochlebne! Biedny chłopak! Miałbym chęć się powiesić. Tak czy inaczej, na razie odejdę z jego sąsiedztwa. Mogę znieść pozostałych, bo mają wszystkie klepki, ale on zbyt jest pomieszany jak na mój rozsądek. Tak, tak, zostawię go, niech szepcze.

— Oto jest pępek statku, ten właśnie dublon,. a wszyscy są jak na węglach, żeby go odkręcić. Ale odkręćcie sobie pępek — jakież będą tego skutki? A znów jeśli tu pozostanie, to też niedobrze, bo kiedy cokolwiek przybite jest do masztu, to znak, że sprawy mają się rozpaczliwie. Ha! Ha! Stary Ahabie! Biały wieloryb; on cię przygwoździ. A to jest sosna. W starym hrabstwie Tolland mój ojciec ściął niegdyś sosnę i znalazł wrośnięty w nią srebrny pierścionek; pewnie zaręczynowy jakiegoś starego czarnucha. Jak się tam dostał? Tak właśnie rzekną w czas zmartwychwstania, kiedy wyłowią ten stary maszt pokryty ostrygami miast kosmatej kory i znajdą tkwiący w nim dublon. O, złoto! Cenne, drogocenne złoto! Wrychle cię zabierze zielony skąpiec! Tss, tss! Bóg stąpa pośród światów i zbiera jeżyny. Kucharzu! Hej, kucharzu! Ugotuj nas! Jenny, hej, hej, hej, hej, Jenny! Jenny! Upiecz nam placek z mąki!

ROZDZIAŁ C
NOGA I RAMIĘ. „PEQUOD” Z NANTUCKET SPOTYKA „SAMUELA ENDERBY” Z LONDYNU

Statek, ahoy! Widzieliście białego wieloryba?

Tak wołał Ahab znowu witając zbliżający się od rufy żaglowiec, na którym widniały barwy angielskie. Stary, z tubą przy ustach, stał w zawieszonej u mostka szalupie i jego kościana noga była dobrze widoczna dla obcego kapitana, który niedbale rozparł się na dziobie własnej łodzi. Był to ciemno opalony, tęgi, dobroduszny i przystojny mężczyzna lat sześćdziesięciu czy coś około tego, przyodziany w obszerny kabat, który zwisał wokół fałdami granatowego marynarskiego sukna; jeden pusty rękaw owego kabata spływał mu z pleców, niby haftowany rękaw huzarskiego dolmana.

— Widzieliście białego wieloryba?

— A widzisz pan to? — tu kapitan wyciągnął w górę dobyte spomiędzy kryjących je fałd białe ramię z kości kaszalota, zakończone drewnianą gałką podobną do młotka.

— Moja osada do szalupy! — krzyknął porywczo Ahab roztrącając leżące wokoło wiosła. — Spuszczać!

W ciągu czasu krótszego od minuty, nie wychodząc z łodzi, on sam i jego załoga opuszczeni zostali na wodę i wkrótce znaleźli się u boku obcego żaglowca. Tutaj jednak nastręczyła się osobliwa trudność. Pod wpływem podniecenia chwili Ahab

zapomniał, że od czasu utraty nogi ni razu nie stąpnął na pokład żadnego statku znajdującego się na morzu, oprócz własnego, a i to odbywało się zawsze przy pomocy pomysłowego i bardzo poręcznego mechanizmu właściwego „Pequodowi", którego to urządzenia nie można było jednak umocować i umieścić na jakimś innym okręcie ot tak, w jednej chwili. Otóż nie jest rzeczą zbyt łatwą dla nikogo — z wyjątkiem tych, co jak wielorybnicy robią to niemal każdej godziny — wdrapywać się na pełnym morzu z łodzi po kadłubie statku; bowiem potężne bałwany to wynoszą łódź wysoko ku burtom, to znów natychmiast ją strącają niemal aż po sam kilson. Tak więc Ahab pozbawiony jednej nogi, widząc, że obcy statek nie jest, rzecz oczywista, wyposażony w ów dogodny wynalazek, znalazł się znowu w obrzydłym położeniu niezdarnego szczura lądowego; beznadziejnie spoglądał na niepewną i zmienną wysokość, małe mając widoki, by móc się na nią wydostać.

Wspomniano już, być może, że najmniejsza niesprzyjająca okoliczność, jaka go spotykała, a wynikła bezpośrednio z jego nieszczęśliwego wypadku, niemal niezmiennie rozdrażniała i rozjątrzała Ahaba. Tym razem zaś wszystko to jeszcze spotęgował widok dwóch oficerów obcego statku, wychylonych przez burtę opodal pionowej drabinki z deszczułek i kołyszących w jego stronę parą gustownie zdobionych linek pomocniczych, zrazu bowiem snadź się nie zastanowili, iż jednonogi człowiek musi być przecie zbyt wielkim kaleką, by móc się posłużyć tą ich morską balustradą. Jednak kłopotliwa sytuacja trwała ledwie minutę, gdyż nieznajomy kapitan, poznawszy od jednego rzutu oka, jak się rzeczy mają, zakrzyknął:

— Rozumiem! Rozumiem! Przestańcie się tam dźwigać! Skoczcie, chłopcy, i spuśćcie bloki do wciągania wielorybów!

Szczęście chciało, że przed kilkoma dniami mieli wieloryba przycumowanego do statku i potężne talie wisiały jeszcze w górze, a masywny, zagięty hak tłuszczowy, teraz już czysty i suchy, umocowany był na końcu. Szybko spuszczono go Ahabowi, który od razu pojąwszy, o co chodzi, wsunął swoje

samotne udo w zagięcie haka {było to coś w rodzaju siedzenia na pazurze kotwicy czy też w rozwidleniu gałęzi jabłoni) i dawszy hasło uchwycił się mocno haka, jednocześnie pomagając przy windowaniu ciężaru własnego ciała przez to, że pociągał w dół drugą część przesuwającej się po bloku liny. Wkrótce ostrożnie wciągnięto go za wysokie nadburcie i łagodnie opuszczono na bęben kabestanu. Kapitan podszedł wyciągając serdecznie na powitanie swą rękę z kości. Ahab zaś wysunąwszy nogę kościaną, skrzyżował ją z kościanym ramieniem (niby dwa ostrza ryb-mieczów) i wykrzyknął buńczucznym głosem:

— Tak, tak, kochanku! Potrząśnijmy naszymi gnatami! Ramię i noga! Ramię, co nigdy się, widzisz, nie uchyli, i noga, co nigdy uciekać nie może. Gdzieżeś to widział białego wieloryba? Jak dawno temu?

— Białego wieloryba? — ozwał się Anglik wskazując ku wschodowi kościanym ramieniem i żałośliwie wzdłuż niego spoglądając, jak gdyby było lunetą. — Tam go widziałem, na równiku, zeszłego sezonu.

— I on ci zabrał tę rękę, co? — zapytał Ahab zesuwając się z kabestanu i wspierając zarazem na ramieniu Anglika.

— Tak, a przynajmniej był tego przyczyną. A tę nogę także on?

— Gadajże mi od razu — odparł Ahab — jak się to stało?

— Było to wówczas, gdym pierwszy raz w życiu krążył po równiku — zaczął Anglik. — Nic wtedy nie wiedziałem o białym wielorybie. No i któregoś dnia spuściliśmy łodzie za stadkiem złożonym z czterech czy pięciu sztuk i moja szalupa przytrzymała jedną z nich. A był to całkiem regularny koń cyrkowy i zaczął tak kołować i kołować, że moja załoga mogła utrzymać łódź w równowadze jedynie zasiadłszy wszystkimi zadkami na zewnętrznej burcie. I raptem wystrzela z dna morza rozskakany, ogromny wieloryb z mlecznobiałym łbem i garbem, cały w zmarszczki i bruzdy…

— To był on! To był on! — krzyknął Ahab nagle dając ujście zapartemu w piersiach oddechowi.

— I harpuny mu tkwiły od sterbortu, w pobliżu płetwy!

łetwy Tak, tak, to moje, moje żelaza! — zawołał Ahab z tryumfem. — Ale mów dalej!

— Dajże mi więc pan możność! — odparł wesoło Anglik. — Otóż ten stary pradziadek o białej głowie i garbie wpada cały w pianie między stado i nuże wściekle rwać zębami mą linę harpunową.

— Tak, pojmuję! Chciał ją przeciąć, uwolnić przytrzymaną rybę — stary to kawał — znam go!

— Jak się to właściwie stało, nie wiem — ciągnął jednoręki dowódca — ale kiedy gryzł linę, jakoś mu się zaplątała między zęby i o coś zahaczyła. Tegośmy jednak wówczas nie widzieli, toteż gdyśmy później zaczęli linę ciągnąć, bęc — najechaliśmy prościutko na jego garb, miast tamtego drugiego wieloryba, który poszedł na nawietrzną machając ogonem. Widząc, jak się rzecz ma i jaki to wspaniały i ogromny wieloryb — najwspanialszy i największy, jakiegom w życiu widział — postanowiłem go upolować, mimo że najwyraźniej aż wrzał z wściekłości. Sądząc zaś, iż owa przypadkowa lina puści albo wyrwie mu ów kieł nią oplątany (mam bowiem załogę diabelnie zdatną do ciągnięcia liny wielorybniczej), miarkując więc, jak powiadam, to wszystko, skoczyłem do szalupy mojego pierwszego oficera, tu obecnego pana Mounttopa (a propos, kapitanie — pan Mounttop; Mounttop — pan kapitan), no więc wskoczyłem do szalupy Mounttopa, która, widzisz pan, płynęła wtedy burta w burtę z moją, i porwawszy za pierwszy lepszy harpun władowałem go staremu pradziadowi. Ale, o Boże — słuchaj pan, kapitanie — niechże mnie licho porwie, człowieku — w następnej chwili już byłem ślepy jak nietoperz, na oba oczy — cały otumaniony i ogłupiały od czarnej piany — a ogon wieloryba zamajaczył w tym wszystkim pionowo w powietrzu, niczym marmurowa wieża. Nie było co się cofać, ale kiedym szukał po omacku — a było samo południe, oślepiające słońce świeciło jak wszystkie klejnoty koronne — kiedym więc po omacku szukał drugiego harpuna, aby go również rzucić, spada na nas ogon niczym waląca się baszta w Limie, rozcina mi łódź

na dwoje, a każda połowa idzie w drzazgi, za ogonem zaś miota się wskroś tych szczątków biały garb, jak gdyby to były wióry. My wszyscy wypadliśmy z łodzi. Żeby uniknąć tej straszliwej młocki, uchwyciłem się sterczącego w jego ciele drzewca mojego harpuna i na chwilę przywarłem doń niby ssąca ryba. Lecz przeleciała fala i zmyła mnie, a w tej samej chwili wieloryb, rzuciwszy się mocno naprzód, znurkował jak błyskawica, a zadzior tego przeklętego harpuna, wleczonego tuż obok, zahaczył mnie tutaj — kapitan klepnął się w rękę poniżej ramienia — tak, zahaczył mnie tutaj, powiadam, i ciągnął w sam ogień piekielny, jak mi się już wydało, kiedy — dzięki Ci, dobry Boże — kiedy nagle żelazo przedarło mi się wzdłuż ciała, prosto przez całą długość ręki, puściło u napięstka i oto wypłynąłem na wierzch. Ten tutaj dżentelmen opowie panu resztę (o, właśnie; kapitanie — doktor Bunger, lekarz okrętowy; Bunger, mój chłopcze — pan kapitan). A teraz, Bunger, snuj swoją część opowieści. Przedstawiciel medycznej profesji, w tak poufały sposób wskazany Ahabowi, stał cały czas opodal, przy czym nic szczególnie widomego nie wskazywało na jego tak wysoką rangę na statku. Oblicze miał niezwykle krągłe, ale spokojne; ubrany był w wełnianą bluzę czy koszulę spłowiałobłękitnej barwy tudzież łatane spodnie; do tej pory dzielił swą uwagę między szydło do splatania lin trzymane w jednym ręku a pudełko z pigułkami, które miał w drugim; od czasu do czasu rzucał krytyczne spojrzenie na kościane kończyny obu kalekich kapitanów. Ale kiedy przełożony przedstawił go Ahabowi, skłonił się uprzejmie i od razu przystąpił do wykonania rozkazu kapitana.

— Paskudna to była rana — zaczął ów lekarz wielorybniczy — i tu obecny kapitan Boomer, do rad się moich stosując, zawrócił naszego starego Sama ...

— Mój statek zowie się „Samuel Enderby” — przerwał jednoręki kapitan zwracając się do Ahaba. — Mów dalej, chłopcze.

— ...zawrócił naszego starego Sama ku północy, by wydostać się z tych palących upałów na równiku. Ale nie dało się rady,

robiłem, co tylko mogłem, po nocach przy nim siadywałem, bardzo dlań byłem surowy w sprawach diety…

— O, bardzo surowy! — zawtórował mu pacjent; a potem, nagle zmieniwszy głos, dodał: — Żłopał ze mną co noc gorący grog z rumu, że aż mało co widział przy zakładaniu bandaży, a mnie posyłał do łóżka spitego jak bela około trzeciej nad ranem. O, nieba! Siadywał przy mnie, a jakże, i wielce był surowy w sprawach diety. O, to znamienity pielęgniarz, a w sprawach diety człek ogromnie surowy, ten doktor Bunger (Bunger, ty łajdaku, śmiej się! Czemu nie ryczysz? Sam wiesz, że z ciebie łotr nie lada!). Ale wal dalej, chłopie! Wolałbym raczej zginąć z twojej ręki niż być utrzymany przy życiu przez innego człeka.

— Kapitan mój, jak to szanowny pan zapewne już zauważył — rzekł z bogobojną miną niezmieszany Bunger lekko się skłaniając Ahabowi — ma czasem skłonność do facecji. Wiele nam takich przemyślnych rzeczy powiada. Ale mogę nadmienić — *en passant,* jak mówią Francuzi — że ja osobiście, to znaczy Jack Bunger, poprzednio należący do wielebnego stanu duchownego, jestem człowiekiem najściślej i całkowicie wstrzemięźliwym. Nigdy nie pijam…

— …wody! — krzyknął kapitan. — Tak, nigdy jej nie pija, mało go od tego szlag nie trafi, słodka woda przyprawia go o wodowstręt. Ale dalejże, opowiadaj tę historię o ręce.

— Proszę bardzo — odparł chłodno lekarz. — Miałem zamiar właśnie zauważyć, zanim kapitan przerwał mi tak krotochwilnie, że mimo moich najlepszych i najpilniejszych starań, z raną było coraz gorzej i gorzej. W rzeczy samej, kapitanie, była to najpaskudniej ziejąca rana, jaką lekarz kiedykolwiek widział: ponad dwie stopy i kilka cali długości. Zmierzyłem ją linką od sondy. Krótko rzekłszy, zaczęła czernieć. Wiedziałem, czym to grozi, no i tak też się stało. Wszelako nie przyłożyłem ręki do sporządzenia tego oto kościanego ramienia. Jest to rzecz sprzeczna ze wszelkimi prawidłami — tu wskazał na nią szydłem. — To już robota kapitana, nie moja. Kazał ją sporządzić cieśli i przytwierdzić na końcu tę maczugę, widocznie aby móc komuś roztrzaskać

głowę, jak to kiedyś próbował uczynić ze mną. Czasami bowiem wpada w diabelną furię. Widzisz pan tę szczerbę? — Tu zdjął kapelusz i odsunąwszy włosy pokazał na czaszce krągłą wklęsłość, która jednakże nie nosiła najmniejszych śladów blizn ani też niczym nie wskazywała, że mogła być kiedyś raną. — Otóż kapitan powie panu, skąd się to wzięło, dobrze mu o tym wiadomo.

— Nie, ja nie wiem — odparł kapitan. — Ale wie o tym jego matka, bo tak się już urodził. Ach, ty koronny nicponiu, ty, ty, Bunger! Czyż istniał kiedykolwiek drugi taki Bunger na całym wodnym świecie? Bunger, kiedy umrzesz, powinno się ciebie trzymać w occie, ty nicponiu. Warto cię zakonserwować na przyszłe stulecia, obwiesiu.

— Cóż się stało z białym wielorybem? — wykrzyknął w tej chwili Ahab, który dotychczas z niecierpliwością przysłuchiwał się rozgrywce między obu Anglikami.

— Ach! — zawołał jednoręki kapitan. — Ach, właśnie! No więc, kiedy znurkował, nie widzieliśmy go więcej przez czas jakiś, w ogóle, jakem to już wspomniał, nie wiedziałem wtedy, co to za wieloryb tak mi się przysłużył, aż dopiero później, wróciwszy na równik, usłyszeliśmy o Moby Dicku, jak go niektórzy nazywają, i wówczas dowiedziałem się, że to był on.

— Czyś pan jeszcze kiedyś przeciął jego wart?

— Dwukrotnie.

— Nie mogłeś go jednak przychwycić?

— Nie chciałem próbować, alboż utrata jednej ręki nie starczy? Cóż ja bym począł bez drugiej? A zdaje mi się, że Moby Dick okrutnie jest łapczywy.

— No więc — przerwał Bunger — dajże mu lewą rękę na przynętę, aby dostać prawą. Czy wiecie, panowie — skłonił się po kolei obu kapitanom z wielką powagą i matematyczną precyzją. — Czy wiecie, panowie, że organy trawienne wieloryba są w tak niepojęty sposób skonstruowane przez Opatrzność boską, że jest zupełną niemożliwością, by strawił całkowicie choćby ludzką rękę? I on o tym dobrze wie. Tak więc to, co bierzecie za złośliwość białego wieloryba, jest po prostu

jego niezręcznością. Nigdy bowiem nie zamierza połykać choćby jednej jedynej kończyny. Chce tylko straszyć swymi fortelami. Ale czasem przypomina mi starego kuglarza, co niegdyś na Cejlonie był moim pacjentem. Udając, że łyka noże, raz wpuścił jeden w gardło zupełnie na serio i nóż tam pozostał przez dwanaście miesięcy czy więcej. Wówczas dałem biedakowi emetyk, a on wyrzucał nóż z siebie po kawałku. Nie było żadnej możliwości, żeby strawił ten kozik i w pełni go przyswoił swojemu organizmowi. Tak, kapitanie Boomer, jeśli się żwawo do tego zabierzesz i zechcesz dać w zastaw jedną rękę, aby uzyskać przywilej wyprawienia przyzwoitego pogrzebu drugiej, no to w takim razie ręka należy do ciebie. Daj tylko wielorybowi jeszcze jedną sposobność zmierzenia się z tobą, ot i wszystko.

— Nie, dzięki ci, Bunger — odparł angielski kapitan. — Niech już sobie zatrzyma tę rękę, którą ma, ile że nic na to poradzić nie mogę, a także ponieważ wówczas go nie znałem, ale od drugiej mu wara. Dość już mam białych wielorybów. Raz za nim łódź spuściłem i to mnie zadowala. Owszem, wiem, że wielka by to była chwała ubić go, a ma on też w sobie cały statek cennego olbrotu, ale słuchajcie mnie: najlepiej zostawić go w spokoju. Nie sądzisz pan, kapitanie? — Tu rzucił okiem na kościaną nogę.

— Pewnie. Ale mimo to będzie się na niego polować. Taka przeklęta rzecz, którą najlepiej zostawić w spokoju, nie zawsze najmniej człeka pociąga. On jest jak magnes! Czy dawno temu widziałeś go pan po raz ostatni? W którą stronę zmierzał?

— Na mą duszę! A niech to wszyscy diabli! — wykrzyknął Bunger i pochyliwszy się począł obchodzić Ahaba dokoła, dziwnie, jak pies, węsząc. — Krew tego człowieka — dajcie tu termometr! — jest w punkcie wrzenia! Od jego pulsu drgają deski!

Kapitanie! — i dobywszy z kieszeni lancetu podsunął się do Ahaba.

— Precz! — ryknął Ahab i pchnął go na burtę. — Załoga do szalupy! W którą stronę szedł?

— O, dobry Boże! — zawołał kapitan angielski, do którego pytanie było skierowane. — Co się stało? Zdaje się, że szedł na wschód… Czy wasz kapitan jest szalony? — szepnął do Fedallaha.

Ale Fedallah położył palec na ustach i zsunął się przez burtę, by uchwycić za wiosło sterowe, Ahab zaś, przyciągnąwszy do siebie blok, rozkazał marynarzom angielskim, by go spuścili do szalupy.

W jednej chwili stał już na rufie łodzi, a ludzie z Manilii rzucili się do wioseł. Daremnie nawoływał go angielski kapitan. Odwrócony tyłem do obcego statku, z twardą jak krzemień twarzą skierowaną ku swemu własnemu, Ahab stał wyprostowany, póki nie dotarł do boku „Pequoda”.

ROZDZIAŁ CI
KARAFKA

Zanim statek angielski zniknie nam z oczu, warto tu zanotować, iż pochodził on z Londynu i nazwany tak został od nieboszczyka Samuela Enderby, kupca z owego miasta, założyciela słynnego domu wielorybniczego Enderby & Synowie; domu, który, jeśli idzie o istotne znaczenie historyczne, moim skromnym zdaniem wielorybnika, niewiele pozostaje w tyle za połączonymi królewskimi domami Tudorów i Burbonów. Moje rozliczne dokumenty rybackie nie wyjaśniają, od jak dawna przed rokiem pańskim 1775 istniał już ów wielki dom wielorybniczy; wszelako w tymże roku (1775) wyekwipował on pierwszy statek angielski, jaki kiedykolwiek regularnie polował na kaszaloty, choć już od lat kilkudziesięciu (poczynając od roku 1726) nasi dzielni Coffinowie czy Maceyowie z Nantucket i Vineyardu ścigali owego Lewiatana ogromnymi flotami, ale tylko na północnym i południowym Atlantyku — nie gdzie indziej. Trzeba tutaj wyraźnie zaznaczyć, że spośród całego rodzaju ludzkiego nantucketańczycy byli pierwszymi, którzy zharpunowali wielkiego kaszalota cywilizowaną stalą, i że przez pół wieku oni jedyni na całej kuli ziemskiej polowali nań w ten sposób.

W roku 1773 piękny żaglowiec „Amelia”, specjalnie w tym celu wyekwipowany na wyłączny koszt energicznych Enderbych, śmiało opłynął Przylądek Horn i pierwszy spośród narodów świata spuścił szalupę wielorybniczą na wielkim Morzu Południowym. Wyprawa była udana i szczęśliwa; a jako że „Amelia” powróciła do macierzystego portu z ładownią pełną cennego olbrotu, więc też wprędce inne okręty, angielskie i

amerykańskie, poszły za jej przykładem i w ten sposób otwarto na ścieżaj wielkie łowiska kaszalotowe Pacyfiku. Nie zadowoliwszy się jednak owym pięknym czynem, niezmordowana firma znowu zabrała się do dzieła: Samuel tudzież wszyscy jego Synowie — a ilu ich było, wie tylko ich matka — skłonili rząd brytyjski, aby bezpośrednio pod ich auspicjami, a częściowo, jak mniemam, ich własnym sumptem wysłał slup wojenny „Szumny" w odkrywczy rejs wielorybniczy na Morze Południowe. „Szumny", dowodzony przez kapitana fregaty, szumnej dokonał podróży i położył pewne zasługi; jak wielkie, tego dokładnie nie wiadomo. Na tym jednak nie koniec. W roku 1819 tenże sam dom wyposażył własny wielorybniczy statek odkrywczy, który ruszył w podróż doświadczalną na odległe wody japońskie. Ów żaglowiec — słusznie „Syreną" nazwany — dokonał wspaniałej wyprawy eksperymentalnej i w ten to sposób po raz pierwszy powszechnie się dowiedziano o wielkich japońskich łowiskach wielorybich. W czasie owej słynnej podróży dowodził „Syreną" niejaki kapitan Coffin, nantucketańczyk.

Najwyższe tedy uznanie należy się rodzinie Enderbych, których dom, jak sądzę, po dziś dzień istnieje, choć bez wątpienia ów pierwszy Samuel musiał już od dawna ruszyć w rejs na wielkie Morze Południowe tamtego świata.

Żaglowiec nazwany jego imieniem godzien był tego zaszczytu, jako że pływał bardzo szybko i pod każdym względem był statkiem szlachetnym. Raz wsiadłem nań o północy, gdzieś w pobliżu patagońskich wybrzeży, i na forkasztelu napiłem się przedniego *flipu* *. Mieliśmy wtedy doskonały *gam*, a ich marynarze byli co do jednego wybornymi kompanami. Krótkie ich życie, a śmierć wesoła. Zaś ów doskonały *gam*, w którym brałem udział, długo, bardzo długo po tym, jak stary Ahab dotknął kościaną piętą desek owego statku — na myśl mi przywodzi szlachetną, niezawodną, saksońską gościnność tego statku i niech o mnie zapomni mój pleban, a przypomni sobie diabeł, jeśli kiedykolwiek uleci mi ona z pamięci. *Flip?* Czy mówiłem, żeśmy popijali flip? A jakże, i pociągaliśmy go w

tempie dziesięciu galonów na godzinę, kiedy zaś nadszedł szkwał (bo koło Patagonii często zdarzają się szkwały) i kto żyw — z gośćmi włącznie — zawezwany został do refowania marsli, wszyscy mieliśmy tak mocno w czubach, że musieliśmy się wzajemnie wciągać na górę linami; nieświadomie wplątywaliśmy poły naszych kurt w zwijane żagle, tak żeśmy tam zawiśli, na moc wrefowani pośród wyjącej wichury, jako ostrzegawczy przykład dla wszystkich pijanych żeglarzy. Jednakowoż maszty nie poszły za burtę i pomaleńku zleźliśmy na dół, tak trzeźwi, że znowu trzeba było puścić w ruch *flip*, choć dzikie, słone bryzgi, wwalające się przez właz forkasztelu, zbytnio go, jak na mój gust, rozcieńczały i zaostrzały.

Wołowina była wyborna — twarda, ale mięsista. Mówiono, że to wołowina z byka; inni znów twierdzili, że z dromadera — nie wiem jednakże z pewnością, jak było w istocie. Mieli tam także i knedle; małe, ale treściwe, symetrycznie krągłe, niezniszczalne knedle. Przypuszczam, że po przełknięciu można je było wyczuć i podrzucać w sobie. Zbytnio pochylając się do przodu ryzykowalibyście, że wyskoczą z was niczym kule bilardowe. Chleb; na to nie było już rady; nadto chodziło o przeciwdziałanie szkorbutowi — krótko mówiąc, chleb stanowił jedyne świeże pożywienie, jakie otrzymywali. Ale forkasztel nie był zbyt widny i bardzo łatwo było wleźć do jakiegoś ciemnego kąta, kiedy się chleb spożywało. Wszelako wszystko razem wziąwszy, od gałki masztowej aż do rumpla, zważywszy rozmiary kotłów kucharza, z pergaminowym, żywym kotłem jego własnego brzucha włącznie, od dzioba do rufy „Samuel Enderby” był zacnym statkiem; wikt miał dobry i obfity, *flip* smakowity i mocny; chłopców co do jednego pierwszorzędnych, wręcz kapitalnych od obcasa aż po wstążkę na kapeluszu.

Ale czemu tak się dzieje, myślicie sobie, że „Samuel Enderby” oraz niektóre inne — lubo nie wszystkie — angielskie statki wielorybnicze, o jakich słyszałem, są tak wspaniałe i gościnne; czemu częstują wołowiną i chlebem, napitkiem i dowcipem, a nierychło się nużą jedzeniem, piciem i śmiechem? Powiem wara. Szczodrobliwa wesołość owych angielskich

wielorybników to temat do historycznych dociekań. Ja zaś nigdy nie skąpiłem trudu w historycznych poszukiwaniach na tematy wielorybnicze, jeśli mi się to wydawało potrzebne.

Anglików poprzedzili w połowach wielorybów Holendrzy, Zelandczycy i Duńczycy. Od nich to przejęto tyle terminów nadal w rybołówstwie używanych; co więcej, przyjęto też ich tłuste, stare obyczaje, nakazujące w bród jeść i pić. Albowiem na ogół angielski statek handlowy skąpi wszystkiego swojej załodze — inaczej natomiast rzecz się ma z angielskim statkiem wielorybniczym. Dlatego to u Anglików ta cecha wielorybniczej ochoczości nie jest normalna i naturalna, ale przypadkowa i osobliwa; toteż musiała ona mieć jakiś szczególny początek, na który się tutaj wskazuje i który dalej jeszcze wyjaśniać będziemy.

Podczas moich badań historii lewiatańskich natknąłem się na starodawną księgę holenderską i po zatęchłym wielorybim zapachu poznałem, iż traktować musi o statkach wielorybniczych. Tytuł brzmiał: *Dan Coopman*, z czego wnosiłem, że muszą to być bezcenne memuary jakiegoś amsterdamskiego bednarza wielorybniczego, jako że każdy statek wielorybniczy musi mieć swojego bednarza*. Utwierdziłem się w tym przekonaniu widząc, że wydał go niejaki Fitz Swackhammer. Ale przyjaciel mój, dr Snodhead, człowiek wielce uczony, profesor dialektu dolnoholenderskiego i górnoniemieckiego w kolegium Santa Claus i St. Pott, któremu wręczyłem dzieło do przetłumaczenia ofiarowując mu za jego trud skrzynkę świec olbrotowych — tenże więc dr Snodhead, ledwie przejrzał książkę, upewnił mnie, że „Dan Coopman” nie znaczy „Bednarz”, ale „Kupiec”. Krótko mówiąc, owa starodawna i uczona księga niderlandzka traktowała o handlu Holandii i między innymi zawierała także ogromnie interesujące sprawozdanie o jej wielorybnictwie. W tym to rozdziale zatytułowanym „Smeer”, czyli „Tłuszcz”, znalazłem długą, szczegółową listę wyposażenia spiżarń i piwnic 180 holenderskich żaglowców wielorytaniczych, z której to listy, tak jak ją przełożył dr Snodhead, przepisuję, co następuje:

400 000 funtów wołowiny 60 000 funtów wieprzowiny fryzyjskiej

150 000 funtów sztokfisza

550 000 funtów sucharów 72 000 funtów chleba miękkiego 2 000 beczek masła 20 000 funtów sera z Texel i Lejdy

144 000 funtów sera (prawdopodobnie niższej jakości)

550 ankarków dżinu holenderskiego 10 800 antałów piwa

Większość tablic statystycznych jest w czytaniu okropnie sucha; nie w tym jednakże przypadku, kiedy to czytelnika wręcz zalewają całe antały, beczułki, kwarty i galony zacnego dżinu i zacnej ochoty.

Wówczas poświęciłem trzy dni na pracowite przetrawienie całego tego piwa, wołowiny i chleba, a w ciągu owych dni nasunęło mi się wiele głębokich myśli w transcendentalnym i platońskim duchu; co więcej, zestawiłem własne tablice dodatkowe, podające prawdopodobną ilość sztokfisza, konsumowaną przez każdego niderlandzkiego harpunnika, biorącego za dawnych czasów udział w połowach grenlandzkich i szpicberskich. Przede wszystkim zdumiewająca wydaje się ilość spożytego masła oraz sera z Texel i Lejdy. Przypisuję to jednak ich z przyrodzenia otłuszczonym naturom, które jeszcze bardziej otłuszcza natura ich rzemiosła, zwłaszcza że ścigają zwierzynę po lodowatych morzach polarnych, u samych wybrzeży owej eskimoskiej krainy, kędy tubylcy przy stole biesiadnym wznoszą wzajemnie swe zdrowie szklanicami pełnymi tranu wielorybiego.

Ilość piwa jest również bardzo duża — dziesięć tysięcy osiemset beczek. Owóż tych polarnych połowów dokonywać można jedynie w czasie krótkiego lata, owemu klimatowi właściwego, tak że cała wyprawa któregokolwiek z holenderskich statków wielorybniczych, włącznie z krótką podróżą na morze szpicberskie i z powrotem, nieznacznie przekracza, powiedzmy, trzy miesiące — a licząc po 30 ludzi na każdy ze 180 statków ich flotę tworzących, mamy ogółem 5 400 holenderskich marynarzy i dlatego też otrzymamy dokładnie dwa antałki piwa na człowieka jako dwunastotygodniową rację,

nie licząc godnego udziału w owych 550 baryłkach dżinu. Toteż wydaje się trochę nieprawdopodobne, żeby ci dżinowo-piwni harpunnicy, można sobie wyobrazić jak ululani, byli ludźmi odpowiednimi do stawania na dziobie łodzi i dobrego celowania w pędzące wieloryby. A przecież celowali w nie, co więcej, trafiali. Pamiętać jednak należy, że działo się to daleko na północy, gdzie piwo dobrze służy organizmowi; na równiku, w naszym południowym rybołówstwie, snadnie by ono mogło pogrążyć w senność harpunnika stojącego na szczycie masztu, a mącić mu głowę w szalupie; stąd zaś wielce bolesna strata dla Nantucket i Nowego Bedfordu wyniknąć by mogła.

Dość już wszelako; wystarczy to, co powiedziałem, ażeby wykazać, iż dawni holenderscy wielorybnicy sprzed dwóch czy trzech wieków byli smakoszami oraz że wielorybnicy angielscy nie zlekceważyli sobie tak wybornego przykładu. Skoro bowiem, jak powiadają, pływając na pustym statku nie możesz nic lepszego ze świata wydobyć, tedy przynajmniej weź zeń dobry obiad. A to opróżnia karafkę.

ROZDZIAŁ CII
ALTANA NA ARSACYDACH

Jak dotąd, opisując kaszalota, rozwodziłem się głównie nad cudownościami jego zewnętrznej postaci lub też z osobna wchodziłem w szczegóły poniektórych jego wewnętrznych cech strukturalnych. Ale żeby szerokie i prawdziwie gruntowne o nim osiągnąć pojęcie, wypada mi jeszcze go dalej obnażyć, odpiąć mu pantalony i podwiązki, rozluźnić haftki stawów jego najwewnętrzniejszego kośćca, ukazać go wam w ostatecznym kształcie, to znaczy w jego absolutnym szkielecie.

Ale jakże to być może, Izmaelu? Miałżebyś ty, zwykły wioślarz wielorybniczy, pretendować do jakichkolwiek wiadomości o ukrytych częściach wieloryba? Czyżby erudyta Stubb, wlazłszy na kabestan, wygłaszał odczyty o anatomii waleni i przy pomocy bratszpilu windował w górę żebro, aby je wam ukazać? Wytłumacz się, Izmaelu. Możnali wciągnąć na pokład wyrośniętego wieloryba, ażeby go obejrzeć, podobnie jak kucharz rozkłada na półmisku pieczonego wieprzaka? Na pewno nie. Rzetelnym byłeś dotąd świadkiem, Izmaelu, zważaj wszelako, że przywłaszczasz sobie wyłączny przywilej Jonasza: przywilej rozprawiania o dźwigarach i belkach, o krokwiach, palach, podciągach i wspornikach tworzących konstrukcję Lewiatana; a także, być może, o kadziach na łój, mleczarniach, składach masła i sernicach znajdujących się w jego wnętrzu.

Wyznam, że od czasów Jonasza nieliczni wielorybnicy spenetrowali dorosłego wieloryba głębiej niż na grubość skóry; ja jednak obdarowany zostałem sposobnością rozczłonkowania go w miniaturze. Na pewnym statku, do którego załogi należałem, wciągnięto raz na pokład małego kaszalotowego

cielaka dla jego skóry, z której chciano sporządzić pochwy na zadziory harpunów i groty lanc. Czyliż sądzicie, żem wypuścił z rąk tę sposobność, nie używszy toporka szalupowego oraz noża i nie złamawszy pieczęci w celu odczytania całego wnętrza owego młodziaka?

Co zaś się tyczy posiadanej przez mnie dokładnej znajomości kośćca Lewiatana w gigantycznym, pełnym rozwoju, to ową rzadką wiedzę zawdzięczam mojemu nieżyjącemu monarszemu przyjacielowi Tranquo, królowi wyspy Tranque, jednej z Arsacydów. Przebywając mianowicie przed laty w Tranque, kiedy to przydzielony byłem do statku handlowego „Dej Algieru", otrzymałem zaproszenie, by spędzić część świąt arsacydzkich u władcy Tranque w jego odosobnionej willi palmowej w Pupelli, nadmorskim zakątku niezbyt odległym od miejsca, które nasi marynarze zwali Miastem Bambusowym, czyli stolicy owego władcy.

Między innymi zaletami mój królewski przyjaciel Tranquo obdarzony był gorącym zamiłowaniem do wszystkich rzeczy z dziedziny barbarzyńskich sztuk pięknych; jakoż nagromadził w Pupelli wszelkie rzadkości, jakie co pomysłowsi spośród jego poddanych wykoncypować mogli; głównie zaś drewno rzezbione w przedziwne wzory, ryte muszle, inkrustowane włócznie, kosztowne wiosła, aromatyczne czółna; wszystko to zaś przemieszane z wszelkimi naturalnymi dziwami, jakie cudami brzemienne, hołdownicze fale złożyły na jego wybrzeżu.

Pierwsze miejsce wśród nich zajmował ogromny kaszalot, którego po niezwykle długo szalejącej burzy znaleziono na brzegu martwego, z łbem wspartym o pień palmy kokosowej; pióropuszowe pęki jej zwisających liści zdawały się być zieloną fontanną wieloryba. Kiedy ogromne cielsko odarto nareszcie z grubej na sążnie powłoki, a kości wyschły w słońcu na proch, przeniesiono ostrożnie szkielet d*o* Pupelli, gdzie go teraz chroniła wspaniała świątynia z wyniosłych palm.

Żebra obwieszono trofeami; na kręgach wyrzezano dziwnymi hieroglifami arsacydzkie kroniki; w czaszce kapłani

podtrzymywali niegasnący, wonny ogień, tak że owa głowa tajemnicza znów wyrzucała tuman swojego wydmuchu, a zawieszona u gałęzi straszliwa dolna szczęka kołysała się ponad wiernymi niby ów wiszący na włosku miecz, co tak przeraził Damoklesa.

Przedziwny to był widok. Gaj zielony jak mchy Icy Glen; drzewa w nim dumne i wyniosłe, wyczuwające własne, żywe soki; w dole pracowita ziemia niby krosna tkacza z założonym na nie wspaniałym kobiercem, na którym latorośle pnącego wina tworzyły wątek i osnowę, a żywe kwiaty — wzory. Wszystkie drzewa i ich ciężkie od owocu gałęzie, wszystkie krzewy, paprocie, trawy i wieścionośne powietrze — wszystko to było w nieustannym ruchu. Poprzez plecionkę liści wielkie słońce zdawało się być latającym czzlełenkiem tkającym niezmordowanie zieleń. O, pilny tkaczu! Niewidzialny tkaczu! Zatrzymaj się — na słówko! Dokądże spływa tkanina? Jakiż ma okryć pałac? Na cóż ten trud nieprzerwany? Przemów, tkaczu! Dłoń swą powstrzymaj! Jedno tylko zamienię z tobą słowo! Nie — mknie czółenko — spływają wzory z krosien — źródłami bijący kobierzec ciągle precz sunie. Boski tkacz pracuje i tak jest tą pracą ogłuszon, że nie słyszy śmiertelnego głosu; a i nas, co patrzymy na krosna, także ów szum ogłusza i tylko kiedy mu się wymkniemy, dosłyszymy tysiące głosów, co przezeń gadają. Tak właśnie dzieje się we wszystkich prawdziwych fabrykach. Słów, które się wymawia, nie sposób dosłyszeć wśród latających wrzecion; a te same słowa są wyraźnie, dosłyszalne na zewnątrz murów, dokąd się wymykają z otwartych okien. Różne szelmostwa w ten sposób wykrywano. Baczże więc, śmiertelniku, albowiem wskroś łoskotu wielkich krosien świata twe najtajniejsze myśli z dala podsłuchane być mogą.

Owóż pośród owych zielonych, życiem pulsujących krosien arsacydzkiego gaju odpoczywał olbrzymi, biały, uświęcony szkielet — próżniak gigantyczny! A jednak, kiedy wiecznie przetykana zielona osnowa i wątek splatały się i szumiały wokoło, potężny próżniak zdawał się sam być zręcznym tkaczem; cały opleciony winem, co miesiąc przybierający się w

świeższą, bujniejszą zieleń — a przecie tylko szkielet. Życie osnuwało Śmierć — Śmierć oplatały pnącza Życia; posępny bóg poślubiał młodzieńcze Życie i płodził z nim kędzierzawe cuda.

Kiedy więc z królewskim Tranquo odwiedziłem owego przedziwnego wieloryba i ujrzałem ołtarz z czaszki tudzież sztucznie wywoływany dym, wzbijający się z miejsca, z którego niegdyś wylatywał prawdziwy wydmuch, zdziwiłem się, że król traktuje kaplicę jako przedmiot kolekcjonerski. Roześmiał się. Jeszcze bardziej jednak dziwiło mnie, iż kapłani przysięgali, że owa dymna fontanna jest prawdziwa. Przeszedłem się tam i z powrotem przed szkieletem, odsunąłem na bok winorośl, włamałem się przez żebra i z kłębkiem arsacydzkiego sznurka w dłoni długo wędrowałem i kręciłem się w kółko wśród licznych zawiłych, cienistych kolumnad i altan. Wprędce jednak skończył się mój sznurek, zawróciwszy więc po nim tą samą drogą, wynurzyłem się z otworu, przez który wszedłem. We wnętrzu nie widziałem żywej duszy; nie było tam nic prócz kości.

Uciąłem sobie zielony pręt do mierzenia i ponownie dałem nurka we wnętrze szkieletu. Przez szczelinę w czaszce dojrzeli mnie kapłani w chwili, gdym mierzył wysokość ostatniego żebra. — Cóż to? — zawołali. — Zali mierzysz naszego boga? To do nas należy! — Dobrze, kapłani. A zatem jak myślicie: ile ma długości? — Na to zażarty spór tyczący się stóp i cali wybuchnął między nimi; tłukli się wzajem po łepetynach miarkami, aż echo szło po wielkiej czaszce; skorzystawszy więc z owej szczęśliwej okazji, sam szybko ukończyłem własne pomiary.

Pomiary te właśnie chcę wam przedłożyć. Ale po pierwsze, należy mieć na uwadze, iż w tej materii nie mogę dowolnie przytaczać pierwszych lepszych wyimaginowanych cyfr, jakie mi się spodoba, ponieważ istnieją szkieletowe autorytety, do których możecie się odnieść, by sprawdzić mą akuratność. Jak słyszę, w Anglii, w Hull, jednym z portów wielorybniczych owego kraju, istnieje Lewiatańskie muzeum, gdzie mają kilka świetnych okazów finwali i innych wielorybów. Słyszałem także, iż muzeum w Manchesterze, w New Hampshire, posiada

coś, co właściciele nazywają *jedynym doskonałym okazem wala grenlandzkiego, czyli właściwego w całych Stanach Zjednoczonych*. Ponadto w Anglii, w pewnej miejscowości w Yorkshire, zwanej Burton Constable, niejaki sir Clifford Constable posiada szkielet kaszalota, wszelako umiarkowanych rozmiarów, w żadnym razie nie takiego ogromu jak ten, który jest własnością mego przyjaciela, króla Tranquo.

W obu przypadkach do wyciągniętych na brzeg wielorybów, o których szkielety chodzi, właściciele rościli sobie pierwotnie prawo na podobnej podstawie. Król Tranquo zabrał swojego, ponieważ chciał go mieć, sir Clifford zaś, ponieważ był panem włości w owych stronach. Wieloryba sir Clifforda całego zaopatrzono w zawiasy; jakoż możecie otwierać i zamykać wszystkie jego kostne zakamarki niby ogromną komodę, rozkładać żebra niczym gigantyczny wachlarz i przez dzień cały huśtać się na jego dolnej szczęce. Mają tam założyć zamki na niektórych z jego klap i okiennic; przyszłych zaś gości oprowadzać będzie lokaj z pękiem kluczy u boku. Sir Clifford zamyśla pobierać dwa pensy opłaty za zajrzenie do galerii stosu pacierzowego, która odznacza się tą osobliwością, że wszeptane w nią słowo powraca echem; trzy pensy kosztować będzie posłuchanie echa w jamie mózgowia, sześć pensów nieporównany widok z czoła.

Rozmiary szkieletu, jakie wam teraz przedstawię, są skopiowane *verbatim** z mojego prawego ramienia, gdzie je wytatułować kazałem, jako że w moich dzikich ówczesnych wędrówkach nie było innego pewnego sposobu przechowania podobnie cennych danych statystycznych. Ale ponieważ zbrakło mi miejsca, gdyż inne części ciała chciałem zostawić jako niezapisaną stronicę dla pewnego poematu, jaki wówczas układałem — przynajmniej te części, które jeszcze nie były tatuowane — więc też nie zadawałem sobie trudu ze wszystkimi dodatkowymi calami, o ile w ogóle cale winny wchodzić w rachubę przy właściwym pomiarze wieloryba.

ROZDZIAŁ CIII
WYMIARY SZKIELETU WIELORYBA

Przede wszystkim pragnę przedłożyć wam specjalne, wyraźne oświadczenie tyczące się żywej masy owego Lewiatana, którego szkielet mamy niebawem przedstawić. Takie oświadczenie może się tu okazać pożyteczne.

Według starannych obliczeń, jakich dokonałem i jakie częściowo opieram na ocenie kapitana Scoresby, że największy wal grenlandzki długości sześćdziesięciu stóp waży siedemdziesiąt ton — według więc moich starannych obliczeń kaszalot największych rozmiarów, między osiemdziesięcioma pięcioma i dziewięćdziesięcioma stopami długości, mający w najszerszym miejscu nieco poniżej czterdziestu stóp obwodu, ważyć będzie co najmniej dziewięćdziesiąt ton; licząc tedy po trzynastu ludzi na tonę, ciężar jego znacznie przeważy całą razem wziętą ludność miasteczka o tysiąc stu mieszkańcach.

Czyż zatem nie sądzicie, że takiemu Lewiatanowi należy przydać mózg, który w imaginacji ludzi lądu zdolny by był poruszyć go z miejsca na kształt wołów w zaprzęgu?

Przedstawiwszy wam już na różne sposoby jego czaszkę, tryskawkę, szczękę, zęby, ogon, czoło, płetwy i rozmaite inne części, wskażę teraz po prostu to, co jest najbardziej interesujące w ogólnej masie samych jego kości. Ponieważ jednak kolosalna czaszka stanowi tak ogromną część całego szkieletu, ponieważ jest bezwarunkowo najbardziej skomplikowanym jego członem i ponieważ w niniejszym rozdziale nic już o niej powtarzać nie będziemy, kiedy więc

pójdziemy dalej, musicie koniecznie mieć ją stale w pamięci czy też pod pachą, gdyż inaczej nie uzyskacie pełnego pojęcia o ogólnej strukturze, którą mamy obejrzeć.

Szkielet kaszalota w Tranque mierzył siedemdziesiąt dwie stopy długości; toteż kiedy za życia wieloryb ów był przyobleczony w swą pełną powłokę i rozciągnięty na całą długość, musiał liczyć dziewięćdziesiąt stóp długości, albowiem szkielet u wieloryba traci około jednej piątej długości w porównaniu z żywym ciałem. Z owych siedemdziesięciu dwóch stóp przypadało na czaszkę i szczękę jakieś dwadzieścia, co pozostawiało około pięćdziesięciu stóp samego kręgosłupa. Na przestrzeni mniejszej nieco niż jedna trzecia całej jego długości przytwierdzony był doń potężny, krągły kosz żeber, który niegdyś zamykał w sobie żywotne części ryby.

Mnie ów ogromny, kością żebrowany tors z długim, wolno zawieszonym kręgosłupem biegnącym hen jedną prostą linią, niemało przypominał kadłub wielkiego okrętu w trakcie budowy, kiedy to ledwie jakieś dwadzieścia nagich szpant przytwierdzono do kilu, którego reszta jest na razie tylko długim, luźnym drągiem.

Żeber było dziesięć z każdego boku. Pierwsze, zaczynając od szyi, miało niemal sześć stóp długości; drugie, trzecie i czwarte były stopniowo coraz dłuższe, aż do szczytowego punktu żebra piątego, czyli jednego ze środkowych, które mierzyło osiem stóp i kilka cali. Od tego miejsca pozostałe żebra malały, a dziesiąte i ostatnie rozpinało się na długość zaledwie pięciu stóp i paru cali. Grubość ich wszystkich zachowywała należytą proporcję do długości. Żebra środkowe najbardziej były wygięte. Niektórych na Arsacydach używają jako podpór i po nich przerzucają kładki ponad mniejszymi potokami.

Gdy oglądałem te żebra, musiała mnie znowu uderzyć okoliczność, na wszelkie sposoby w tej książce powtarzana, że szkielet wieloryba bynajmniej nie odpowiada kształtom jego zewnętrznej powłoki. Największe żebro kaszalota z Tranque, jedno ze środkowych, znajdowało się w tej części ryby, która za życia największą ma wysokość. Atoli największa wysokość ciała

tego właśnie wieloryba musiała wynosić co najmniej szesnaście stóp, żebro zaś mierzyło niewiele ponad osiem. Dawało ono tedy ledwie połowę właściwego pojęcia o żywym ogromie tejże części. Prócz tego, na znacznej przestrzeni, tam gdzie teraz widziałem tylko nagi kręgosłup, wszystko było niegdyś okryte tonami dodatkowej masy mięsa, muskułów, krwi tudzież trzewi. Co gorsza, miast szerokich płetw widniało tam zaledwie kilka rozlekotanych stawów, a w miejsce ciężkiego i majestatycznego, lecz bezkostnego ogona — pustka całkowita!

Jakże więc czcze i głupie ze strony nieobytego, lękliwego człeka, pomyślałem sobie, są próby właściwego zrozumienia owego przedziwnego wieloryba przez zwykłe wpatrywanie się w jego martwy wynędzniały szkielet, rozciągnięty w owym spokojnym gaju. Nie! Tylko w samym sercu najsroższych niebezpieczeństw, tylko w wirze jego gniewnego ogona, tylko na głębokim, bezkresnym morzu można poznać rzetelną, żywą prawdę o przyobleczonym w ciało wielorybie.

Ale weźmy kręgosłup. Najlepszym sposobem obejrzenia go byłoby użyć dźwigu, co by wysoko podniósł jego kości za jeden koniec. Niełatwe to zadanie. Atoli kiedyśmy już to uczynili, kręgosłup wielce przypomina kolumnę Pompejusza.

Jest tam wszystkiego czterdzieści kilka kręgów, które w szkielecie nie są ze sobą połączone. Na ogół leżą niby owe wielkie sękate bloki gotyckiej wieżycy tworzące zwarty ciąg ciężkiej kamiennej budowy. Największy, środkowy, ma nieco mniej niż trzy stopy szerokości, głębokości zaś ponad cztery. Najmniejszy, tam gdzie grzbiet zwęża się i w ogon przechodzi, ma zaledwie dwa cale szerokości i trochę przypomina białą kulę bilardową. Mówiono mi, że były tam jeszcze mniejsze, ale pogubiły je jakieś małe kanibalskie urwisy, dzieci kapłana, które skradły owe kręgi, aby nimi grać w piłkę. Tak to postrzegamy, że kręgosłup najpotężniejszego nawet z żyjących stworzeń koniec końców do zwykłej, dziecinnej sprowadza się igraszki.

ROZDZIAŁ CIV
WIELORYB WYKOPALISKOWY

Z uwagi na swą potężną masę wieloryb stanowi temat, który najłacniej można wyolbrzymiać, rozszerzać i w ogólności długo się nad nim rozwodzić. Ścieśnić go nie bylibyście w stanie, nawet gdybyście tego pragnęli. Z prawa mu się należy, by o nim tylko w największych traktować foliałach. Nie powtarzając już tu o tych stajaniach, jakie mierzy od tryskawki do ogona, o jardach w talii, pomyślany tylko o gigantycznej gmatwaninie jego wnętrzności, spoczywających wewnątrz niego niby ogromne sznury i liny holownicze złożone w zwoje w orlopie wojennego liniowca.

Skoro się już podjąłem wziąć w obroty owego Lewiatana, przystoi mi wykazać się w owym przedsięwzięciu wyczerpującą wszechwiedzą i nie przeoczyć najdrobniejszego zalążka we krwi potwora ani też nie zaniedbać rozwikłania najdalszego zwoju jego jelit. Ponieważ już opisałem większość teraźniejszych osobliwości zarówno otoczenia, w którym żyje, jak i jego anatomii, pozostaje mi więc oświetlić go z archeologicznego, skamienielinowego i przedpotopowego punktu widzenia. Zastosowane do jakiejkolwiek innej niż Lewiatan istoty — do mrówki lub pchły — tak ważkie terminy słusznie by uznać można za bezzasadnie górnolotne. Sprawa wszelako się zmienia, gdy mowa o Lewiatanie. Mając przed sobą taki cel, zmuszony jestem słaniać się pod ciężarem najbardziej ważkich słów dykcjonarza. Tu zaś należy nadmienić, że kiedykolwiek w toku niniejszych dysertacji wypadło mi zajrzeć do słownika, niezmiennie używałem ogromnego wydania *In Quarto słownika* Johnsona, umyślnie na

ten cel zakupionego; albowiem niepospolita osobista tusza tego słynnego leksykografa szczególnie uczyniła go sposobnym do zestawienia leksykonu, którym mógłby się posługiwać taki jak ja autor wielorybniczy.

Często się słyszy o pisarzach, którzy rosną i pęcznieją wraz ze swym tematem, choćby się on wydawał pospolity. Cóż dopiero ja, który piszę o tym Lewiatanie? Nieświadomnie pismo moje rozrasta się w wielkie litery afisza. Dajcież mi pióro kondora! Dajcie mi krater Wezuwiusza miast kałamarza! Podtrzymujcie mnie za ręce, przyjaciele! Albowiem czynność spisywania moich myśli o Lewiatanie utrudza mnie, aż omdlewam od ich dalekosiężnego rozmachu, obejmującego tak wiele, że chyba włączony tu być musi cały krąg nauk, wszystkie generacje wielorybów i ludzi, i mastodontów, przeszłe, obecne i przyszłe, wraz z wirującymi panoramami władztwa na ziemi i w całym wszechświecie nie wyłączając jego przedmieść. Takie i tak powiększające są zalety wielkiego, szczodrobliwego tematu! Rozrastamy się sami do jego miary. Aby stworzyć potężną książkę, musicie wybrać temat potężny. Nigdy nikt nie napisze wielkiego wiekomnego dzieła o pchle, choć było wielu, co tego próbowali.

Zanim poruszę temat wielorybów wykopaliskowych, składam me listy uwierzytelniające jako geolog, stwierdzając, że w różnych okresach swojego życia byłem kamieniarzem, a także zamiłowanym kopaczem rowów, kanałów i studzien, loszków na wino, piwnic tudzież cystern wszelkiego autoramentu. Chciałbym również przypomnieć na wstępie czytelnikowi, że podczas gdy we wcześniejszych warstwach geologicznych znajduje się skamienieliny potworów obecnie już niemal całkowicie wymarłych, późniejsze szczątki odkrywane w tak zwanych formacjach trzeciorzędowych zdają się być łączącym, a w każdym razie pośrednim ogniwem między stworzeniami przedhistorycznymi, a tymi, których dalecy przodkowie mieli jakoby wsiąść do Arki; wszystkie dotychczas odkryte wieloryby kopalne należą do trzeciorzędu, który jest ostatnim okresem poprzedzającym formacje wierzchnie. A chociaż żaden z tych

wielorybów nie odpowiada ściśle którejkolwiek ze znanych obecnie odmian, są im jednak ogólnie biorąc, wystarczająco pokrewne, by uzasadnić ich zaszeregowanie jako waleni skamieniałych.

W ciągu ostatnich lat trzydziestu znajdowano od czasu do czasu u podnóża Alp, w Lombardii, Francji, Anglii i Szkocji, w stanach Luizjana, Missisipi i Alabama luźne ułomki skamienielin przedadamowych wielorybów oraz fragmenty ich kości i szkieletów. Wśród ciekawszych spomiędzy takich szczątków mamy część czaszki, którą w r. 1779 wykopano w Paryżu na Rue Dauphine, krótkiej uliczce wychodzącej niemal bezpośrednio na pałac Tuileryjski, a także kości wydobyte przy kopaniu wielkich doków antwerpskich za czasów Napoleona. Cuvier orzekł, iż owe szczątki należały do jakiegoś zupełnie nie znanego lewiatańskiego gatunku.

Wszelako bezwzględnie najbardziej zdumiewającym ze wszystkich wielorybich zabytków był niemal całkowity, ogromny szkielet potwora wymarłego gatunku, znaleziony w roku 1842 na plantacji sędziego Creagha w Alabamie. Strachem zdjęci, łatwowierni niewolnicy okoliczni wzięli go za kości jednego z upadłych aniołów. Uczeni z Alabamy orzekli, iż jest to olbrzymi gad i nadali mu miano Basilosaurus. Kiedy jednak kilka kości zawieziono jako próbkę za morze Owenowi, anatomowi angielskiemu, okazało się, iż ten rzekomy gad był wielorybem, lubo już wygasłego gatunku. Znamienna to ilustracja stale w tej książce powtarzanego faktu, że szkielet wieloryba daje bardzo słabe pojęcie

o kształtach jego pełnego cielska. Zatem Owen na nowo ochrzcił potwora mianem Zeuglodonta, a w swojej dysertacji odczytanej przed Londyńskim Towarzystwem Geologicznym orzekł, iż jest to jedna z najniezwyklejszych istot wymazanych z życia przez zachodzące na tym globie przemiany.

Kiedy staję pośród tych olbrzymich lewiatańskich szkieletów czaszek, kłów, szczęk, żeber oraz kręgów, które cechuje częściowe podobieństwo do istniejących gatunków morskich potworów, ale też z drugiej strony także powinowactwo do

niepomiernie *oó* nich starszych, unicestwionych Lewiatanów przedhistorycznych, wówczas nurt jakiś ponosi mnie wstecz ku owemu przedziwnemu okresowi, co trwał, rzec by można, zanim sam czas wziął swój początek, jako że czas zaczął się razem z człowiekiem. Tutaj przetacza się nade mną szary chaos Saturna i z drżeniem widzę mgliste obrazy owej polarnej prawieczności, kiedy te ostrokątne bastiony lodowców twardo cisnęły na obecne podzwrotnikowe obszary, a na wszystkich 25 tysiącach mil obwodu tego świata nie dostrzegłbyś ani piędzi zamieszkałej ziemi. Naówczas świat cały do wieloryba należał; toteż on, król stworzenia, kreślił swój szlak wzdłuż obecnej linii Andów i Himalajów. Któż to ma taki rodowód jak Lewiatan? Harpun Ahaba rozlał krew starożytniejszą od krwi faraonów. Matuzalem wydaje się tu być szkolnym uczniakiem. Rozglądam się za Semem, by dłoń mu uścisnąć. Zdejmuje mnie przerażenie na myśl o przedmojżeszowym, pierwotnym. istnieniu nie dającej się zawrzeć w słowach straszliwości wieloryba, która, poczęta przed wszelkim czasem, będzie z pewnością trwała i wtedy, gdy wszystkie wieki ludzkości przeminą.

Atoli ów Lewiatan pozostawił swoje przedadamowe ślady nie tylko na stereotypowych płytach natury; nie tylko w wapniu

i marglu przekazał potomnym swe starożytne popiersie. Także i na tabliczkach egipskich, których starodawność użycza im niemal skamienielinowego charakteru, znajdujemy niewątpliwy odcisk jego płetwy. W jednej z komnat olbrzymiej świątyni Denderah jakieś pięćdziesiąt lat temu odkryto na granitowym stropie rzeźbiony i malowany planiglob obfitujący w centaury, gryfy i delfiny podobne do groteskowych figur umieszczanych przez ludzi współczesnych na sklepieniu niebieskim. Sunąc między nimi płynął tam, jak ongiś, stary Lewiatan i pływał tak po tym planiglobie na całe wieki przedtem, nim Salomona do kolebki złożono.

Niepodobna też pominąć innego osobliwego potwierdzenia starodawności wieloryba w jego popotopowej, kostnej, rzeczywistej postaci, które zapisał czczigodny John Leo, dawny podróżnik po Barbarii.

Nie opodal morskiego wybrzeża Świątynię posiadają, której krokwie i belki z wielorybich sporządzone są kości, albowiem martwe wieloryby srogich rozmiarów na one wybrzeża częstokroć wyrzucane bywają. Gmin mniema, iż Moc tajemna, przez Boga onej nadana Świątyni, sprawia, iż jaki Wieloryb przepłynąć mimo nie może, śmierci natychmiastowej nie ponosząc. Prawdą jest wszelako w onej materii, bece po obu stronach Świątyni skały stoją, które na dwie mile w Morze wchodzą i ranią Wieloryby, jeśli takowe na nie się natkną. Żebro Wieloryba niewiarygodnej długości tamże jako cud przechowują, które to żebro na ziemi spoczywając, wygiętą częścią do góry zwrócone, łuk tworzy, którego szczytu człek wielbłąda dosiadający nie sięgnie. Pomienione żebro (mówi John Leo) *jakoby leżało tamże już od lat stu, zanim je ujrzałem. Ich dziejopisowie utrzymują, iż Prorok pewien, któren Mahometa przepowiedział, z onej pochodził Świątyni, poniektórzy zasię twierdzą, iż Prorok Jonasz u stóp tejże Świątyni przez Wieloryba wyrzucon był.*

W tej to afrykańskiej Świątyni Wieloryba pozostawiam cię, czytelniku, a jeśli jesteś nantucketańczykiem i wielorybnikiem, pewnie tam w milczeniu cześć mu oddasz.

ROZDZIAŁ CV
CZY ZMNIEJSZA SIĘ ROZMIAR WIELORYBA? CZY ON SAM ZAGINIE?

Jako że ów Lewiatan brnie ku nam od kolebki prawieków, można by snadnie zapytać, czy w długim łańcuchu pokoleń nie zdegenerował się pierwotny ogrom jego praszczurów.

Aliści po zbadaniu sprawy dowiemy się, że nie tylko wieloryby czasów obecnych są większe rozmiarami od tych, których skamieniałe szczątki znajdowane są w trzeciorzędzie (obejmującym wyraźny okres geologiczny poprzedzający pojawienie się człowieka), ale że spośród wielorybów, w tymże trzeciorzędzie znajdowanych, te, które należą do jego późniejszych formacji, przewyższają wielkością tamte z formacji wcześniejszych.

Ze wszystkich dotąd ekshumowanych, przedadamowych wielorybów bezwzględnie największym jest ten z Alabamy, wspomniany w ostatnim rozdziale; ma on szkielet długości około siedemdziesięciu stóp. Widzieliśmy już natomiast, że taśma miernicza pokazuje siedemdziesiąt dwie stopy dla szkieletu dużego współczesnego wieloryba. Ja zaś słyszałem z miarodajnych źródeł wielorybniczych, że ubijano kaszaloty długości niemal stu stóp w momencie złowienia.

Wszelako czy nie może tak być, że chociaż wieloryby chwili obecnej wykazują znacznie większe rozmiary niż wieloryby ze wszystkich poprzednich okresów geologicznych, to jednak zdegenerowały się one od czasów Adama?

Pewnie, że nie inną musielibyśmy wyciągnąć konkluzję, gdybyśmy mieli dać wiarę takim panom jak Pliniusz i starożytni naturaliści w ogóle. Albowiem Pliniusz opowiada nam o wielorybach, które przedstawiały całe akry żywej masy, zaś Aldrovan-dus * o innych, mierzących osiemset stóp długości — istne to wieloryby-powroziarnie i wieloryby-tunele pod Tamizą! A nawet za czasów Banksa i Solandera, przyrodników Cooka, spotykamy Duńczyka, członka Akademii Nauk, który określa długość pewnych wielorybów islandzkich *(Reydan-siskur,* czyli Pomarszczony Brzuch) na sto dwadzieścia jardów, to jest trzysta sześćdziesiąt stóp. Lacepede, przyrodnik francuski, w swej pracowitej historii wielorybów, na samym początku dzieła (strona 3) twierdzi, że wal właściwy ma sto metrów, czyli trzysta dwadzieścia osiem stóp. A dzieło to opublikowane zostało bardzo niedawno, bo w roku pańskim 1825.

Czyż jednak którykolwiek wielorybnik uwierzy w tę historię? Nie. Wieloryb dzisiejszy jest równie duży jak jego przodkowie z czasów Pliniusza. Jeśli kiedykolwiek pójdę tam, gdzie jest Pliniusz, wówczas ja, wielorybnik (lepszy od niego), będę miał śmiałość mu to powiedzieć. Dlatego mianowicie, że pojąć nie mogę, czemu to — choć mumie egipskie pogrzebane na tysiące lat, zanim Pliniusz w ogóle się narodził, mniejsze są wzrostem w swych sarkofagach od nowoczesnego mieszkańca Kentucky w skarpetkach; choć bydło, tudzież inne zwierzęta wyryte na najstarszych tabliczkach egipskich i niniwskich, wnosząc ze stosunkowych proporcji, w jakich je wyobrażano, są najwyraźniej dowodem, że tuczone, premiowane bydło wysokiej rasy ze Smithfield nie tylko dorównuje, ale znacznie przewyższa rozmiarami najtłustsze z tłustych krów faraona — czemuż więc w obliczu tych faktów miałbym uznać, że ze wszystkich zwierząt jeden tylko wieloryb się zdegenerował?

Pozostaje atoli jeszcze inne zagadnienie; takie, które często roztrząsają bardziej wtajemniczeni nantucketańczycy. Czy mianowicie wziąwszy pod uwagę nieledwie wszechwiedzące posterunki na masztach statków wielorybniczych, które przenikają teraz nawet poprzez Cieśninę Beringa i aż do

najdalszych sekretnych szufladek i puzderek świata, wziąwszy pod uwagę tysiące harpunów i lanc miotanych wzdłuż wybrzeży wszystkich kontynentów — czy Lewiatan długo potrafi wytrzymać łowy o tak szerokim zasięgu i rzeź tak bezlitosną — oto rzecz do dyskusji. Czy wieloryby nie muszą zostać w końcu wytracone na morzach i czy ostatni wieloryb, tak jak ostatni człowiek, nie wypali swej ostatniej fajki i nie ulotni się w końcowym wydmuchu?

Jeśli porównamy garbate stada wielorybów z garbatymi stadami bawołów, co jeszcze czterdzieści lat temu pokrywały dziesiątkami tysięcy prerie Illinois i Missouri i potrząsając żelaznymi grzywami ponuro spoglądały spod gromem nabrzmiałego czoła na miejsca, gdzie obecnie leżą ludne nadrzeczne stolice, w których uprzejmy pośrednik sprzedaje wam ziemię po dolarze za cal, to porównanie takie będzie na pozór nieodpartym argumentem dowodzącym, że ścigany wieloryb nie może ujść rychłej zagłady. Musicie wszelako przyjrzeć się tej sprawie w każdym świetle. Chociaż tak niedawno temu — mniej niżby wyniósł porządny okres życia ludzkiego — liczba bawołów w Illinois przekraczała spis ludności obecnie Londyn zamieszkującej, w tej chwili zaś nie pozostał w owych stronach ani jeden róg, ani jedno kopyto. i choć przyczyną owej zdumiewającej eksterminacji była ludzka włócznia, to jednak zupełnie odmienna natura łowów wielorybich stanowczo nie dopuszcza, by Lewiatana spotkał koniec tak niesławny. Czterdziestu ludzi, na jednym statku polujących na kaszalota przez czterdzieści osiem miesięcy, uważa, że wybornie się sprawiło i Bogu dziękuje, jeśli na koniec przywiezie do domu olej z czterdziestu ryb. Natomiast za czasów dawnych kanadyjskich i indyjskich łowców i traperów Zachodu, kiedy ten daleki Zachód (w którego zmierzchu nadal jeszcze słońca wschodzą) był dziewiczą pustynią, ta sama liczba ludzi w mokasynach, dosiadając koni miast żaglowych okrętów, ubiłaby przez tę samą ilość miesięcy nie czterdzieści, ale czterdzieści tysięcy i więcej bawołów, który to fakt, jeśli zaszła potemu potrzeba, można udowodnić statystycznie.

Podobnie, jeśli to należycie zważyć, nie będzie żadnym argumentem na rzecz stopniowego wymierania kaszalota, że na przykład dawniej (powiedzmy, w ostatniej części ubiegłego stulecia) spotykało się owe Lewiatany w małych stadkach znacznie częściej niż obecnie i że dlatego wyprawy nie przedłużały się tak ogromnie, a były znacznie bardziej zyskowne. Mianowicie, jak to już gdzie indziej zauważono, wieloryby, powodowane pewnymi względami bezpieczeństwa, pływają obecnie po morzach w olbrzymich karawanach i przeto rozproszone pojedynki, pary, stada i szkoły z dawnych czasów, teraz w znacznym stopniu gromadzą się w olbrzymie, ale z osobna chadzające, rzadko spotykane armie. Oto i wszystko. A równie fałszywe jest przekonanie, że ponieważ tak zwane wieloryby fiszbinowce nie nawiedzają już terenów obfitujących w nie dawnymi laty, tedy i ten gatunek zanika. Są one bowiem po prostu pędzane od przylądka do cypla; i jeżeli jednego wybrzeża nie ożywiają już ich fontanny, bądźcie pewni, że niezwykły ten widok dopiero co zadziwił jakiś inny odleglejszy brzeg.

Ponadto, co się tyczy tych ostatnich Lewiatanów, posiadają one dwie tęgie fortece, które według wszelkiego ludzkiego prawdopodobieństwa, na zawsze pozostaną niezdobyte. Podobnie jak w czas najazdu na ich doliny, mroźni Szwajcarzy wycofali się w swojej góry, tak i fiszbinowce, przepędzane z sawann i łąk śródkowych mórz, mogą na ostatku zbiec do swych polarnych cytadel i tam znurkowawszy popod ostatnie szkliste bariery i mury, wychynąć pośród kry i pól lodowych, a w zaklętym kręgu wieczystego grudnia wszelkiemu ludzkiemu urągać pościgowi.

Ale ponieważ na jednego kaszalota zabija się jakieś pięćdziesiąt tych fiszbinowców, poniektórzy filozofowie z forkasztelu doszli do wniosku, że te istne spustoszenia już bardzo poważnie uszczupliły wielorybie bataliony. Chociaż od pewnego czasu pokaźna liczba tych wielorybów, nie mniej niż 13 000, bywa dorocznie mordowana u wybrzeży północno-zachodnich przez samych Amerykanów, to jednak istnieją

względy, które nawet tę okoliczność pozbawiają większej wagi jako przeciwnego argumentu w tej mierze.

Acz naturalna jest pewna nieufność, jeśli idzie o liczbę co potężniejszych istot tego globu, to jednak cóż odpowiemy Hartowi, historykowi Goa, kiedy nam mówi, że król Syjamu w czasie jednych łowów upolował 4 000 słoni i że w owych krainach słonie są równie liczne jak stada bydła w umiarkowanych regionach. I nie widać żadnej racji, żeby wątpić, iż skoro te słonie, na które od tysięcy lat polowała i Semiramida, i Porus, i Hannibal, i wszyscy następni monarchowie Wschodu — skoro tu słonie przetrwały tam w pokaźnej liczbie, to tym bardziej wytrzyma wszelkie łowy wielki wieloryb, ile że może do woli błąkać się po pastwiskach dokładnie dwakroć większych od całej Azji, obu Ameryk, Europy, Afryki, posiadłości holenderskich tudzież wszystkich wysp morza razem wziętych.

Co więcej, pamiętać należy, że z uwagi na przypuszczalną wielką długowieczność wielorybów, które prawdopodobnie osiągają sto lat i więcej, zawsze musi żyć jednocześnie kilka odrębnych dorosłych pokoleń. Co zaś to oznacza, o tym rychło możemy powziąć niejakie pojęcie, jeśli wyobrazimy sobie, że wszystkie cmentarze, sarkofagi i groby rodzinne całego świata wydają żywe ciała wszystkich mężczyzn, niewiast i dzieci, co żyły siedemdziesiąt pięć lat temu, i dorzucają owe nieprzeliczone zastępy do obecnego zaludnienia kuli ziemskiej.

Dlatego też, ze względu na wszystkie owe rzeczy, uważamy wieloryba za nieśmiertelnego jako gatunek, choć zniszczalnego jako indywiduum. Pływał po morzach, zanim kontynenty wynurzyły się z wód; ongiś przepływał ponad miejscem, gdzie teraz stoją Tuilerie i Zamek Windsorski, i Kreml. W czasie potopu wzgardził arką Noego; a jeśli kiedykolwiek świat ma być znowu w potopie pogrążon jak Holandia, aby wytracić wszystkie na nim szczury — wówczas wiekuisty wieloryb znowu to przeżyje i wzniósłszy się na najwyższej fali ekwatorialnej powodzi tryśnie ku niebu pienistym wyzwaniem.

ROZDZIAŁ CVI
NOGA AHABA

Pośpiech, z jakim kapitan Ahab opuścił „Samuela Enderby” z Londynu, sprawił, że nie obeszło się bez pewnego drobnego poturbowania jego własnej osoby. Z taką mianowicie energią wylądował na ławce swojej szalupy, że kościana noga omal nie pękła od uderzenia. Kiedy zaś dotarł na własny pokład i trafił nią w wydrążony tam otwór, tak gwałtownie obracał się dokoła, rzucając sternikowi naglące rozkazy (jak zawsze, było tam coś na temat nie dość sztywnego trzymania steru), że kość, już nadwerężoną, teraz na dobitkę skręcił i wywichnął, i chociaż była jeszcze cała i według wszelkich pozorów mocna, przecie Ahab nie uważał jej już za całkiem godną zaufania.

A i po prawdzie trudno się było dziwić, że mimo na wskroś go przenikającego, szalonego zuchwalstwa Ahab czasami pilną zwracał uwagę na stan owej martwej kości, na której częściowo się wspierał. Niedługo bowiem przed wypłynięciem „Pequoda” z Nantucket znaleziono pewnej nocy kapitana rozciągniętego bez zmysłów na ziemi; jakimś nieznanym i pozornie niewytłumaczonym, niepojętym przypadkiem kościana noga tak gwałtownie wybita została ze swego miejsca, że na kształt pala ugodziła i nieledwie przebiła mu pachwinę; toteż nie bez najwyższej trudności wyleczono całkowicie tę straszliwie dręczącą ranę.

I wtedy to musiała się zrodzić w jego głowie maniacka myśl, że wszystkie męki wówczas przeżywane były jedynie bezpośrednim skutkiem uprzedniego nieszczęścia; zbyt jasno snadź dostrzegał, że wzorem najbardziej trucicielskiego gada z bagnisk, przedłużającego swój gatunek równie nieuchronnie

jak najsłodszy śpiewak z gaju — także i wszelkie nieszczęśliwe wypadki, na równi z każdą pomyślnością, w sposób naturalny rodzą podobne sobie zdarzenia. „A zaiste więcej niż na równi — myślał Ahab — ponieważ tak przodkowie jak i potomstwo Strapienia dalej sięgają niźli przodkowie i potomstwo Radości. Nie mówiąc już o tym, że z pewnych nauk kanonicznych wynika, iż poniektóre naturalne radości, tu, na ziemi, nie wydadzą potomstwa na tamtym świecie, ale przeciwnie, nastąpi po nich bezdzietność Radości, właściwa całej udręce piekieł; natomiast pewne występne doczesne nędze nadal poza grobem płodnie rodzić będą wieczyście mnożące się potomstwo utrapień — owóż przy głębszej analizie wychodzi tu na jaw nierówność. Albowiem — myślał Ahab — w najwyższym ziemskim szczęściu zawsze się czai jakaś nic nie znacząca małość, natomiast u dna wszystkich cierpień duchowych tkwi tajemnicze znaczenie, a u niektórych ludzi nawet i wielkość archanielska — toteż pilne tropienie ich pochodzenia nie zada kłamu temu oczywistemu wnioskowi. Śledzenie rodowodu owych wielkich doczesnych nędz doprowadzi nas wreszcie do nie mającej początku primogenitury bogów; toteż w obliczu radosnego słońca, co sianokosom przyświeca, w obliczu krągłego, miękkodzwonnego, żniwnego księżyca musimy przyznać jedno: że sami bogowie nie zawsze są weseli. Niezatarte piętno smutku na czole człowieka jest tylko pieczęcią bólu tego, kto podpis swój tam położył.”

Nieświadomie wyjawiono tu sekret, który mógł był we właściwszy i bardziej należyty sposób być ujawniony już przedtem. Wraz z wieloma innymi szczegółami, tyczącymi się Ahaba, zawsze pozostawało dla niektórych tajemnicą, czemu przez pewien czas, tak przed jak i po wyruszeniu „Pequoda”, kapitan ukrywał się w odosobnieniu godnym Dalaj Lamy i przez ów okres czasu jak gdyby szukał milczącego schronienia pośród marmurowego senatu umarłych, uzasadnienie rozpowszechniane przez kapitana Pelega nie wydawało się wcale a wcale wystarczające, chociaż po prawdzie, co się tyczy wszystkich głębszych pokładów duszy Ahaba, to każde nowe

odkrycie więcej w sobie miało znamiennego mroku niż wyjaśniającego światła. Koniec końców jednak wszystko wyszło na jaw; a przynajmniej ta jedna sprawa. Ten to okrutny wypadek leżał u dna chwilowego odosobienia kapitana. Mało tego; dla stale się zacieśniającego, malejącego kręgu ludzi, którzy na lądzie z tych czy innych przyczyn mieli przywilej mniej utrudnionego dostępu do kapitana — nawet dla tego lękliwego kółka wspomniany wypadek — przez Ahaba ponuro pozostawiony bez wyjaśnienia — przyoblekał się w straszliwość nie całkiem obcą światu duchów i lamentów. Toteż przez swą gorliwość w stosunku do kapitana wszyscy się sprzysięgli, żeby, o ile to będzie w ich mocy, zataić tę sprawę przed innymi; dlatego właśnie dopiero po upływie znacznego czasu rzecz przeniknęła na pokład „Pequoda".

Ale niech będzie, co chce; niechże ów niewidzialny, niepojęty synod obradujący w przestworzach czy też mściwi książęta i potentaci ognia piekielnego zajmują się ziemskim Ahabem; w sprawie nogi podjął on zwykłe, praktyczne kroki; zawezwał cieślę.

Kiedy zaś stanął przed nim ów rzemieślnik, kapitan rozkazał mu zabrać się bez zwłoki do sporządzania nowej nogi; dał też wskazówki oficerom, by dostarczyli cieśli wszelkie drążki i belki z kości szczękowej (kaszalota), jakie do tej pory w czasie wyprawy nagromadzono, a to żeby mu umożliwić staranny wybór najtęższego, posiadającego najwłaściwszy słój materiału. Następnie nakazano cieśli ukończyć nogę tejże nocy oraz dostarczyć wszystkie wiązania niezależnie od tych, co należały do tamtej, używanej, która straciła zaufanie swojego pana. Co więcej, miano wywindować kuźnię okrętową z miejsca jej chwilowej gnuśności w ładowni; aby przyśpieszyć bieg spraw, kazano kowalowi natychmiast zabrać się do wykuwania wszelakich żelaznych dodatków, jakie mogą się okazać potrzebne.

ROZDZIAŁ CVII
CIEŚLA

Zasiądź po sułtańsku pośród księżyców Saturna i spójrz z wysoka na pojedynczego, abstrakcyjnego człowieka, a wyda ci się cudem, wielkością i niedolą. Ale spójrz z tego samego miejsca na rodzaj ludzki w całości, a w swej większości wyda ci się on tłumem zbędnych duplikatów, zarówno współczesnych jak i dziedzicznych. Wszelako choć arcyskromny i daleki od tego, aby swoją osobą dawać przykład wzniosłej ludzkiej abstrakcji, cieśla „Pequoda" nie był duplikatem; dlatego też we własnej osobie teraz na scenę tę wkracza.

Wzorem wszystkich pływających po morzu cieśli okrętowych, a w szczególności tych ze statków wielorybniczych, był on w pewnym powierzchownym sensie praktycznie i jednako obeznany z rozlicznymi rzemiosłami i zatrudnieniami pokrewnymi jego własnemu, ile że zawód cieśli jest pradawnym, rozgałęziającym się pniem wszystkich tych rozlicznych rękodzieł, które mają mniej lub więcej do czynienia z drewnem jako materiałem. Atoli poza odnoszącą się doń powyższą uwagą ogólną, ów cieśla „Pequoda” wykazywał osobliwe zdolności w przeróżnych mechanicznych potrzebach, których wyliczyć nie sposób, a które ustawicznie się ponawiają na dużym statku w toku trzy- czy czteroletniej podróży po niecywilizowanych i dalekich morzach. Nie mówiąc bowiem o jego gotowości do pełnienia zwykłych obowiązków — naprawiania podziurawionych łodzi, wywichniętych drzewc, ulepszania kształtu wioseł o niezgrabnie wykonanych piórach, wprawiania w pokład okienek czy też wbijania nowych ćwieków w deski kadłuba, tudzież najrozmaitszych innych

spraw bardziej bezpośrednio związanych z jego specjalnością, był jeszcze niezawodnie biegły w najprzeróżniejszych zajęciach, zarówno pożytecznych jak błahych.

Jedyną wielką sceną, na której odgrywał wszystkie swoje tak różnorodne role, był jego warsztat — długi, toporny, ciężki stół zaopatrzony w kilka imadeł różnej wielkości, zarówno żelaznych jak i drewnianych. Z wyjątkiem tych chwil, kiedy do statku były przycumowane wieloryby, warsztat ów zawsze stał w poprzek statku, przytwierdzony do tylnej ścianki wytapialni.

Jakiś nagiel okazuje się zbyt gruby, by go bez trudu wsunąć w otwór? Cieśla wsadza go w jedno ze swych stale gotowych imadeł i od ręki opiłowuje. Zagubiony lądowy ptak o dziwnym upierzeniu błąka się po pokładzie i zostaje schwytany? Z gładko oczyszczonych prętów fiszbinowych i płytek poprzecznych z kaszalotowej kości cieśla sporządza dlań klatkę pagodzie podobną.

Wioślarz wywichnął sobie rękę? Cieśla gotuje uśmierzające lekarstwo. Stubb marzył o wymalowaniu szkarłatnych gwiazd na piórze każdego ze swych wioseł? Wkręciwszy każde z nich w wielkie, drewniane imadło, cieśla symetrycznie je zaopatruje w owe konstelacje. Któremuś z marynarzy przychodzi do głowy nosić kolczyki z kości rekina? Cieśla przekłuwa mu uszy. Inny ma ból zęba? Cieśla dobywa obcęgów i klepnąwszy warsztat jedną ręką, zaprasza majtka, by na nim zasiadł. Biedaczysko wyrywa się niemiłosiernie w trakcie nie dokończonej operacji? Cieśla odkręca rękojeść drewnianego imadła i daje mu znak, by wetknął w nie szczękę, jeżeli chce, by mu ząb wyrwano.

Tak więc ów cieśla był na wszystko gotów, jednako na wszystko obojętny i nie szanujący niczego. Zęby uważał za kawałki kości, głowy za klocki; samych ludzi traktował beztrosko, jako coś w rodzaju kabestanów. Wszystkie te tak rozliczne i urozmaicone umiejętności wraz z wielkim ożywieniem i biegłością zdawałyby się świadczyć o jakiejś niepospolitej żywej inteligencji. Tak jednak właściwie nie było. Nic w tym człowieku nie zwracało bardziej uwagi niż jakieś bezosobowe otępienie; bezosobowe, powtarzam, tak się bowiem

wtapiało w dookolną nieskończoność rzeczy, iż zdawało się tworzyć jedność z powszechnym otępieniem, jakie można było dostrzec w całym widzialnym świecie, który, choć nieprzerwanie czynny na niezliczone sposoby, zachowuje jednakże wieczysty spokój i ignoruje was, choćbyście kopali fundamenty pod katedry. Jednakże owo tak przerażające otępienie pociągało snadź za sobą wszystko ogarniający brak serca; a przecież czasem mieszało się dziwnie z jakimś przestarzałym, kulawym, przedpotopowym, mozolnym humorem nie pozbawionym chwilami błysków pewnego staroświeckiego dowcipu takiego, jakim może skracano sobie długie wachty nocne na omszałym forkasztelu arki Noego. Czy działo się tak dlatego, że ów stary cieśla był całe życie wędrowcem, który plącząc się tu i ówdzie nie tylko nie obrósł mchem, ale przeciwnie, wytarł wszelkie drobne, zewnętrzne narośle, jakie mogły pierwotnie doń przylgnąć? Był obnażoną abstrakcją, całością niepodzielną; bezkompromisowy jak nowo narodzone dziecię, żył bez żadnego przemyślanego związku z tym czy z tamtym światem. Można by nieledwie powiedzieć, że owa osobliwa bezkompromisowość pociągała za sobą pewien rodzaj braku inteligencji; mianowicie w swych rozlicznych rzemiosłach zdawał się pracować nie tyle przez rozsądek czy instynkt, czy też po prostu dlatego, że go tak przyuczono, względnie na skutek jakiejś mieszaniny, w równych czy nierównych częściach "wszystkich owych racji, ale wręcz z tej racji, że było to dlań czymś w rodzaju głuchego i niemego, spontanicznego, powszedniego procederu. Był to czysty rękodzielnik; mózg, jeśli go miał kiedykolwiek, musiał już z dawna przesączyć się w mięśnie jego palców. Przypominał jeden z owych nierozumnych, a przecie wysoce użytecznych Sheffieldowskich przyrządów *multum in parvo,* które przybierają zewnętrzną postać — wprawdzie nieco obrzmiałą — zwykłego scyzoryka, a jednak zawierają nie tylko ostrza różnych rozmiarów, ale także i śrubokręty, korkociągi, szczypczyki, szydełka, pióra, linijki, pilniki do paznokci, świderki. Tak więc, jeśli przełożeni chcieli użyć cieśli jako

śrubokrętu, to 'wystarczyło im otworzyć właściwą jego część i już śruba twardo siedziała; jeśli go chcieli zastosować jako szczypce, wystarczyło wziąć go za nogi i miało się, czego potrzeba.

Atoli, jak już uprzednio wspomniano, ów wielonarzędziowy, otwierany i zamykany cieśla nie był, bądź co bądź, zwykłą maszyną czy automatem. Jeżeli nawet nie miał w sobie zwyczajnej duszy, to posiadał coś tajemniczego, co w jakiś kaleki sposób pełniło jej powinność. Niepodobna dociec, co to było takiego; czy sama esencja rtęci, czy kilka kropel wywaru z jelenich rogów. Było tam przecie i tkwiło tak od przeszło sześćdziesięciu lat. I on to właśnie, ten niepojęty, mądry pierwiastek życia kazał mu przez wielką część czasu monologować, ale tylko jak. bezmyślne koło, co również monologuje swoim turkotem; a może raczej ciało tego cieśli było budką wartownika, a ów monologista tkwił tam na posterunku, gadając przez cały czas do siebie, aby nie zasnąć.

ROZDZIAŁ CVIII
AHAB I CIEŚLA

Pokład — *pierwsza wachta nocna*

(Cieśla stoi przed swym warsztatem i przy świetle dwóch latarń pilnie opiłowuje przeznaczony na nogę kawał kości, mocno uchwycony w imadło. Na warsztacie walają się płytki kości, skrawki skóry, kawałki wyściółki, śruby i różne narzędzia wszelkiego rodzaju. W przodzie widać czerwony ogień kuźni, w której pracuje kowal.)

— Do kata z pilnikiem i do kata z kością! To jest twarde, co powinno być miękkie, a miękkie to, co powinno być twarde. Tak się wiedzie temu, co piłuje stare szczęki i golenie. Spróbujmy innego. Tak, proszę, z tym idzie lepiej. *(kicha)* Ach, ten pył kostny *(kicha)* — ten pył jest *(kicha)* — jest właśnie *(kicha) — do diabla, nie da mi dojść do słowa!* Oto czego dorabia się stary chłop pracując na martwym materiale. Popiłuj żywe drzewo, a nie będziesz miał takiego pyłu, amputuj żywą kość, a też go nie będzie. *(kicha)* No, no, do roboty, stary smoluchu, dawaj tę skuwkę i sprzączkę. Zaraz będę gotów do nich się zabrać. Całe szczęście *(kicha),* że nie trzeba robić stawu kolanowego. To by dopiero był kłopot! Ale zwykła goleń — no, to przecie jest równie łatwe, jak zrobić tykę do chmielu, chciałbym jeno dać dobre wykończenie. Czas, czas — gdybym tylko miał czas, tobym mu zmajstrował taką zgrabną nóżkę *(kicha),* że nigdy ładniejsza nie tupała po damskim saloniku. Te zamszowe nogi i łydki com je widywał na wystawach sklepowych, aniby się do niej nie umywały. Nasiąkają wodą, naturalnie dostają reumatyzmu i trzeba je leczyć *(kicha)* lekarstwami i płynami, zupełnie jak żywe nogi. No, teraz, zanim ją odpiłuję, muszę

zawezwać jego mogolską mość i zobaczyć, czy długość w sam raz. Coś mi się widzi, że chyba za krótka. Aha! Stukot pięty! Mam szczęście, właśnie nadchodzi chyba nie kto inny, to pewne.

AHAB

(przybliża się)

(Podczas sceny, która teraz następuje, cieśla nadal kicha od czasu do czasu).

— No cóż, człekorobie?

— W sam czas pan nadchodzi. Za pozwoleniem pana kapitana, zaznaczę sobie długość. Pozwól mi pan wziąć miarę.

— Miarę na nogę! Dobrze! Cóż, nie pierwszy to raz. Podnieś ją! Tak, trzymaj tu palec. Tęgie masz imadło, cieślo, daj mi raz poczuć jego uchwyt. O, tak, tak, trochę szczypie.

— O, kapitanie, to może połamać kości, ostrożnie, ostrożnie!

— Nie ma obawy. Lubię dobry uścisk. Lubię czuć na tym śliskim świecie coś, co potrafi trzymać człowieka. Cóż robi ten Prometeusz — to znaczy kowal — nad czym pracuje?

— Pewnie wykuwa teraz sprzączkę.

— Słusznie. Oto współpraca; on dostarcza części mięśniowych. Ależ wściekle czerwony ogień rozniecił!

— Tak jest, kapitanie. Musi rozgrzać metal do białości przy tak delikatnej robocie.

— Uhm. Musi. Otóż wydaje mi się wielce znamienne, że ten starodawny Grek, Prometeusz, co tworzył ludzi, był, jak powiadają, kowalem i ożywiał ich przy pomocy ognia; albowiem co w ogniu powstało, do ognia należeć musi i dlatego istnienie piekła jest prawdopodobne. Jakże latają te sadze! To muszą być odpadki, z których ów Grek zrobił Afrykańczyków. Cieślo, kiedy kowal skończy z tą sprzączką, powiedz, żeby ukuł parę stalowych kości łopatkowych. Jest tu na statku przekupień, co nosi przytłaczające brzemię.

— Słucham?

— Czekaj! Skoro Prometeusz wziął się do roboty, zamówię sobie całkowitego człowieka według pożądanego wzoru. Po pierwsze pięćdziesiąt stóp wzrostu w skarpetkach, następnie

pierś sklepiona na wzór Tunelu Tamizy, dalej nogi zaopatrzone w korzenie, by mogły ustać w miejscu, ręce — na trzy stopy w kiści, serca w ogóle nie trzeba; czoło miedziane i około ćwierci akra wybornego mózgu; i jeszcze — zaraz, zaraz — czy zamówić oczy, co by na zewnątrz patrzały? Nie, dam mu na czubku głowy górne okienko, które by jego wnętrze oświetlało. No, bierz zamówienie i ruszaj!

— A ten znowu o czym i do kogo gada, chciałbym wiedzieć? Czy mam tu dalej stać? *(na stronie)*

— Kiepska to architektura, co ślepą tworzy kopułę, a to jest jedna z nich. Nie, nie, nie, muszę mieć latarnię.

— Ha, o *to* idzie? Są tu dwie, a mnie wystarczy jedna.

— Po cóż mi świecisz w oczy tym złodziejołapem, człowieku? Świecenie takie gorsze jest od wymierzonego pistoletu.

— Myślałem, kapitanie, że mówił to pan do mnie, cieśli.

— Cieśli? No przecie… ale nie. Bardzo schludnemu i, rzekłbym, niezwykle pańskiemu oddajesz się zajęciu, cieślo. Czy też może wolałbyś pracować w glinie?

— Słucham? W glinie? To przecie błoto. Glinę pozostawiamy kopaczom rowów.

— A nicpoń! Czemu to kichasz?

— Kości dają sporo pyłu, panie kapitanie.

— Bierz więc stąd nauczkę i kiedy zemrzesz, nigdy się nie daj pochować pod nosem ludzi żywych.

— Słucham! Och! Ach! Tak, zdaje się… tak. O, mój Boże!

— Słuchaj no, cieślo. Pewnie uważasz się za prawdziwie dobrego rzemieślnika, rzemieślnika co się zowie, hę? No więc, czy będziesz całkiem dobrze świadczyło o twej pracy, jeśli stanąwszy na tej nodze, którą robisz, będę mimo to czuł inną w tym samym, identycznym miejscu, to znaczy, cieślo, moją dawną, utraconą nogę, tę z krwi i ciała, wiesz? Czy nie umiesz przepędzić precz starego Adama?

— Po prawdzie, panie kapitanie, zaczynam teraz coś niecoś miarkować. Tak, słyszałem różne ciekawe rzeczy na ten temat; że człek, któremu maszt odłamało, nigdy ze szczętem nie traci czucia w swym dawnym drzewcu, ale że coś go od czasu do

czasu w nie kłuje. Dopraszam się pokornie, czy naprawdę tak jest, panie kapitanie?

— Jest tak, człowieku. Patrz, postaw swą żywą nogę tutaj, w tym miejscu, gdzie moja była. Otóż i masz jedną tylko nogę rozpoznawalną dla oka, natomiast dla duszy dwie. Gdzie ty wyczuwasz piekące życie — tam, dokładnie tam, na włos nie gdzie indziej wyczuwam je i ja. Czy to nie zagadka?

— Pozwoliłbym to sobie pokornie nazwać zagadnieniem.

— Uważaj więc. Skąd wiesz, czy dokładnie w tym samym miejscu, gdzie właśnie stoisz, nie stoi też jakaś żywa, całkowita, myśląca istota, niewidzialna i nie przenikająca się z tobą wzajemnie; czy zaiste nie stoi tam wbrew tobie samemu? Alboż nawet w swych najsamotniejszych chwilach nie lękasz się, że ktoś cię podsłuchuje? Wstrzymaj się, nie odpowiadaj. Jeżeli ja nadal czuję piekący ból w zmiażdżonej nodze, choć tak już dawno zniknęła, to czemuż ty, cieślo, nie miałbyś na wieki czuć ognistej boleści piekieł, choćby nawet bez ciała? Ha!

— Dobry Boże! Po prawdzie, panie kapitanie, jeśli o to idzie, musiałbym na nowo rzecz rozważyć. Zdaje mi się bowiem, że niezbyt się mogę w tym połapać.

— Słuchaj mnie, baranie łby nigdy nie powinny szukać logicznych przesłanek. Jak długo potrwa robota tej nogi?

— Może z godzinę.

— Kleć ją więc, a potem przynieś mi. *(Obraca się, by odejść)* O, życie! Oto tu stoję, dumny jako grecki bóg, a przecie jestem dłużnikiem tego kpa, bo dał mi kość, na której stanąć mogę! Niech będzie przeklęte to doczesne wzajemne zadłużenie, co nie może się obejść bez ksiąg rachunkowych. Chciałbym być wolnym jak powietrze, a jednak zapisany jestem w księgach całego świata. Takem bogaty, że mógłbym się licytować z najzamożniejszymi pretorianami na wyprzedaży cesarstwa rzymskiego (co świata cesarstwem było), a przecie dłużny jestem za ciało tego języka, którym się chełpię. Nieba! Wezmę tygiel, wejdę weń i roztopię się aż po najmniejszy zwarty krąg. Tak!

CIEŚLA

(wracając do pracy)

— No, no, no! Stubb zna go najlepiej i zawsze mówi, że to dziwak. Nic prócz tego jednego, wystarczającego małego słówka: dziwak; dziwak z niego powiada Stubb, dziwak z niego… dziwak, dziwak, i cały czas bębni to w ucho panu Starbuckowi: dziwak, panie, dziwak, dziwak, straszny dziwak. A tu jego noga. Tak, właściwie jak się nad tym zastanowić, to przecie jest mu ona towarzyszką łoża! Ma za żonę drąg z wielorybiej szczęki! I to jest jego noga, na tym będzie stał! Jak to było z tą jedną nogą stojącą w trzech miejscach, a wszystkie trzy miejsca stoją w jednym piekle? Jakże to było? O, nie dziwię się, że tak szyderczo na mnie łypał. Czasem miewam nieco osobliwe myśli, jak powiadają, ale to tylko od przypadku do przypadku. Bo też niskie, małe stare ciało, takie jak moje, nie powinno nigdy brać się do brodzenia po głębinie z wysokimi kapitanami o czaplej budowie. Woda rychło zacznie wtedy głaskać pod brodę i dopieroż trzeba wołać o łodzie ratunkowe! A oto właśnie noga czapli! Długa i szczupła, a jakże! Owóż dla większości ludzi jedna para nóg starcza na całe życie, a musi tak być dlatego, że ich zażywają litościwie, niczym czułostkowa starsza dama swych przysadzistych, starych koni od powozu. Ale Ahab — o, ten to ostry woźnica! Patrzcie tylko: jedną nogę zajeździł na śmierć, a drugą okulawił na całe życie i teraz nosi kościane nogi całymi pęczkami. Hej tam, smoluchu, bierzże się za śrubki i skończmy, zanim ten od zmartwienia przyjdzie z trąbą zwołując wszystkie nogi, prawdziwe czy sztuczne, podobnie jak ludzie z browaru jeżdżą zbierając stare beczki od piwa, aby je znowu napełnić. Cóż to za noga! Wygląda jak prawdziwa, żywa noga; spiłowana, że tylko sam trzon pozostał. Kapitan jutro na niej stanie, na niej też będzie robił obliczenia. Hej! Byłbym zapomniał o tej małej owalnej tabliczce z wygładzonej kości, na której oblicza szerokość geograficzną. Otóż to, dawać tu zaraz dłuto, pilnik i papier szklany!

ROZDZIAŁ CIX
AHAB I STARBUCK W KAJUCIE

Zgodnie ze zwyczajem, następnego ranka uruchomiono na statku pompy i oto wraz z wodą wypłynęła wcale pokaźna ilość oleju; beczki na dole musiały porządnie przeciekać. Wielce się tym zafrasowano i Starbuck zaszedł do kajuty, by zameldować o tej niepomyślnej sprawie.*

Właśnie „Pequod" zbliżał się od południowego zachodu do Formozy oraz wysp Bashee, między którymi znajduje się jedno z podzwrotnikowych wyjść z wód chińskich na Pacyfik. Toteż Starbuck zastał Ahaba nad rozpostartą mapą ogólną wschodnich archipelagów tudzież inną, osobną, przedstawiającą długie wschodnie wybrzeża wysp japońskich: Nipponu, Matsumai i Szikoku. Oparłszy się śnieżnobiałą, nową kościaną nogą o przyśrubowaną do podłogi nogę stołu, w ręku dzierżąc kozik długi niby nóż ogrodniczy, ten przedziwny kapitan, odwrócony plecami do drzwi od przejścia, marszczył brwi i na nowo wykreślał swoje stare kursy.

— Kto tam? — powiedział na odgłos kroków u drzwi, nie odwracając się jednak. — Na pokład! Wynosić się stąd!

— Pomyłka, kapitanie, to ja. Olej w ładowni przecieka. Musimy wciągnąć burtony i otworzyć ładownię.

— Wciągnąć burtony i otworzyć ładownię? Teraz, kiedy dopływamy do Japonii? Stać tu przez tydzień, żeby łatać kupę starych beczek?

— Albo to uczynimy, albo w ciągu jednego dnia zmarnuje się więcej oleju, niż go potrafimy przez rok uzupełnić. Warto ratować to, po co się płynie dwadzieścia tysięcy mil, kapitanie.

— A tak, a tak. O ile to dostaniemy!

— Ja mówię o oleju w ładowni.

— Ja zaś ani o tym nie mówię, ani nie myślę. Wynoś się! Niech przecieka! Ja sam cały przeciekam. Tak, dziura na dziurze! Nie tylko pełno we mnie dziurawych beczek, ale jeszcze tkwią one na dziurawym statku, to zaś o wiele gorsze położenie niż „Pequoda", człowieku. A jednak nie przystaję, by zatkać dziurę, bo któż by ją mógł odnaleźć na tak głęboko zanurzonym kadłubie — a nawet gdyby się ją znalazło, jakże tu myśleć o jej zatkaniu wpośród wyjącej nawałnicy tego życia! Starbuck! Nie pozwolę wciągać burtonów.

— Cóż na to powiedzą właściciele, kapitanie?

— Niech sobie właściciele staną na plaży w Nantucket i popróbują przekrzyczeć tajfuny. Cóż to obchodzi Ahaba? Właściciele, właściciele! Zawsze mi pleciesz, Starbuck, o tych sknerowatych właścicielach, jak gdyby byli moim sumieniem. Ale słuchaj no: jedynym rzeczywiście właścicielem czegokolwiek jest ten, co tym dowodzi. I uważaj: moje sumienie tkwi w kilu tego statku. Na pokład!

— Kapitanie! — rzekł zaczerwieniony oficer postępując w głąb kajuty ze śmiałością tak dziwnie pełną szacunku i ostrożności, jak gdyby usiłowała nie tylko na wszelkie sposoby uniknąć najdrobniejszego przejawiania się na zewnątrz, ale nawet jakby we wnętrzu tego człowieka niezbyt ufała samej sobie. — Ktoś lepszy ode mnie mógłby snadnie przejść do porządku nad takim tonem u ciebie, choć szybko by zań powziął urazę do człeka młodszego; a tak, i szczęśliwszego, panie kapitanie.

— Do diaska! Czyżbyś posuwał się tak daleko, żebyś śmiał mnie krytykować? Na pokład!

— Nie, jeszcze nie. Ja tylko pana usilnie proszę. A także śmiem być pobłażliwym! Czy nie zrozumiemy się lepiej niż dotychczas, kapitanie?

Ahab porwał nabity muszkiet ze stojaka (stanowiącego część sprzętu kajutowego na większości statków z Mórz Południowych) i wymierzywszy go w Starbucka zakrzyknął:

— Jest tylko jeden Bóg, który jest panem ziemi, i tylko jeden kapitan, który panem jest na „Pequodzie”! Na pokład!

Przez chwilę, sądząc po rzucających błyskawice oczach oficera i jego rozgorzałych policzkach, można by mniemać, że naprawdę raził go płomień z wymierzonej lufy. Opanowawszy jednak wzburzenie, wstał dość spokojnie, a w chwili gdy opuszczał kajutę, zatrzymał się w progu i powiedział:

— Pokrzywdziłeś mnie, ale nie znieważyłeś, kapitanie. Toteż nie proszę, byś się strzegł Starbucka; śmiałbyś się tylko. Niechaj wszelako Ahab strzeże się Ahaba! Samego siebie strzeż się, kapitanie.

— Odważny się robi, ale jednak słucha. Wielce to ostrożna odwaga! — mruknął Ahab, gdy Starbuck zniknął. — Jak on to powiedział? „Niech Ahab strzeże się Ahaba.” Coś w tym jest! — Następnie, nieświadomie wspierając się na muszkiecie niby na lasce, począł z ołowianą chmurą na czole przechadzać się tam i z powrotem po małej kajucie; wprędce jednak wygładziły się gęste zmarszczki i Ahab, odstawiwszy broń na stojak, wyszedł na pokład.

— Z ciebie za dobry chłop, Starbuck — powiedział cicho do oficera, po czym podniósłszy głos zawołał do marynarzy: — Zwijać bramżagle! Refować marsie na foku i bezanie! Przebrasować grotreję, burtony w górę i otwierać główną ładownię!

Daremne byłoby zapewne domyślać się, dlaczego w stosunku do Starbucka Ahab postąpił w ten sposób. Mógł to w nim być przebłysk uczciwości, a może po prostu ostrożna polityka, która w podobnych okolicznościach kategorycznie wzbraniała mu okazywania najlżejszych choćby symptomów jawnej niechęci, nawet przelotnej, w stosunku do pełniącego ważne funkcje pierwszego oficera jego statku. Jakkolwiek tam było, rozkazy jego wykonano i burtony zostały wciągnięte na górę.

ROZDZIAŁ CX
QUEEQUEG W SWEJ TRUMNIE

Po sprawdzeniu okazało się, że beczki ostatnio ustawione w ładowni są całkowicie nietknięte i że dziura musi znajdować się gdzieś dalej. Ponieważ pogoda była spokojna, dostawano się coraz głębiej i głębiej do ładowni zakłócając sen olbrzymich antałów ze spodniej warstwy i spośród owej czarnej nocy wysyłano te gigantyczne krety na górę, na światło dzienne. Tak głęboko się dobrano, a dolne stągwie wyglądały tak sędziwie, tak były przez czas nadżarte i omszałe, że niemal rozglądaliśmy się, czy tu gdzie nie stoi jakaś zapleśniała beczka — kamień węgielny — zawierająca monety należące do kapitana Noego lub czy nie wiszą plakaty daremnie przestrzegające przed potopem obłąkany, stary świat. Także i warstwę za warstwą wody do picia, chleba, wołowiny, wiązki klepek beczkowych, żelazne pęki obręczy windowano na górę, aż wreszcie trudno się było poruszać po zawalonych pokładach, pod stopą zaś próżny kadłub rozbrzmiewał echem, jak gdybyś po pustych stąpał katakumbach; statek zataczał się i kołysał na morzu niczym butla wypełniona powietrzem. Miał w czubie ten statek niby student, co brzuch ma pusty, ale za to całego Arystotelesa w głowie. Szczęściem nie nawiedziły nas wtedy tajfuny.

Otóż w tym to czasie mojego biednego pogańskiego towarzysza i wiernego przyjaciela od serca, Queequega, chwyciła gorączka, która omal go nie przywiodła do końca ziemskiej wędrówki.

Należy stwierdzić, że w tym wielorybniczym rzemiośle synekury są nieznane; godność i niebezpieczeństwo idą ręka w rękę; dopóki nie dojdziecie do stopnia kapitana, im wyżej się

wznosicie, tym twardszy was czeka trud. Tak było i z biednym Queeque-giem, który jako harpunnik musiał nie tylko stawiać czoło całej furii żywego wieloryba, ale też — jak to gdzie indziej widzieliśmy — dosiadać jego martwego grzbietu wśród rozchlustanych fal i nareszcie schodzić w mrok ładowni, aby przez cały dzień, siódmym potem zlany w owym podziemnym więzieniu, brać rezolutnie w obroty najnieporęczniejsze beki i doglądać ich ustawiania. Krótko mówiąc wśród wielorybników harpunnicy są robotnikami ładowni.

Biedy Queequeg! Kiedy statek już mniej więcej do połowy wypatroszono, warto było pochylić się nad lukiem i spojrzeć tam w dół, kędy rozebrany do wełnianych kalesonów, wytatuowany dziki pełzał pośród wilgoci i mułu niby zielono nakrapiana jaszczurka na dnie studni. I rzeczywiście studnią czy raczej lodownią okazało się to dla biednego poganina, bowiem, dziw powiedzieć, mimo całego upału i potów zaziębił się okrutnie, zaziębienie to zaś przeszło w gorączkę i nareszcie po kilku dniach cierpień złożyło go w hamaku, na samym progu śmierci. Marniał i marniał przez te kilka długo ciągnących się dni, aż na koniec rzekłbyś, że niewiele zeń pozostało, oprócz szkieletu i tatuaży. Jednakże w miarę jak wszystko w nim chudło, a kości policzkowe zaostrzały się coraz bardziej, jego oczy jakby rosły i rosły; zyskały blask osobliwej miękkości i tak spośród niemocy spoglądały na was łagodnie, lecz głęboko, stanowiąc zdumiewające świadectwo nieśmiertelnego w nim zdrowia, co zamrzeć ni zwątleć nie mogło. Jak koła na wodzie, które słabnąc rozszerzają się, oczy Queequega zdawały się zaokrąglać coraz bardziej niby kręgi wieczności. Lęk, którego w słowach nie zawrzeć, spłynąłby na was, gdybyście siedzieli u boku owego więdnącego dzikusa i oglądali na jego obliczu rzeczy tak przedziwne, że dziwniejszych nie widzieli ci, co byli świadkami zgonu Zoroastra. Albowiem to, co w człowieku jest istotnie zadziwiające i straszliwe, nigdy dotąd w słowach czy księgach ujęte nie zostało. A zbliżanie się Śmierci, która jednako wszystkich równa, jednakie też na wszystkich wywiera wrażenie ostatnim objawieniem, które tylko autor pochodzący

spośród grona umarłych właściwie opisać by umiał. Toteż — powtórzmy to raz jeszcze — żaden dogorywający Chaldejczyk czy Grek nie miał wznioślejszych i świątobliwszych myśli niźli te, których tajemnicze cienie pełzały po licach biednego Queequega, gdy tak spokojnie leżał w bujającym się hamaku, a rozkolebane morze jakby go łagodnie kołysało do ostatecznego spoczynku, zaś niewidzialne przypływy oceanu wynosiły go coraz wyżej i wyżej ku przeznaczonym mu niebiosom.

Nie było wśród załogi nikogo, kto by nie uważał, że Queequeg jest stracony; jeśli zaś idzie o jego własne zdanie, dobitnie dał do zrozumienia, co o tym myśli, prosząc o pewną szczególną przysługę. Kiedyś o samym brzasku, o szarej godzinie porannej wachty, wezwał kogoś do siebie i wziąwszy go za rękę powiedział, że będąc w Nantucket miał sposobność widzieć osobliwe małe czółna z ciemnego drzewa, przypominającego wspaniałe drzewo z jego wyspy ojczystej i na pytanie otrzymał odpowiedź, że wszyscy wielorybnicy, którzy umierają w Nantucket, grzebani są w tychże ciemnych czółnach; myśl, że mógłby być w ten sposób złożony do grobu, ogromnie mu się spodobała, gdyż przypominała zwyczaj jego współziomków, którzy zabalsamowanego zmarłego wojownika układają w jego czółnie i pozostawiają na wodzie, co ma go ponieść ku gwiezdnym archipelagom; nie tylko bowiem wierzą, iż gwiazdy to wyspy, ale także, że gdzieś daleko, poza wszelkimi widzialnymi horyzontami, łagodne, bezkresne morza zlewają się z niebem błękitnym, w ten sposób na Mlecznej Drodze tworząc białe piany. Dodał, iż dreszcz go przejmuje na myśl, że zgodnie ze zwykłym morskim obyczajem pochowają go w hamaku i cisną jak coś nikczemnego padlinożernym rekinom. Nie; pragnie dla siebie takiego czółna jak tamte z Nantucket, które tym bardziej są odpowiednie dla niego, wielorybnika, że na podobieństwo wielorybniczej szalupy owe czółna-trumny nie posiadają kilu; choć to pociąga za sobą brak pewności w sterowaniu i silne dryfowanie wskroś mglistych stuleci.

Kiedy o tym dziwnym zdarzeniu dowiedziano się na rufie, cieśla natychmiast otrzymał rozkaz spełnienia życzeń

Queequega, jakiekolwiek by one były. Na pokładzie znalazło się jakoweś pogańskie, trumiennej barwy stare drewno, które w czasie długiej poprzedniej wyprawy ścięto w dziewiczych gajach wysp Lackaday; z tych to ciemnych desek miano sporządzić trumnę. Ledwie cieśla dowiedział się o zamówieniu, a już wziął calówkę i natychmiast, z całą obojętną gotowością, usposobieniu jego właściwą, udał się na forkasztel i zdjął z Queequega miarę ogromnie dokładnie, kredą czyniąc znaki na jego ciele, w chwili gdy miarkę przesuwał.

— Ach, biedaczysko! Teraz będzie musiał zemrzeć! — wykrzyknął majtek z Long Island.

Cieśla podszedł do swego warsztatu i dla wygody tudzież ogólnej orientacji przeniósł nań dokładną długość, jaką miała mieć trumna, a następnie utrwalił to nacinając na końcach dwa karby. Po tej czynności rozłożył deski oraz narzędzia i zabrał się do roboty.

Kiedy ostatni gwóźdź był już wbity, a wieko należycie zheblowane i dopasowane, cieśla zarzucił sobie lekko trumnę na ramię i udał się z nią na dziób zapytując, czy są tam już do niej gotowi.

Dosłyszawszy pełne oburzenia, choć na poły żartobliwe okrzyki, z jakimi ludzie na pokładzie poczęli precz trumnę odpychać, Queequeg nakazał, ku powszechnej konsternacji, żeby mu ją niezwłocznie przyniesiono; nie było mowy o sprzeciwie, zważywszy, że ze wszystkich śmiertelnych ludzie umierający największymi są tyranami, a ponieważ będą się nam przez całą wieczność tak już niewiele naprzykrzać, tedy oczywiście powinno się biedakom pobłażać.

Wychyliwszy się z hamaku Queequeg długo spoglądał na trumnę bacznym okiem. Następnie poprosił o swój harpun, kazał wyciągnąć zeń drzewce i ułożył żeleźce w trumnie wraz z jednym z krótkich wioseł swojej łodzi. Również na jego żądanie umieszczono wewnątrz po bokach suchary, u wezgłowia flaszkę słodkiej wody, w nogach zaś woreczek brudnej ziemi wyskrobanej w ładowni; zamiast poduszki podłożono mu zwinięty kawał żaglowego płótna; wtedy Queequeg zaczął

błagać, żeby go złożono do jego ostatniego łoża, aby mógł wypróbować jego wygody, jeśli je ono w ogóle posiada. Poleżał bez ruchu kilka minut, po czym poprosił jednego z marynarzy, by przyniósł mu z jego sakwy owego małego bożka, Jodża. Następnie, skrzyżowawszy ręce na piersi i umieściwszy między nimi Jodża, poprosił, by zamknięto nad nim wieko trumny (nazywał je pokrywą luku). Część wieka znajdująca się przy głowie otwierała się na skórzanej zawiasce i oto Queequeg spoczął w swej trumnie, cały ukryty z wyjątkiem spokojnego oblicza. — *Rarmai!* (nadaje się, wygodne) — szepnął nareszcie i dał znak, by go z powrotem przenieść na hamak.

Zanim się to jednak stało, Pip, który przez cały ten czas cichaczem krążył w pobliżu, podsunął się do leżącego i ze stłumionym łkaniem ujął go za rękę, w drugiej dłoni trzymając swój bębenek.

— Biedny włóczęgo! Czyż nigdy nie skończysz z tym nużącym błądzeniem? Dokądże teraz idziesz? Jeżeli prądy poniosą cię do owych słodkich Antyli, gdzie plaże pokryte są liliami wodnymi, to czy załatwisz jedną sprawę dla mnie? Odszukaj niejakiego Pipa, co już od dawna zaginął. Zdaje mi się, że jest na owych dalekich Antylach. Jeśli go znajdziesz, pociesz go, bo bardzo musi być strapiony, gdyż — patrz — zostawił tu swój bębenek, i ja goznalazłem. Rig-a-dig, dig, dig! Teraz, Queequegu, umrzyj, a ja ci wybębnię twój marsz pogrzebowy.

— Słyszałem — mruknął Starbuck zaglądając przez właz — że w ostrej gorączce ludzie całkiem ciemni mówili starodawnymi językami i że kiedy tajemnica zgłębioną została, zawsze się okazywało, iż w zgoła zapomnianych czasach dzieciństwa rzeczywiście rozmawiali przy nich w owym języku jacyś wielcy uczeni. Tak właśnie w moim głębokim przekonaniu biedny Pip, w przedziwnej słodyczy swojego obłędu, przynosi niebiańskie świadectwa z naszych niebiańskich siedzib. Gdzież się tego nauczył, jeśli nie tam? Uwaga, znów mówi, lecz bardziej dziko tym razem.

— Formujcie się dwójkami! Uczyńmy go generałem! Hej! gdzież jego harpun? Położyć go tu na poprzek. Rig-a-dig, dig,

dig, hura! O, żeby tak dzielny kogut siadł mu na głowie i zapiał! Queequeg umiera dzielnie — dobrze to sobie zważcie; Queequeg umiera dzielnie — zapamiętajcie; Queequeg umiera dzielnie; powiadam, dzielnie, dzielnie, dzielnie! Ale nędzny mały Pip pomarł jak tchórz, cały dygotał konając. Precz z Pipem! Słuchajcie: jeśli znajdziecie Pipa, rozpowiedzcie po całych Antylach, że to zbieg i tchórz, tchórz, tchórz! Powiedzcie tam, że wyskoczył z łodzi wielorybniczej! Nigdy bym nie bił w bębenek dla nędznego Pipa i nie wołał na niego „generale”, gdyby tu raz jeszcze umierał. Nie, nie! Hańba wszystkim tchórzom — hańba im! Niech się potopią jak Pip, co wyskoczył z wielorybniczej łodzi! Hańba! Hańba! Hańba!

Przez cały ten czas Queequeg leżał z zamkniętymi oczami, jak gdyby pogrążony we śnie. Pipa odprowadzono, a chorego złożono z powrotem na hamaku.

Wszelako teraz, kiedy najwyraźniej poczynił wszystkie przygotowania do zgonu, kiedy okazało się, że trumna dobrze pasuje, Queequeg raptem zebrał się w sobie; wkrótce pudło robione przez cieślę przestało się wydawać potrzebne, a gdy ktoś dał wyraz radosnemu zdumieniu, Queequeg powiedział, iż przyczyna nagłego ozdrowienia jest następująca: oto w krytycznym momencie przypomniał sobie właśnie pewną drobną sprawę na lądzie, której dotąd nie załatwił i dlatego zmienił swe zamysły co do umierania; utrzymywał, że jeszcze umrzeć nie może. Zapytano go więc, czy życie i śmierć są sprawą jego własnej najwyższej woli i fantazji. Odpowiedział, że oczywiście. Jednym słowem, Queequeg był przekonany, że jeśli człowiek postanowi żyć, nie może go zabić zwykła choroba; może to uczynić tylko wieloryb, sztorm czy jakiś inny gwałtowny, nieokiełznany, nierozumny niszczyciel w tym rodzaju.

Owóż między dzikimi i ludźmi cywilizowanymi istnieje następująca godna uwagi różnica: o ile człek cywilizowany nieraz po chorobie przychodzi do siebie przez sześć miesięcy, to chory dzikus wydobrzeje nieomal zupełnie w ciągu jednego dnia. Tak więc rychło mój Queequeg począł odzyskiwać siły i

wreszcie posiedziawszy na bratszpilu przez kilka gnuśnych dni (jedząc wszakże z wilczym apetytem) raptem zerwał się, rozprostował ręce i nogi, przeciągnął się porządnie, ziewnął odrobinę i wskoczywszy na dziób zawieszonej szalupy wycelował harpun i oświadczył, że jest gotowy do walki.

Przez dziki kaprys używał teraz swej trumny jako marynarskiej skrzyni; wsypał do niej zawartość swego płóciennego worka z odzieniem i tam je porządnie ułożył. Wiele wolnych godzin strawił na rzeźbieniu wieka we wszelkiego rodzaju dziwaczne figury i wzory; zdawało się, że na swój prymitywny sposób usiłował tu skopiować części zawiłego tatuażu, który miał na ciele. Tatuaż ów był dziełem pewnego zmarłego proroka i wróżą z jego wyspy, który owymi hieroglificznymi znakami wypisał mu na ciele kompletną teorię niebios i ziemi oraz tajemny traktat o sztuce osiągania prawdy; toteż Queequeg w swojej własnej osobie był zagadką do rozwiązania, przedziwnym dziełem w jednym tomie, którego tajemnic wszakże nawet on sam odczytać nie był w stanie, choć uderzało o nie jego własne, żywe serce; dlatego przeznaczeniem owych tajemnic było koniec końców w pył się obrócić wraz z żywym pergaminem, na którym były zapisane, i do ostatka pozostać bez rozwiązania. I pewnie ta myśl nasunęła Ahabowi ów dziki okrzyk, kiedy pewnego ranka przyjrzawszy się biednemu Queequegowi odwrócił twarz i zawołał: — O, szatański tantalizmie bogów!

ROZDZIAŁ CXI
PACYFIK

Minąwszy wyspy Bashee wypłynęliśmy wreszcie na wielkie Morze Południowe; gdyby nic temu nie stało na przeszkodzie, byłbym powitał mój drogi Pacyfik z nieskończoną wdzięcznością, bo oto stawało się zadość długim marzeniom mojej młodości; na wschód od miejsca, w którym się znaleźliśmy, ów spokojny ocean toczył tysiące mil swojego błękitu.

Jest jakaś nieokreślona słodka tajemnica w tym morzu, którego łagodne a straszliwe kolebanie zdaje się mówić o jakiejś pod powierzchnią ukrytej duszy niczym owe legendarne falowania ziemi efeskiej nad pogrzebanym św. Janem Ewangelistą. Jakoż właściwe jest, żeby ponad owymi pastwiskami morza, szeroko rozkołysanymi wodnymi preriami i cmentarzyskami wszystkich czterech kontynentów, fale wznosiły się i opadały, przypływały i odpływały bez ustanku, tu bowiem miliony przemieszanych duchów i cieni, zatopionych snów, somnambulicznych rojeń i marzeń — wszystko, co zwiemy życiem i duszą, spoczywa cicho w rozmarzeniu lub miota się niby na łożach ludzie śpiący i niepokojem swym w ruch wprawia wieczyście toczące się fale.

Każdemu skłonnemu do rozmyślań, uduchowionemu wędrowcy ów spokojny Pacyfik, raz ujrzany, musi na zawsze stać się morzem wybranym. W nim przetaczają się centralne wody świata, jako że Ocean Indyjski oraz Atlantyk to tylko jego odnogi. Te same fale obmywają mola nowo wybudowanych miast kalifornijskich, ledwie wczoraj wzniesionych przez najmłodszą rasę ludzką — i spłukują przyblakłe, lecz jeszcze

wspaniałe pobrzeża krain azjatyckich, starszych od Abrahama; pośrodku zaś unoszą się mleczne drogi raf koralowych i płaskich, nieskończonych, nieznanych archipelagów i nieprzeniknionych wysp Japonii. Tak to ów tajemniczy, ów boski Pacyfik opasuje wokoło całą bryłę świata, wszystkie wybrzeża jedną sobie czyni zatoką, zdaje się być bijącym przypływami sercem ziemi. Uniesieni owym odwiecznym kołysaniem, musicie się opowiedzieć za uwodzicielskim bożkiem i skłonić głowę przed Panem.

Niewiele jednak myśli o Panie poruszyło mózg Ahaba, gdy stojąc niby żelazny posąg na swoim zwykłym miejscu przy olinowaniu bezanmasztu, jednym nozdrzem z roztargnieniem wciągał cukrowy aromat dolatujący z wysp Bashee (kędy w słodkich gajach przechadzają się nadobni kochankowie), drugim zaś świadomie wdychał słone tchnienie na nowo odnalezionego morza, tego samego, w którym znienawidzony biały wieloryb musiał w tej właśnie chwili pływać. Na owych niemal już najdalszych wodach, w miarę jak się zbliżano do łowisk japońskich, przewodni cel kapitana nabierał coraz więcej żywości i siły. Zacięte wargi Ahaba zwierały się niby krawędzie imadła, delta żył jego czoła nabrzmiewała niczym wezbrane potoki; nawet przez sen jego dźwięczny krzyk niósł się po sklepionym kadłubie statku: „Stać! Biały wieloryb rzyga gęstą posoka id=”filepos500293">!"

ROZDZIAŁ CXII
KOWAL

Korzystając z łagodnej, świeżej, letniej pogody, która obecnie panowała w tych stronach, a także gotując się do szczególnie ożywionych łowów, jakich należało się niebawem spodziewać, Perth, usmolony, stary kowal o rękach pęcherzami pokrytych, ukończywszy swoją część pracy nad nogą Ahaba, nie zabrał z powrotem do ładowni swej przenośnej kuźni, ale zatrzymał ją nadal na pokładzie, mocno przytwierdzoną do pierścieni u fokmasztu. Teraz niemal nieprzerwanie prosili go dowódcy szalup, harpunnicy i wioślarze, by sporządził dla nich jakieś drobiazgi, zmienił, naprawił czy też na nowo przysposobił ich broń rozmaitą oraz wyposażenie łodzi. Często otaczał go natarczywy krąg ludzi, a wszyscy czekali, by ich obsłużył; trzymali w dłoniach łopatki, groty włóczni, harpuny i lance, zazdrośnie śledząc w trakcie pracy każdy ruch jego usmolonych dłoni. Jednakże ten stary władał cierpliwym młotem kierowanym przez cierpliwe ramię. Nie wymknęło mu się żadne burknięcie, żaden odruch zniecierpliwienia czy rozdrażnienia. Milczący, powolny i uroczysty zginał jeszcze niżej swój chronicznie przygięty grzbiet i pracował, jak gdyby praca sama była życiem, a ciężkie uderzenia młota — ciężkimi uderzeniami serca. Tak też i było. O, nędzo!

Starzec ten odznaczał się szczególnym chodem; pewne drobne, ale nieprzyjemnie widoczne zbaczanie z kierunku przy chodzeniu podnieciło na początku wyprawy ciekawość marynarzy. Uległ wreszcie natręctwu ustawicznych pytań i w ten sposób zdarzyło się, że wszyscy poznali haniebną historię jego nieszczęśliwego żywota.

Pewnej przejmującej, zimowej nocy, zapóźniwszy się nie bez własnej winy na gościńcu łączącym dwa miasteczka, na wpół otępiały kowal uczuł ogarniającą go śmiertelną drętwotę, poszukał więc schronienia w pochyłej, rozklekotanej stodole. Skutek był taki, że utracił palce obu stóp. Z tego to wyznania cząstka po cząstce wyszły wreszcie na jaw cztery akty radosne tudzież długi, a dotąd pozostający bez rozwiązania, bolesny akt piąty dramatu jego życia.

Był on człowiekiem starym, którego późno, w wieku lat niemal sześćdziesięciu, spotkała rzecz, nosząca w słowniku utrapień nazwę ruiny. Był rzemieślnikiem cieszącym się powszechną sławą i mającym wiele zajęcia. Posiadał dom z ogrodem, do łona tulił młodocianą jak córka, zakochaną małżonkę i troje radosnych, rumianych dzieci; co niedziela chadzał do schludnego kościółka stojącego pośród lasku. Wszelako pewnej nocy, pod osłoną mroku, szczelniej jeszcze przesłonięty niezwykle przewrotnym przebraniem, wśliznął się do owego szczęśliwego domu zuchwały włamywacz i okradł ich ze wszystkiego. A co straszniejsza, sam kowal wprowadził nieświadomie owego złoczyńcę do serca swej rodziny. Był nim bowiem Czarodziej Butelki! Gdy wyciągnięto fatalny korek, zły duch wyleciał i zniszczył dom kowala. Otóż dla pewnych słusznych, *przez* przezorność dyktowanych i oszczędnościowych względów warsztat kowala znajdował się w suterenie domu, mając wszelako osobne wejście; toteż młoda, kochająca i zdrowa małżonka zawsze przysłuchiwała się bynajmniej nie z żalem czy rozdrażnieniem, lecz z żywą rozkoszą — tęgiemu dzwonieniu młota swego młodorękiego starego męża; dźwięki te, stłumione przenikaniem wskroś podłóg i murów, dolatywały do niej w dziecinnym pokoju, co nie było pozbawione pewnej słodyczy; i tak przy kołysance Trudu układano do snu dzieci kowala.

O, nędzo, o, niedolo! O, Śmierci, czemuż nie umiesz czasami przyjść w porę? Gdybyś była zabrała do siebie starego kowala, zanim go nawiedziła zupełna ruina, młodej wdowie przypadłaby w udziale spokojna żałoba, sieroty miałyby

prawdziwie czcigodnego, legendarnego rodzica, o którym mogłyby marzyć w późniejszych latach, wszyscy zaś oni — środki do życia, co każdą usunęłyby troskę. Śmierć jednak skosiła jakiegoś zacnego starszego brata, od którego pogodnej, codziennej pracy zawisł los innej rodziny, natomiast pozostawiła przy życiu tego starego, więcej niż bezużytecznego człeka, czekając, aż ohydna zgnilizna życia uczyni go sposobniejszym do zżęcia.

Na cóż mówić wszystko? Uderzenia młota w suterenie co dnia stawały się rzadsze, każde zaś z nich słabsze było co dzień niż poprzednio; niewiasta siedziała zmrożona u okna spoglądając błyszczącym, suchym okiem na zapłakane twarzyczki dzieci; porzucono miechy, palenisko zadławiło się popiołem, dom sprzedano, matka spoczęła pod wysoką trawą cmentarza, po dwakroć dziecięcy pogrzeb podążył tam jej śladem, a bezdomny, rodziny pozbawiony stary człowiek ruszył w świat jako żałobny włóczęga; boleść jego nie znalazła poszanowania, a siwy włos stał się pośmiewiskiem lnianych kędziorów!

Śmierć zdaje się być jedynym pożądanym następstwem takiej drogi życiowej; wszelako śmierć jest tylko wyprawą w regiony dziwów Niezbadanego; jest ledwie pierwszym powitaniem możliwości, jakie daje ogrom Dalekiego, Dzikiego, Wodnego, Bezbrzeżnego; dlatego to w spragnionych śmierci oczach takich ludzi, co jeszcze zachowali niejakie wewnętrzne skrupuły wzbraniające im samobójstwa, wszystko dający i wszystko przyjmujący ocean rozpościera powaby całej swej doliny niepojętych, porywających straszliwości i cudownych przygód nowego życia; do tych ludzi śpiewają tysiące syren z samego serca nieskończonych Pacyfików: „Pójdź, o ty, który masz serce złamane; tu inne jest życie, wolne od zmazy śmierci; tutaj są cuda nadnaturalne, choć aby je osiągnąć, nie trzeba umierać. Pójdź! Zagrzeb się w życiu, co dla twego równie znienawidzonego, jak nienawidzącego ziemnego świata więcej ma zapomnienia niżeli śmierć sama. Pójdź! Złóż i ty swój kamień nagrobny na cmentarzu i przyjdź tu, a weźmiemy ciebie za małżonka!”

Nasłuchawszy się owych głosów ze wschodu i zachodu, o jutrzence i o wieczorze, dała na nie odzew dusza kowala: „Dobrze, przybywam!” I Perth wyruszył na wieloryby.

ROZDZIAŁ CXIII
KUŹNIA

Około południa Perth, ze skołtunioną brodą, owinięty w szorstki fartuch z rekinowej skóry, stał między paleniskiem kuźni i kowadłem, które spoczywało na klocu drzewa żelaznego, i jedną ręką trzymał grot oszczepu wsunięty w węgle, drugą zaś płuca kuźni, gdy nadszedł kapitan Ahab niosąc niewielki, podniszczony woreczek skórzany. W pewnej odległości od kuźni posępny Ahab przystanął, aż wreszcie Perth wyciągnąwszy żelazo z ognia począł je kuć na kowadle; czerwona masa miotała iskry, gęstymi snopami tryskające w powietrze i kilka z nich przeleciało w pobliżu Ahaba.

— Czy to twoje morskie jaskółki, Perth? Zawsze latają twoim śladem; ptaki dobrej wróżby, lecz nie dla wszystkich. Spójrz: parzą — ale ty, ty żyjesz pośród nich bez szwanku!

— Ponieważ już jestem cały poparzony, kapitanie — odparł Perth opierając się chwilę na młocie. — Mnie już oparzyć nie sposób. Niełatwo poparzyć bliznę.

— No, no, dość już. W twym głosie powściągliwym słyszę nazbyt spokojne, nazbyt rozsądne nieszczęście. Sam nie będąc w raju niecierpliwię się, gdy widzę w innych jakiekolwiek strapienie, które nie jest szalone. Powinien byś oszaleć, kowalu. Powiedzże mi, czemu nie jesteś szalony? Jak możesz wytrzymać nie wpadając w obłęd? Zaliż niebiosa nienawidzą cię jeszcze, że nie potrafisz zwariować? Cóżeś tu robił?

— Spawałem stary grot od włóczni. Miał rysy i szczerby.

— I potrafisz go znowu uczynić całkiem gładkim, kowalu, po tak twardej służbie?

— Tak sądzę, kapitanie.

— Przypuszczam zatem, że potrafisz zawsze wygładzić każdą rysę i szczerbę, bez względu na to, jak twardy jest metal, kowalu?

— Tak, kapitanie, sądzę, że potrafię. Wszystkie rysy i szczerby, prócz jednej.

— Słuchaj mnie więc! — zawołał Ahab, gwałtownie się podsuwając i oburącz wspierając na ramionach Pertha. — Słuchaj mnie, *słuchaj:* czy potrafisz wygładzić taką rysę jak ta? — przesunął dłonią po czole bruzdami pokrytym. — Jeżeli potrafisz, kowalu, to rad będę położyć głowę na twoim kowadle i poczuć najcięższy twój młot między oczami. Odpowiedz! Potrafisz tę rysę wygładzić?

— O, to właśnie ta, kapitanie. Alboż nie powiedziałem: wszystkie rysy i szczerby, prócz jednej?

— Tak, kowalu, to ta. Tak, człowieku, jest ona niewygładzalna, bo choć ją widzisz tylko na moim ciele, wżarła mi się już w kość czaszki — i ona cała też w bruzdach! Precz jednak z dziecinnymi igraszkami. Dość na dziś oszczepów i pik. Patrz tutaj! — Brzęknął skórzanym woreczkiem, jak gdyby pełny był złotych monet. — Ja też chcę mieć harpun; taki, którego nie mogłoby rozszczepić tysiące par szatanów, Perth; taki, co będzie tkwił w wielorybie jak jego własna kość płetwowa. Masz tu materiał! — Cisnął worek na kowadło. — Patrz, kowalu, tu są zebrane hufnale od stalowych podków wyścigowych koni.

— Hufnale od podków? Ależ kapitanie, ma pan tu najprzedniejszy i najnieustępliwszy materiał, jaki my, kowale, w ogóle obrabiamy.

— Wiem o tym, stary. Te hufnale stopią się z sobą niczym klej z rozpuszczonych kości morderców. Szybko! Ukuj mi harpun. A naprzód wykuj dwanaście prętów na jego trzon. Następnie skręcaj je, splataj i skuwaj jak włókna i żyły liny holowniczej. Szybko! Ja rozdmucham ogień.

Kiedy nareszcie owe dwanaście prętów było gotowych, Ahab wypróbował je po jednemu, okręcając spiralnie własną ręką wokół długiego, ciężkiego sworznia żelaznego. — Ma feler! — odrzucił ostatni. — Ten obrób na nowo, Perth.

Kowal uczynił to i już zabierał się do skuwania wszystkich dwunastu w jedno, gdy Ahab rękę jego zatrzymał i oświadczył, że sam ukuje swoje żelazo. Kiedy następnie kapitan regularnie dysząc i stękając uderzał młotem w kowadło, a Perth podawał mu jeden po drugim rozżarzone pręty, zaś z rozdmuchanego paleniska strzelały w górę wściekłe płomienie, przeszedł mimo pars i w milczeniu skłoniwszy się ogniowi, posłał, być może, owej pracy jakowąś klątwę czy błogosławieństwo. Wszelako, gdy Ahab podniósł oczy, Fedallah odsunął się na bok.

— A po cóż się tu plącze ten pęczek lucyperów? — mruknął Stubb spoglądając z forkasztelu. — Ten pars węszy za ogniem niczym zapałka, a śmierdzi nim jak gorąca panewka muszkietu.

Na koniec trzon harpuna, już jako jeden, całkowity pręt, rozżarzono po raz ostatni, i kiedy Perth, aby hart mu nadać, zanurzył syczące żelazo w kadź wody, co stała opodal, parząca para strzeliła w twarz nachylonego Ahaba.

— Czy chcesz mnie napiętnować, Perth? — zapytał krzywiąc się chwilę z bólu. — Czyżbym więc kuł dla siebie samego żelazo do piętnowania?

— Na Boga, nie! Wszelako lekam się czegoś, kapitanie. Czy ten harpun nie jest przeznaczony na białego wieloryba?

— Na białego szatana! Ale teraz zadziory. Musisz je zrobić sam, człowieku. Masz tu me brzytwy — stal najprzedniejsza — bierz je i zrób grot tak ostry jak lodowa igła na Morzu Lodowatym.

Stary kowal spoglądał przez chwilę na brzytwy, jak gdyby nie miał ochoty ich użyć.

— Bierz je, człowieku, ja ich nie potrzebuję, boć teraz ani się golę, ani wieczerzam, ani się modlę, dopóki… no, ale masz — do roboty!

Stal, wykuta na koniec w kształt strzały i spojona przez Pertha z trzonem, rychło uwieńczyła ostrzem żelazo i kowal, zabierając się do ostatecznego rozżarzania zadziorów grotu przed nadaniem im hartu, krzyknął do Ahaba, by bliżej podsunął kadź z wodą.

— Nie, nie — nie wody mu trzeba. Chcę dlań prawdziwie śmiertelnego hartu. Ahoy, tam! Tasztego, Queequeg, Daggoo! Co wy na to, poganie? Dacie mi tyle krwi, żeby zalać ten grot? — Tu podniósł go wysoko w górę. Jednym zwartym szykiem trzy ciemne głowy kiwnięciem odpowiedziały: „Tak". Trzy uczyniono nakłucia w pogańskim ciele i tak zahartowany został grot na białego wieloryba.

— *Ego non baptiso te in nomine patris, sed in nomine diaboli!* — zakrzyknął dziko Ahab, gdy wściekłe, złe żelazo chrzestną krew z sykiem pożerać jęło.

Przejrzawszy z kolei wszystkie przyniesione z dołu zapasowe drzewce, Ahab wybrał jedno, hikorowe, jeszcze okryte korą, i dopasował jego koniec do tulejki żeleźca. Następnie rozwinięto zwój nowej liny holowniczej i kilka jej sążni przymocowano do kabestanu naciągając ją do najwyższego napięcia. Ahab nacisnął linę stopą, aż zadźwięczała niczym struna harfy, następnie pochylił się nad nią gorliwie i nie dostrzegłszy żadnych splątań, wykrzyknął: — Dobra! A teraz wiązanie!

Linę rozkręcono z jednego końca, a porozkładane włókna spleciono i owinięto wokół tulejki harpuna; następnie wbito w nią silnie drzewce, od dołu przeciągnięto linę do jego połowy i przytwierdzono okręcając ją szpagatem. Od tej chwili drzewce, żelazo i lina — niczym trzy fata — stały się nierozłączne i Ahab zabierając broń z sobą, ponuro się oddalił; odgłosy stąpania jego kościanej nogi oraz stukania hikorowego drzewca głucho rozbrzmiewały na każdej desce. Nim jednak kapitan wszedł do kajuty, dał się słyszeć przyciszony, nienaturalny, na poły drwiący, a jednak niezwykle żałośliwy głos. O, Pipie! Twój gorzki śmiech, gnuśne, a przecie rozbiegane oko, twe osobliwe grymasy, jakże znamiennie się wiązały z mroczną tragedią melancholijnego statku i jakże z niej drwiły!

ROZDZIAŁ CXIV
ZŁOTNIK

W miarę jak „Pequod” przenikał coraz to głębiej i głębiej do serca łowisk japońskich, ogarniała go łowiecka gorączka. Częstokroć w łagodną, przyjemną pogodę marynarze tkwili w szalupach po dwanaście, piętnaście, osiemnaście i dwadzieścia godzin z rzędu, uparcie żeglując czy robiąc wiosłami w pogoni za wielorybem, albo też przez sześćdziesiąt czy siedemdziesiąt minut spokojnie oczekując, aby ponownie wypłynął, jednakże z niewielkim powodzeniem pomimo tylu trudów.

W takich to razach, pod przymglonymi promieniami słońca, unoszeni przez dzień cały na gładkich, z wolna się dźwigających falach, siedząc w łodzi lekkiej niby brzozowe czółno, gdy w tak przyjaznej jesteście komitywie z łagodnymi falami, że niby koty przy kominku ocierają się mrucząc o nadburcia — wówczas jest pora rozmarzonego spokoju, kiedy to podziwiając ciche piękno i połyskliwość skóry oceanu, człek zapomina o tygrysim sercu, co pod nią bije, i niechętnie sobie uświadamia, że owa aksamitna łapa tak okrutne kryje pazury.

Wtedy to właśnie wędrowiec w swej wielorybniczej szalupie doświadcza jakiegoś miękkiego, synowskiego, pełnego ufności, jakby lądowego uczucia w stosunku do morza; patrzy na nie jak na ukwieconą ziemię, daleki okręt ukazujący ledwie czubki masztów zdaje się przedzierać nie poprzez wyniosłe, toczące się fale, ale wskroś wysokiej trawy rozkołysanej prerii, jak wtedy gdy na Dalekim Zachodzie konie pionierów ukazują tylko nastawione uszy, a całe ich ciała, ukryte przed wzrokiem, brną wskroś przedziwnej zieleni.

Jak w długich, dziewiczych dolinach, na łagodnych błękitnych stokach *wzgórz,* tak samo i tutaj jest cisza i szmery; przysiągłbyś niemal, że utrudzone zabawą dzieci ułożyły się do snu na owym pustkowiu w jakiś wesoły dzień majowy, w porze zrywania leśnych kwiatów. To wszystko zaś miesza się z twoim najtajniejszym nastrojem, tak iż rzeczywistość i fantazja gdzieś wpół drogi przenikają się i tworzą całość bez skazy.

Takie kojące sceny, lubo przemijające, nie omieszkały wywrzeć co najmniej równie przemijającego wpływu na Ahaba. Wszelako jeśli nawet owe sekretne złote klucze zdawały się otwierać w nim sekretne, złote skarbce, to oddech jego kaził tylko ich połysk.

O, polanki ruiną okryte! O, wiekuiście wiośniane, nieskończone krajobrazy duszy! W was, choć tak spieczonych martwą posuchą doczesnego życia — w was mogą się jeszcze tarzać ludzie, niczym o poranku źrebce w młodej koniczynie i przez kilka przelotnych chwil uczuć na sobie chłodną, nieśmiertelną rosę życia. Daj Boże, by owe cisze błogosławione trwać mogły! Jednakże zwikłane i wikłające nici żywota tkane są niby wątek i osnowa; cisze krzyżują się z burzami, na każdą ciszę przypada burza. W tym życiu nie ma stałego postępu, nie zawracającego z drogi; nie idziemy naprzód ustalonymi etapami, aby się przy ostatnim zatrzymać: podążamy poprzez nieświadomy urok dzieciństwa, bezmyślną wiarę pacholęctwa, wątpliwości młodzieńczego wieku (powszechny to los), a dalej sceptycyzm, potem niewiarę, by wreszcie osiągnąć wiek męski, a w nim pełen rozwagi spokój mieszczący się w słowie „jeżeli”. Wszelako raz drogę tę przebywszy, znów nią dążymy i wiecznie jesteśmy dziećmi, pacholętami, mężami i tymi, co myślą: „jeżeli”… Gdzież leży ostateczna przystań, od której już nie odcumujemy? W jakimże zwiewnym eterze żegluje świat, który najbardziej utrudzonego nigdy nie znuży? Gdzie kryje się ojciec podrzutka? Dusze nasze są jak owe sieroty, których nieślubne matki zmarły przy połogu; tajemnica naszego pochodzenia spoczywa w ich grobie i tam się udać musimy, aby ją poznać.

Tego samego dnia spoglądając ze swej łodzi w dół, w to samo złociste morze, Starbuck szeptał z cicha:

— O piękności bardziej niezgłębiona od tej, jaką kiedykolwiek kochanek ujrzał w oczach swej młodej oblubienicy! Nie mów o twych zębistych rekinach ni o zbójeckich, ludożerczych obyczajach. Niechajże wiara wypiera fakty, niechaj fantazja wypiera pamięć. Spoglądam oto daleko w głąb i wierzę.

A Stubb, wesół jak ryba o łusce połyskliwej, podskoczył w tym samym złotym świetle:

— Ja jestem Stubb, a Stubb niejedno przeżył. Ale teraz Stubb może poprzysiąc, że zawsze bya id="filepos519138"> wesoły.

ROZDZIAŁ CXV
„PEQUOD” SPOTYKA „KAWALERA”

Wesołe też były owe widoki i głosy, jakie wiatr przygnał do nas w kilka tygodni po ukuciu Ahabowego harpuna.

Był to „Kawaler”, statek z Nantucket, który właśnie zaszpuntował ostatnią beczkę oleju, zaryglował pękające od obfitości ładownie i teraz wesoło, odświętnie przystrojony, żeglował radośnie, choć nieco chełpliwie, pośród rozsianych po łowisku statków, by później wziąć kurs na dom.

Trzej ludzie na jego masztach mieli u kapeluszy długie, wąskie, czerwone wstążki; na rufie wisiała szalupa wielorybnicza dnem do góry, a u foukszprytu przyczepiono długą dolną szczękę ostatniego wieloryba, jakiego ubito. Znaki, bandery i proporce wszystkich barw powiewały po każdej stronie olinowania. Z boku u trzech marsów żaglowca przywiązano trzy pary beczułek olbrotu; powyżej na salingu stengi można było dojrzeć niewielkie baryłki tejże cennej cieczy, a u samej gałki grotmasztu przybito mosiężną latarnię.

Jak się później dowiedziałem, „Kawalera” spotkało wręcz niebywałe powodzenie, co było tym bardziej zadziwiające, że liczne statki, krążąc po tych samych wodach, przez całe miesiące nie upolowały ani jednej ryby. „Kawaler” nie tylko porozdawał baryłki wołowiny i chleba, aby zrobić miejsce dla znacznie cenniejszego olbrotu, ale jeszcze drogą wymiany pozyskał od napotkanych statków dalsze dodatkowe beczki i te ustawiono wzdłuż pokładu, tudzież w kajutach kapitana i oficerów. Nawet sam stół kajutowy rozbito na podpałkę i grono

należące do messy obiadowało na szerokim wierzchu antału z olejem przytwierdzonego do podłogi w miejsce centralnego stołu. W forkasztelu marynarze pouszczelniali i nasmołowali swoje skrzynie, po czym napełnili je olbrotem; dworowano sobie, że kucharz nalał olbrotu do największego kotła i przykrył go pokrywą; że steward napełnił i zaszpuntował wolny imbryk do kawy; że harpunnicy powyjmowali drzewce z tulejek, do których naleli cennej cieczy — że, jednym słowem, wszystko było napełnione olbrotem z wyjątkiem kieszeni pantalonów kapitana, które ten sobie zarezerwował, żeby móc w nich trzymać ręce na znak zadowolenia **z** siebie i całkowitej satysfakcji.

Gdy ów radosny okręt szczęścia podpłynął do posępnego „Pequoda", usłyszeliśmy dolatujący z jego forkasztelu dziki łoskot olbrzymich bębnów; znalazłszy się jeszcze bliżej, ujrzeliśmy tłum marynarzy stojących wokoło ogromnych kotłów do wytapiania tłuszczu, które, pokryte pergaminowym *poke*, czyli skórą z brzucha ryby czarnej, za każdym uderzeniem ściśniętych pięści marynarzy wydawały donośny huk. Na pomoście kapitańskim oficerowie i harpunnicy pląsali z oliwkowymi dziewczętami, co zbiegły z nimi z wysp Polinezji, a temu rozpasanemu dżigowi przewodzili z ozdobnej szalupy mocno przytwierdzonej między foki grotmasztem trzej Murzyni z Long Island dzierżący w ręku błyszczące smyczki z kości wieloryba. Tymczasem inni członkowie załogi hałaśliwie rozbierali mury wytapialni, z której usunięto olbrzymie kotły. Można było pomyśleć, że rozwalają przeklętą Bastylię, tak dzikie wznosili okrzyki miotając w morze bezużyteczną już cegłę i zaprawę.

Panując niepodzielnie nad całą tą sceną, stał na wyniosłym pomoście żaglowca wyprostowany kapitan, tak że wszystkie owe uciechy rozgrywały się wprost przed nim, jak gdyby je urządzono dla jego osobistej rozrywki.

Ahab, z rozwichrzonym włosem, czarny, uparcie ponury, także stał na swoim mostku kapitańskim; i kiedy oba statki krzyżowały swe szlaki — jeden tętniący radością z rzeczy

przeszłych, drugi pełen przeczuć o rzeczach, co stać się miały — ich dwaj kapitanowie uosabiali cały uderzający kontrast tej sceny.

— Chodź pan do nas, do nas! — zawołał dowódca wesołego „Kawalera", wznosząc do góry butelkę i szklankę.

— Widziałeś białego wieloryba? — zazgrzytał w odpowiedzi Ahab.

— Nie, tylkom o nim słyszał, lecz ani trochę w niego nie wierzę — odparł tamten wesoło. — Chodź pan do nas, na pokład!

— Nadtoś wesoły. Płyń dalej. Straciłeś kogoś z załogi?

— Nie ma o czym mówić: dwóch krajowców z wysp, ot i wszystko — ale chodźże do nas, stary, prosimy. Migiem ci zetrę tę chmurę z czoła. Przybywaj, proszę (wesoło tu u nas), pełny mamy statek i płyniemy do domu.

— Jakże zadziwiająco poufały bywa głupiec! —mruknął Ahab, po czym dodał głośno: — Powiadasz, że statek twój pełny i do domu płynie. No a mój możesz nazwać pustym i płynącym z domu. Idź zatem swoją drogą, ja pójdę swoją. Hej tam, na dziobie! Rozwinąć wszystkie żagle i trzymać kurs na wiatr!

I tak, gdy jeden statek mknął wesoło z bryzą, drugi uparcie z nią walczył; oba rozdzieliły się, a załoga „Pequoda" spoglądała poważnym, tęsknym wzrokiem na odpływającego „Kawalera". Lecz marynarze, w ochoczej pogrążeni hulance, ni trochę nie zważali na owe spojrzenia. Ahab zaś wychylony przez reling spoglądał na statek płynący do domu i dobywszy z kieszeni małą flaszeczkę, napełnioną piaskiem, patrzył to na nią, to na żaglowiec, jak gdyby łączył ze sobą dwa dalekie skojarzenia, albowiem flaszeczka owa pełna była piasku z Nantucket.

ROZDZIAŁ CXVI
KONAJĄCY WIELORYB

Nierzadko w tym życiu, gdy z właściwej strony przepływają faworyci fortuny, my sami, acz przedtem zgnębieni, pochwycimy coś z owej wiejącej bryzy i radośnie czujemy, jak wypełniają się nasze obwisłe żagle. Tak się widocznie rzecz miała z „Pequodem". Albowiem następnego dnia po spotkaniu wesołego „Kawalera" ujrzano wieloryby i cztery ubito; jednego z nich upolował Ahab.

Było to późnym popołudniem; kiedy oręż spoczął już po owej szkarłatem oblanej walce i w pięknym świetle zachodu, unosząc się na morzu i nieboskłonie, wieloryb i słońce cicho konały pospołu, wówczas taka słodycz i żałość, takie wieńczące rozmodlenie rozsnuło się w różanym powietrzu, iż niemal rzekłbyś, że z oddali, od głębokich, zielonych, klasztornych dolin wysp Manili, hiszpański powiew lądowy, z przekory zostawszy marynarzem, ruszył na morze niosąc ów hymn nieszporny.

Znów uspokojony, ale tym głębiej posępny Ahab, który cofnął szalupę od wieloryba, siedział, bacznie śledząc jego agonię ze spokojnie unoszącej się na falach łodzi. Albowiem to osobliwe widowisko dające się zaobserwować u wszystkich dogorywających kaszalotów — a mianowicie obrócenie głowy ku słońcu i konanie w ten sposób — to widowisko oglądane tak cichego wieczoru miało dla Ahaba nie znaną dotąd osobliwość.

— Ostatnimi konającymi ruchy obraca i obraca ku słońcu, jakże wolno, ale jak uparcie, swe hołdownicze i wyzywające czoło. On też jest czcicielem ognia — ten najwierniejszy, pewny, feudalny wasal słońca! O, że też nazbyt łaskawe oczy patrzą na

ten nazbyt łaskawy widok! Spójrzcie! Tu oto, w zamknięciu wód, z dala od wszelkiego rozgwaru ludzkiej pomyślności czy niedoli, na tych najczystszych, bezstronnych morzach, gdzie nie masz skał, co by tradycjom tablic dostarczały, gdzie od długich, chińskich stuleci fale ciągle się toczą, nieme i nie nagabywane przez nikogo, niby gwiazdy, co świecą ponad nieznanym źródłem Nigru — tu także życie zamiera zwrócone ku słońcu i pełne wiary. Lecz spójrzcie tylko! Ledwie skona, a już śmierć trupa odwróci i inną skieruje drogą.

O, ty, hinduska, mroczna połowo przyrody, co z potopionych kości zbudowałaś swój osobny tron gdzieś w sercu owych pustynnych wód; jesteś niewierną, o, królowo, i nazbyt prawdziwie przemawiasz do mnie we wszechmorderczym tajfunie i cichym, pogrzebnym spokoju, jaki po nim następuje. Także i twój wieloryb nie bez nauki dla mnie obrócił ku słońcu swą konającą głowę, po czym znów koło zatoczył.

O, po trzykroć obręczami okute i spawane ramię mocy! O, ty, wysoko bijąca, tęczowa fontanno! Daremne twe wysiłki, daremne twoje tryskanie! Na darmo, o, wielorybie, szukasz wstawiennictwa u ożywczego słońca, co tylko wywołuje życie, ale go już nie przywraca. Ty zaś, ciemna połowo, kołyszesz mnie dumniejszą, choć bardziej mroczną wiarą. Wszystka twa nienazwana gęstwa pływa tu pode mną, unoszę się na tchnieniach rzeczy niegdyś żywych, wydychanych ongiś jako powietrze, lecz teraz w wodę zmienionych.

Więc żegnaj, żegnaj na zawsze. O, morze, w którego odwiecznych kolebaniach ptak dziki swój jedyny spoczynek znajduje! Z ziemi zrodzony, ale przez morze wykarmiony, choć wzgórza i doliny były mi macierzą, wy, fale, moimi mlecznymi siostrami jesteście!

ROZDZIAŁ CXVII
WACHTA WIELORYBIA

Cztery wieloryby, zdobycz tego wieczora, sczezły daleko od siebie: jeden hen, po nawietrznej, drugi bliżej zawietrznej, trzeci przed nami, czwarty za rufą. Trzy ostatnie przyholowano d statku przed zapadnięciem nocy; lecz do tego, który znajdował się po nawietrznej, nie sposób było dotrzeć przed ranem i łódź, która go zabiła, pozostała przez całą noc u jego boku. A łodzią tą była szalupa Ahaba.

W tryskawkę martwego wieloryba zatknięto pionowo drzewce proporczyka, a latarnia zawieszona na jego szczycie rzucała niepewny, migocący blask na czarny, połyskliwy grzbiet i na spowite nocą fale, które łagodnie ocierały się o szeroki bok wieloryba, niby miękkie piany spływające po plaży.

Ahab wraz z całą załogą swej szalupy zdawał się spać; tylko Fedallah czuwał i skulony na dziobie siedział obserwując rekiny, które upiornie igrały wokół wieloryba trzepiąc ogonami o lekkie cedrowe deski łodzi. Dźwięk, co przypominał unoszący się nad Asfaltowym Jeziorem jęk pokutujących duchów Gomory, drgając przenikał poprzez powietrze.

Ocknąwszy się z drzemki Ahab ujrzał twarz w twarz parsa; ujęci w obręcz mroku nocy zdawali się być ostatnimi ludźmi na ziemi zalanej przez potop.

— Znowu mi się to śniło — rzekł Ahab.

— Mary? Czym ci nie mówił, kapitanie, że ani mar, ani trumny mieć nie będziesz?

— A kogóż z tych, co umierają na morzu, składa się na marach?

— Alem powiedział, kapitanie, że zanim będziesz mógł umrzeć na tej wyprawie, musisz zaiste po dwakroć ujrzeć na morzu mary, pierwsze nie będą uczynione śmiertelnymi dłońmi, a widome drzewo drugich musi pochodzić z Ameryki.

— Tak, tak! Dziwny to widok, parsie. Katafalk z pióropuszami unoszący się na oceanie i fale miast karawaniarzy. Ha! Taki widok nieprędko zobaczymy!

— Wierz albo nie wierz, a przecie nie będziesz mógł umrzeć, póki tego nie ujrzysz, kapitanie.

— A jak brzmi ta przepowiednia o tobie?

— Że choćby przyszło do ostateczności, ja jednak pójdę przed tobą jako twój pilot.

— A kiedy już pójdziesz — jeśli się to kiedykolwiek przydarzy — wówczas zanim będę mógł ruszyć twoim śladem, musisz mi się jeszcze ukazać, by dalej mnie pilotować? Nieprawdaż? No więc. czy nie uwierzyłem we wszystko, co mówisz, o, mój pilocie? Mam tutaj dwie rękojmie, że jeszcze zabiję Moby Dicka i przeżyję to.

— Przyjmij jeszcze jedno zapewnienie, kapitanie — ozwał się pars, a oczy jego rozbłysły w mroku niby robaczki świętojańskie. — Tylko konopie mogą cię zabić.

— To znaczy szubienica. Jestem więc nieśmiertelny na lądzie i na morzu! — zawołał Ahab z szyderczym śmiechem. — Nieśmiertelny na lądzie i na morzu!

Obaj znowu zamilkli równocześnie. Nadszedł szary brzask, drzemiąca załoga powstała z dna szalupy i około południa przyholowano zabitego wieloryba do statku.

ROZDZIAŁ CXVIII
KWADRANT

Nareszcie nadszedł sezon równikowy i co dnia Ahab, wyszedłszy z kajuty i rzuciwszy okiem w górę, widział, jak czujny sternik z ostentacją manipuluje szprychami koła, a gorliwi marynarze szybko biegną do brasów, stają tam ze wzrokiem utkwionym w jeden centralny punkt: przybity do masztu dublon, i niecierpliwie wyglądają rozkazu wzięcia kursu na równik. Rozkaz ten we właściwej chwili został wydany. Było to przed samym południem; Ahab zasiadł na dziobie swojej wysoko zawieszonej szalupy i zajęty był właśnie przeprowadzaniem zwykłych, codziennych obserwacji słonecznych, aby określić własne położenie geograficzne.

Owóż na tym japońskim morzu dnie w lecie są jak strumyki promienistości. To niewzruszenie żywe słońce japońskie zda się być płomiennym ogniskiem niezmierzonej soczewki zapalającej połyskliwego oceanu. Niebo wygląda jak z laki, obłoków nie ma w ogóle, horyzont unosi się w powietrzu i ta nagość nieodmiennego rozjarzenia jest jak nieznośny przepych Bożego tronu. Dobrze, iż kwadrant Ahaba posiadał kolorowe szkła, przez które można było patrzeć na tę słoneczną pożogę. Kapitan zasiadł poddając swe ciało kołysaniom statku i przyłożył do oka ów astrologicznie wyglądający instument, po czym pozostał przez kilka chwil w tej pozycji, aby uchwycić dokładnie moment, kiedy słońce dojdzie do samego zenitu. Podczas gdy cała jego uwaga była tym pochłonięta, niżej, na deskach pokładu, przycupnął Fedallah i podniósłszy twarz wzorem Ahaba, wraz z nim spozierał w to samo słońce, tylko powieki na wpół przesłaniały mu oczy, a dziką twarz owładnęła jakowaś

nieziemska beznamiętność. Wreszcie Ahab poczynił potrzebne obserwacje i wprędce obliczył ołówkiem na kościanej nodze swoje obecne położenie geograficzne. Następnie pogrążył się na chwilę w zadumie, znów spojrzał ku słońcu i szepnął do siebie:

— O, ty, morski drogowskazie! Wyniosły i potężny Pilocie! Prawdziwie mi powiadasz, gdzie jestem, ale czy możesz mi choćby tylko napomknąć, gdzie *będę?* Albo czy możesz powiedzieć, gdzie się w tej chwili podziewa inna jeszcze istota poza mną samym? Gdzie jest Moby Dick? W tymże momencie musisz nań spoglądać. Te moje oczy patrzą w oko, co właśnie teraz go widzi. Zaiste w to samo oko, co widzi przedmioty znajdujące się po tamtej, nieznanej twojej stronie, o, słońce!

Następnie spojrzał na swój kwadrant i dotknąwszy kolejno jego rozlicznych kabalistycznych urządzeń, zamyślił się znowu i szepnął:

— Głupia zabawko! Dziecięca igraszko dumnych admirałów, komodorów i kapitanów. Świat chełpi się tobą, twą przemyślnością i mocą, a przecie cóż właściwie potrafisz uczynić poza wskazaniem nędznego, żałosnego punktu, w którym na tej szerokiej planecie zdarzy się znaleźć tobie oraz dłoni, co cię trzyma? Nie, nie potrafisz ni joty więcej! Nie potrafisz powiedzieć, gdzie jutro w południe będzie kropla wody czy ziarnko piasku; a przecie bezsiłą swoją znieważasz słońce! Nauko! Bądź przeklęta, ty, próżna igraszko, i przeklęte niech będą wszelkie rzeczy, co wznoszą oczy człowieka w górę, ku tym niebiosom, których żywa jaskrawość piecze je tylko, tak jak te stare oczy piecze w tej chwili światło twe, o, słońce! Z natury rzeczy spojrzenie oczu ludzkich poziome jest i biegnie ku horyzontowi tej ziemi, a nie wystrzela z ciemienia, jakby się to działo, gdyby Bóg pragnął zwrócić wzrok człowieka ku swemu firmamentowi. Przeklęty bądź kwadrancie! — tu rzucił go na pokład. — Dłużej nie będę się tobą kierował w mej ziemskiej wędrówce; poziomy kompas okrętowy i poziome obliczenia logiem i linką — oto, co mnie prowadzić będzie i miejsce moje na morzu mi wskazywać. Tak! — Zeskoczył z łodzi

na pokład. — Oto cię depczę, rzeczy nędzna, co słabowicie ku górze wskazujesz, oto cię rozbijam i niszczę!

Gdy rozszalały kapitan wymawiał te słowa depcząc kwadrant zarówno żywą jak i martwą nogą — przez niemą, nieruchomą twarz Fedallaha przemknął szyderczy grymas tryumfu, który zdał się być przeznaczony dla Ahaba, oraz fatalistyczna rozpacz, przeznaczona snadź dla samego siebie. Wstał niepostrzeżenie i cicho odszedł; natomiast marynarze przerażeni widokiem swojego dowódcy zbili się w gromadkę na farkasztelu, dopóki Ahab niespokojnie krocząc po pokładzie nie zakrzyknął:

— Do brasów! Ster na burtę! Zbrasować reje!

W jednej chwili reje zatoczyły półkole i gdy statek robił pół obrotu, jego trzy krzepko osadzone, wdzięczne maszty, tkwiące prosto na długim, żebrowanym kadłubie, przywodziły na myśl trzech Horacjuszów czyniących zwrot na jednym wybornym rumaku.

Stojąc u nasady bukszprytu Starbuck obserwował burzliwy szlak „Pequoda”, a także i Ahaba przemierzającego pokład chwiejnym krokiem.

— Siadywałem przed tęgim ogniem, patrzałem na rozżarzone węgle pełne udręczonego, rozpłomienionego życia i widziałem, jak wreszcie zamierały coraz bardziej i bardziej, aż stały się martwym pyłem. Duchu oceanów! Z całego twojego płomiennego życia zostanie w końcu garsteczka popiołu!

— Tak! — odkrzyknął Stubb. — Ale popiołu z węgla morskiego, pamiętaj o tym, panie Starbuck, nie z tego zwyczajnego drzewa. No, no, słyszałem, jak Ahab szeptał: „Ktoś wpycha te karty w moje stare dłonie i klnie się, że grać muszę tymi, a nie innymi.” Niech mnie licho, Ahabie, słusznie czynisz: żyjesz i umrzesz grając!

ROZDZIAŁ CXIX
ŚWIECE

Najcieplejsze krainy kryją najokrutniejsze kły; tygrys bengalski czai się w wonnych gajach o wiecznej zieleni. Nieba najbardziej promienne noszą w sobie najstraszliwsze pioruny; przecudna Kuba zna tornada, jakie nigdy nie zamiatały łagodnych krajów północnych. Toteż i na owych roziskrzonych morzach japońskich żeglarz spotyka najstraszliwszą ze wszystkich nawałnic — tajfun. Czasami runie on z owego bezchmurnego nieba jak wybuchająca bomba ciśnięta na osłupiałe i senne miasto.

Pod wieczór owego dnia „Pequod", odarty z żagli, z nagimi drzewcami, stanął do walki z tajfunem, który nań wprost od czoła uderzał. Kiedy zapadły ciemności, niebo i morze ryczały, pękały od grzmotów i gorzały od błyskawic ukazujących kalekie maszty, na których tu i ówdzie trzepotały się strzępy pozostawione przez pierwszą furię huraganu dla własnej, dalszej rozrywki.

Trzymając się wanty Starbuck stał na pomoście kapitańskim; za każdym błyskiem piorunu spoglądał w górę, by sprawdzić, jakie dalsze szkody mogła ponieść zawiła gmatwanina takielunku; Stubb i Fiask kierowali ludźmi, którzy podciągali wyżej i przytwierdzali mocniej szalupy. Wszystkie ich wysiłki wydawały się jednak daremne. Choć ją wywindowano do samego szczytu szlupbelek, łódź wisząca przy mostku kapitańskim po nawietrznej (a należąca do Ahaba) nie uszła swemu losowi. Olbrzymi, rozpędzony bałwan, chlusnąwszy wysoko w górę o wyniosły bok rozhuśtanego statku wybił dno szalupy u rufy i pozostawił ją wszystką ociekającą wodą jak sito.

— Kiepsko, kiepsko, panie Starbuck — ozwał się Stubb spoglądając na szczątki. — Ale cóż, morze musi postawić na swoim. Jeśli idzie o Stubba, to nie może on z nim walczyć. Widzisz pan, panie Starbuck, fala bierze taki straszny długi rozpęd, zanim skoczy, bo obiega świat dokoła i dopiero daje susa! Co do mnie zaś, cały rozpęd, jaki mam, aby jej wyjść na spotkanie, to ledwie tu, przez szerokość pokładu. Ale mniejsza. Wszystko to igraszki, jak mówi stara piosenka *(śpiewa)*

Sztorm, wesołek mórz otwartych,
Jak wieloryb lubi żarty:
Tnie ogonem rozpostartym.
Taki śmieszny i pocieszny, rozigrany, rozskakany,
zrywać boki,
hoki-poki, taki to ocean jest!

Pędzą chmury, kładą cienie;
Trunek jego tak się pieni,
Gdy dorzuci doń korzeni.
Taki śmieszny i pocieszny, rozigrany, rozskakany,
zrywać boki,
hoki-poki, taki to ocean jest!

Bije w statki grom z wysoka,
A on gębą trunek cmoka,
Delektując się głęboko.
Taki śmieszny i pocieszny, rozigrany, rozskakany,
zrywać boki,
hoki-poki, taki to ocean jest!

— Dosyć, Stubb! — zawołał Starbuck. — Niechaj tajfun śpiewa i uderza w harfę naszego olinowania. Jeżeli jesteś dzielnym człekiem, zachowasz spokój.

— Ale ja nie jestem dzielny. Nigdym tego nie mówił. Jestem tchórzem i śpiewam, żeby się podtrzymać na duchu. I coś panu powiem, panie Starbuck: nie ma na tym świecie innego

sposobu, aby mnie powstrzymać od śpiewu, oprócz poderżnięcia mi gardła. A kiedy to uczynisz, stawiam dziesięć przeciw jednemu, że na zakończenie wyśpiewam ci hymn pochwalny.

— Wariat! Patrz moimi oczami, jeśli nie masz własnych.

— Co? Jakże możesz pan widzieć lepiej w ciemną noc niż ktokolwiek inny, bez względu na to, jakby był niemądry?

— Patrz! — krzyknął Starbuck chwytając Stubba za ramię i wyciągając rękę ku nawietrznej. — Czy nie widzisz, że burza nadchodzi od wschodu, z tego właśnie kursu, po którym Ahab ma iść za Moby Dickiem? Tego samego kursu, który wziął dziś w południe? A teraz przyjrzyj się tej szalupie. Gdzież ma dno wybite? Na samej rufie, tam gdzie zwykł stawać. Jego miejsce jest wybite, człowieku! A teraz skacz za burtę i śpiewaj dalej, jeśli musisz!

— Zupełnie pana nie rozumiem. Cóż to wisi w powietrzu?

— Tak, tak, najkrótsza droga do Nantucket wiedzie wokoło Przylądka Dobrej Nadziei — powiedział nagle do siebie Starbuck nie zwracając uwagi na pytanie Stubba. — Ten wicher, co teraz w nas grzmoci, żeby nam rozbić statek, możemy przemienić w pomyślny wiatr, który nas powiedzie do domu. Tam, po nawietrznej, wszystko jest czernią złowieszczą, ale po zawietrznej, w stronie domu, widzę, że się przejaśnia — i to nie od błyskawic.

W tej samej chwili, w jednym z momentów głębokiej ciemności, jaka następowała po błyskach, głos jakiś dał się słyszeć u jego boku i niemal równocześnie przetoczyła mu się nad głową nawała grzmotów.

— Kto to?

— Stary Grom! — odparł Ahab szukając po omacku, wzdłuż nadburcia, drogi do swojego otworu w pokładzie; nagle jednak ujrzał, że szlak jego oświetliły zygzakowate lance ognia.

Otóż podobnie jak na lądzie piorunochron na wieży ma za zadanie przenosić niebezpieczny fluid w ziemię, tak i pokrewny mu pręt, który na morzu pewne okręty posiadają u każdego masztu, winien go przenosić w wodę. Ponieważ jednak ów

piorunochron musi schodzić na znaczną głębokość, żeby jego koniec mógł uniknąć wszelkiego zetknięcia z kadłubem, i co więcej, ponieważ gdyby się go stale tam włóczyło, byłby narażony na różne uszkodzenia, nie mówiąc już o tym, że stanowiłby niemałą zawadę dla niektórych lin i mniej czy więcej przeszkadzałby posuwaniu się okrętu po wodzie — z tych wszystkich więc przyczyn dolne części piorunochronów okrętowych nie zawsze znajdują się poza burtą, ale przeważnie składają się z długich, smukłych członów, aby je było łatwiej, w zależności od potrzeby, albo podciągnąć do ław talrepowych na zewnątrz burty, albo też opuścić w morze.

— Pręty! Pręty! — krzyknął marynarzom Starbuck, nagle pobudzony do czujności przez ostrą błyskawicę, co właśnie buchnęła pochodnią, by Ahabowi oświetlić drogę do jego posterunku. — Czy są za burtą? Zrzucać je na przodzie i tyle! Szybko!

— Stać! — zawołał Ahab. — Zagrajmy uczciwie, acz jesteśmy słabszą stroną. Przyczyniłbym się do wzniesienia piorunochronów na Himalajach i Andach, żeby świat cały mógł być bezpieczny, ale żadnych przywilejów! Zostaw to pan.

— Patrz w górę! — krzyknął Starbuck. — Ognie św. Elma! Ognie św. Elma!

Wszystkie noki rej zapłonęły na czubkach bladym ogniem, a tknięte u każdego z trójzębnych zakończeń piorunochronów trzema spiczastymi, białymi płomykami, wszystkie trzy wyniosłe maszty płonęły cicho w nasiarkowanym powietrzu, niby przed ołtarzem trzy gigantyczne woskowe gromnice.

— Do kata z szalupą! Niech ją! — krzyknął w tej chwili Stubb, kiedy chlaszcząca fala wzbiła się pod jego własną małą łodzią, której nadburcie gwałtownie przygniotło mu dłoń, gdy przyciągał linę. — Do kata z nią! — Gdy jednak odsunął się w tył na pokład, podniesiony wzrok oficera natrafił na płomyki, więc natychmiast zmieniając ton zawołał: — Ognie św. Elma, miejcie miłosierdzie nad nami wszystkimi!

U marynarzy przekleństwa są słowami codziennego użytku; marynarze klną w ekstazie ciszy morskiej i w samych kłach

nawałnicy; miotać będą przekleństwa z noków rej marszagli, kędy się huśtają ponad kipiącym morzem; natomiast w trakcie wszystkich moich wędrówek rzadko kiedy słyszałem pospolite przekleństwo w chwili, gdy na okręcie spoczął ognisty palec Boga, gdy Jego „Mene, Mene, Tekel, Upharsin" wplotło się w wanty i liny.

Kiedy tam w górze płonęła owa bladość, niewiele słów słyszano z ust zaczarowanej załogi, która, zbita w gęstą gromadkę, stała na forkasztelu z oczami połyskującymi w świetle tej bladej fosforescencji niby odległa konstelacja gwiazd. Odcinając się na tle upiornej poświaty majaczył gigantyczny kruczoczarny Negr, Daggoo, trzykrotnie, rzekłbyś, wyższy niż w rzeczywistości; zdawał się być tą czarną chmurą, z której padł piorun. Rozchylone usta Tasztego ukazywały rekinowo-białe zęby, które lśniły dziwnie, jak gdyby i one zapłonęły na czubkach ognikami, a oświetlone nadnaturalnym blaskiem tatuaże Queequega gorzały na jego ciele niby sataniczne, błękitne płomyki.

Cała ta scena znikła nareszcie wraz z ową bladością w górze i znowu „Pequoda" oraz każdą żywą istotę na jego pokładzie spowił kir. Minęło kilka chwil i Starbuck, idąc ku dziobowi, wpadł na kogoś. Był to Stubb.

— No, i cóż myślisz, człowieku? Słyszałem twój krzyk. Nie tak było w piosence.

— Ano, nie. Powiedziałem, żeby ognie św. Elma miały miłosierdzie nad nami wszystkimi, i jakoś ufam, że tak będzie. Ale czyżby miały miłosierdzie tylko nad wydłużonymi minami, a brakło im serca dla śmiechu? Patrz pan tylko, panie Starbuck… Ale za ciemno jest, by patrzeć. Posłuchaj mnie więc: uważam, że te ognie, któreśmy widzieli na topach masztów, to dobry znak, bo te maszty tkwią korzeniami w ładowni, która będzie aż pękać od olbrotu i w ten sposób cały ów olbrot przeniknie w maszty niby soki w drzewo. Tak, tak, trzy nasze maszty będą jeszcze niby trzy olbrotowe świece — oto ta dobra wróżba, którąśmy widzieli.

W tej chwili Starbuck dojrzał, że twarz Stubba zaczyna powoli majaczyć w ciemności. Spojrzał w górę i zakrzyknął: — Patrz! Patrz! — i oto znowu ujrzano wysokie spiczaste płomyki, których bladość wydała się w dwójnasób nadnaturalna.

— Niech ognie św. Elma mają miłosierdzie nad nami wszystkimi! — znowu wykrzyknął Stubb.

U podstawy grotmasztu, wprost pod dublonem i płomykami, klęczał przed Ahabem pars obróciwszy jednak twarz od kapitana; opodal, na łukowato zwisającym takielunku, kilku marynarzy, których w czasie pracy nad przymocowaniem rei zaskoczył ów blask, zbiło się razem i kołysało niby rój odrętwiałych os zwisających u gałęzi w sadzie. W różnych zaklęci pozach, ni to stojące, kroczące czy biegnące szkielety w Herkulanum, inni majtkowie wrośli w pokład; wszystkie jednak oczy wzniesione były w górę.

— Tak, tak, ludzie! — zawołał Ahab. — Patrzcie, zakonotujcie sobie dobrze: biały płomień oświetla drogę do białego wieloryba! Podajcie mi tu pręty piorunochronu z grotmasztu. Chciałbym poczuć ich puls i dać mojemu o nie uderzyć. Krew o ogień! Tak!

Następnie zawrócił i dzierżąc mocno w lewej ręce ostatnie ogniwo, wsparł stopę na parsie; z utkwionym w górze wzrokiem i wysoko wyrzuconą prawą ręką przystanął wyprostowany przed wyniosłą, trójzębną trójcą płomieni.

— O, ty jasny duchu jasnego ognia, któregom na tych morzach wielbił jak niegdyś Persowie, aż tak mnie aktem sakramentalnym spaliłeś, że po dziś dzień noszę jeszcze bliznę. Znam cię już teraz, o duchu jasny, i wiem, że właściwa cześć dla ciebie to wyzwanie. Nie zmiękczy cię ani miłość, ani szacunek. Nawet za nienawiść potrafisz tylko zabijać; i wszyscy zginąć muszą. Nie stoi teraz przed tobą jakiś nieustraszony głupiec. Znana mi jest twa moc bezmowna, niepochwytna, ale do ostatniego tchu mego huraganowego życia będę zwalczał jej tyrańską, a przecie nie pełną nade mną władzę. Wpośród uosobionej bezosobowości stoi tu osobowość. Lubo znikoma jest jak punkt, przecie skądkolwiek przybywam i dokądkolwiek

dążę, póki tu żyję na ziemi, żyje też we mnie królewska osobowość i swe monarsze zna prawa. Lecz wojna to boleść, a nienawiść to nieszczęście. Przyjdź w swym najniższym kształcie miłości, a klęknę i ucałuję cię. Ale w swoim najwyższym przyjdź po prostu jako niebiańska siła; i aczkolwiek wysyłasz całe ładowne floty światów, jest jeden taki, co obojętność zachowa. O, ty jasny duchu, z ognia swego mnie uczyniłeś i jako wierne dziecię ognia oddaję ci go swym tchnieniem.

(Nagle, powtarzające się zygzaki błyskawic; dziewięć płomieni wzbija się aż do trzykrotnie większej wysokości; Ahab wraz z resztą zamyka oczy, silnie przyciskając je prawą dłonią)

— Uznaję twą moc bezmowna, nieuchwytną. Czy nie tak powiedziałem? Ani mi nie wydarto, ani nie rzucam tego piorunochronu. Możesz oślepić, ale ja wtedy mogę szukać po omacku. Możesz mnie spalić, ale ja wtedy mogę być popiołem. Przyjmij hołd tych biednych oczu i dłoni, co je przesłaniają jak okiennice.

Ja bym go nie przyjął. Piorun błyska wskroś mej czaszki, gałki oczu bolą mnie i bolą. Czuję, jak ścięto mój skołatany mózg, który się teraz toczy po głuchej ziemi. Och, och! Z przesłoniętymi oczyma będę przecie mówił do ciebie. Jakkolwiek jesteś światłem, to jednak wyskakujesz z ciemności, ja zaś jestem mrokiem wyskakującym ze światła — z ciebie samego! Ustają błyski oszczepów. Otworzę oczy, widzę czy nie? Tam płoną ognie! O, ty wielkoduszny! Teraz się szczycę mą genealogią! Ale tyś jest tylko moim ognistym rodzicem. Nie znam swej słodkiej matki. Och, okrutniku! Cóżeś z nią uczynił? W tym tkwi moja zagadka; twoja wszelako jest większa. Nie wiesz, w jaki sposób się stałeś, i dlatego zowiesz się niezrodzonym, a z pewnością nie znasz swojego początku i dlatego zowiesz się niepoczętym. Ja wiem o sobie to, czego ty o sobie nie wiesz, o, wszechmocny! Jest ponad tobą, o, duchu jasny, jakowaś rzecz nieroztapialna, dla której cała twoja wieczność to tylko chwila, cała twoja moc twórcza to jedynie mechaniczna siła. Wskroś ciebie, wskroś twej płomiennej istności, moje spieczone oczy widzą to niewyraźnie. O, ty

bezdomny ogniu, odwieczny pustelniku, ty także masz swą nieprzekazywalną zagadkę, swój niepodzielny ból. I tu znów w wyniosłej męce odnajduję swojego rodzica. Skacz, skacz w górę i liż niebo? Ja skaczę z tobą i płonę z tobą, chętnie bym się w ciebie wtopił i wielbię cię zuchwale!

— Łódź! Łódź! — krzyknął Starbuck. — Spójrz na swą łódź, kapitanie!

Harpun Ahaba, ten ukuty w kuźni Pertha, tkwił mocno przywiązany na dobrze z dołu widocznych widełkach, tak że wystawał poza dziób szalupy; jednakże bałwan, który wybił jej dno, zrzucił też z broni luźną skórzaną pochwę i z ostrego stalowego grotu dobywał się teraz sterczący, blady, rozwidlony płomień. Gdy harpun gorzał tak w ciszy, językowi węża podobny, Starbuck porwał Ahaba za ramię:

— Bóg, sam Bóg jest przeciw tobie, kapitanie! Powstrzymaj się! To zła wyprawa! Źle zaczęta, źle idzie. Pozwól mi przebrasować reje, póki jeszcze czas, kapitanie, i pójść z dobrym wiatrem w stronę domu, aby w lepszą niż ta podróż wyruszyć!

Dosłyszawszy, co mówił Starbuck, ogarnięta paniką załoga natychmiast skoczyła do brasów, choć ani jeden żagiel nie pozostał w górze. Prze chwilę zdało się, że każdą myśl przerażonego oficera podzielają i marynarze; podnieśli już na wpół buntowniczy krzyk. Jednakże Ahab, cisnąwszy z chrzęstem na pokład człony piorunochronu, porwał płomienisty harpun i począł nim wywijać między marynarzami jak pochodnią, klnąc się, że przebije pierwszego z nich, co choćby zluzuje koniec liny. Skamienieli na jego widok marynarze, a bardziej jeszcze przeraził ich gorejący grot, który kapitan trzymał w ręku, cofnęli się więc w popłochu, Ahab zaś znowu przemówił:

— Wszystkie wasze przysięgi, że będziecie ścigać białego wieloryba, równie są wiążące jak i moja. A stary Ahab związany jest sercem, duszą i ciałem, każdym tchnieniem i życiem swoim. Ażebyście poznali, w jaki takt bije moje serce, tedy patrzcie: tak

wydycham z siebie ostatnią obawę! — I jednym dmuchnięciem zgasił płomyki.

Jak w czasie huraganu, który miecie po równinie, ludzie umykają z sąsiedztwa samotnego, gigantycznego wiązu, gdyż sama jego wysokość i moc tym niebezpieczniejszym go czyni, ile że dogodniejszym jest celem dla piorunów — tak też i po ostatnich słowach Ahaba wielu marynarzy odbiegło odeń w okrutnym przerażeniu.

ROZDZIAŁ CXX
POKŁAD POD KONIEC PIERWSZEJ WACHTY NOCNEJ

(Ahab stoi u steru, podchodzi Starbuck)

— Musimy spuścić grotmarsareję. Zaczep jest obluzowany i lina od zawietrznej na wpół urwana. Opuścić, kapitanie?

— Nic nie opuszczać, podwiązać. Gdybym miał trumselstengi, i te bym teraz wyciągnął.

— Kapitanie! Na litość boską, kapitanie...

— No cóż?

— Kotwice się obluzowały... Czy mam je wciągnąć na pokład?

— Nic nie opuszczaj, niczego nie ruszaj, tylko podwiąż wszystko. Wiatr się wzmaga, ale jeszcze mi on niestraszny. Szybko czyń, co mówię. Na maszt i kil! Bierze mnie za garbatego szypra jakiegoś przybrzeżnego kutra! Spuszczać moją grotmarsareję! Do krocśet! Najwyższe gałki masztowe robione są na najdziksze wichry, a ta gałka mojego mózgu żegluje teraz pośród bełtów chmur. Czy i ją mam opuścić? O, tylko tchórze opuszczają gałki swych mózgów w czas nawałnicy! Cóż za rwetes tam, w górze! Wziąłbym go nawet za coś 'wzniosłego, gdybym nie wiedział, że kolka to hałaśliwa choroba. O, trzeba lekarstwa, trzeba lekarstwa!

ROZDZIAŁ CXXI
PÓŁNOC — U NADBURCIA FORKASZTELU

(Stubb i Fiask siedzą na nadburciu i zakładają dodatkowe wiązadła u zawieszonych tam kotwic)

— Nie, Stubb, możesz pan ubijać ten węzeł, ile ci się żywnie podoba, ale nigdy nie wbijesz mi do głowy tego, coś właśnie rzekł. Alboż dawno temu powiadałeś coś wręcz przeciwnego? Nie mówiłeś kiedyś, że na którymkolwiek statku Ahab popłynie, statek ten powinien coś dopłacić do swej polisy ubezpieczeniowej, zupełnie tak samo, jak gdyby był załadowany baryłkami prochu na rufie, a skrzynkami zapałek na dziobie. No, przestań pan na chwilę. Nie mówiłeśże tak?

— Przypuśćmy, że mówiłem. No to co z tego? Częściowo odmieniłem już ciało od tej pory. Czemuż więc nie miałbym zmienić zdania? Poza tym przypuśćmy nawet, że mamy załadowane baryłki prochu na rufie, a zapałki na dziobie. Jakże u diabła zapałki mogłyby zapłonąć w tych mokrych bryzgach? Cóż, mój mały człowieczku, masz pan piękne czerwone włosy, a przecie nie mógłbyś się teraz zapalić. Otrząśnij że się. Jesteś Aquarius, czyli Wodnik, Fiask, można by dzban napełnić wodą z twego kołnierza. Nie pojmujesz, że na te dodatkowe ryzyka towarzystwa ubezpieczeń morskich mają dodatkowe gwarancje? Masz tu prawdziwe hydranty, Fiask. Ale posłuchaj mnie pan jeszcze, a odpowiem ci w tamtej drugiej sprawie. Najpierw jednak zabierz tę nogę z głowicy kotwy, żebym mógł przeciągnąć linę. A teraz słuchaj. Czy jest taka wielka różnica między trzymaniem w ręku podczas burzy piorunochronu

masztowego a staniem też podczas burzy przy maszcie, który w ogóle piorunochronu nie ma? Nie rozumiesz, zakuta głowo, że żadna krzywda nie może się stać trzymającemu pręt, jeśli maszt nie zostanie wprzódy trafiony? O czymże więc pan gadasz? Może jeden okręt na sto ma piorunochrony, Ahab zaś — a zaiste, człowieku, także i my wszyscy byliśmy tamtej nocy, moim skromnym zdaniem, w nie większym niebezpieczeństwie niżeli wszystkie załogi dziesięciu tysięcy statków płynących teraz po morzach. Ba, pan, „King-Post", pan, jak przypuszczam, chciałbyś, żeby każdy człowiek na świecie chodził z małym piorunochronikiem sterczącym w rogu kapelusza, niby spiczaste pióro oficera milicji, i wlokącym się z tyłu jak szarfa. Czemu pan nie jest rozsądny, Fiask? Tak łatwo być rozsądnym, więc czemu pan takim nie jesteś? Każdy, kto umie patrzeć, potrafi być rozsądnym.

— Nie wiem, Stubb. Pan znajdujesz czasami, że to dość trudno.

— Tak, kiedy człek jest przemoczony do nitki, trudno być rozsądnym, to fakt. A ja już niemal przesiąkłem tą pianą. Mniejsza z tym. Łap pan linę i przeciągaj. Mam takie wrażenie, że przywiązujemy te kotwice, jak gdyby nigdy już nie miały być użyte. Związywanie tych dwóch kotwic, Fiask, to po trosze tak, jak wiązanie z tyłu rąk człowiekowi. A wielkie, wspaniałomyślne to są łapy, a jakże! Takie żelazne pięści, co? A jaki mają uchwyt! Ciekawe, Fiask, czy ten świat jest gdzieś zakotwiczony? Jeśli tak, to na niepospolicie długiej linie. No, przybij pan ten węzeł i skończone. O tak, drugą, po lądowaniu, najprzyjemniejszą rzeczą jest zleźć na pokład. Ale, ale, wyżmij mi pan poły od surduta, dobrze? Dzięki. Śmieją się z lądowej mody, Fiask, ale mnie się zdaje, że w czasie wszystkich sztormów na morzu winno się zawsze nosić długopoły surdut. Bo widzisz pan, ten ogon, tak się zwężający ku dołowi, służy do odprowadzania wody. To samo z oficerskimi pierogami; dzioby tych kapeluszy tworzą dwie przeciwległe rynny dachowe, Fiask. Dość mam już kurt marynarskich i zydwestek. Muszę przywdziać jaskółczy ogon i bobrowy kapelusz, tak! Ho! Hej!

Moja zydwestka leci za burtę! Boże, Boże, żeby wiatry, które z nieba przylatują, tak były nieokrzesane! Paskudna noc, chłopie.

ROZDZIAŁ CXXII
PÓŁNOC NA MASZCIE — GROMY I BŁYSKAWICE

(Grotmarsareja. Tasztego podwiązuje ją na nowo)

Hm, hm, hm. Dość tych grzmotów! O wiele za dużo grzmotów tu, na górze. Jaki jest pożytek z grzmotów? Hm, hm, hm. Nie chcemy grzmotów, chcemy rumu; dajcie nam szklaneczkę rumu! Hm, hm, hm!

ROZDZIAŁ CXXIII
MUSZKIET

Podczas najgwałtowniejszych uderzeń tajfunu marynarz, stojący na „Pequodzie" u rumpla sporządzonego z kości szczękowej, kilka razy został okręcony i ciśnięty na deski pokładu przez spazmatyczne ruchy rękojeści steru, mimo że przytwierdzono do niej zabezpieczający osprzęt; nie trzymał on jednak dość ściśle, ponieważ rumpel wymaga pewnego luzu.

W tak ostrym szkwale, kiedy wicher rzuca okrętem jak piłką, widok igieł kompasów zataczających od czasu do czasu pełne koła nie jest bynajmniej czymś niezwykłym. Tak też było i z kompasami „Pequoda"; nieledwie za każdym wstrząsem sternik widział wyraźnie, z jaką szybkością wirują igły na tarczach kompasów; nie każdy potrafi oglądać ów widok bez niezwykłego wzburzenia.

W kilka godzin po północy tajfun na tyle przycichł, że dzięki wytężonym wysiłkom Starbucka i Stubba — jednego na dziobie, drugiego na rufie statku — poszarpane resztki kliwra tudzież fok- i grotmarsa odcięto od drzewc; wirując poleciały na zawietrzną niby pióra albatrosa, które czasami ulatują z wiatrem, kiedy ptak mknie miotany burzą.

Takież trzy nowe żagle przytwierdzono teraz do rej i zrefowano, a dalej w tyle wciągnięto sztormowy trajsel, toteż niebawem statek znów poszedł po wodzie z niejaką precyzją, sternikowi zaś ponownie podano kurs — na razie na wschodnio-południowy-wschód — który miał utrzymać, jeżeli się to okaże możliwe, albowiem podczas okropności huraganu sterował on tylko jak się dało. Lecz oto, gdy ustawiał żaglowiec możliwie jak najbliżej kursu śledząc tymczasem kompas —

nagle dobry znak! — bryza najwyraźniej nadleciała od rufy; zaiste, wiatr wrogi stał się pomyślnym !

Natychmiast przebrasowano reje w takt żywej piosenki: *„Ho! Pomyślny wiatr! Oh — ye — ho! A z sercem, chłopcy!"* śpiewanej przez załogę z radości, że wydarzenie tyle obiecujące tak szybko kłam zadało poprzedzającym je złym wróżbom.

Zgodnie ze stale obowiązującym rozkazem dowódcy, żeby bez zwłoki, każdej godziny dnia i nocy meldować o wszelkiej istotnej zmianie na pokładzie, Starbuck ledwie ustawiwszy reje do wiatru — chociaż niechętnie i ponuro — zeszedł machinalnie pod pokład, aby powiadomić kapitana Ahaba o tym fakcie.

Zanim zapukał do drzwi kajuty, mimowolnie przystanął przed nimi na chwilę. Lampa kajutowa, rozkołysana w tę i tamtą stronę, płonęła urywanie i urywane rzucała cienie na zaryglowane drzwi kapitana — drzwi cienkie, ze stałą żaluzją wprawioną w miejsce górnego filungu. Odosobniona podziemność kajuty sprawiała, że panowała tu dzwoniąca w uszach cisza, dokoła spięta obręczą ryku żywiołów. Połyskliwie dobywały się z mroku nabite muszkiety, pionowo uszeregowane na stojaku pod przednią grodzią. Starbuck był człekiem uczciwym i prawym, wszelako w chwili gdy ujrzał muszkiety, w sercu jego zakiełkowała dziwnie zła myśl, tak jednak stopiona z obojętnymi czy nawet dobrymi elementami, że w pierwszej chwili nie mógł rozpoznać jej właściwej istoty.

— Byłby mnie niegdyś ustrzelił — szepnął. — Tak, to ten sam muszkiet, z którego do mnie mierzył, ten z kolbą nabijaną ćwiekami. Niechże go dotknę... niech podniosę. Dziwne, że ja, który tyloma śmiertelnymi władałem lancami, tak teraz drżę. Naładowany? Muszę zobaczyć. A jakże, i proch na panewce; to niedobrze. Może by lepiej wysypać go?... Zaczekajmy: Przejdzie mi... Będę śmiało trzymał muszkiet zastanawiając się jednocześnie. Przychodzę donieść mu o pomyślnym wietrze. Ale pomyślnym dla kogo? Dla śmierci i zagłady — to jest pomyślnym dla Moby Dicka. To wiatr pomyślny, który jest takim jedynie dla tej przeklętej ryby. Oto lufa, którą we mnie

wymierzył! Ta sama… *ta*… Trzymam ją tu. Byłby mnie zabił tą właśnie rzeczą, którą w tej chwili mam w ręce. A jakże, i chętnie by pozabijał całą swą załogę. Alboż nie mówił, że nie opuści rej przed żadną nawałnicą? Alboż nie rozbił swojego niebieskiego kwadrantu? I czy na tych oto niebezpiecznych morzach nie szuka po omacku drogi według zwykłych, ślepych obliczeń tak bardzo omylnego logu? A choćby w czasie tego tajfunu, czyż nie przysięgał się, że nie chce żadnych piorunochronów? Ale czyż podobna cierpieć spokojnie, by oszalały kapitan pociągał za sobą całą załogę na zatracenie? No tak, jeżeli statek spotka jakowyś zabójczy wypadek, Ahab stanie się umyślnym mordercą przeszło trzydziestu ludzi. A na mą duszę klnę się, że o ile postawi na swoim, wypadku takiego statek nie uniknie. Jeśliby go więc w tej chwili… usunięto, nie popełniłby owej zbrodni. Ha! Coś przez sen mruczy? Tak, śpi tuż — o, tutaj. Śpi? Tak, ale żyje i wkrótce się przebudzi. Nie potrafię ci stawić czoła, kapitanie. Nie chcesz słuchać ani rozumowania, ani perswazji, ani błagań; drwisz z takich rzeczy. Wszystko, czego żądasz, to bezwzględne posłuszeństwo twoim bezwzględnym rozkazom. Tak, i jeszcze powiadasz, że ludzie także złożyli tę samą co ty przysięgę. Mówisz, że wszyscy jesteśmy Ahabami. A niechże Bóg broni! Czy jednak nie ma innej drogi? Legalnej drogi? Uwięzić go i zawieźć do kraju? Co? Mieć nadzieję, że temu staremu wydrze się żywą władzę z żywych rąk. Tylko głupiec by tego próbował. Przypuśćmy nawet, żeby go skrępować, związać całego linami i holami, łańcuchem przykuć do pierścieni na podłodze tej kajuty. Byłby wtedy ohydniejszy od zamkniętego w klatce tygrysa. Nie zdzierżyłbym tego widoku. Nie umiałbym uciec przed jego wyciem. Wszelki spokój, sen nawet, bezcenny rozsądek opuściłby mnie w czasie nieznośnie długiej podróży.

Cóż więc pozostaje? Ląd jest o setki mil, najbliżej zaś — niedostępna Japonia. Tkwię tutaj sam na pełnym morzu; dwa oceany i cały kontynent zaległy między mną a prawem. Tak, tak jest. Czyż niebo jest mordercą, gdy grom uderzy niedoszłego zabójcę w jego własnym łożu, spopielając posłanie i ciało? Czyż

więc i ja byłbym mordercą, gdybym… — z wolna, ukradkiem, rzucając wzrokiem na strony, oparł o drzwi lufę nabitego muszkietu.

— Na tym poziomie, wewnątrz, kołysze się hamak Ahaba, tu jego głowa. Jedno dotknięcie i Starbuck może wyżyć, by znów utulić swą żonę i dziecko… o, Mary, Mary! Synku mój, synku!… Bo jeśli nie zbudzę cię śmiercią, kapitanie, to któż wie, jaka bezdenna głębia może za tydzień pochłonąć wraz z całą załogą ciało Starbucka! Boże wielki, gdzież jesteś? Czy mam to uczynić? Czy mam?… Wiatr przycichł i zmienił kierunek, kapitanie; fok- i grotmarszagiel są zrefowane i nastawione. Statek idzie po kursie.

— Cofać! Ach, Moby Dicku, wreszcie ci serce wydrę!

Taki to okrzyk wyrwał się gwałtownie spośród udręczonych snów kapitana, jak gdyby głos Starbucka kazał przemówić długo milczącemu sennemu widzeniu.

Zniżony jeszcze muszkiet zadrżał oparty o płytę drzwi niby ramię pijaka; Starbuck jakby się zmagał z aniołem; odwrócił się jednak, odłożył śmiercionośną rurę na stojak i odszedł.

— Śpi zbyt twardo. Stubb, zejdź pan, zbudź go i zamelduj. Ja muszę zobaczyć, co się dzieje na pokładzie. Wiesz, co mu powiedzieć.

ROZDZIAŁ CXXIV
IGŁA

Następnego ranka jeszcze nie uciszone morze toczyło swe długie, powolne, zwaliste bałwany i wdzierając się w bulgocący wart „Pequoda” popychało statek naprzód, niby rozłożone dłonie olbrzyma. Silna, nieustępliwa bryza wiała tak szczodrze, iż niebo i powietrze zdawały się być ogromnymi, wydętymi żaglami; cały świat rwał z wiatrem. Spowite w pełną światłość poranka, niewidoczne słońce poznać było można tylko po szeroko rozjarzonym miejscu, w którym się znajdowało i z którego snopami rozchodziły się bagnety jego promieni. Nad wszystkim królował przepych zaiste godny koronowanych babilońskich monarchów i monarchiń. Morze było jak tygiel roztopionego złota, co wystrzela w górę banieczkami światła i upału.

Ahab stał na uboczu, długo milcząc jak zaklęty; za każdym razem, gdy rozkołysany statek walił się w dół bukszprytem, on obracał oczy ku jasnym promieniom słońca odbijającym się przed nim na wodzie; gdy zaś żaglowiec głęboko osiadał rufą, kapitan odwracał się w tę stronę i patrzał za siebie na słońce, obserwując, jak te same żółte promienie stapiają się z jego własnym nieomylnym wartem.

— Ha, ha, okręcie mój! Można by cię teraz snadnie wziąć za morski rydwan słońca. Ho, ho! O, wy, wszystkie narody, jakie mam teraz przed sobą, oto wam niosę słońce! Sprząc dalsze fale! Powożę oceanem jak parą rumaków!

Nagle jednak, pod wpływem jakowejś myśli przeciwnej, pośpieszył ku sterowi i zapytał ochrypłym głosem o kierunek statku.

— Wschodnio-południowy-wschód, panie kapitanie — odparł przestraszony sternik.

— Łżesz! — grzmotnął go zaciśniętą pięścią. — Na wschód o tej godzinie z rana, a słońce za rufą?

Na to wszystkich ogarnęło pomieszanie, bowiem fenomen właśnie zaobserwowany przez Ahaba uszedł jakimś niepojętym sposobem uwagi innych; przyczyną tego musiała być zapewne jego uderzająca oczywistość.

Wepchnąwszy niemal całą głowę w naktuz Ahab jednym spojrzeniem ogarnął kompasy; wzniesiona ręka z wolna opadła; przez chwilę kapitan jakby się słaniał. Starbuck stanąwszy za nim zajrzał i zobaczył, że oba kompasy wskazują kierunek wschodni, natomiast „Pequod" żegluje niechybnie na zachód.

Zanim jednak pierwszy dziki popłoch zdążył ogarnąć załogę, kapitan wykrzyknął ze zdławionym śmiechem: — Mam! To już się zdarzało! Panie Starbuck, ostatniej nocy piorun przekręcił nam kompasy, ot i wszystko. Słyszałeś już, jak sądzę, o czymś podobnym.

— Tak jest, ale nigdy mi się to dotąd nie przydarzyło — ponuro odparł pobladły oficer.

Trzeba tu nadmienić, że podobne przypadki niejednokrotnie zdarzały się okrętom w czasie gwałtownej burzy. Energia magnetyczna, działająca na igłę okrętowego kompasu, jest w zasadzie, jak to wszystkim wiadomo, jednym i tym samym, co elektryczność, jaką obserwujemy na niebie; nie należy więc zbytnio się dziwić, że takie rzeczy bywają możliwe. W wypadkach, kiedy piorun rzeczywiście ugodzi w statek tak, że pourywa niektóre drzewce czy takielunek, wpływ jego na igłę bywa czasami o wiele fatalniejszy, a mianowicie unicestwia wszystkie jej magnetyczne własności, tak że stal, przedtem namagnesowana, nie jest teraz użyteczniejsza od szydła starej baby. W obu jednak wypadkach igła nigdy już sama z siebie nie odzyskuje pierwotnych własności, w ten sposób nadwerężonych czy utraconych; zaś jeśli dotknięte tym są kompasy naktuza, ten sam los spotka i wszystkie inne, jakie się

mogą na statku znajdować, nawet gdyby najniżej z nich położony wprawiony był w kilson.

Stojąc w zamyśleniu nad naktuzem i spoglądając na przekręcone kompasy, kapitan wyciągnął nastawioną dłoń, aby ustalić dokładne położenie słońca i przekonawszy się, że igły są odwrócone akurat w przeciwnym kierunku, począł krzykiem wydawać rozkazy, by odpowiednio zmienić kurs statku. Reje przebrasowano na nawietrzną i raz jeszcze „Pequod" wbił swój nieposkromiony dziób w przeciwny wiatr, ponieważ ów rzekomo pomyślny tylko go zwodził.

Tymczasem Starbuck, bez względu na to, jakie były jego własne, potajemne myśli, nie oponował, ale spokojnie wydawał wszystkie konieczne rozkazy, a Stubb i Fiask — którzy w pewnym, niewielkim zresztą, stopniu zdawali się w owej chwili podzielać jego uczucia — również zgodzili się bez szemrania na wszystko. Jeśli zaś idzie o załogę, to choć niektórzy coś cicho pomrukiwali, jednakże ich lęk przed Ahabem był silniejszy od lęku przed losem. Natomiast harpunnicy pogańscy, jak zawsze dotąd, pozostali niemal zupełnie nieporuszeni; bo jeśli nawet coś ich poruszyło, to jedynie jakiś magnetyzm wszczepiony ich pokrewnym sercom przez nieugięte serce Ahaba.

Przez pewien czas kapitan chodził po pokładzie pogrążony w burzliwej zadumie. Ale gdy się nagle o coś potknął kościaną nogą, ujrzał, że to potrzaskane miedziane rury kwadrantu, który poprzedniego dnia cisnął był o deski pokładu.

— Biedny dumny wypatrywaczu niebieski i pilocie słońca! Wczoraj cię rozbiłem, dziś zaś kompasy chętnie by mnie rozbiły. Tak, tak, ale Ahab jest jeszcze panem poziomego magnesu. Panie Starbuck — lancę bez drzewca, młot i najmniejszą z igieł żaglowych. Szybko!

Być może, poza impulsem dyktującym mu rzecz, którą zamierzał teraz uczynić, istniały jeszcze pewne dodatkowe względy, z ostrożności się wywodzące, których celem mogło być podtrzymanie załogi na duchu przez pokaz własnej tajemnej biegłości w materii tak niepojętej, jak sprawa przekręconych kompasów. Prócz tego kapitan dobrze wiedział, że sterowanie

przy pomocy odwróconych igieł, choć od biedy wykonalne, nie jest rzeczą, nad którą przesądni marynarze mogliby przejść do porządku bez dreszczów lęków tudzież złych wróżb.

— Ludzie — powiedział, spokojnie zwracając się do załogi, gdy oficer podał mu żądane przedmioty. — Ludzie, grom przekręcił igły starego Ahaba, ale z tego kawałka stali Ahab potrafi sobie zrobić własną igłę, która będzie wskazywała równie prawdziwie jak każda inna.

Gdy wypowiadał te słowa, marynarze zamienili ze sobą zmieszane spojrzenia pełne pokornego podziwu i z zafascynowanym wzrokiem czekali, spodziewając się jakichś czarów. Starbuck natomiast odwrócił oczy.

Jednym uderzeniem młota Ahab odbił stalowy grot lancy, po czym wręczywszy oficerowi długi pręt żelazny, jaki pozostał, rozkazał mu trzymać go prosto, nie tykając wszakże desek pokładu. Następnie po kilkakroć uderzył młotem w górny koniec owego żelaznego pręta, po czym umieścił stępioną igłę szpicem na jego czubku i uderzył ją mniej silnie kilka razy, podczas gdy oficer nadal trzymał pręt tak samo jak przedtem. Następnie uczynił nim kilka dziwnych ruchów — nie wiadomo, czy niezbędnych do namagnetyzowania stali, czy też mających po prostu wzmóc bojaźń załogi — zawołał o nitkę z płótna i podszedłszy do naktuza usunął obie przekręcone iglice i poziomo zawiesił na środek igłę żaglową ponad jedną z tarcz kompasowych. Z początku stal obracała się i obracała drżąc i wibrując każdym końcem, ale wreszcie zatrzymała się w miejscu i wówczas Ahab, który w napięciu oczekiwał tego rezultatu, odstąpił z ulgą od naktuza i wskazawszy nań wyciągniętą ręką, wykrzyknął:

— Przyjrzyjcie się sami, czy Ahab nie jest panem poziomego magnesu! Słońce jest na wschodzie i ten kompas daje temu świadectwo !

Jeden po drugim marynarze zaglądali do środka, gdyż nic prócz własnych oczu nie potrafiłoby przemóc takiej jak ich ciemnoty, i jeden po drugim ukradkiem odchodzili.

W płomiennych oczach kapitana, pełnych szyderstwa i tryumfu, można było wówczas ujrzeć całą zgubną duma id="filepos575271"> Ahaba.

ROZDZIAŁ CXXV
LOG I LINKA

Choć płynąc na spotkanie swojego przeznaczenia „Pequod” już od tak dawna znajdował się na morzu podczas niniejszej wyprawy, jednakże logu i linki używano dotąd bardzo rzadko. Ponieważ tak ufnie się polega na innych środkach służących do określania położenia okrętu, niektóre statki handlowe, a także liczne wielorybnicze, zwłaszcza gdy krążą po terenach łowieckich, ze szczętem zaniedbują zrzucanie logu, mimo że jednocześnie, często raczej dla formy niż z jakiejś innej przyczyny, regularnie wpisuje się na przeznaczoną po temu tabliczkę zarówno kurs statku, jak i przypuszczalną przeciętną drogę przebywaną co godzina.

Tak też było i z „Pequodem”. Drewniana szpula i kanciasty log do niej przywiązany wisiały, z dawna nie tykane, tuż pod relingiem nadburcia rufowego. Deszcze i bryzgi nasyciły je wilgocią, słońce i wiatr wypaczyły; wszystkie żywioły zmówiły się, by zniszczyć przedmiot wiszący tak bezczynnie. Nie bacząc wszakże na to wszystko, w kilka godzin po wydarzeniu z magnesem, Ahab przypadkiem rzucił okiem na szpulę i przypomniawszy sobie, że jego kwadrant nie istnieje oraz że złożył ową zaciekłą przysięgę o poziomym logu i lince, powziął nagłe postanowienie. Statek płynąc nurzał dziób w falach; za rufą kłębiły się wzburzone bałwany.

— Hej tam, na farkasztelu! Zrzucić log!

Podeszli dwaj marynarze; złotoskóry mieszkaniec Tahiti i siwy człowiek z wyspy Man.

— Bierz któryś szpulę. Ja zrzucę log.

Poszli na samą rufę, od zawietrznej, kędy pokład pod energicznym, skośnym naporem wiatru niemal się nurzał w spienionych, z boku toczących się falach.

Człowiek z wyspy Man wziął szpulę i podniósł ją wysoko, trzymając za wystające uchwyty osi, wokół której okręcał się zwój linki, i tak stał z kanciastym logiem zwisającym w dół, dopóki Ahab nie podszedł.

Kapitan stanął przed nim i począł lekko odwijać jakieś trzydzieści czy czterdzieści skrętów, aby zebrać w ręku pierwszy zwój, który można by wyrzucić za burtę, gdy nagle stary marynarz, który bacznie śledził tak jego, jak i linkę, ośmielił się przemówić :

— Panie kapitanie, nie mam do tego zaufania. Linka wygląda na nic wartą. Długie upały i wilgoć popsuły ją.

— Wytrzyma, dobrodzieju. Alboż ciebie popsuły długie upały i wilgoć? Wydaje mi się, że i ty jeszcze jakoś się trzymasz. Albo może raczej życie trzyma ciebie, a nie ty życie.

— Trzymam szpulę, panie. Niech będzie wedle słów mego kapitana. Nie warto się spierać mając, jak ja, siwe włosy, a już szczególnie z przełożonym, który nigdy racji nie przyzna.

— A cóż to znowu? Widzicie go! Żal się Boże, profesor z granitowego kolegium Królowej Natury! Wydaje mi się tylko, że nazbyt jest służalczy. Gdzieżeś się rodził?

— Na małej, skalistej wysepce Man.

— Wybornie! Tameś w ten świat uderzył!

— Nie wiem, panie, ale tam się rodziłem.

— Na wyspie Man, hę? No cóż, z drugiej strony to i dobrze. Oto jest człowiek z Man. Człowiek zrodzony na niegdyś niezawisłej wysepce Man, a teraz opuszczonej przez niego Man… co? W górę szpulę! O martwy, ślepy mur rozbijają się na koniec wszystkie wnikliwe głowy. W górę ją! O, tak!

Log został rzucony. Luźne zwoje szybko rozciągnęły się za rufą w długą, wleczoną linkę, po czym szpula zaczęła natychmiast wirować i wtedy, na skutek oporu holowanego logu, którym szarpały w górę i w dół rozkołysane bałwany, trzymający szpulę stary marynarz dziwnie się zatoczył.

— Trzymaj mocno!

Trzask! Zbyt naciągnięta linka zwisa jednym długim festonem; holowany log urwał się.

— Ja rozbijam kwadrant, piorun przekręca mi igły, a teraz oszalałe morze urywa linkę logową. Lecz Ahab wszystko naprawić potrafi. Holuj tu, Tahitiańczyku, ty, stary, nawijaj na szpulę. I słuchajcie: niechaj cieśla zrobi drugi log, a ty napraw linkę. Twoja w tym głowa.

— I oto odchodzi. Jemu nic się nie stało, ale dla mnie to tak, jakby oś wypadła ze szpuli świata. Holuj, holuj, Tahitiańczyku! Te linki wylatują całe i wibrujące, lecz powracają stargane, powolne i oporne. Ha, Pip? Przyszedłeś pomóc, co, Pip?

— Pip? Kogo nazywasz Pipem? Pip wyskoczył z wielorybniczej szalupy. Pip zaginął. Zobaczymy, czy go nie wyłowiłeś, rybaku. Ciężko idzie ta linka. Myślę, że to pewnie on ją przytrzymuje. Wyszarpnij mu linkę, Tahiti! Wyszarpnij! Nie holujemy tutaj tchórzów. Oho! tam właśnie wystaje z wody jego ramię. Toporka! Toporka! Odrąbać je. Nie holujemy tu tchórzów. Kapitanie Ahabie! O, tutaj Pip próbuje znowu wydostać się na pokład.

— Spokój, ty opętany wariacie! — krzyknął człowiek z Man porywając go za ramię. — Precz z pomostu!

— Większy głupiec zawsze łaje mniejszego — mruknął Ahab postępując naprzód. — Ręce precz od tej świętości! Jak powiadasz, chłopcze, gdzie jest Pip?

— Za rufą, tam! Za rufą! O! O!

— A kim ty jesteś, chłopcze? Nie widzę swego odbicia w pustych źrenicach twoich oczu. O Boże! Że też człowiek jest dla dusz nieśmiertelnych sitem, przez które przelatują! Kim jesteś, chłopcze?

— Dzwonnikiem, kapitanie, heroldem okrętowym. Dzyń, dzyń, dzyń! Pip! Pip! Sto funtów gliny w nagrodę za Pipa; pięć stóp wzrostu — wygląda tchórzliwie — najłatwiej go po tym rozpoznać! Dzyń, dzyń, dzyń! Kto widział Pipa-tchórza?

— Niepodobna, żeby ponad linią śniegów biło jakieś serce! O, wy, zmrożone niebiosa! Spójrzcie tu w dół. Poczęłyście to

nieszczęsne dziecię i opuściłyście je, o, wy, twórcy libertyni! Słuchaj, chłopcze. Kajuta Ahaba będzie odtąd domem Pipa, dopóki Ahab żyje. Dotykasz samego rdzenia mej istoty, chłopcze. Związanyś ze mną liną splecioną z włókien mojego serca. Chodź, zejdźmy na dół.

— Cóż to jest? Aksamitna skóra rekina... — wyrzekł Pip bacznie się przyglądając dłoni Ahaba i dotykając jej. — Ach, gdyby tak biedny Pip mógł dotknąć czegoś równie łaskawego, może by nigdy nie zaginął! Wydaje mi się to czymś jakby linką pomocniczą; czymś, czego słabe dusze mogą się uchwycić. O, kapitanie, niechże teraz przydzie stary Perth i znituje razem te dwie dłonie: białą i czarną, bo ja jej już nie wypuszczę.

— O, chłopcze, ani ja nie wypuszczę ciebie, chyba żebym cię miał w ten sposób w większe pociągnąć okropności niźli te, co się tutaj dzieją. Pójdź więc do mojej kajuty. Patrzajcie wy, co wierzycie, że wszystka dobroć jest w bogach, a wszystko zło w ludziach! Spójrzcie! Patrzcie, jak wszechwiedzący bogowie zapominają o cierpiącym człowieku. A człowiek, choć głupi, choć nie wie, co czyni, pełen jest przecie słodkich spraw miłowania i wdzięczności. Pójdź! Prowadząc cię za twą czarną rękę, czuję się dumniejszy, niż gdybym ściskał dłoń cesarza!

— Macie dwóch opętańców! — mruknął stary marynarz. — Jeden opętany siłą, a drugi słabością. Ale oto i koniec tej przegniłej linki, cała ocieka wodą. Naprawić ją, akurat! Myślę, że najlepiej będzie wziąć całkiem nową. Pomówię o tym z panem Stubbem.

ROZDZIAŁ CXXVI
BOJA RATUNKOWA

Sterując teraz na południowy wschód według stalowej iglicy Ahaba i określając przebytą przestrzeń wyłącznie na podstawie jego poziomego logu i linki, „Pequod” trzymał się swego kursu na równik. Długo przemierzał wody tak opustoszałe, że nie napotykał żadnego okrętu; niebawem zaś popychany z boku przez nieodmiennie wiejący passat, jął sunąć po monotonnych, łagodnych falach; wszystko zdawało się być dziwną ciszą poprzedzającą jakieś burzliwe i rozpaczliwe wydarzenia.

Kiedy wreszcie statek przybliżył się niejako do peryferii łowisk równikowych i w głębokiej ciemności poprzedzającej jutrzenkę przepływał mimo gromady skalistych wysepek, wachta — na której czele stał Fiask — drgnęła od krzyku tak żałośliwie dzikiego i nieziemskiego — ni to bełkotliwego zawodzenia duchów ongiś przez króla Heroda pomordowanych niewiniątek — że wszyscy marynarze jak jeden mąż ocknęli się ze swych marzeń i póki rozlegał się ten krzyk dziki, stali, siedzieli czy leżeli w słuch zamienieni niby ów rzeźbiony niewolnik rzymski. Chrześcijańska, czyli cywilizowana część załogi orzekła, że to syreny, i wzdrygnęła się; natomiast harpunnicy pogańscy nie zdradzali żadnych obaw. Jednakże siwy człowiek z Man — najstarszy ze wszystkich marynarzy — orzekł, iż owe dzikie, dreszczem przejmujące dźwięki, które słyszano, to głosy ludzi, co właśnie w morzu po-tonęli.

Ahab, leżąc na dole w hamaku, nic o tym nie słyszał i dowiedział się dopiero o szarym brzasku, kiedy wyszedł na pokład; wówczas opowiedział mu wszystko Fiask, nie

omieszkawszy przydać zjawisku jakowegoś mrocznego znaczenia. Kapitan zaśmiał się głucho i tak wyjaśnił to dziwo.

Owe skaliste wysepki, koło których statek przepływał, zamieszkiwała wielka ilość fok, i młode, co utraciły swe matki, lub matki, które utraciły młode, musiały zapewne wynurzyć się w pobliżu statku i popłynęły wraz z nim, płacząc i łkając swym zawodzącym, do ludzkiego podobnym głosem. To jednak wywarło tym większe wrażenie na niektórych ludziach z załogi, że wielu marynarzy żywi w związku z fokami niezwykłe przesądy spowodowane nie tylko osobliwym głosem wydawanym przez owe zwierzęta, kiedy się znajdą w opałach, ale także nieledwie ludzkim wyglądem ich krągłych głów i zmyślnych pysków, gdy się je zobaczy ze statku, ciekawie wynurzone nad powierzchnię wody. W pewnych okolicznościach nieraz już brano na morzu foki za ludzi.

Aliści wieszcze przeczucia załogi miały zyskać przekonywające potwierdzenie w losie, jaki spotkał tego ranka jednego z marynarzy. O wschodzie słońca człowiek ów wstał z hamaka i wdrapał się na swój posterunek na topie fokmasztu; czy to; niezupełnie się jeszcze ze snu rozbudził (gdyż marynarze czasami; wyłażą na górę w stanie przejściowym od snu do jawy), czy więc to było przyczyną, niepodobna już dociec, w każdym razie nie przebywał długo na swej grzędzie, gdy usłyszano krzyk— krzyk oraz szum spadającego ciała — i ludzie spojrzawszy w górę ujrzeli, jakiś kształt lecący przez powietrze, spojrzawszy zaś w dół — niewielką, podrzucaną przez fale plamę białych pian na błękicie morza.

Boję ratunkową — długą, smukłą beczułkę — zrzucono z rufy, gdzie zawsze wisiała posłuszna przemyślnej sprężynie; wszelako z wody nie wynurzyła się żadna ręka, by ją pochwycić, a ponieważ słońce z dawna prażyło w beczkę, zeschła się była tak, że teraz z wolna poczęła napełniać się wodą; samo zaś wysuszone drewno również nasiąkało wszystkimi porami; toteż nabijana ćwiekami, ujęta w żelazne obręcze beczka poszła na dno śladem marynarza, jak gdyby chciała mu stać się poduszką, lubo po prawdzie dość twardą.

Tak więc pierwszy człowiek z „Pequoda”, który wdrapał; się na maszt, by wypatrywać białego wieloryba na jego własnym, wyłącznym terenie, został pochłonięty przez topiel, Jednakże wówczas może tylko niewielu o tym pomyślało. W istocie nie boleli zbytnio nad tym wypadkiem," przynajmniej nie jako nad złą wróżbą, albowiem uznali go nie za zwiastuna zła na przyszłość, ale za dopełnienie zła już przepowiedzianego. Oświadczyli, że teraz już dowiedzieli się przyczyny owych dzikich krzyków słyszanych ubiegłej nocy. Ale znowu stary z wyspy Man zaprzeczył.

Trzeba teraz było czymś zastąpić utraconą boję i Starbuck otrzymał rozkaz, by tego dopilnować; ponieważ jednak nie sposób było znaleźć dostatecznie lekką beczkę, a w gorączkowym zapale zbliżającego się najwyraźniej krytycznego stadium wyprawy wszystkich niecierpliwiła wszelka robota nie związana bezpośrednio z jej ostatecznym celem, jakikolwiek by się okazał, miano więc już pozostawić rufę żaglowca ogołoconą z boi, kiedy za pomocą osobliwych znaków tudzież półsłówek Queequeg dał coś do zrozumienia na temat swojej trumny.

— Boja ratunkowa z trumny! — zawołał drgnąwszy Starbuck. — To raczej osobliwe, muszę powiedzieć — rzekł Stubb.

— Będzie zupełnie niezła — powiedział Fiask. — Cieśla może ją łatwo przerobić.

— Przynieście ją. Nie mamy nic innego na to miejsce — rzekł Starbuck po chwili melancholijnego milczenia. — Bierz się do dzieła, cieślo — nie gapże się tak na mnie — do tej trumny, oczywiście. Słyszysz mnie? Bierz się do niej.

— Czy mam przybić wieko, panie kapitanie? — zapytał cieśla poruszając ręką niby młotem.

— Tak.

— A czy uszczelnić szpary? — tu znowu wykonał dłonią ruch uszczelniania.

— Tak jest.

— A czy mam potem zalać je smołą? — zrobił gest, jakby trzymał w ręku kociołek.

— Idź do diabła! Co się z tobą dzieje? Zrób z trumny boję ratunkową, ot i wszystko. Panie Stubb, panie Fiask, proszę ze mną na dziób.

— Odchodzi w złości. Całość to potrafi wytrzymać, ale przed cząstką się wzdraga. Wcale mi się to nie podoba. Zrobiłem nogę dla kapitana Ahaba i on ją nosi jak na dżentelmena przystało.

Ale robię pudełeczko dla Queequega, a ten nawet weń głowy nie wsadzi. Czy wszystkie moje trudy przy tej trumnie mają pójść na marne? Teraz mi każą z niej zrobić boję. To tak jakby przenicować starą kurtę; trzeba ją jakoś wywrócić na drugą stronę. Nie lubię takiego partactwa, wcale a wcale nie lubię. Brak temu godności, to nie dla mnie robota. Niech sobie tam jakieś popychadła klecą co bądź. My jesteśmy od nich lepsi. Ja lubię. brać do ręki tylko czystą, dziewiczą, prostą, matematyczną robotę, coś, co się przepisowo zaczyna na początku, jest w środku, kiedy dochodzimy do połowy drogi, i kończy się na końcu, a nie takie tam partactwo, co na zakończenie jest w środku, a kończy się u początku. To dobre dla starych bab, brać partacką robotę. Boże! Ileż czułości mają dla partaczy wszystkie stare baby! Znałem kiedyś jedną starą, co miała sześćdziesiąt pięć lat i uciekła z młodym, łysym wyrobnikiem. Z tej właśnie przyczyny nigdy nie chciałem na lądzie pracować dla starych, samotnych wdów, kiedy miałem swój warsztat w Vineyardzie. Mogło im bowiem przyjść do starych, samotnych głów, żeby ze mną uciekać. Ale hej-ho! Na morzu nie ma innych białogłów, prócz białogłowych mew. No, zobaczymy. Przybić wieko, uszczelnić szpary, zalać je smołą, ciasno obić łatami i wywiesić za rufą na zatrzaskowej sprężynie. Alboż coś podobnego robiono kiedykolwiek z trumną? Poniektórzy przesądni cieśle prędzej by się dali powiesić na olinowaniu, niżby wykonali taką robotę! Ale ja jestem zrobiony z sękatej choiny znad rzeki Aroostook i ani drgnę. Mieć z tyłu trumnę miast podogonia! Żeglować po świecie z cmentarnym pudłem! Ale mniejsza o to. My, pracujący w drewnie, robimy małżeńskie łoża i stoliki do kart, tak samo jak trumny i mary. Pracujemy "według miesiąca, według roboty

albo według zapłaty. Nie nasza rzecz pytać, co i dlaczego się robi, chyba że robota jest już zbyt przeklętym partactwem, to wtedy ją rzucamy, jeżeli można. Hm! Wezmę się teraz z sercem do dzieła. Zrobi się tutaj — zaraz, ilu jest wszystkich razem ludzi załogi? Zapomniałem. W każdym razie zrobi się tu ze trzydzieści linek ratowniczych z węzłami, każda po trzy stopy długości, a wisieć będą naokoło trumny. I wtedy, jakby statek szedł na dno, trzydziestu dziarskich chłopców będzie walczyło o jedną trumnę, co jest widokiem nieczęsto spotykanym pod słońcem! No, dawać tu młot, dłuto, kubełek smoły i marszpikiel. Bierzemy się do roboty!

ROZDZIAŁ CXXVII
POKŁAD

(Trumna spoczywa na dwóch bębnach linowych, między warsztatem ciesielskim i otwartym lukiem; cieśla uszczelnia szpary, pasmo skręconych pakuł z wolna odwija się z dużego kłębka, który cieśla ma w zanadrzu kaftana. Ahab powoli wychodzi z zejścia kajutowego i słyszy, że za nim podąża Pip)

— Wróć się, chłopcze, zaraz do ciebie przyjdę. Odchodzi! Nawet własna moja ręka nie stosuje się do mej woli bardziej ochoczo od niego. Czy to środkowa nawa kościoła? Cóż to?

— Boja ratunkowa, kapitanie. Z rozkazu pana Starbucka. Ostrożnie! Uwaga na luk!

— Dzięki ci, człowieku. Twoja trumna leży blisko krypty.

— Słucham, panie? Luku? Ach tak, rzeczywiście.

— Wszak jesteś tym, co robił nogę? Spójrz, czyż ten kikut nie z twojego pochodzi warsztatu?

— Zdaje mi się, że tak, kapitanie. Czy skuwka dobrze trzyma?

— Dość dobrze. Ale jak widzę, jesteś również przedsiębiorcą pogrzebowym?

— Tak jest. Skleciłem to jako trumnę dla Queequega, ale mnie teraz zasadzili, żeby ją przerobić na co innego.

— Więc powiedz sam, czyliż nie jesteś wierutnym, wszystko łapiącym, wścibskim, monopolistycznym, pogańskim starym łajdakiem, że jednego dnia robisz nogi, następnego trumny, w których je zatrzaśniesz, a później znowu boje ratunkowe z tychże trumien? Jesteś równie pozbawiony zasad jak bogowie i taki sam jak oni majster-klepka.

— Mnie tam nic po głowie nie chodzi. Robię to, co robię.

— Znowu jak bogowie. Słuchaj no, czy ty nigdy nie śpiewasz pracując przy trumnie? Powiadają, że Tytani nucili przyśpiewki, kiedy kopali kratery dla wulkanów, a grabarz w tragedii śpiewa z łopatą w ręku. A ty nigdy?

— Śpiewać, kapitanie? Czy śpiewam? O, nie mam do tego zbytniej skłonności, ale przyczyną, dla której ów grabarz bawił się muzyką, musiało zapewne być to, że nie dawała mu jej łopata. Natomiast młotek do uszczelniania pełen jest muzyki. Niech pan tylko posłucha.

— Tak, to pochodzi stąd, że owo wieko jest deską rezonacyjną. Tym zaś, co daje rezonans we wszelkich rzeczach, jest pustka, która się pod spodem roztacza. A jednak trumna zawierająca ciało dźwięczy zupełnie podobnie, cieślo. Czyś kiedy pomagał nieść miary i słyszał, jak trumna uderzy o bramę cmentarza, gdy przez nią przechodzi?

— Na wiarę, kapitanie, ja…

— Na wiarę? A to co znowu?

— No cóż, to tylko taki rodzaj wykrzyknika, ot i wszystko, panie kapitanie.

— Hm, hm… Mów dalej.

— Chciałem powiedzieć, że…

— Co to, jesteś jedwabnikiem? Wysnuwasz z siebie własny całun? Spójrz, co masz w zanadrzu! Bystro! I zabierz mi z oczu tę pułapkę.

— Odchodzi na rufę. A to było nagłe! Ale szkwały nagle przychodzą w gorącym klimacie. Słyszałem, że wyspę Albermarle, jedną z Galapagos, w samym środku przecina równik. Coś mi się widzi, że jakiś równik przecina także i tego kapitana prosto przez środek. Zawsze jest pod równikiem — aż gore od upału, powiadam wam! Patrzy w tę stronę… chodźcie tu, pakuły, a prędko. No, robimy dalej. Ten drewniany młotek to korek, a ja jestem profesorem gry na szklankach — stuk, puk!

(Ahab do siebie)

— Co za widok! Co za dźwięki! Siwogłowy dzięcioł stuka w pusty pień drzewny! Można by teraz pozazdrościć ślepym i głuchym. Patrzcie, trumna spoczywa na dwóch bębnach

linowych, pełnych lin holowniczych. Bardzo złośliwy dowcipniś z tego chłopa. Stuk-puk! Oto drugi puls człowieka! O, jakże niematerialna jest wszelka materia! Jakież są rzeczy realne, oprócz nieważkich myśli? Oto mamy straszliwy symbol ponurej śmierci, który przez zwykły przypadek uczyniono wymownym znakiem pomocy i nadziei dla najbardziej zagrożonego życia. Boja ratunkowa z trumny! Może to sięga dalej? Może w jakimś duchowym sensie trumna jest, bądź co bądź, futerałem nieśmiertelności? Pomyślę o tym. Ale nie. Tak już daleko zaszedłem w ciemną część ziemi, że druga jej strona, ta teoretycznie jasna, zdaje mi się być ledwie niepewnym półmrokiem. Czyż nigdy nie skończysz, cieślo, z tym przeklętym hałasem? Schodzę pod pokład. Niech już tu nie widzę tej rzeczy, kiedy powrócę znowu. No, Pip, obgadamy to; od ciebie najprzedziwniejszą chłonę filozofię! Jakoweś nieznane kanały z nieznanych światów muszą mieć w tobie ujście!

ROZDZIAŁ CXXVIII
„PEQUOD” SPOTYKA „RACHELĘ”

Następnego dnia ujrzano duży statek, „Rachelę”, zmierzający prosto na „Pequoda”, ze wszystkimi drzewcami gęsto obsadzonymi przez ludzi. W tym czasie „Pequod” płynął po morzu ze znaczną szybkością; gdy jednak od nawietrznej przyleciał doń szerokoskrzydły obcy statek, chełpliwe żagle zapadły się wszystkie niby puste, pęknięte pęcherze, i całe życie uszło z porażonego kadłuba. — Złe wieści, złe wieści przynosi — szepnął stary marynarz z wyspy Man. Zanim wszelako dowódca statku, który z tubą przy ustach stał w swojej szalupie, zdążył ufnie pozdrowić „Pequoda”, usłyszano głos Ahaba:

— Widziałeś białego wieloryba?

— Tak, wczoraj. A widzieliście łódź na falach?

Zdusiwszy w sobie radość, Ahab przecząco odpowiedział na to niespodziewane pytanie i już by był chętnie podpłynął do obcego żaglowca, kiedy ujrzano, że sam nieznajomy kapitan zatrzymawszy swój statek schodzi do szalupy. Kilka energicznych uderzeń wiosłami i już bosak jego łodzi zahaczył o ławę talrepową „Pequoda”, kapitan zaś wskoczył na pokład. Ahab natychmiast rozpoznał w nim znajomego nantucketańczyka. Nie wymienili jednak formalnych powitań.

— Gdzie był? Nie ubity! Nie ubity! — krzyknął Ahab podchodząc bliżej. — Jak to się stało?

Okazało się, że dość późnym popołudniem poprzedniego dnia, podczas gdy trzy szalupy żaglowca zajęte były pogonią za stadem wielorybów, które odwiodło je na jakieś cztery czy pięć mil od statku, gdy więc szalupy ściągały je co sił na nawietrzną, nagle zamajaczył biały garb i łeb Moby Dicka, który wynurzał

się z wody niedaleko po zawietrznej; wówczas więc natychmiast spuszczono w pogoń czwartą, gotową łódź rezerwową. Po śmigłej gonitwie z wiatrem powiodło się snadź tej czwartej szalupie, najszybszej ze wszystkich, przytrzymać wieloryba, przynajmniej o ile mógł coś na ten temat powiedzieć człowiek stojący na maszcie. W oddali ujrzał zmniejszoną, małą jak kropeczka szalupę, następnie błysk spienionej białej wody, potem zaś już nic więcej, z czego wywnioskowano, że, jak to się często zdarza, ugodzony wieloryb musiał gdzieś uciec wraz ze swymi prześladowcami. Było trochę niepokoju, ale na razie żadnego wyraźnego popłochu. Na olinowaniu umieszczono sygnały odwoławcze; zapadły ciemności i statek zmuszony był pozbierać trzy szalupy znajdujące się daleko po nawietrznej, zanimby mógł wyruszyć na poszukiwanie czwartej w kierunku wręcz przeciwnym; nie tylko więc musiał pozostawić tę łódź jej losowi niemal aż do północy, ale nawet chwilowo zwiększyć dzielącą go od niej odległość. Wszelako gdy reszta załogi znalazła się wreszcie bezpiecznie na pokładzie, statek rozwinął wszystkie żagle, z pomocniczymi włącznie, i ruszył za zaginioną łodzią, rozpaliwszy ogień pod kotłami wytapialni jako znak orientacyjny; co drugi marynarz zaś tkwił na czatach w górze. Jednak mimo że przepłynąwszy w ten sposób odległość wystarczającą, by dotrzeć do przypuszczalnego miejsca, w którym po raz ostatni widziano zaginionych, statek zatrzymał się i spuścił pozostałe szalupy, które wiosłowały wszędzie wokoło w poszukiwaniu, a nie znalazłszy niczego, znów ruszyły dalej, znowu przystanął, znów spuścił łodzie — i choć tak czynił aż do świtu, przecie nie dojrzano najmniejszego śladu zaginionej szalupy.

Opowiedziawszy tę historię obcy kapitan natychmiast przystąpił do wyłuszczenia celu swego przybycia na pokład „Pequo-da”. Pragnął, by ten ostatni połączył się z jego statkiem w poszukiwaniach i popłynął równolegle po morzu w odległości jakichś czterech czy pięciu mil, w ten sposób ogarniając niejako podwójny horyzont.

— Pójdę o zakład — szepnął Stubb Flaskowi — że ktoś w tej zaginionej łodzi miał na sobie najlepszą kurtę kapitana, a może jego zegarek — tak diabelnie się zawziął, żeby to dostać z powrotem. Kto kiedy słyszał, żeby dwa uczciwe statki wielorybnicze krążyły za jedną zaginioną szalupą w pełni wielorybniczego sezonu? Patrz, Fiask, patrz tylko, jaki on blady; blady aż po białka oczu… to nie była kurta, to musiał być…

— Mój chłopak, mój własny chłopak jest między nimi. Na miłość boską… błagam… zaklinam!… — wykrzyknął obcy kapitan do Ahaba, który do tej chwili lodowato słuchał jego prośby. — Pozwól mi pan wynająć swój statek na czterdzieści osiem godzin… Z ochotą za to zapłacę i dobrze zapłacę… jeśli nie ma innego sposobu… Tylko na czterdzieści osiem godzin… tylko tyle… musisz pan, och, musisz to uczynić i uczynisz!

— Jego syn! — krzyknął Stubb. — Ach, więc to syna utracił! Cofam tę kurtę i zegarek… Co też powie Ahab? Musimy uratować tego chłopca!

— Utonął razem z resztą zeszłej nocy — rzekł stary marynarz z wyspy Man, który stał za nimi. — Słyszałem… wszyscyście słyszeli ich duchy.

Jak się wkrótce okazało, tym, co czyniło ów wypadek „Racheli" jeszcze smutniejszym, była okoliczność, że nie tylko jeden z synów kapitana znajdował się pośród załogi zaginionej łodzi, ale między załogą tamtych drugich szalup, w tym samym memencie, choć w przeciwnej stronie, oddzielony od statku rozmaitymi kolejami pościgu, był drugi syn; przez pewien czas nieszczęsny ojciec pogrążony był w najokrutniejszej rozterce, z której znalazł wyjście jego pierwszy oficer, instynktownie przyjmując zwykły w takich okolicznościach sposób postępowania na statku wielorybniczym — polegający mianowicie na tym, że kiedy ma się do wyboru zagrożone, lecz rozdzielone łodzie, zawsze należy najpierw wyłowić te, na których znajduje się więcej ludzi. Ale kapitan, dla jakichś nieznanych, zasadniczych przyczyn powstrzymał się od wyjawienia tego wszystkiego i dopiero zmuszony lodowatym przyjęciem Ahaba, napomknął o swoim zaginionym chłopcu,

młodziutkim, ledwie dwunastoletnim wyrostku, którego ojciec z zaciekłym, nieulękłym zuchwalstwem, cechującym miłość ojcowską nantucketańczyka, usiłował tak wcześnie wtajemniczyć w niebezpieczeństwa i dziwy rzemiosła od niemal niepamiętnych czasów będącego przeznaczeniem całego jego plemienia. Nierzadko też się zdarza, że kapitanowie nantucketańscy wysyłają synów w tak młodocianym wieku daleko od siebie, na przewlekłą, trzy lub czteroletnią wyprawę na innym, nie własnym statku, aby pierwszego zetknięcia z rzemiosłem wielorybnika nie złagodziły jakiekolwiek przypadkowe objawy naturalnej, chociaż niewczesnej ojcowskiej słabości czy też zbytecznego niepokoju i troski.

Tymczasem obcy kapitan nadal błagał Ahaba o łaskę, zaś Ahab nadal stał niby kowadło, przyjmując wszelkie uderzenia, sam jednak na jotę nie poruszony.

— Nie odejdę — mówił kapitan — dopóki nie powiesz mi pan: „tak”. Uczyń dla mnie to, co byś chciał, bym ja w podobnym przypadku uczynił dla ciebie. Boć przecie i pan, kapitanie, także masz syna — acz ledwie dziecię, bezpiecznie teraz w domu piastowane — dziecko twojej starości… Tak, tak, miękniesz. Widzę to… biegnijcie, biegnijcie, ludzie, i gotujcie się do przebrasowania rej!

— Stać! — krzyknął Ahab. — Niech nikt się nie waży tknąć liny! — Następnie przeciągle i z naciskiem wymawiając każde słowo, powiedział: — Kapitanie Gardiner, nie uczynię tego. Nawet w tej chwili tracę czas. Żegnaj mi, żegnaj! Niech Bóg ci błogosławi, człowieku, muszę odejść — obym potrafił wybaczyć to sam sobie. Starbuck, spójrz pan na zegar naktuzowy i w ciągu trzech minut od tej chwili usuń z pokładu wszystkich obcych, następnie brasuj znów naprzód i niechaj statek płynie jak przedtem.

Cofnął się śpiesznie i z odwróconą twarzą zeszedł do kajuty pozostawiając obcego kapitana przygwożdżonego tym bezwzględnym i całkowitym odrzuceniem tak gorącej prośby. Ocknąwszy się z odrętwienia Gardiner w milczeniu pośpieszył

do burty, bardziej zwalił się, niż zeszedł do szalupy, i powrócił na swój statek.

Rychło oba żaglowce oddaliły się od siebie; dopóki „Rachela” pozostawała w zasięgu wzroku, można ją było widzieć, jak zbacza to tu, to tam, ku każdemu, choćby najmniejszemu ciemnemu punktowi na morzu. Jej reje obracały się w tę i tamtą stronę, lawirowała ciągle to na sterbort, to na bakbort, raz uderzała w falę toczącą się od przodu, to znów popychana była z tyłu przez inną, a przez cały ten czas jej maszty i reje roiły się od ludzi, niby trzy wysokie drzewa wiśniowe, gdy chłopcy zbierają owoc wśród gałązek.

Wszelako po wahającym kursie i krętym, żałośliwyrn szlaku można było jasno poznać, że ów statek płaczący bryzgami pian wciąż nie znajduje pocieszenia. Była to „Rachela” opłakująca swe dzieci, które zginęły.

ROZDZIAŁ CXXIX
KAJUTA

(Ahab wstaje, by wyjść na pokład; Pip chwyta go za rękę, chcąc udać, Hę za nim)

--- Chłopcze, chłopcze, powiadam ci, że nie powinieneś teraz iść, za Ahabem. Nadchodzi godzina, gdy Ahab nie odpędzi cię od siebie, wszelako nie zechce mieć cię przy sobie. Jest w tobie coś, biedaku, co, jak wyczuwam, zbyt dobrze leczy moją chorobę. Podobieństwa leczą się wzajem; a dla tych łowców choroba moja staje mi się najbardziej upragnionym zdrowiem. Pozostań tu, na dole, gdzie cię obsłużą, jak gdybyś był samym kapitanem. Tak, chłopcze, zasiądziesz tutaj, w mym własnym krześle przyśrubowanym do podłogi i musisz być jeszcze jedną w nim śrubą.

— Nie, nie, nie! Twe ciało nie jest całe, kapitanie. Używaj mnie biednego miast twojej utraconej nogi. Stąpaj po mnie — o nic Więcej nie proszę, bo tak pozostanę częścią ciebie.

— O, na przekór milionom łotrów, to mnie utwierdza w niezniszczalnej wierze w człowieka! I to czarny! I wariat! Ale zdaje się, że i ja działam nań uzdrawiająco. Znowu się robi tak przytomny...

--- Mówią panie, że Stubb niegdyś opuścił biednego, małego Pipa, którego zatopione kości są teraz białe mimo całej czerni jego skóry za życia. Ale ja ciebie nigdy nie opuszczę, tak jak Stubb jego. Kapitanie, muszę iść za tobą.

— Jeżeli trochę dłużej tak do mnie pogadasz, to cel, do którego Ahab dąży, załamie się w nim. Powiadam ci: nie. Nie może to być.

— O, dobry panie, panie, panie!

— Płacz tak, a zamorduję cię! Miej się na baczności, bo Ahab też jest szalony Posłuchaj tylko, a nieraz dosłyszysz mą stopę kościaną Uderzającą o deski pokładu i będziesz wiedział, że tam jestem. A teraz zostawiam cię. Twoja ręka! Mam ją! Wiernyś, mój chłopcze, jako obwód środkowi koła. Tak, niech Bóg ci na wieki błogosławi; a jeśli do tego dojdzie — niechże cię na wieki wybawi, cokolwiek by się stało.

(Ahab odchodzi, Pip postępuje krok naprzód)

— W tej chwili tu stał. Jeszcze oddycham jego powietrzem, lecz jestem sam. Gdyby choć był tutaj ten mały Pip, mógłbym to znieść, ale go nie ma. Pip! Pip! Ding, dong, ding! Kto widział Pipa? Musi tu gdzieś być. Spróbujmy otworzyć drzwi. Cóż to? Ni zamka, ni rygla, ni sztaby, a przecie nie sposób otworzyć! W tym musi być zaklęcie, kazał mi tutaj zostać, tak, i powiedział, że to przyśrubowane krzesło do mnie należy. A więc rozsiądę się tu i oprę o belkę, w samym środku statku. Będę go miał przed sobą wraz z kilem i wszystkimi trzema masztami. Nasi starzy marynarze powiadają, że tutaj właśnie, na swoich czarnych fregatach o siedemdziesięciu czterech działach, czasem zasiadają za stołem wielcy admirałowie królując nad szeregami kapitanów i oficerów. Ha, cóż to? Epolety! Epolety! Epolety się tłoczą... Niech krążą karafki. Rad wam jestem, nalejcie, *messieurs!* Jakże to dziwne uczucie, gdy czarny chłopiec gości białych ludzi ze złotymi haftami na kurtach! *Messieurs,* czy widzieliście niejakiego Pipa? Mały Murzynek, pięć stóp wzrostu, nędzny wygląd i tchórzliwy! Niegdyś wyskoczył z łodzi wielorybniczej. Widzieliście go? Nie? A zatem nalejcie znowu, kapitanie, i wypijmy na hańbę wszystkim tchórzom! Nie wymieniam żadnych nazwisk. Hańba im! Połóżmy nogi na stole! Hańba wszystkim tchórzom! Tss! Słyszę kość, tu na górze. O, panie! Doprawdy przygnębia mnie to, kiedy nade mną stąpasz. Ale zostanę tu, choćby ta rufa miała o skały uderzyć, one zaś przebić ją na wylot, a ostrygi przypłynąć, aby się ze mną połączyć.

ROZDZIAŁ CXXX
KAPELUSZ

Teraz, gdy wydawało się, że we właściwym czasie i miejscu, po tak długim i szerokim wstępnym krążeniu, Ahab — przemierzywszy wszystkie inne wielorybnicze tereny — zapędził swego wroga do oceanicznej zagrody, by tam go tym pewniej ubić; teraz, gdy znalazł się niemal pod tą samą długością i szerokością geograficzną, gdzie mu zadano ową ranę okrutną; teraz, gdy rozmawiał ze statkiem, który właśnie poprzedniego dnia rzeczywiście natrafił na Moby Dicka; gdy wszystkie kolejne jego spotkania z rozmaitymi statkami tak wyraziście ukazywały demoniczną obojętność, z jaką biały wieloryb rozdzierał łowców, czy mu zawinili, czy nie — teraz to w oczach kapitana czaiło się coś, czego widok słabe dusze ledwie znieść były zdolne. Niby niezachodząca gwiazda polarna, co w ciągu nie kończącej się arktycznej, sześciomiesięcznej nocy utrzymuje swe przenikliwe, równe, skoncentrowane światło — cel, do którego dążył Ahab, teraz uparcie promieniał nad nieprzerwaną nocą ponurej załogi. Tak bardzo przytłaczał marynarzy, że wszystkie ich przeczucia, wątpliwości, obawy i lęki wolały się kryć w głębi ich dusz, nie wypuszczając na zewnątrz nawet jednego pędu czy listka.

W tym doniosłym momencie zniknął też wszelki humor wymuszony czy naturalny. Stubb już nie usiłował wywołać uśmiechu; Starbuck nie usiłował też uśmiechów tłumić. Radość i troska, lęk i nadzieja na równi zdały się być zmielone na najdrobniejszy proch, wsypany w owej chwili do swoistej zaprawy żelaznej duszy Ahaba. Ludzie poruszali się w

milczeniu po pokładzie niby maszyny, stale świadomi tego, że zwrócone jest na nich despotyczne oko dowódcy.

Gdybyście mu się jednak bacznie przyjrzeli w tych sekretniejszych, poufnych godzinach, kiedy sądził, że żadne spojrzenie, oprócz jednego, nie spoczywa na nim, dostrzeglibyście, że tak samo jak oczy Ahaba nieciły przerażenie w oczach marynarzy, tak też i wzrok nieprzeniknionego parsa budził lęk w oczach kapitana, a w każdym razie czasem straszliwie nań oddziaływał. Smukłego Fedallaha zaczęła teraz otaczać tak wzmożona, nieuchwytna niesamowitość, wstrząsały nim dreszcze tak nieustanne, że ludzie spoglądali nań z powątpiewaniem, niezupełnie snadź pewni, czy jest naprawdę uczyniony z żywej, doczesnej substancji, czy też jest tylko cieniem rzucanym na pokład przez ciało jakowejś niewidzialnej istoty. A cień ów stale się tam błąkał. Nikt bowiem nie wiedział na pewno, czy nawet nocą Fedallah zdrzemnął się kiedykolwiek lub zeszedł pod pokład. Godzinami stał nieruchomo; nigdy nie usiadł ani nie oparł się o nic; jego wyblakłe, przedziwne oczy mówiły wyraźnie: „My, dwaj czatownicy, nie spoczywamy nigdy”.

Obecnie było też niepodobieństwem, żeby marynarze wyszli na pokład o którejkolwiek porze, nocą czy za dnia, i nie zastali tam już Ahaba — albo stojącego z nogą w otworze, albo miarowo stąpającego po deskach pomostu między dwiema niezmiennymi granicami: grot- i bezanmasztem. Widywano go też stojącego w zejściu kajutowym, z żywą nogą wysuniętą na pokład, jak gdyby miał dać krok, w kapeluszu mocno wciśniętym na oczy. I jakkolwiek stał tam bez ruchu, jakkolwiek przybywało nocy i dni, w czasie których nie kołysał się w swym hamaku, jednakże nie można było nieomylnie stwierdzić, czy oczy jego ukryte pod opuszczonym rondem kapelusza chwilami istotnie się przymykają, czy też kapitan bacznie śledzi swych ludzi, choćby tak stał w zejściu przez całą godzinę bez przerwy, nie dbając, że nocna wilgoć zbiera się paciorkami rosy na owej w kamieniu wykutej kurcie i kapeluszu. Odzienie, które noc przemoczyła, schło na nim w słońcu następnego ranka; i tak to

trwało dzień po dniu i noc po nocy; nie schodził już pod pokład, a jeśli czegokolwiek potrzebował z kajuty, posyłał kogoś, by mu to przyniósł.

Jadał na otwartym powietrzu, to znaczy tylko swoje dwa posiłki — śniadanie i obiad, gdyż wieczerzy nigdy nie tykał; nie obcinał też brody, która rosła mu ciemna, cała poskręcana, niby wyrwane z ziemi korzenie obalonych drzew, co nadal rosną leniwie u obnażonej podstawy, choć sczezła ich górna zieleń. Jakkolwiek jednak całe jego życie stało się teraz nieprzerwaną wachtą na pokładzie i choć tajemnicza straż pełniona przez parsa była równie nieprzerwana jak jego własna, przecież ci dwaj zdawali się nigdy do siebie nie mówić — chyba tylko z rzadka, gdy jakaś nieistotna sprawa skłoniła ich do tego. Mimo że czar tak przemożny najwyraźniej jednoczył tajemnie tych dwóch ludzi, przecie na zewnątrz, wobec ogarniętej lękiem załogi, zdawali się być sobie dalecy jak dwa bieguny. O ile nawet zagadali do siebie przypadkiem za dnia, to nocą obaj byli jak niemi; nie odzywali się do siebie ni słowem. Czasami przez długie godziny nie wydając żadnego głosu, stali z dala od siebie w poświacie gwiazd — Ahab w zejściu kajutowym, Fedallah u grotmasztu — jednako nieruchomo wpatrywali się w siebie nawzajem, jak gdyby w parsie Ahab widział rzucany przez się cień, a pars w Ahabie — opuszczoną materialną część swojego jestestwa.

Mimo to jednak Ahab w swej właściwej istocie — tak jak się ona władczo jawiła jego podkomendnym co dzień, co godzina i co chwila — zdawał się niezawisłym panem, a pars tylko jego niewolnikiem. A jednak obaj byli najwyraźniej ze sobą sprzęgnięci, wiódł ich zaś jakowyś niewidzialny tyran; smukły cień podążał za twardą szpantą. Czymkolwiek bowiem był pars, szpantami i kilem był twardy Ahab.

O pierwszym bladym brzasku jutrzenki słyszano dolatujący od rufy jego żelazny głos: „Posterunki na maszty!” — i przez cały dzień, aż do zachodu słońca i nawet po zmierzchu, ten sam głos dawał się słyszeć co godzina na dźwięk dzwonu sternika: „Co tam widzicie? Wypatrywać bystro!”

Kiedy jednakże upłynęły trzy czy cztery dni od spotkania poszukującej dzieci „Racheli” i nie dojrzano jeszcze żadnej fontanny, maniacki kapitan począł snadź tracić zaufanie do wierności swej załogi, a przynajmniej do nieledwie wszystkich marynarzy z wyjątkiem pogańskich harpunników; zdawał się nawet powątpiewać, czy Fiask i Stubb umyślnie nie przeoczyli widoku, którego szukał. Wszelako jeśli naprawdę żywił podobne podejrzenia, to jednak roztropnie powstrzymywał się od wyrażania ich słowami, jakkolwiek czyny jego zdawały się na nie wskazywać.

— Sam muszę pierwszy dostrzec wieloryba — powiedział. — Tak! Ahab musi dostać dublon! — i własnymi rękami sporządził gniazdo z koszykowato plecionych lin, a posławszy na górę marynarza z pojedynczym blokiem, kazał mu go przytwierdzić do górnego złącza steng grotmasztu, pochwycił oba zrzucone końce przewleczonej przez boki liny i do jednego z nich przymocował swój kosz, dla drugiego zaś przygotował nagiel, by linę uwiązać u nadburcia. Następnie stanął obok nagla i trzymając ciągle w ręku ów wolny koniec liny, rozejrzał się po załodze, tocząc wzrokiem od jednego człowieka do drugiego, długo zatrzymał oczy na Daggoo, Queequegu i Tasztego, unikając jednak Fedallaha, a następnie utkwił stanowcze, ufne spojrzenie w pierwszym oficerze i powiedział:

— Bierz pan linę. Składam ją w twoje ręce, Starbuck. Następnie usadowił się w koszu i dał znak, by go wciągnięto

na górę, przy czym Starbuck był tym, który zamocował linę, później zaś stał przy niej. I tak, jedną ręką obejmując bombramstengę, Ahab wypatrywał po morzu na całe mile — przed dziobem, za rufą, w lewo i prawo — ogarniając wzrokiem szerokie, rozległe kolisko, widoczne z tak ogromnej wysokości.

Kiedy na morzu marynarz, wykonując rękami jakąś robotę w wysokim, całkiem samotnym miejscu między takielunkiem, gdzie nie ma na czym oprzeć stopy, zostanie wywindowany do tego punktu i utrzymywany tam jest za pomocą liny, wówczas jej przytwierdzony na pokładzie koniec powierzany bywa ścisłej opiece jednego z ludzi, który specjalnie pełni nad nim

straż. Albowiem pośród biegnącej na wsze strony gęstwiny takieluriku, którego przeróżne wzajemne powiązania w górze nie zawsze można nieomylnie z pokładu rozeznać, zważywszy także, iż dolne, pokładowe końce lin co kilka minut zrzuca się z nagli, byłoby zupełnie naturalną fatalnością, gdyby wywindowany w górę marynarz, pozbawiony stałego strażnika, zleciał stamtąd przez jakieś niedbalstwo załogi i runął jak kamień w morze. Tak więc kroki przedsięwzięte w tej mierze przez Ahaba nie miały w sobie nic niezwykłego; osobliwe było w nich chyba tylko to, że właśnie Starbuck, bodaj jedyny człowiek, który kiedykolwiek miał odwagę sprzeciwić się kapitanowi w sposób, w najlżejszym choćby stopniu przypominający stanowczość — a także jeden z ludzi, w których uczciwość na posterunku obserwacyjnym Ahab zdawał się nieco wątpić — dziwne więc było, że tego właśnie człowieka wybrał sobie teraz na strażnika, dobrowolnie powierzając swe życie w ręce kogoś, komu skądinąd tak nie ufał.

Owóż gdy Ahaba po raz pierwszy wciągnięto na górę, nie upłynęło dziesięć minut, kiedy pojawił się jeden z owych dzikich, czerwonodziobych sokołów morskich, które w tych stronach tak często latają niebezpiecznie blisko obsadzonych przez posterunki masztów statku wielorybniczego, i począł z krzykiem kreślić wokoło głowy kapitana gmatwaninę splątanych, szybkich kręgów. Następnie wzbił się na tysiąc stóp prosto w górę, po czym opuścił się spiralą i znowu jął wirować wokoło jego głowy.

Lecz Ahab mając wzrok utkwiony w mglisty, daleki horyzont nie zauważył snadź owego dzikiego ptaka; a i w istocie nikt inny nie zwróciłby nań większej uwagi, jako że nie był to żaden niezwykły wypadek; tyle tylko, że obecnie nawet najmniej baczne oko dopatrywało się jakiegoś szczególnego znaczenia niemal we wszystkim, co widziano.

— Kapelusz, pański kapelusz, kapitanie! — zakrzyknął nagle marynarz sycylijski, który, pełniąc służbę na szczycie bezanmasztu, stał wprost za Ahabem, choć nieco niżej, oddzielony odeń głęboką, przepastną pustką.

Ale już krucze skrzydło przesłoniło oczy kapitana, długi, zakrzywiony dziób sięgnął jego głowy; z wrzaskiem czarny sokół umknął precz, unosząc swoją zdobycz.

Orzeł po trzykroć okrążył głowę Tarkwiniusza zdejmując mu czapkę i nakładając ją z powrotem, na co Tanakwilla, jego małżonka, orzekła, że Tarkwiniusz zostanie królem Rzymu. Jednakże omen poczytano za dobry tylko dzięki owemu nakładaniu czapki z powrotem. Kapelusz Ahaba nigdy nie został zwrócony; dziki sokół leciał z nim coraz dalej i dalej, hen, przed dziobem statku, i na koniec zniknął z oczu, gdy zaś już znikał, rozeznano jak przez mgłę maleńki czarny punkcik, który spadł w morze z owej olbrzymiej wysokości.

ROZDZIAŁ CXXXI
„PEQUOD" SPOTYKA „ROZKOSZ”

Zaciekły „Pequod” żeglował dalej; płynęły rozkołysane fale i dnie: trumna-boja wciąż lekko się chwiała u rufy; i oto spostrzeżono inny żaglowiec, jakże żałośliwie i mylnie przezwany „Rozkoszą”. Gdy był już blisko, wszystkie oczy skupiły się na jego grubych belkach, „nożycami” zwanych, które na pewnych statkach wielorybniczych umieszczone są ponad mostkiem kapitańskim na wysokości ośmiu czy dziewięciu stóp, a służą do zawieszania zapasowych, nie wyposażonych lub też uszkodzonych szalup.

Na „nożycach” owego statku dojrzano potrzaskane, białe żebra oraz kilka połupanych desek czegoś, co niegdyś było łodzią wielorybniczą; tylko że teraz można było patrzeć wskroś tego wraku równie swobodnie jak poprzez ogołocony, rozlekotany, pobielały szkielet koński.

— Widzieliście białego wieloryba?

— Patrzcie! — odparł zza relingu rufowego wychudły kapitan wskazując tubą wrak łodzi.

— Ubiliście go?

— Jeszcze ten harpun nie ukuty, co tego kiedykolwiek dokona — odpowiedział kapitan rzucając smutne spojrzenie w stronę spoczywającego na pokładzie, wypchanego hamaku, którego ściągnięte krawędzie zeszywało właśnie kilku milczących marynarzy.

— Nie ukuty! — Porwawszy z widełek nastawione żeleźce Pertha Ahab wyciągnął je przed siebie i zakrzyknął: — Patrz, nantucketańczyku! Tu oto, w tej dłoni dzierżę jego śmierć! Krwią hartowany, piorunem hartowany jest ten grot i klnę się,

że go po trzykroć zahartuję w owym gorącym miejscu za płetwą białego wieloryba, gdzie najmocniej krąży jego przeklęte życie!

— A zatem niech Bóg ma cię w swojej opiece, kapitanie. Czy widzisz? — wskazał hamak. — Chowam zaledwie jednego z pięciu krzepkich marynarzy, co żyli jeszcze wczoraj, lecz martwi byli, nim noc zapadła. Tylko tego jednego chowam, reszta pochowana została jeszcze przed śmiercią. Żeglujesz po ich grobie. — Następnie, zwróciwszy się do swych ludzi, rzekł: — Gotowiście już! Położyć deskę na relingu i unieść ciało — o tak! Boże! — wykrzyknął zbliżając się do hamaka ze wzniesionymi rękami. — Oby zmartwychpowstanie i życie…

— Brasuj w przód! Ster za burtę! — jak grom krzyknął Ahab swoim ludziom.

Lecz nagle ruszony z miejsca „Pequod” nie zdążył umknąć pluśnięciu, z którym w następnej chwili ciało uderzyło o falę; nie zdążył też ujść dość szybko, by wystrzelające w górę bryzgi nie pokropiły jego kadłuba upiornym chrztem.

Gdy teraz Ahab oddalał się od zgnębionej „Rozkoszy”, niesamowita boja ratunkowa zawieszona u rufy „Pequoda” ukazała się z całą wyrazistością.

— Hej, patrzcie, patrzcie tam, ludzie! — zakrzyknął wieszczy głos w naszym kilwaterze. — Próżno, o nieznajomi, uciekacie od naszego smutnego pogrzebu. Obracacie ku nam rufę po to tylko, aby swą trumna id="filepos624037"> ukazać!

ROZDZIAŁ CXXXII
SYMFONIA

Był jasny, stalowobłękitny dzień. Firmamenty powietrza i wód ledwo mogłeś odróżnić w owym wszystko przenikającym lazurze; tylko zadumane powietrze było przezroczyste miękkie, jakby niewieście, a mocarne, męskie morze wzdymało się długimi, potężnymi wolnymi tchnieniami niby pierś pogrążonego we śnie Samsona.

Tu i ówdzie, hen, wysoko, migały śnieżnobiałe skrzydła niewielkich, przeczystych ptaków; były to łagodne myśli niewieściego powietrza", tu i tam w głębinach, daleko w dole, pośród bezdennej modrości, sunęły potężne Lewiatany. ryby-miceze i rekiny, to krzepkie, niespokojne, morderczo myśli męskiego morza.

Choć jednak wnętrzem tak ze sobą kontrastowały, na zewnątrz kontrast ów ujawniał się jedynie barwą i odcieniami; morze i niebo zdawały się być jednością i tylko jak gdyby płeć je różniła.

Hen, w górze, słońce niby królewski car i m:march'a. dawało zuchwałemu, rozkołysanemu morzu owo łagodne powietrze jak oblubienicę oblubieńcowi. Opasująca to wszystko linia horyzontu lekkim, migotliwym drganiem najczęściej spotykanym tu, na równiku — wyrażała tkliwą, pełną drżeń ufność, miłosny-niepokój, z jakim biedna oblubienica osuwa, się w oczekujące ramiona.

Zebrany w sobie, zwarty, poorany bruzdami i zmarszczkami, z dzikim, nieustępliwym wejrzeniem z oczami gorejącymi jak węgle, co jeszcze się żarzą pośród zgliszcz ruiny, niewzruszony

Ahab wyszedł na światłość poranka, podnosząc pęknięty szyszak swego czoła ku jasnym, dziewczęcym skroniom niebios.

O ty, wieczyste dziecięctwo i niewinności lazuru! O, niewidzialne, uskrzydlone stwory, co wokół nas igracie! Słodkie pacholęctwo powietrza i nieba! Jakoście były niepomne doskwierającej niedoli Ahaba! Tak to widziałem małą Miriam i Martę, radosnosokie elfy płocho skaczące wokół starego rodzica, igrające pierścieniami osmalonych włosów, co rosły na krawędzi wypalonego krateru jego mózgu.

Przeszedłszy z wolna od zejścia kajutowego przez pokład, Ahab wychylił się za burtę i patrzał, jak jego cień na wadzie zanurza; się coraz bardziej i bardziej, im usilniej on sam próbuje przebić wzrokiem głębinę. Wszelako cudny aromat owego zaczarowanego powietrza rozproszył, zda się, na chwilę zropiały wrzód tkwiący w jego duszy. Radosne, szczęśliwe powietrze, to urzekające niebo wreszcie go ugłaskały i utuliły; macocha-świat, tak długo dlań okrutna i odstręczająca, teraz zarzuciła mu tkliwe ramiona na nieugiętą szyję i zdawała się łkać nad nim radośnie jak gdyby nad kimś, kogo mogła teraz całym sercem ocalić i uszczęśliwić, chociaż był hardy i błądził. Spod nasuniętego na oczy kapelusza Ahab uronił w morze łzę; cały Pacyfik nie zawierał takiego bogactwa jak ta jedyna, maleńka kropla.

Starbuck spostrzegł kapitana; ujrzał go ciężko wspartego o burtę i zdało się że we własnym, uczciwym sercu dosłyszał niezmierne szlochanie, co wymykało się z pogodnej ciszy, jaka zaległa dokoła. Bacząc, by nie tknąć kapitana, by nie być przezeń zauważonym, podsunął się jednak blisko i tam przystanął.

Ahab obrócił się.

— Starbuck!

— Kapitanie…

— O, Starbuck! Jakiż łagodny, łagodny powiew, jakie łagodne niebo! Takiego dnia — niemal takiego słodkiego jak dziś — ugodziłem swojego pierwszego wieloryba — chłopiec — harpunnik osiemnastoletni! Czterdzieści, czterdzieści lat temu!

Czterdzieści lat ustawicznych połowów! Czterdzieści lat wyrzeczeń, niebezpieczeństw i burz! Czterdzieści lat na bezlitosnym morzu! Na cztery dziesiątki lat Ahab wyrzekł się spokojnego lądu, przez lat czterdzieści prowadził walkę z potwornościami głębiny! Tak, tak jest, Starbuck, z tych czterdziestu lat nawet trzech nie spędziłem na lądzie. Kiedy pomyślę o życiu, jakie wiodłem, o pustce samotności, jaką ono było, o kamiennym, warownym odosobnieniu kapitana, co znikomy daje dostęp wszelkim uczuciom z zielonych krain leżących na zewnątrz niego — jakież to znużenie, jaki ciężar! Gwinejska niewolo samotnego dowodzenia! Gdy uprzytomnię sobie to wszystko, czego dotychczas ledwie się domyślałem, a czego nigdy dotąd nie uświadomiłem sobie z taką przenikliwością — jak to przez lat czterdzieści żywiłem się suchą, soloną strawą — prawdziwym symbolem suchego pożywienia mojej duszy! — podczas gdy najuboższy z ludzi mógł co dzień sięgnąć po świeży owoc i łamać świeży chleb tego świata, ja zaś jedynie spleśniałą skibę — kiedy pomyślę, żem był daleko, o całe oceany, od owej żony-dzieweczki, którą poślubiłem po pięćdziesiątce udając się następnego dnia na Przylądku Horn i na mej małżeńskiej poduszce jeden tylko pozostawiając ślad głowy... Żona-li to była? Żona? Już raczej wdowa po mężu żyjącym! Tak, owdowiała ta biedna dziewczyna, kiedym ją pojął za żonę, Starbuck... A potem ten szał, ten obłęd, ta wrząca krew i dymiące czoło, z jakim po tysiąckroć stary Ahab, wściekły, spieniony, spuszczał szalupę i gnał za swą ofiarą, bardziej demonem będąc niż człowiekiem! Tak, tak! Przez lat czterdzieści jakimże głupcem, głupcem, starym głupcem był stary Ahab! Po co owa zaciekłość pościgu? Po cóż utrudzać, paraliżować ramię wiosłem, harpunem i lancą? Czymże jest Ahab bogatszy czy lepszy w tej chwili? Spójrz na mnie. O, Starbuck! Czyż to nie okrutne, że spode mnie noszącego takie brzemię wyrwano tę jedną nędzną nogę? Odsuń mi na bok te stare włosy; włażą mi w oczy i zdaję się płakać. Takie szare kosmyki nigdy nie wyrastają znikąd, prócz popiołów. Ale czy wyglądam bardzo staro, tak bardzo, bardzo

staro, Starbuck? Czuję się śmiertelnie osłabły, przygięty, przygarbiony, jak gdybym był Adamem słaniającym się pod brzemieniem stuleci, co się spiętrzyły od czasów Raju. Boże! Boże! Boże! Roznieś mi serce, roztrzaskaj mózg! Szyderstwo! Szyderstwo! Gorzkie, dojmujące szyderstwo siwych włosów! Zaliż dość już przeżyłem radości, by nosić was na skroni i wydawać się, i czuć tak nieznośnie starym? Bliżej! Podejdź bliżej do mnie, Starbuck. Niech spojrzę w ludzkie oczy — to lepsze, niż patrzeć w morze czy w niebo. Lepsze niż Boga oglądać. Klnę się na ziemię zieloną! Na jasny ogień kominka! Oto czarnoksięskie szkiełko, człowieku, w oczach twych widzę żonę, moją i dziecko. Nie, nie, pozostań na pokładzie, na pokładzie! Nie spuszczaj łodzi, gdy ja to czynić będę, kiedy napiętnowany Ahab rozpocznie pościg za Moby Dickiem. Niechże ten hazard ciebie ominie. Nie, nie! Nie czyń tego, ty, w którego oczach daleki dom dostrzegam !

— O, kapitanie mój, kapitanie! Duszo szlachetna! Masz jednak wspaniałe serce! Po cóż by ktokolwiek miał ścigać tę rybę nienawistną! Uchodźmy! Uchodźmy z tych wód zabójczych! Płyńmy do domu! I Starbuck ma żonę i dziecko — żonę i dziecko swojej braterskiej, siostrzanej, beztroskiej młodości, tak jak ty, kapitanie, masz żonę i dziecko miłującej, tęsknej ojcowskiej starości! Uchodźmy! Uchodźmy stąd! Pozwól mi zaraz kurs zmienić! Jakże wesoło, jakże radośnie, o, kapitanie mój, mknąć będziemy z powrotem, by znów zobaczyć stare Nantucket! Myślę, że tam, w Nantucket, bywają takie same łagodne, błękitne dnie jak ten.

— Bywają, bywają. Widywałem je — niektóre letnie dni o poranku. W tej pewnie chwili… tak, teraz jest jego południowa drzemka… Chłopiec mój żwawo się budzi; siada na łóżku — a jego matka opowiada mu o mnie, starym kanibalu, jak to jestem hen, daleko na głębinie, ale powrócę jeszcze, by znów z nim dokazywać.

— Tak samo moja Mary, moja Mary! Obiecała, że co ranka wynosić będzie mojego chłopaczka na wzgórze, by pierwszy ujrzał żagiel swego ojca! Tak, tak! Dość tego! Postanowione!

Płyniemy do Nantucket! Pójdź, kapitanie, przestudiuj kurs i ruszamy ! Patrz, patrz! Twarz syna w oknie! Rączką nam kiwa ze wzgórza!

Lecz Ahab wzrok odwrócił; otrząsnął się niby schnące drzewo owocowe, co roni na ziemię ostatnie, zetlałe jabłko.

— Cóż to jest, co za nienazwana, nieprzenikniona, nieziemska rzecz, jakiż podstępny, ukryty pan i władca, jakiż okrutny i bezlitosny cesarz mną włada, że wbrew wszelkim przyrodzonym miłowaniom i tęsknotom tak nadal prę, tłoczę się i cisnę przez cały czas, gotując się do uczynienia czegoś, na co w mym własnym, przyrodzonym sercu nawet bym się ośmielić nie mógł? Czy Ahab jest Ahabem? Czy to ja, czy Bóg, czy jeszcze ktoś inny to ramię podnosi? Wszelako jeśli wielkie słońce nie porusza się samo, lecz jest chłopcem na posyłki w niebie; jeśli ni jedna gwiazda nie może się obrócić, o ile jej w ruch nie wprawi jakowaś niewidzialna siła, to jakże to jedno małe serce uderzać by mogło, a ten jeden mały mózg snuć swoje myśli, gdyby to nie Bóg był przyczyną owego uderzania, owego myślenia, owego życia — Bóg, a nie ja? Zaprawdę, człowieku, obracani jesteśmy wkoło i wkoło na tym świecie, jak ów kabestan, a Los jest hanszpugiem. I ciągle — spójrz! — to roześmiane niebo i niezgruntowane morze! Patrz! Widzisz tego tuńczyka? Któż mu to wdrożył, że musi ścigać i zagryzać rybę latającą? Dokąd odchodzą mordercy? Kogóż należy potępić, jeśli samego sędziego włóczą przed kratki? Ale mamy łagodny wiatr i łagodnie wygląda niebo, a powietrze pachnie teraz, jak gdyby nawiewane było od łąk dalekich… Gdzieś hen, u stoków Andów, skoszono trawy, Starbuck, i żeńcy śpią w świeżym sianie. Śpią? A tak. Jakkolwiek byśmy się mozolili, zawsze wreszcie zaśniemy na polu. Zaśniemy? Tak, i rdzewieć będziemy pośród zieleni niby zeszłoroczne kłosy, ciśnięte na ziemię i zostawione wśród traw na wpół zżętych… Starbuck!

Ale oficer, z rozpaczy jak trup pobladły, już się był oddalił.

Ahab przeszedł przez pokład i wyjrzał przez drugą poręcz, lecz drgnął na widok dwojga odbitych w wodzie, utkwionych w nią oczu. Fedallah wsparty był nieruchomo o tę samą burtę.

ROZDZIAŁ CXXXIII
POŚCIGU DZIEŃ PIERWSZY

Tej nocy, w czasie środkowej wachty, kiedy kapitan — jak to czasami miał we zwyczaju opuścił właz kajutowy, przez który wyglądał, i poszedł do swego otworu w pokładzie, wyciągnął nagle głowę i jął węszyć zajadle morskie powietrze, podobnie jak to czyni mądry pies pokładowy, gdy okręt zbliża się do jakiejś egzotycznej wyspy. Orzekł, iż w pobliżu znajdować się musi wieloryb. Wrychle ów osobliwy odór, wydzielany przez żywego kaszalota niekiedy na znaczną odległość, stał się wyczuwalny dla całej wachty; toteż nikt z marynarzy nie zdziwił się, gdy Ahab, sprawdziwszy kompas, a następnie wskaźnik wiatru i ustaliwszy możliwie jak najdokładniej kierunek, z którego woń dolatywała, szybko rozkazał zmienić nieco kurs statku i skrócić żagle.

Roztropną wnikliwość, która podyktowała owe kroki, dostatecznie usprawiedliwił o brzasku widok długiej, lśniącej smugi na morzu, biegnącej wprost dziobu statku w tym samym co on kierunku, gładkiej jak olej i przypominającej przeplatającymi się wokół jej krawędzi zmarszczkami na wodzie polerowane, metaliczne miejsce, w którym przy ujściu głębokiego, wartkiego strumienia ścierają się dwa ostre nurty.

— Posterunki na maszty! Wszyscy na pokład!

Daggoo jął grzmocić w deski forkasztelu końcami trzech hanszpugów i pobudził śpiących marynarzy tak przeraźliwym waleniem, iż zdało się, że coś ich wydmuchuje z włazu, tak błyskawicznie ukazywali się na pokładzie trzymając odzienie w ręku.

— Co tam widzicie? — zawołał Ahab zadzierając twarz ku niebu.

— Nic, nic, kapitanie! — posypały się z góry odpowiedzi.

— Stawiaj bramżagle! „Wrony”! W górze, w dole i z obu stron!

Gdy rozwinięto już wszystkie żagle, Ahab odwiązał teraz z naglą linę przeznaczoną do wciągania go na szczyt bombramstengi głównego masztu i kiedy w kilka chwil później windowano go już w górę, znalazłszy się ledwie na dwóch trzecich drogi, wyjrzał przed siebie poprzez poziomą lukę między grotmarslem a bramżaglem i wyrzucił z siebie w powietrze krzyk podobny do wrzasku mewy:

— Tam dmucha! Tam dmucha! Garb niczym śnieżna góra! To Moby Dick!

Tknięci iskrą owego krzyku, który jednocześnie podchwyciły trzy posterunki na masztach, ludzie rzucili się przez pokład do olinowania, aby obejrzeć przesławnego wieloryba, którego od tak dawna ścigali. Ahab wydostał się już na swoje ostateczne stanowisko o kilka stóp wyżej od innych posterunków obserwacyjnych; tuż pod nim, na złączu bombramstengi, stał Tasztego, tak że głowa Indianina znajdowała się niemal na jednym poziomie z piętą Ahaba. Z tej wysokości ujrzeli teraz o jakąś milę przed sobą wieloryba, który za każdym przetoczeniem się fal ukazywał wysoki połyskliwy garb i regularnie wyrzucał w powietrze bezgłośny wydmuch. Zabobonnym marynarzom wydało się, że to ta sama fontanna, którą ongiś oglądali w poświacie księżyca na Atlantyku i Oceanie Indyjskim.

— I żaden z was nie dojrzał go przedtem? — krzyknął Ahab ludziom uczepionym wokół niego.

— Zobaczyłem go prawie w tej samej chwili, co pan, kapitanie, i krzyknąłem — odparł Tasztego.

— Nie w tej samej chwili, nie w tej samej! Nie, dublon jest mój. Los zachował go dla mnie. Ja tylko — nikt z was — mogłem pierwszy dojrzeć białego wieloryba. O, dmucha, dmucha — tam dmucha! Znowu! Znowu! — wykrzykiwał przeciągłym, nieśpiesznym, rytmicznym głosem, zestrojonym z dobrze

widocznymi, coraz dłuższymi wydmuchami wieloryba. — Będzie nurkował! Zwinąć „wrony”! Na dół bramżagle! Gotuj się przy trzech szalupach! Panie Starbuck, pamiętaj, zostań na pokładzie i kieruj statkiem. Sternik, uwaga! Steruj ostrzej na wiatr o rumb! Tak! Spokojnie, człowieku, spokojnie! Widać ogon! Nie, nie, to tylko cień na wodzie! Szalupy gotowe? Do szalup, do szalup! Spuszczaj mnie, Starbuck, spuszczaj, spuszczaj prędko, prędzej! — I osunął się przez powietrze na pokład.

— Wali prosto na zawietrzną, kapitanie! — krzyknął Stubb. — Prościutko od nas! Nie mógł jeszcze dojrzeć statku!

— Milcz, człowieku! Do brasów! Ster mocno na burtę! Brasuj, brasuj! Zatrzymać statek, zatrzymać! Tak! Dobrze! Szalupy, szalupy!

Wprędce spuszczono wszystkie szalupy, prócz łodzi Starbucka, wciągnięto na nie wszystkie żagle i wszystkie wiosła poszły w ruch; roztrącając wodę łodzie pomknęły jak strzała na zawietrzną; Ahab przewodził natarciu. Blady, śmiertelny błysk zapłonął w zapadniętych oczach Fedallaha, a wargi wykrzywił mu ohydny grymas.

Niby bezgłośne skorupy nautilusów lekkie łodzie mknęły po morzu, wszelako bardzo powoli zbliżały się do nieprzyjaciela. W miarę jak dopływały bliżej, ocean wygładzał się coraz bardziej, jak gdyby rozciągał na falach kobierzec; na myśl przywodził łąkę o południu, taki się na nim spokój roztaczał. Wreszcie, z zapartym tchem, łowca przybliżył się na tyle do swej pozornie niczego nie podejrzewającej ofiary, że cały polśniewający garb wieloryba stał się wyraźnie widoczny, gdy sunął wskroś fal niby samotna osobna bryła, ustawicznie okalana wirującym pierścieniem najdelikatniejszych, wełnistych, zielonawych pian. Za nimi ujrzał łowca ogromne, splątane zmarszczki lekko wystającego łba. W przodzie, po tureckim kobiercu wód, niósł się połyskliwy, biały cień szerokiego, mlecznego czoła w rytm melodyjnego, rozigranego pochlustu fal; za nim błękitne wody na przemian wlewały się w ruchomy wąwóz równego wartu, po obu zaś stronach wzbijały

się i tańczyły świetliste banieczki pian. Te jednak roztrącały z kolei drobne szpony setek wesołych ptaków, które lekko muskały skrzydłami wodę, to znów raptownie podrywały się w górę; zaś na kształt masztu banderowego, co wznosi się na malowanym kadłubie okrętu, z grzbietu białego wieloryba sterczało wysokie, choć nadłamane drzewce niedawno wbitej lancy. Od czasu do czasu któryś z chmary trzepotliwych ptaków, unoszących się niby baldachim tuż ponad wielorybem i muskajcych tu i ówdzie jego grzbiet cicho przysiadał na owym drzewcu i kołysał się na nim, a długie pióra jego ogona spływały w dół niby proporzec.

Jakaś łagodna radość — ogromne, pogodne ukojenie, czerpane *z* szybkości przenikało mknącego wieloryba. Nawet sam biały byk-Jowisz unoszący porwaną Europę, która przywarła do jego wdzięcznie wygiętych rogów, bacznie z ukosa śledzący dziewicę swymi pięknymi oczami, gdy mknęli z niepowstrzymaną, czarodziejską chyżością wprost do małżeńskiego gaju na Krecie — nawet sam Jowisz — Jowisz majestat najwyższy! — nie był wspanialszy od przesławnego białego wieloryba, tak bosko wskroś fal sunącego.

Na wsze strony, wraz z owym szlakiem na wodzie, który za nim rozlewał się tak szeroko, wieloryb roztaczał wokół swój powab; Nic więc dziwnego, że bywali łowcy, którzy niewymownie znęceni i urzeczeni tym spokojem ważyli się na atak; wszelako przekonywali się w sposób fatalny, że ta cisza jest jedynie powłoką huraganów. A jednak spokojny, jakże nęcąco spokojny, suniesz przed siebie, o, wielorybie, w mniemaniu tych wszystkich, co po raz pierwszy cię Ujrzeli, niebaczni, żeś już tylu przedtem w tenże sam sposób oszukał i unicestwił.

Tak oto, wskroś kojącego spokoju tropikalnego morza, wśród fal przypominających ludzi, którym pod wpływem najwyższej ekstazy dłonie klaszczące zawisły w powietrzu, płynął Moby Dick nie ukazując jeszcze wszystkiej straszliwości pogrążonego w toni kadłuba i całkowicie skrywając przed wzrokiem wywichniętą potworność swojej paszczęki. Wrychle jednak

przednia część potwora z wolna wydźwignęła się z wody. Przez chwilę całe jego marmurowe ciało tworzyło wysoki łuk na podobieństwo Mostu Naturalnego w Wirginii, po czym, ostrzegawczo załopotawszy w powietrzu sztandarem ogona, wielkie bożyszcze objawiło się, zanurkowało i zniknęło nam z oczu. Białe ptaki morskie zatrzymały się w locie i zamiatając po wodzie skrzydłami tęsknie krążyły nad zbełtaną sadzawką, którą na morzu zostawił.

Z podniesionymi wiosłami, opuszczonymi łopatkami, poluźniwszy płachty żagli, trzy szalupy unosiły się teraz cicho na wodzie w oczekiwaniu chwili, gdy Moby Dick ponownie się ukaże.

— Godzina! — powiedział Ahab, który stał jak wrośnięty na rufie swojej łodzi i patrzał hen, poza miejsce, w którym zniknął wieloryb, ku mglistym, modrym przestworzom i rozległemu, wabiącemu pustkowiu po zawietrznej. Trwało to tylko chwilę, bo znowu oczy kapitana jęły niejako wirować pod czaszką, gdy wzrokiem zamiatał wodne kolisko. Powiała silniejsza bryza; morze poczęło się wzdymać. — Ptaki! Ptaki! — krzyknął Tasztego.

Jeden za drugim, niby czaple ustawiające się do lotu, białe ptaki sunęły długim sznurem w stronę szalupy Ahaba; kiedy znalazły się o kilka jardów od niej, poczęły trzepotać się ponad wodą, krążąc i krążąc wkoło z radosnymi, pełnymi oczekiwania krzykami. Wzrok ich bystrzejszy był od ludzkiego. Ahab nie mógł jeszcze dojrzeć na morzu żadnego znaku, gdy jednak wpatrywał się i wpatrywał w toń, dostrzegł nagle głęboko w dole nie większą od białej łasicy żywą, białą plamę, która wypływała ku górze ze zdumiewającą szybkością i rosła coraz bardziej, aż wreszcie obróciła się i ukazała dwa długie, zakrzywione szeregi białych, lśniących zębów, wynurzające się z nieprzeniknionej topieli. Była to rozchylona paszcza i krzywa szczęka Moby Dicka; jego olbrzymie, niewyraźne cielsko stapiało się jeszcze z błękitem morza. Połyskująca paszczęka rozwarła się pod szalupą, niczym otwarty marmurowy grobowiec. Ahab jednym ukośnym zagarnięciem wiosła

sterowego okręcił łodzią i odsunął ją od owej zjawy straszliwej. Następnie, na dane hasło, Fedallah zamienił się z nim miejscem; Ahab przeszedł na dziób, porwał harpun Pertha i rozkazał załodze, by chwyciła za wiosła i gotowała się do cofnięcia szalupy.

Dzięki owemu okręceniu w porę łodzi na jej osi, dziób jej już z góry był tak ustawiony, że znalazł się na wprost łba wieloryba, gdy ten był jeszcze pod wodą. Jednakże, jakby przejrzawszy ów fortel, Moby Dick z ową przypisywaną mu złośliwą inteligencją w jednej chwili przekręcił się jakoś bokiem i wynurzył pofałdowany łeb wzdłuż popod szalupą.

Wskroś całej łodzi, wskroś każdej deski i każdej szpanty przebiegło teraz krótkie drżenie, gdy wieloryb, leżąc ukośnie na grzbiecie, tak jak to czyni kąsający rekin, powoli i starannie ujmował cały jej dziób w paszczę, tak iż długa, wąska, zgięta dolna szczęka zawisła wysoko w powietrzu, a jeden z zębów zahaczył o dulkę. Błękitnawe, perłowobiałe wnętrze paszczy znalazło się o sześć cali od głowy Ahaba, sięgało zaś jeszcze wyżej. W tej pozycji biały wieloryb potrząsnął teraz wątłą cedrową łodzią, niczym spokojny, łagodnie okrutny kot — myszą. Fedallah przyglądał się temu nieporuszony i skrzyżował ręce na piersiach; natomiast tygrysiożółta załoga poczęła na łeb na szyję cisnąć się i deptać, aby tylko dotrzeć do najdalszego krańca rufy.

Oba elastyczne nadburcia wyginały się do środka i na zewnątrz, gdy wieloryb igrał w ów szatański sposób z nieszczęsną łodzią; ponieważ zaś cielsko jego było pod nią zanurzone, nikt nie mógł ugodzić weń z dziobu, tym bardziej że sam dziób tkwił niemal cały w paszczy potwora. I kiedy inne szalupy bezwiednie zatrzymały się w miejscu, jakby w obliczu rychłej katastrofy, której nie sposób zapobiec, Ahab doprowadzony do szału przez udrękę bliskości swego wroga, która sprawiała, że on, żywy i bezradny, znalazł się w samej znienawidzonej paszczy, pochwycił w obłędzie furii długą szczękę gołymi rękami i wściekle począł szarpać, usiłując rozewrzeć jej uścisk. Gdy się tak daremnie z nią zmagał,

szczęka wymknęła mu się, wątłe nadburcia przygięły, załamały i trzasły, a obie szczęki, niby przeogromne nożyce, spadając dalej ku rufie przecięły łódź na dwoje i zwarły się mocno w wodzie pomiędzy dwiema pływającymi częściami wraku. Fala odsunęła je od siebie z obwisłymi, potrzaskanymi końcami desek; na szczątku rufy ludzie przywarli do nadburć usiłując trzymać się wioseł.

W tamtej chwili poprzedzającej roztrzaskanie szalupy, Ahab pierwszy poznał zamiary wieloryba po chytrym podniesieniu łba, które na chwilę rozluźniło uścisk; wówczas to ręka kapitana uczyniła ostatni wysiłek, aby wypchnąć szalupę spomiędzy szczęk. Wszelako łódź wślizgiwała się coraz głębiej w paszczę wieloryba i w tym momencie przechyliła na bok, co sprawiło, że szczęka wymknęła mu się z rąk, gdy zaś pochylił się pod wpływem pchnięcia, wypadł za burtę i runął na płask w wodę.

Moby Dick prując toń odsunął się był od swej ofiary i spoczywał teraz w niewielkiej odległości rzucając pionowo w wodzie podługowatym, białym łbem to do góry, to w dół i jednocześnie wolno okręcając jak wrzecionem całym swym cielskiem. Gdy olbrzymie, pomarszczone czoło potwora wychynęło na jakieś dwadzieścia czy więcej stóp z wody, wezbrane bełty wraz ze wszystkimi ścierającymi się falami poczęły rozbijać się o nie, mściwie wyrzucając rozpylone bryzgi hen, wysoko w powietrze *. Tak to w czas sztormu, ledwie wpół ujarzmione bałwany na Kanale odskakują od nabrzeży Eddystone tylko po to, by tryumfalnie przesadzić ich krawędzie kurzawą pian.

Rychło jednakże Moby Dick powrócił do poziomego położenia i jął bystro pływać wkoło i wkoło rozbitków, bokiem burząc wodę na swym mściwym warcie, jak gdyby dodawał sobie bodźca do ponownego i jeszcze bardziej morderczego ataku. Widok roztrzaskanej łodzi snadź go rozjuszał, podobnie jak sok winnych jagód i owoców morwy rozjuszał słonie Antiocha z księgi Machabeuszów. Tymczasem Ahab na poły się dusił wśród pian wzbijanych przez zuchwały ogon kaszalota; kalectwo nie

pozwalało mu płynąć, choć mógł się jakoś utrzymać na wodzie, nawet w samym sercu tak straszliwego wiru; widać też było głowę bezradnego kapitana podobną do podrzucanej banieczki wody, którą rozbić mogło pierwsze lepsze, najlżejsze choćby uderzenie. Ze szczątka rufy Fedallah przypatrywał mu się spokojnie i bez ciekawości; marynarze uczepieni u wraku drugiej spychanej przez wodę części szalupy nie mogli przyjść kapitanowi z pomocą, ile że byli zupełnie pochłonięci ratowaniem samych siebie. Jakoż widok kołującego białego wieloryba był tak straszliwy, a zacieśniające się kręgi, jakie zataczał, tak planetarnie chybkie, iż zdawało się, że lada chwila spadnie na nich poziomo niby drapieżny ptak.

I chociaż inne szalupy, nietknięte, unosiły się blisko na wodzie, nie śmiały jednak wpłynąć w wir, by uderzyć, gdyż stałoby się to hasłem do natychmiastowego unicestwienia zagrożonych rozbitków z Ahabem włącznie, a same łodzie nie mogłyby wówczas mieć żadnej nadziei na ocalenie. Ze wszystkich sił wytężając wzrok pozostawali więc na samym skraju straszliwego kręgu, którego ośrodkiem stała się teraz głowa kapitana.

Tymczasem ze szczytów masztów żaglowca obserwowano to wszystko od samego początku; przebrasowawszy więc reje statek płynął wprost ku miejscu katastrofy i był już teraz tak blisko, że Ahab krzyknął z wody: — Steruj na... — ale w tej chwili spieniony bałwan chlusnął nań od Moby Dicka i skrył go na chwilę pod wodą. Ahab wydobył się jednak znowu na wierzch i w chwili gdy przypadkiem wyniosła go w górę spiętrzona grzywa fali, krzyknął:

— Steruj na wieloryba! Odpędźcie go!

„Pequod" skierował dziób w tę stronę i przełamawszy zaczarowany krąg, ostatecznie odepchnął białego wieloryba od jego ofiar. Gdy potwór ponuro odpływał, szalupy rzuciły się na pomoc.

Ahaba wciągnięto do łodzi Stubba; miał krwią nabiegłe źrenice, oślepłe oczy, a w bruzdach jego twarzy zakrzepła biała sól morska; długotrwałe napięcie fizycznych sił ustąpiło,

bezradnie poddał się na chwilę śmiertelnemu wyczerpaniu, które go ogarnęło, i legł zmiażdżony na dnie łodzi Stubba jak człek, którego stratowało stado słoni. Z głębi jego jestestwa dobywały się niewymowne jęki niby rozpaczne zawodzenia dolatujące z dna otchłani.

Wszelako właśnie to natężenie jego fizycznej prostracji sprawiło, że trwała krócej. Czasami wielkie serca w ciągu jednej chwili ściśnie głęboka boleść, która jest sumą ogólną owych płytkich cierpień, łaskawie rozsianych po całym życiu ludzi słabszych. I serca owe, choć krótko, doświadczają każdego poszczególnego strapienia, przecie, jeśli taka jest wola bogów, skupią w ciągu życia całe stulecia cierpień, na których sumę składają się chwilowe, gwałtowne doznania; albowiem owe szlachetne natury są zdolne zawrzeć w sobie całe kręgi dusz pośledniejszych.

— Harpun… — wyszeptał Ahab unosząc się nieco i ciężko wspierając na zgiętej ręce. — Czy jest w porządku?

— Tak, kapitanie, boć przecie nie był rzucony. Oto on — odparł Stubb pokazując mu broń.

— Połóż go przede mną. Brak kogoś?

— Jeden, dwóch, trzech, czterech, pięciu: było pięć wioseł i jest pięciu ludzi.

— Dobrze. Pomóż mi… chcę wstać. Tak, tak, widzę go! Tam! Tam! Idzie dalej na zawietrzną. Cóż za fontannę wzbija! Zabierajcie się precz z tymi rękami! Wieczyste soki znów krążą w kościach Ahaba! Wciągnąć żagiel! Do wioseł, do rumpla!

Często się zdarza, że kiedy jedna szalupa zostanie rozbita, jej załoga, wyłowiona przez drugą, pomaga przy wiosłowaniu i w ten sposób prowadzi się dalej pościg z tak zwaną podwójną obsadą u wioseł. Stało się tak i teraz. Atoli pomnożona moc szalupy nie mogła dorównać pomnożonej mocy kaszalota; zdawało się, iż ten potroił obsadę u każdej płetwy, płynął bowiem z chyżością, która wyraźnie wskazywała, że jeśli teraz, w tych okolicznościach, będzie się pościg ciągnęło, przedłuży się on w nieskończoność albo okaże w ogóle beznadziejny. Żadna załoga nie była też w stanie wytrzymać przez tak długi czas

podobnie nieprzerwanego, wytężonego wysiłku u wioseł, który ledwie by był do zniesienia w razie jakiejś krótkotrwałej konieczności. Toteż, jak się to czasem zdarza, sam statek stanowił na razie najodpowiedniejszy środek do podjęcia pogoni. Szalupy więc skierowały się teraz ku niemu i wrychle zawisły na szlupbelkach; dwie części rozbitej łodzi „Pequod" wyłowił już przedtem i wciągnąwszy wszystko po kadłubie, rozwinął wysoko w górze żagle, po bokach rozłożył płachty „wron" niby podwójne skrzydła albatrosa i ruszył ku zawietrznej śladem Moby Dicka. W dobrze znanych, równych odstępach czasu regularnie meldowano z obsadzonych masztów o połyskliwej fontannie wieloryba. Kiedy zaś donoszono, że właśnie znurkował, Ahab sprawdzał czas i z naktuzowym zegarkiem w dłoni poczynał kroczyć po pokładzie; a ledwie upłynęła ostatnia sekunda zwykłej w tych razach godziny, słyszano jego głos: — Czyjże będzie teraz dublon? Widzicie wieloryba? — Jeśli zaś odpowiedź brzmiała: — Nie, kapitanie! — rozkazywał natychmiast, by go windowano na stanowisko. W ten sposób upłynął dzień; Ahab to wisiał w bezruchu na górze, to znów niezmordowanie kroczył po pokładzie.

Gdy tak się przechadzał, nie wydając ni dźwięku, chyba tylko po to, by krzyknąć coś posterunkom na masztach lub też rozkazać, aby wciągnięto jeszcze wyżej któryś z żagli czy inny rozwinięto szerzej — krocząc tam i z powrotem w kapeluszu wciśniętym na oczy, za każdym nawrotem mijał swą własną rozbitą szalupę, która, złożona na mostku kapitańskim, leżała tam przewrócona, ze strzaskanym dziobem, skierowanym ku rozwalonej rufie. Nareszcie zatrzymał się przed nią i podobnie jak po już zachmurzonym niebie przepłyną czasem świeże chmur zastępy, przez twarz kapitana przemknął teraz jakiś nowy cień.

Gdy Ahab przystanąrze, Stubb, chcąc być może, acz nie przez chełpliwość, pokazać swój hart niezłomny i w ten sposób zaskarbić sobie uznanie kapitana dla własnego męstwa, przybliżył się i rzuciwszy okiem na wrak, zawołał:

— Oto oset, którego osioł nie chciał. Zbyt mocno pysk mu pokłuło, ha, ha, ha!.

— Cóż to za bezduszne stworzenie śmieje się w obliczu szczątków? Człowieku, człowieku! Gdybym nie wiedział, żeś dzielny niczym nieulękły ogień (i równie mechaniczny), przysiągłbym, że jesteś tchórzem. Ni jęku, ni śmiechu nie powinno się słyszeć nad wrakiem.

— Tak, kapitanie — ozwał się Starbuck podchodząc do nich. — To widok uroczysty. Omen, i to zły omen.

— Omen? Omen? Dajcie mi słownik! Jeśli bogowie chcą wprost przemówić do człowieka, to prosto, uczciwie gadają, a nie potrząsają głowami, dając coś niejasno do zrozumienia wzorem starej baby. Odejdźcie! Jesteście dwoma przeciwnymi biegunami jednego i tego samego. Starbuck to Stubb odwrócony, Stubb zaś to Starbuck, a wy obaj to cały rodzaj ludzi. Ale Ahab tkwi samotnie pośród milionów zaludniających ziemię i nie ma ni bogów, ni ludzi za sąsiadów! Chłód, chłód! Drżę cały! No cóż tam w górze? Widzicie go? Krzyczeć za każdym wydmuchem, choćby dmuchał dziesięć razy na sekundę!

Dzień miał się już ku końcowi; jeszcze tylko szeleścił kraj jego pozłocistej sukni. Wprędce uczyniło się niemal zupełnie ciemno, ale na masztach ludzie wciąż trwali na posterunku.

— Nie widzę już wydmuchu. Za ciemno! — zawołał głos z góry.

— W którą stronę szedł ostatnio?

— Jak przedtem, kapitanie. Prosto na zawietrzną.

— Dobrze! Teraz, kiedy już noc zapadła, popłynie wolniej. Opuścić bombramsle i bramżagle, Starbuck. Nie powinniśmy go przegonić przed świtem; po tej podróży może się chwilę zatrzyma. Sternik, uwaga! Trzymaj się dobrze na wietrze! Wy tam, na górze! Złazić! Stubb, poślij pan nowego człowieka na fokmaszt. Dopilnuj, żeby posterunek był tam do rana. — Następnie podszedł do dublonu przybitego na grotmaszcie. — Ludzie, to złoto do mnie należy, bowiem je zarobiłem. Wszelako pozostawię je tutaj, dopóki biały wieloryb nie zginie, a wtedy

dostanie je ten spośród was, kto pierwszy go wypatrzy w dniu, w którym zostanie zabity. Jeślibym zaś owego dnia ja sam go znowu dojrzał, wówczas dziesięciokrotnie większa suma zostanie podzielona między was wszystkich. Rozejść się teraz! Pokład należy do pana.

To powiedziawszy opuścił się do połowy ciała w zejście kajutowe, nacisnął kapelusz na oczy i pozostał tak aż do świtu, od czasu do czasu budząc się z odrętwienia, aby popatrzeć, jak noc przemija.

ROZDZIAŁ CXXXIV
POŚCIGU DZIEŃ WTÓRY

Już o brzasku trzy maszty obsadzono od nowa.

— Widzicie go? — zawołał Ahab odczekawszy chwilę, by nieco się rozwidniło.

— Nic nie widać, panie kapitanie.

— Wszyscy na pokład, rozwijać żagle! Idzie szybciej, niżeli myślałem... Bramżagle! Tak, powinny były zostać na całą noc. Ale mniejsza, to tylko wytchnienie przed skokiem.

Należy tu nadmienić, że taka uparta pogoń za jednym poszczególnym wielorybem, trwająca dzień i noc, noc i dzień, nie jest bynajmniej czymś niebywałym w rybołówstwie na Morzach Południowych. Taka jest bowiem zadziwiająca biegłość, na doświadczeniu oparta wprawa i niezwyciężona pewność siebie, zdobywana przez niektóre przyrodzone geniusze spośród nantucketańskich dowódców, że *po* prostu na podstawie tego, jak po raz ostatni zaobserwują wieloryba, potrafią w danych okolicznościach wcale dokładnie przepowiedzieć zarówno kierunek, w którym będzie nadal przez pewien czas płynął poza zasięgiem ich wzroku, jak również prawdopodobną przestrzeń, jaką w owym czasie przebędzie. W takich to razach, po trosze jak pilot, co tracąc z oczu ląd, którego ogólne położenie jest mu dobrze znane i do którego zamierza niebawem w jakimś dalszym punkcie powrócić; jak ów pilot staje u kompasu i dokładnie pomierza kierunek widocznego w owej chwili cypla, aby tym pewniej ostatecznie trafić do odległego, niewidocznego przylądka — tak i łowca u swego kompasu postępuje w stosunku do wieloryba.

Albowiem po kilkugodzinnym pościgu i pilnym obserwowaniu ryby za dnia, później, gdy noc ją przesłoni, jej przyszły szlak w ciemnościach jest niemal równie pewnie ustalony w mądrym umyśle łowcy, jak położenie wybrzeża dla pilota. Tak więc przy zdumiewającej wprawie poławiacza przysłowiowa znikomość rzeczy pisanej na wodzie, czyli wartu, jest czymś niemal równie pewnym, jak ląd stały. I jak każde poruszenie potężnego żelaznego Lewiatana, nowoczesnej kolei, jest tak dobrze znane, że ludzie z zegarkiem w ręku odmierzają jej szybkość niczym lekarze puls dziecka i mówią niedbale, że pociąg idący w tę czy tamtą stronę przybędzie do tego a tego miejsca o takiej a takiej godzinie — podobnie też bywają przypadki, że owi nantucketańczycy odmierzają czas tego Lewiatana głębin według zaobserwowanej szybkości, jaką rozwija, i powiadają sobie, że za tyle a tyle godzin wieloryb przepłynie dwieście mil i dotrze mniej więcej do tego a tego stopnia długości i szerokości geograficznej. Wszelako, aby w końcu uwieńczyć powodzeniem takową przenikliwość, wiatr i morze muszą być sprzymierzeńcami wielorybnika, jakąż bowiem doraźną korzyść wśród ciszy morskiej czy przeciwnego wiatru przyniesie marynarzowi wprawa dająca mu pewność, że znajduje się dokładnie o dziewięćdziesiąt trzy i ćwierć mili od portu? Z tych stwierdzeń można wyciągnąć wiele ubocznych wniosków, dotyczących różnych subtelności wielorybich łowów.

Statek parł naprzód, pozostawiając na morzu bruzdę tak głęboką, jak zbłąkany pocisk armatni, co niby radło pługa przeorał równe pole.

— Do kroćset! — zawołał Stubb. — Od tego szybkiego ruchu pokładu aż człowiekowi ciarki po nogach chodzą, a w sercu pika! Ten statek i ja to dwa junaki! Ha, ha! Niech mnie ktoś złapie i puści grzbietem na fale, bo, do kroćset! Mój grzbiet to kil! Ha, ha, idziemy takim chodem, co kurzu nie pozostawia!

— Tam dmucha… dmucha!… Dmucha! Prosto przed nami! — zabrzmiał krzyk ze szczytu masztu.

— Aha! — zawołał Stubb. — Wiedziałem... Nie możesz zemknąć! Dmuchaj dalej, niech ci gardziel pęknie! O, wielorybie! Sam opętany szatan cię goni! Dmij w trąbę! Zedrzyj sobie płuca! Ahab ci krew zatamuje jak młynarz, co zamyka śluzy na strumieniu !

Stubb wyrażał w tej chwili uczucia niemal całej załogi. Albowiem o tym czasie zapał łowiecki zapienił się już w niej, niby na nowo przefermentowane stare wino. Jakkolwiek do tej pory niektórzy marynarze mogli odczuwać blady strach, bądź żywić złe przeczucia, jednakże teraz wzrastająca bojaźń przed Ahabem nie tylko utrzymywała je na wodzy, ale wręcz złamała i zawsząd przepłoszyła niby lękliwe zające, które na prerii rozproszy pędzący bizon. Dusze ich wszystkich pochwyciło w swe ręce Przeznaczenie, a serca porwała burzliwa groza dnia poprzedniego, dręczące napięcie ostatniej nocy, uparty, nieustraszony, ślepy, zuchwały pęd zaciekłego okrętu, który pruł wodę ku swemu mknącemu celowi. Wiatr, co wzdymał żagle niby olbrzymie brzuszyska i pchał statek naprzód równie niewidzialnym jak nieodpartym ramieniem, zdawał się być symbolem owej niewidocznej mocy, co tak ich zniewalała do pościgu.

Byli jak jeden mąż, nie jak trzydziestu ludzi. Albowiem podobnie jak ów statek, który niósł ich wszystkich, składał się wprawdzie z tylu najprzeróżniejszych rzeczy — dębu, klonu i sośniny, żelaza, smoły i konopi — a przecież stapiały się one wszystkie w jeden zwarty kadłub, co parł po swym szlaku utrzymywany w równowadze i kierowany przez długi centralny kil cent tak też i wszystkie indywidualności załogi, męstwo tego czy lęk tamtego, winy i występki, wszystkie najprzeróżniejsze cechy stapiały się w jedność i kierowane były do owego fatalnego celu, który im wskazał Ahab, ich kil i pan jedyny.

Liny ożyły. Szczyty masztów, niby czubki wyniosłych palm, zwieńczył sterczący na wsze strony pióropusz ludzkich ramion i nóg. Ci, uchwyciwszy się masztu jedną ręką, wyciągali przed siebie drugą, machając nią niecierpliwie; tamci, przysłoniwszy oczy od jaskrawych promieni słońca, siedzieli na końcach

rozkołysanych rej; wszystkie drzewca obrodziły ludzkim owocem, gotowym i dojrzałym na spotkanie Przeznaczenia. Ach, jakże parli poprzez ów nieskończony błękit, goniąc za czymś, co mogło ich unicestwić!

— Czemu nie krzyczycie, jeżeli go widać? — wołał Ahab, kiedy w ciągu kilku minut od pierwszego okrzyku nic więcej nie słyszano. — Windować mnie na górę, chłopcy. Oszukaliście się — Moby Dick nie wyrzuca takiego pojedynczego, oderwanego wydmuchu, by potem zniknąć!

Tak właśnie było; rychło się okazało, że w swej gwałtownej zajadłości ludzie wzięli za fontannę wielorybią coś zgoła innego; ledwie bowiem Ahab dotarł do swego stanowiska na górze, ledwie na pokładzie okręcono linę wokoło naglą, gdy już kapitan poddał ton orkiestrze, która zatrzęsła powietrzem niby salwa wielu karabinów. Tryumfalny wrzask trzydziestu płuc tęgich jak skóra kozłowa rozległ się w chwili, gdy — znacznie bliżej statku niż miejsce domniemanego wydmuchu, o niespełna milę przed nami — sam Moby Dick ukazał się raptem w całym swym ogromie! Tym razem bowiem biały wieloryb dawał znać o swej bliskości nie jakimś cichym, ospałym wydmuchem, nie spokojnym tryskaniem owej tajemniczej fontanny dobywającej się z jego łba, ale o wiele bardziej zadziwiającym fenomenem wyskakiwania z wody. Jakoż czasami kaszalot przebije się z najdalszych głębin z najwyższą szybkością, wyrzuci całe swe cielsko w przeczysty żywioł powietrza i piętrząc górę olśniewających pian, ukaże miejsce, w którym się znajduje, z odległości siedmiu i więcej mil morskich. W takich chwilach poszarpane, wściekłe fale, które roztrącą, zdają się jego grzywą; w pewnych przypadkach owo wyskakiwanie jest z jego strony aktem wyzwania.

— Tam wyskakuje! Tam wyskakuje! — zabrzmiały okrzyki, gdy biały wieloryb z niezmierną brawurą miotał się niczym łosoś ku niebu. Nagle się ukazawszy wśród modrej równiny morza, zarysowana na tle jeszcze głębszego błękitu krawędzi nieba, kurzawa piany, jaką wzbił, przez chwilę nieznośnie błyszczała i lśniła na kształt lodowca i stała w powietrzu,

stopniowo zanikając po pierwszym roziskrzeniu i przemieniając się w ćmiącą mgławicę niby ulewa, co idzie doliną.

— Tak, skacz do słońca po raz ostatni, Moby Dicku! — zawołał Ahab. — Godzina twoja i harpun twój już blisko! Na dół, na dół wszyscy! Niech tylko jeden na foku zostanie! Do szalup! Gotować się!

Nie dbając o uciążliwe drabinki sznurowe want ludzie jak spadające gwiazdy osunęli się na pokład po pojedynczych sztagach i podciągach; Ahab, mniej błyskawicznie, choć szybko, opuszczony został ze swego stanowiska.

— Spuszczać szalupy! — zawołał, ledwie się znalazł w swej łodzi zapasowej, przygotowanej poprzedniego popołudnia. — Panie Starbuck, statek w pańskich rękach. Trzymaj się z dala od szalup, ale bądź w pobliżu. Spuszczać wszystkie!

Jak gdyby chciał w ludziach wzniecić strach dojmujący, przechodząc w tej chwili pierwszy do ataku, Moby Dick zawrócił i rwał teraz na trzy szalupy. Łódź Ahaba była pośrodku; kapitan zagrzewał swych ludzi do walki zapowiadając, że weźmie wieloryba na sztych — to znaczy podpłynie od przodu do jego czoła. Rzecz to nie była niezwykła, jeśli bowiem łódź dotrze na pewną odległość, manewr ten wyklucza wejście w boczne pole widzenia wieloryba. Nim jednak zn aleźli się dość blisko, w chwili gdy jeszcze wszystkie trzy łodzie były dla oka białego wieloryba równie wyraźnie widoczne jak trzy maszty statku, potwór zapienił morze od wściekłego pędu i nieledwie w jednym momencie, z otwartą paszczęką, młócąc ogonem, runął między szalupy, na wsze strony straszliwą wydając bitwę; niebaczny grotów miotanych weń z każdej szalupy, zdawał się łaknąć jedynie unicestwienia każdej deski, z jakiej się owe łodzie składały. Jednakże zręcznymi manewrami, ciągle kołując niczym wyćwiczone rumaki na polu bitwy, szalupy umykały mu przez czas jakiś, aczkolwiek chwilami ledwie o szerokość deski; a nieludzki okrzyk bojowy Ahaba darł ustawicznie na strzępy wszelki głos oprócz jego własnego.

Na koniec jednak swymi nieuchwytnymi dla oka ewolucjami wieloryb tak pokrzyżował, pogmatwał i po tysiąckroć splątał luźne części trzech lin od tkwiących już w nim harpunów, że, skrócone, same z kolei pociągnęły złączone z nim łodzie ku wbitym w ciało bestii żelazom, acz wieloryb właśnie na chwilę odpłynął, jak gdyby po to, by zebrać się w sobie przed jeszcze straszliwszym atakiem. Ahab wykorzystał tę sposobność i najpierw wyrzucił z łodzi nieco więcej liny, którą następnie jął szybko ciągnąć i targać mając nadzieję, że w ten sposób uwolni ją od poplątań, kiedy oto ujrzano widok okrutniejszy od rzędu kłów rekina!

Splątane i pogięte, wkręcone w gmatwaninę lin, luźne harpuny i lance o sterczących ostrzach i zadziorach wychynęły połyskliwie i ociekające wodą tuż pod korytkiem linowym u dziobu szalupy Ahaba. Jedno tylko można było przedsięwziąć. Kapitan porwał nóż szalupowy i z wielkim narażeniem sięgnął do środka, dalej wskroś, a następnie na zewnątrz pęku stalowych promieni, wciągnął linę, która znajdowała się z drugiej strony, przerzucił ją wewnątrz łodzi do przedniego wioślarza, za czym po dwakroć przeciąwszy ją u korytka, cisnął w morze pochwyconą wiązkę stali i znów utrzymał łódź w równowadze. W tejże chwili biały wieloryb rzucił się nagle między pozostałe sploty lin i w ten sposób nieodparcie pociągnął uwikłane szalupy Stubba i Fiaska w stronę swago ogona, cisnął je o siebie niczym dwie łupiny miotane falami rozbijającymi się na plaży, po czym zanurkował i zniknął w kipiącym wirze, na którym wonne szczątki cedrowych desek tańczyły przez chwilę wkoło jak tarta gałka muszkatołowa w szybko mieszanej wazie ponczu.

Podczas gdy ludzie z obu łodzi bystro krążyli w wodzie i wyłapywali koziołkujące bębny linowe, wiosła oraz inne części sprzętu, które unosiły się na morzu, gdy mały Fiask podskakiwał bokiem na falach niczym pusta buteleczka, podkurczając nogi, by wymknąć się straszliwym paszczom rekinów, a Stubb ze wszystkich sił wrzeszczał, by ktoś go chochlą wyłowił — kiedy na skutek zerwania swej liny kapitan

był już w stanie wpłynąć w spienioną sadzawkę i ratować, kogo się dało — wśród owej dzikiej jednoczesności tysiąca odrębnych niebezpieczeństw zdało się, że dotąd nie tkniętą łódź Ahaba pociągnęły ku niebu jakoweś niewidzialne nici, albowiem biały wieloryb, wystrzeliwszy z toni pionowo w górę na kształt strzały, grzmotnął szerokim czołem o dno łodzi i wyrzucił koziołkującą w powietrze; runęła w wodę nadburciem do dołu, Ahab zaś i jego ludzie poczęli się spod niej mozolnie wydobywać niby foki z nadmorskiej pieczary.

Pierwszy impet wynurzającego się wieloryba zmienił jego kierunek w momencie, gdy zderzał się z powierzchnią wody — i potwór chcąc nie chcąc pchnięty został po niej na pewną odległość od środka spustoszeń, jakie poczynił; przez chwilę leżał teraz tyłem i z wolna poruszał na boki płetwami; gdy tylko jakieś porzucone wiosło, kawałek deski, najmniejszy odłamek czy szczątek łodzi tknął jego skóry, ogon wieloryba podnosił się szybko i bokiem grzmocił w morze. Wrychle jednak, jakby upewniwszy się, że dzieła na razie dokonał, pchnął swe pofałdowane czoło wskroś oceanu i wlokąc za sobą zwikłane liny podjął na nowo, z równomierną szybkością podróżnika, swoją wędrówkę ku zawietrznej.

I tym razem jak poprzednio baczny statek obserwował całą walkę, znów więc podpłynął szybko na pomoc i spuścił szalupę, która wyłowiła unoszących się na wodzie marynarzy, bębny, wiosła i cokolwiek dało się pochwytać, a następnie szczęśliwie przywiodła na pokład. Kilka wywichniętych rąk, kiści i kostek, sine stłuczenia, pogięte harpuny i lance, niemożliwa do rozwikłania gmatwanina lin, potrzaskane wiosła i deski — wszystko to wprawdzie tam było, wszelako żadna fatalna czy nawet poważniejsza krzywda nie spotkała nikogo. Podobnie jak to się zdarzyło poprzedniego dnia z Fedallahem, znaleziono tym razem Ahaba zaciekle przywartego do strzaskanej połowy własnej szalupy, która stanowiła stosunkowo dogodny pływak; jakoż nie wyczerpało go to do tego stopnia, co wczorajszy wypadek.

Kiedy jednak dopomożono kapitanowi wydostać się na pokład, oczy wszystkich zwróciły się na niego, gdy miast o własnych stać siłach, nadal jeszcze zwisał na ramieniu Starbucka, który, jak dotąd, był zawsze pierwszy, aby mu przyjść z pomocą. Kościana noga kapitana została urwana; pozostała z niej zaledwie krótka, ostra drzazga.

— Tak, tak, Starbuck. Czasem dobrze jest tak się wesprzeć, obojętne, kto by to czynił. Oby stary Ahab częściej był się wspierał niźli to robił!

— Skuwka nie wytrzymała, panie kapitanie — ozwał się cieśla, który właśnie podszedł bliżej. — Ja w tę nogę włożyłem dużo sumiennej pracy.

— Ale mam nadzieję, że żadnej kości pan sobie nie uszkodził? — rzekł Stubb ze szczerym przejęciem.

— A jakże! I to cała potrzaskana w drzazgi, Stubb! Nie widzisz? Mimo to stary Ahab pozostaje nietknięty, nawet jeśli ma kość złamaną. Nie uważam zaś, żeby którakolwiek z moich żywych kości była na jotę bardziej mną niż owa martwa, którą utraciłem. Ni biały wieloryb, ni człowiek, ni czart nie mogą nawet drasnąć samej niedostępnej istoty Ahaba. Alboż jakakolwiek sonda jest w stanie sięgnąć tego dna pod nami? Alboż jest maszt, co otarłby się o sklepienie niebios? Wy tam, na górze! W którą stronę idzie?

— Prościutko na zawietrzną.

— Zatem ster na burtę, znowu rozwinąć wszystkie żagle, strażnicy! Opuścić resztę zapasowych łodzi i oporządzić je. Idź pan, panie Starbuck, i zbierz załogi szalup.

— Pozwól mi wprzód doprowadzić cię do nadburcia, kapitanie.

— Och, och, jakże ta drzazga mnie bodzie! Cóż za przeklęty los, że niepokonany kapitan mej duszy takiego nędznego ma oficera!

— Słucham pana?

— O ciele moim mówię, człowieku, nie o tobie. Dajcie mi coś miast laski — o, tamta nadwerężona lanca wystarczy. Zbierz

pan ludzi. Przecie jeszczem go nie widział… Na Boga, nie może to być! Czyżby zaginął? Szybko! Zwołuj wszystkich!

Domniemanie kapitana okazało się słuszne. Na zbiórce załogi przekonano się, że brak Fedallaha.

— Pars! — krzyknął Stubb. — Musiał się zaplątać w…

— Niech cię czarna zaraza! Ruszajcie wszyscy na górę, na dół, do kajuty, na forkasztel… Odszukać go… przecie nie zniknął… nie zniknął!…

Wprędce jednak ludzie powrócili z wieścią, że parsa niepodobna nigdzie odnaleźć.

— Tak, kapitanie — ozwał się Stubb. — Uwikłał się w sploty pańskiej liny… Zdawało mi się, że widziałem, jak go ciągnęły w dół.

— *Mojej* liny? *Mojej* liny? Nie ma go? Nie ma? Cóż znaczą te krótkie słowa? Jakiż dzwon pogrzebowy w nich dźwięczy, że stary Ahab drży cały, jak gdyby był dzwonnica? A harpun? Rozrzucić te śmiecie — macie go? Kute żelazo, ludzie, to przeznaczone dla białego wieloryba! Nie, nie, nie, przeklęty głupiec ze mnie! Ta ręka je rzuciła! Tkwi w wielorybie! Hej, tam, na górze! Trzymajcie się go! Szybko! Wszyscy do opatrywania szalup!… Zebrać wiosła… Harpunnicy! Żelaza! Żelaza! Wyżej podciągnąć bombramsle! Dociągnąć wszystkie szkoty! Sternik, równo! Równo, jeśli ci życie miłe! Po dziesięćkroć opłynę, na wskroś przeniknę nieobjęty świat, a przecie go ubiję!

— Wielki Boże! Ukaż się choćby na chwilę! — krzyknął Starbuck. — Nigdy, przenigdy go nie pokonasz, kapitanie! Na imię Jezusa, dość tego, to gorsze niż obłęd szatański! Dwa dni pościgu i po dwakroć łodzie potrzaskane w drzazgi. Twa własna noga znowu urwana. Zły upiór uszedł. Wszyscy dobrzy aniołowie nie szczędzą ci przestróg — czegóż chcesz więcej? Czyż mamy dalej ścigać ową morderczą bestię, dopóki nie zatopi nam ostatniego człowieka? Czyż mamy jej dać się pociągnąć na dno morza? Czyż ma nas poholować do dziedzin piekielnych? Och, och! To bezeceństwo, to bluźnierstwo dalej ją ścigać!

— Starbuck, ostatnio dziwnie mnie coś do ciebie ciągnęło. Od owej godziny, kiedyśmy obaj nawzajem ujrzeli — sam wiesz co — w naszych oczach. Ale jeśli idzie o wieloryba, oblicze twoje jest dla mnie jak ta dłoń, bezwargą, rysów pozbawioną pustką. Ahab na zawsze pozostanie Ahabem, człowieku. Cały ten akt jest nieodmiennie postanowiony. Przepowiadaliśmy go sobie, i ty, i ja, na biliony lat, zanim ów ocean jął toczyć swe fale. Głupcze! Ja jestem oficerem Przeznaczenia, działam wedle rozkazu. Bacz ty, podwładny, byś słuchał mojego. Stańcie tu naokoło mnie, chłopcy. Widzicie starego człowieka okaleczonego do kości, wspartego na połamanej lancy, stojącego na samotnej nodze. To Ahab, to jego część cielesna, ale dusza Ahaba ma sto nóg i na stu nogach się porusza. Czuję się skołatany, na poły porwany niby liny, które holują w czas huraganu fregatę o połamanych masztach; i być może, iż tak wyglądam. Lecz zanim ta lina moja pęknie, usłyszycie jeszcze trzask, a póki go nie usłyszycie, widzicie, że hol Ahaba ciągnie nadal jego postanowienie. Alboż wierzycie, chłopcy, w rzeczy, które się zwą omenami? Śmiejcie się więc w głos i wołajcie: „jeszcze!”, bo rzeczy tonące, nim pójdą na dno, po dwakroć się na powierzchnię wynurzą i znów ukażą by wreszcie zatonąć na zawsze. Tak jest i z Moby Dickiem. Przez dwa dni płynął — a jutro będzie dzień trzeci. Tak, chłopcy, wynurzy się znowu, lecz tylko po to, by trysnąć ostatnim wydmuchem! Macie odwagę, chłopcy, imacie odwagę?

— Jak nieulękły ogień! — zawołał Stubb.

— I równie mechaniczną… — mruknął Ahab. Następnie zaś, gdy ludzie odchodzili na przód statku, szeptał dalej: — Rzeczy, które się zwą omenami! A jeszcze wczoraj mówiłem to samo Starbuckowi o mej strzaskanej szalupie. O, jakże dzielnie usiłuję przegnać z serc cudzych to, co tak twardo zacisnęło się na moim własnym! Pars… Pars!… Więc zniknął, zniknął? A miał odejść przede mną. Wszelako powinienem go jeszcze ujrzeć, zanimbym sam mógł zginąć. Jakże to? Tkwi w tym zagadka, która stropiłaby wszystkich adwokatów wraz z duchami całego

pokolenia sędziów. Kuje mi ona mózg niby dziób sokoła. A jednak JA ją rozwikłam!

Gdy zmierzch zapadł, wieloryba ciągle jeszcze było widać po zawietrznej.

Znowu więc skrócono żagle i wszystko odbyło się niemal tak samo jak poprzedniej nocy, tylko prawie do świtu słychać było huk młotów i chrobot brusów; ludzie pracowali przy świetle latarń wyposażając troskliwie zapasowe łodzie w pełny takielunek i ostrząc świeżą broń na jutro. Tymczasem ze złamanego kilu strzaskanej szalupy Ahaba cieśla sporządził mu nową nogę; i znowu, tak jak ubiegłej nocy, kapitan w naciśniętym na oczy kapeluszu stał nieruchomo we włazie kajutowym. Z ukrycia wzrok jego w oczekiwaniu kierował się wstecz; zwrócony wprost ku wschodowi, wypatrywał, niby heliotrop, pierwszego promienia słońca.

ROZDZIAŁ CXXXV
POŚCIGU DZIEŃ TRZECI

Ranek trzeciego dnia wstał jasny i świeży; raz jeszcze samotny nocny posterunek na szczycie fokmasztu zluzowała ciżba dziennych czatowników, którzy pokryli wszystkie maszty i nieledwie każdą reję.

— Widać go? — zawołał Ahab, ale jeszcze nie można było dojrzeć wieloryba.

— Iść jego nieomylnym tropem, tylko jego wartem, ot i wszystko. Sternik! Trzymaj się równo. Tak jak w tej chwili i jak dotychczas. Cóż za piękny dzień znowu! Gdyby świat powstał na nowo i uczyniony został przybytkiem aniołów, a ranek dzisiejszy był pierwszym, kiedy im go otwarto, nie mógł zaświtać nad ziemią piękniejszy dzień. Oto sprawa dla rozmyślań, gdyby Ahab miał czas myśleć. Lecz Ahab nie myśli nigdy — on tylko czuje, czuje, co jest i tak dość uciążliwe dla śmiertelnego człowieka! Myślenie to zuchwalstwo. Jedynie Bóg ma to prawo i przywilej. Myślenie jest albo winno być chłodem i spokojem, na to zaś nasze biedne serca zbyt mocno uderzają, a biedne mózgi zbytnio pulsują. A przecie czasem myślę, że mózg mam nader spokojny — lodowato spokojny. Ta stara czaszka trzeszczy niby szklenica, której zawartość w lód się przemieniła i rozsadza ją. Jednakże włosy moje nadal rosną, rosną w tej chwili, musi je więc ożywiać ciepło — ale nie, są one niby ta pospolita trawa, co rosnąć będzie gdziekolwiek bądź, w ziemnych rozpadlinach, wśród lodów grenlandzkich czy też na lawie Wezuwiusza. Jakże ten dziki wiatr je rozwiewa! Smagają mnie niby porwane strzępy pękniętych żagli chłoszczące miotany okręt, do którego przywarły. Nikczemny wiatr, co bez

wątpienia dął przedtem po korytarzach i celach więzień, po izbach szpitalnych i przewietrzał je, a teraz przyleciał aż tutaj, niewinny jak runo owiec! Precz z nim! On skażony! Gdybym był wiatrem, nie dmuchałbym więcej na tak nikczemny, tak nędzny świat. Wpełznąłbym kędyś dc pieczar i w niej się ukrył. A jednak szlachetna i bohaterska te rzecz ów wiatr! Któż go kiedykolwiek pokonał? W każdej walce ostatni i najdotkliwszy zadaje cios. Rzuć się nań pędem, a tylkc wskroś przelecisz. Ha! Tchórzem jest wiatr, co nagich ludzi uderza, sam jednak nie stanie, by chociaż jeden cios przyjąć. Nawe Ahab jest czymś dzielniejszym, czymś szlachetniejszym od niego Gdybyż ten wiatr miał chociaż ciało. Jednakże wszystkie rzeczy które najbardziej rozjątrzają i znieważają człowieka, są bezcielesne, acz bezcielesne jedynie jako przedmioty, nie jako moce. Tkwi iv tym najszczególniejsza, najbardziej przewrotna, o, i najzłośliwsza różnica! A jednak powtarzam i klnę się w tej chwili, że jest coś szczytnego i wdzięcznego w wietrze. Te ciepłe passaty przynajmniej, co po czystych niebiosach dmą wprost przed siebie z mocną, upartą, krzepką łagodnością i nie zbaczają z drogi, jakkolwiek by zawracały i lawirowały niskie prądy morskie jakkolwiek by się wiły i zakręcały najpotężniejsze Missisipi lądu, niepewne, dokąd się w końcu udać. O, na odwieczne bieguny! Ten sam passat, który tak prosto popycha mój poczciwy statek, ten passat, czy też coś, co mu jest podobne, równie niezmienne i równie silne, jak on, pcha narzód kil mojej duszy! Do dzieła! Hej, tam, na górze! Co widać?

— Nic, panie kapitanie!

— Nic! A już blisko południe! Dublon idzie po prośbie! Zo baczymy słońce. Tak, tak, musi to być. Musiałem go prześcignąć.

Jakże, więc jestem w przodzie? Tak, i to on mnie teraz ściga, a nie ja jego… Źle, powinienem był to przewidzieć. Głupiec! Te liny, te harpuny, które wlecze! Tak jest, musiałem go przegonić tej nocy. Zawracać! Zawracać! Schodzić na dół, wszyscy prócz samych tylko posterunków! Do brasów!

„Pequod”, sterując jak dotychczas, płynął w baksztag, więc też wziąwszy teraz przeciwny kurs, przebrasowany statek ruszył prosto pod wiatr, na nowo roztrącając białą śmietanę pian własnego kilwateru.

— Teraz żegluje przeciw wiatrowi, prosto w otwartą paszczękę — szepnął do siebie Starbuck, okręcając u relingu świeżo naciągnięty główny bras. — Niechaj Bóg ma nas w swej opiece, ale już czuję, jak mi kości w ciele namakają zwilżając ciało od środka. Wyrzuty sobie czynię, że nie słucham mego Boga, słuchając kapitana.

— Wciągnijcie mnie na górę! — zawołał Ahab i podszedł do konopnego kosza. — Niebawem powinniśmy się na niego natknąć.

— Tak jest, kapitanie! — i niezwłocznie Starbuck wykonał rozkaz Ahaba, który znów zawisł wysoko w powietrzu.

Minęła pełna godzina złotem przekuta na wiek. Sam Czas w najwyższym napięciu wstrzymywał teraz swe długie tchnienia. Wszelako wreszcie, jakieś trzy rumby po nawietrznej, Ahab znowu rozpoznał fontannę i naychmiast z trzech szczytów masztów wzbiły się trzy okrzyki jak gdyby wyrzucone przez języki płomieni.

— Twarzą w twarz spotykam cię po raz trzeci, Moby Dicku! Mej tam, na pokładzie! Ostrzej zbrasować. Gnać prosto w oczy wiatru. Jest jeszcze za daleko, by spuszczać szalupy, Starbuck. Żagle łopoczą! Z młotem trzeba stać nad tym sternikiem! Tak, tak, chyżo płynie. Muszę już spuszczać łódź. Ale niechże raz jeszcze dobrze rozejrzę się z góry po morzu. Jest na to czas. Stary, stary to widok, a przecie tak jakoś młody. Nie zmienił się ani krzyny, odkąd go po raz pierwszy chłopcem ujrzałem z piaszczystych wzgórz Nantucket! Ten sam! Ten sam! Ten sam dla Noego i dla mnie. Lekki deszcz po zawietrznej… Jakież śliczne te zawietrzności! Muszą dokądś prowadzić — do czegoś innego niż pospolity ląd, czegoś, co bardziej palmowe od samych palm. Zawietrzna! Biały wieloryb idzie w tym kierunku. Patrzmy więc ku nawietrznej — lepsza to, acz uciążliwsza strona. Żegnaj mi, żegnaj, stary topie masztu! Co to?

Zielony? Tak, drobne mchy w tych popaczonych szczelinach. Nie ma takich zielonych śladów wichrów i niepogody na czole Ahaba! W tym tkwi różnica między starością człowieka i materii. Tak, tak, mój stary maszcie, razem się obaj starzejemy, ale kadłuby nasze nienaruszone, nieprawdaż, okręcie? Tak, tylko nogi mi brak — to wszystko. Na Boga, to martwe drzewo wzięło pod każdym względem górę nad moim żywym ciałem. Nie mogę się z nim równać. Znałem okręty, co z martwego zbudowane drewna, przetrwały życie ludzi uczynionych z najżywotniejszego ciała żywotnych ojców. Jak on to powiedział? Że pójdzie przede mną jako mój pilot, a jednak zobaczę go jeszcze? Ale gdzie? Albože będę miał oczy na dnie morza, jeżeli nawet zejdę po owych nieskończonych schodach? I przecie całą noc odpływałem od niego, gdziekolwiek zatonął. Tak jest. Jak wiele innych, wypowiedziałeś okrutną prawdę o sobie, parsie, lecz co się tyczy Ahaba — tu strzał twój chybił celu. Żegnaj mi, maszcie. Miej baczne oko na wieloryba, kiedy odpłynę. Pogwarzymy jeszcze jutro, nie, dziś wieczorem, gdy biały wieloryb będzie leżał tam w dole, za ogon i łeb uwiązany.

Dał hasło i rozglądając się jeszcze na wsze strony, opuścił się z wolna na pokład wskroś błękitnego powietrza.

W odpowiedniej chwili spuszczono łodzie; wszelako gdy Ahab stojąc na rufie swej szalupy zawisł już ponad wodą, skinął na oficera, który dzierżył na pokładzie jedną z lin blokowych, i kazał mu się zatrzymać.

— Starbuck!

— Kapitanie?

— Po raz trzeci wyrusza na tę wyprawę okręt mojej duszy.

— Tak jest, kapitanie. Stanie się według twojej woli.

— Niektóre okręty wypływają z własnych portów, a jednak potem przepadają, Starbuck.

— Prawda, kapitanie. Najsmutniejsza to prawda.

— Niektórzy ludzie giną w czas przypływu, inni przy odpływie; jeszcze inni na pełnym morzu — ja zaś czuję się teraz jak fala, która jest jedynym grzywiastym grzebieniem, Starbuck. Stary jestem. Uściśnij mi dłoń.

Dłonie ich spotkały się, oczy przywarły do siebie; zespoliły je łzy Starbucka.

— O, mój kapitanie, mój kapitanie!… Szlachetne serce!… Nie odchodź… Nie odchodź… Patrz: to płacze człek odważny… Jakaż więc musi być męka przekonywania!

— Spuszczać szalupy! — krzyknął Ahab odtrącając rękę oficera. — Gotować się, załoga!

Nie minęła chwila i łódź opływała już statek tuż pod rufą.

— Rekiny! Rekiny! — zawołał jakiś głos z nisko tam umieszczonego okienka kajuty. — O, panie mój, panie, wróć się!

Lecz Ahab nie słyszał, albowiem w tej chwili własny jego głos rozbrzmiewał donośnie i szalupa skoczyła naprzód.

Wszelako głos tamten prawdę powiadał; jakoż ledwie odbili od statku, a już roje rekinów, najwidoczniej wynurzające się z ciemnych odmętów pod kadłubem żaglowca, jęły złośliwie kąsać pióra wioseł, ilekroć zanurzano je w wodzie, i tak towarzyszyły łodzi swoim kłapaniem. Jest to rzecz, która nierzadko spotyka szalupy wielorybnicze na owych mrowiących się od nich morzach; czasami rekiny najwyraźniej podążają za łodziami w ten sam przewidujący sposób, co sępy, które na wschodzie unoszą się ponad sztandarami maszerujących regimentów. Jednakże te rekiny były pierwszymi, jakie zaobserwowano z „Pequoda”, odkąd dostrzeżono białego wieloryba; i czy to dlatego, że cała załoga szalupy Ahaba składała się z takich tygrysiożółtych barbarzyńców, których ciało było dla rekinów bardziej wonne — wiadomo bowiem, że czasem je to nęci — czy też z innych przyczyn, dość że bestie najwyraźniej płynęły za tą właśnie łodzią, nie niepokojąc innych.

— Serce z kowanej stali! — szepnął Starbuck wyglądając przez burtę i ściągając wzrokiem oddalającą się szalupę. — Zaliż możesz jeszcze śmiało uderzać na ten widok? Spuszczasz łódź między rozżarte rekiny i ruszasz w pościg goniony przez bestie o paszczach rozwartych — i to trzeciego, krytycznego dnia! Albowiem jeśli trzy dni upływają na jednym nieprzerwanym, napiętym pościgu, można być pewnym, że

pierwszy to ranek, drugi — południe, trzeci zaś — wieczór i koniec sprawy, jakikolwiek on będzie. O, Boże mój! Cóż to przeszywa mnie na wskroś i pozostawia tak śmiertelnie spokojnym, a jednak pełnym oczekiwania — jak gdybym zawisł na krawędzi dreszczu? Rzeczy przyszłe płyną przede mną niby puste zarysy i szkielety, jednakże przeszłość powleka jakaś mgła. Mary, dziewczyno moja! Nikniesz gdzieś za mną w bladej poświacie… Synku! Zdaje mi się, że widzę tylko twoje oczy, które się stały przedziwnie błękitne… Najosobliwsze problemy życia zdają się rozjaśniać, wszelako przesłaniają je chmury. Czyżby się zbliżał kres mojej wędrówki? W nogach czuję słabość jako ten, co chodził przez dzień cały. Niech dotknę serca… Czy nadal bije? Porusz się, Starbuck! Odwróć to jeszcze… Ruszaj się, ruszaj, w glos przemów! Wy tam, na maszcie! Czy widzicie rączkę mojego chłopca na wzgórzu?… Oszalałem… Uwaga, tam, na górze! Miejcie najpilniejsze baczenie na łodzie. Zapamiętajcie sobie dobrze, gdzie wieloryb! Ho! Znowu! Odpędzić tego sokoła! Patrz! Dziobie… Drze proporzec! — wskazał czerwoną flagę powiewającą u gałki grotmasztu. — Ha! Ulatuje z nim! Gdzież teraz kapitan? Czy widzisz, Ahabie? Drzyj, drzyj!

Szalupy nie odpłynęły jeszcze zbyt daleko, kiedy sygnałem ze szczytów masztów — ręką w dół skierowaną — dano znać Ahabowi, że wieloryb znurkował; kapitan pragnął jednak znaleźć się blisko, gdy znowu wychynie, płynął więc dalej, nieco w bok od żaglowca; załoga szalupy, jak zaklęta, zachowywała najgłębsze milczenie, gdy fale uderzające od przodu kuły i kuły w dziób, co im opór stawiał.

— Wbijajcie, wbijajcie swe gwoździe, o, fale! Wbijajcie je aż po same główki! Uderzacie jedynie w coś, co nie ma wieka. Ja bowiem ni trumny, ni mar mieć nie mogę. Tylko konopie mogą mnie zabić! Ha, ha!

Nagle wody wokoło nich jęły się z wolna wzdymać szerokimi kręgami, potem szybko podniosły się, jakby spływając na boki z podwodnej góry lodowej, która szybko wynurza się na powierzchnię. Dosłyszano przytłumiony, głuchy szum niby

podziemny pomruk i wszyscy wstrzymali dech w piersiach, gdy omotany wleczonymi linami, harpunami i lancami, jakiś olbrzymi kształt wytrysnął podłużnie, lecz ukosem z morza. Spowity cienkim, opadającym woalem oparów, zawisł na chwilę w tęczowym powietrzu, po czym zwalił się w toń schlustany wodą. Bryzgi buchnęły na trzydzieści stóp w górę, zalśniły na chwilę jak pęki fontann, załamały się i opadły deszczem płatków, a spieniony wir na powierzchni zabielił się jak świeże mleko wokół marmurowego cielska wieloryba.

— Wiosłować co sił! — zakrzyknął Ahab wioślarzom i łodzie rzuciły się do ataku; jednakże Moby Dick, doprowadzony do szału przez nowe, wczorajsze żelaza, które się weń wżerały, był jakby opętany przez wszystkich upadłych aniołów. Ujrzano ogromne pokłady zbitych ścięgien okrywających pod skórą jego ogromne, białe czoło i przeplatających się wzajem; łbem naprzód runął między szalupy grzmocąc ogonem i raz jeszcze rozpędził je niby cepem; powyrzucał harpuny i lance z łodzi obu oficerów i wgniótł z jednej strony nadburcia dziobów, wszelako łódź Ahaba pozostała niemal nietknięta.

W chwili gdy Daggoo i Queequeg zatykali dziury w nadwerężonych deskach, wieloryb zaś wypłynął spomiędzy szalup, zakręcił i mijając je obrócił się i pokazał cały bok — w powietrze wzbił się przejmujący krzyk. Ujrzano przytroczone do grzbietu potwora, uwikłane w niezliczone sploty lin, którymi ubiegłej nocy cały się był okręcił, poszarpane zwłoki Fedallaha; jego czarny ubiór w strzępach, a szeroko rozwarte oczy patrzały wprost na Ahaba.

Harpun wypadł z ręki kapitana.

— Omamiłem się, omamiłem! — Ahab długo, żałośnie wciągał w piersi powietrze. — Tak, parsie, widzę cię znowu. Tak, odchodzisz przede mną. Więc to, to są owe mary, któreś przyobiecał… Ale trzymam cię za słowo, aż do ostatniej litery. Gdzież drugie mary? Nuże, oficerowie, do statku! Te łodzie są teraz bezużyteczne. Naprawcie je, jeśli zdążycie, i wracajcie do mnie. Jeśli zaś nie, Ahab potrafi sam umrzeć. Siadać, chłopcy! Pierwszy, kto by choć zdradził chęć wyskoczenia z tej łodzi, na

której stoję, przebity zostanie harpunem. Nie jesteście innymi ludźmi, a tylko moimi ramionami i nogami. Słuchajcie więc moich rozkazów. Gdzie wieloryb? Znurkował znowu?

Jednakże kapitan wypatrywał za blisko; Moby Dick bowiem, jak gdyby pragnął umknąć z niesionym na grzbiecie ciałem, jak gdyby to miejsce ostatniego spotkania było zaledwie etapem jego podróży ku zawietrznej, znów równo płynął przed siebie i niemal już minął statek, który do tej pory żeglował mu na spotkanie, chociaż na razie zatrzymał się był w miejscu. Wieloryb płynął snadź z najwyższą szybkością i w owej chwili pragnął tylko podążać swym prostym szlakiem po morzu.

— O, Ahabie! — zawołał Starbuck. — Nie jest jeszcze za późno, nawet teraz, trzeciego dnia, poniechać go. Patrz! Moby Dick ciebie nie szuka. To ty, ty obłędnie szukasz jego!

Wciągnąwszy żagiel na zrywającej się bryzie, samotna szalupa szybko pomknęła ku zawietrznej popychana zarówno przez wiosła, jak i przez płótno. Gdy wreszcie Ahab przepływał obok „Pe-quoda" tak blisko, że wyraźnie mógł rozeznać twarz wychylonego przez reling Starbucka, krzyknął do oficera, by zrobił zwrot statkiem i podążył za nim nie nazbyt szybko, w roztropnej odległości. Rzuciwszy wzrokiem w górę ujrzał Tasztega, Queequega i Daggoo, którzy żwawo wdrapywali się na szczyty trzech masztów, podczas gdy wioślarze kołysali się w obu uszkodzonych szalupach, podciągniętych w górę u boku statku, pilnie pracując przy ich naprawie. Gdy spiesznie przepływał mimo, dojrzał przelotnie, poprzez otwory w nadburciu, Stubba i Fiaska, jak się krzątali po pokładzie wśród pęków nowych harpunów i lanc. Kiedy zobaczył to wszystko, kiedy usłyszał stukot młotków w potrzaskanych łodziach, zdało mu się, że inne zgoła młoty wbijają gwóźdź w jego serce. Zebrał się jednak w sobie. Zauważywszy, że wskaźnik wiatru, czyli owa flaga, znikła ze szczytu grotmasztu, Ahab zakrzyknął do Tasztega, który właśnie się tam wydostał, by zszedł na powrót, wziął inną flagę, młotek oraz gwoździe i przybił ją do masztu.

Czy to dlatego, że był znużony trzydniowym, ustawicznym pościgiem i oporem, jaki stawiała mu pogmatwana sieć lin,

którą niósł na sobie, czy też przyczyną był tu jakowyś ukryty podstęp i złośliwość — jakkolwiek było, szybkość białego wieloryba poczęła się teraz zmniejszać, czego najwyraźniej dowodził fakt, że szalupa znowu się doń zbliżała nader szybko, acz tym razem wieloryb nie wyprzedził jej był tak znacznie jak poprzednio. A kiedy Ahab sunął po falach, bezlitosne rekiny nadal mu towarzyszyły i tak uparcie trzymały się szalupy, tak ustawicznie kąsały pracujące z wysiłkiem wiosła, że pióra tych ostatnich postrzępiły się, połupały i nieledwie' za każdym zanurzeniem pozostawiały na wodzie drobne szczypki.

— Nie zwracać na nie uwagi! Ich zęby to nowe dulki dla waszych wioseł. Naprzód! Szczęka rekina daje lepsze oparcie niż ustępliwa woda!

— Ale za każdym kąśnięciem, kapitanie, cienkich piór coraz to ubywa!

— Jeszcze wystarczą! Wiosłować dalej! Któż jednak wie — szepnął — czy te rekiny płyną, by sobie ucztę wyprawić z wieloryba czy też z Ahaba? Wiosłować dalej! Tak, baczność teraz! Zbliżamy się do niego. Rumpel, brać rumpel! Przechodzę na przód! — Po tych słowach dwaj wioślarze pomogli mu przedostać się na dziób rozpędzonej szalupy.

Na koniec łódź skręciła i poczęła podpływać do boku białego wieloryba; on jednak zdawał się dziwnie niepomny jej bliskości — jak to czasami bywa z wielorybami — i Ahab znalazł się nieledwie w obrębie tumanu spiętrzonej mgły, co wyrzucana z tryskawki wieloryba, kłębiła się wokół ogromnego Monadnocku * jego garbu; dotarłszy tak blisko, kapitan odchylił ciało do tyłu, rozkrzyżował wysoko uniesione ramiona, aby zachować równowagę, i cisnął w znienawidzonego wieloryba swoje zaciekłe żelazo i jeszcze zacieklejsze przekleństwo. Kiedy stalowy grot i klątwa wbiły się aż po nasadę, jak gdyby pochłonęło je trzęsawisko, Moby Dick szarpnął się w bok, spazmatycznie uderzył z bliska ciałem o dziób szalupy i nie wybiwszy w niej nawet dziury, tak raptownie okręcił łodzią, że gdyby Ahab nie trzymał się wystającej części nadburcia, znowu wpadłby był w morze. Mimo to trzech wioślarzy, którzy nie

przewidzieli dokładnie momentu rzutu i dlatego nie byli przygotowani na jego skutki, wyleciało z łodzi; upadli jednak tak blisko, że natychmiast dwóch uczepiło się znowu burty i podciągnąwszy do jej wysokości na grzywie fali, wwaliło się na powrót do środka; trzeci nie dał już rady i pozostał za rufą, wszelako utrzymywał się na wodzie i płynął.

Niemal jednocześnie potężnym odruchem woli biały wieloryb z błyskawiczną szybkością pomknął poprzez rozchlustane morze. I oto kiedy Ahab krzyknął sternikowi, by wybrał kilka zwojów liny i przytrzymał ją, załodze zaś kazał obrócić się na miejscach i przyciągnąć szalupę do wieloryba, zdradziecka lina, ledwie poczuła owo podwójne napięcie, trzasła w powietrzu!

— Cóż to pękło we mnie? Mięśnie mi się zerwały? Znowu są całe! Do wioseł! Walić na niego!

Dosłyszawszy potężny szum prującej fale szalupy, wieloryb zatoczył koło, by uderzyć na napastników swym tępym czołem; w trakcie tej ewolucji dojrzał jednak zbliżający się czarny kadłub statku; najwidoczniej uznał go za źródło wszelkich doznanych prześladowań, być może też pomyślał, że ma tu do czynienia z większym i szlachetniejszym wrogiem, gdyż niespodzianie rzucił się w stronę dziobu nadpływającego żaglowca kłapiąc paszczęką wśród wściekłych bryzgów pian.

Ahab zachwiał się i ręką uderzył w czoło. — Slepnę! O, ręce! Wyciągnijcie się przede mną, abym mógł dalej iść po omacku! Czy to noc?

— Wieloryb! Statek! — zakrzyknęli skuleni marynarze.

— Wiosłować! Wiosłować! Ugnij się w głąb, stań się pochylnią, o, morze, by Ahab mógł ten ostatni, ostatni raz ześliznąć się ku swojemu celowi, zanim będzie na wieki za późno! Widzę: statek! Statek! Gnajcie, ludzie! Czyż nie uratujecie mojego statku?

Gdy jednak wioślarze ze wszystkich sił pchali szalupę wskroś łomocących w nią fal, dwie deski u dziobu nadwerężone uprzednio przez wieloryba pękły, i niemal w jednym momencie bezsilna chwilowo łódź pogrążyła się prawie po wręby w

morzu; schlustana załoga brodziła w jej wnętrzu, usiłując zatkać otwór i usunąć wlewającą się wodę.

Tymczasem u szczytu masztu żaglowca młotek Tasztega zawisł na moment w jego dłoni, kiedy Indianin spojrzał przed siebie, a czerwona flaga spowiła go niby szal, po czym odwinęła się prosto w przestrzeń podobnie jak jego własne, wyrywające się z piersi serce; w tej samej chwili co on, Starbuck i Stubb, którzy w dole stali na bukszprycie, ujrzeli rwącego w ich stronę potwora.

— Wieloryb! Wieloryb! Ster na burtę, na burtę! O, wszystkie słodkie, napowietrzne moce, zasłońcie mnie teraz! Jeśli już Starbuck ma zginąć, niechże nie umiera w omdleniu jak niewiasta! Ster na burtę, mówię, wy, głupcy! Paszcza! Paszcza! Czyż to już koniec wszystkich mych rozdzierających modlitw, wszystkiej wierności mojego życia? O, Ahabie, Ahabie, spójrz — twoje dzieło! Spokojnie, sterniku, spokojnie! Nie, nie! Znów ster na burtę! Obraca się nam na spotkanie! Och, jego czoło nienasycone pędzi na tego, komu obowiązek odejść wzbrania! Boże mój! Bądź teraz przy mnie!

— Bądź nie przy mnie, ale pode mną, kimkolwiek jesteś ty, co teraz masz pomóc Stubbowi, bo i Stubb tkwi tutaj. Drwię z ciebie, szyderczy wielorybie! Któż kiedykolwiek dopomógł Stubbowi, któż go utrzymał w czujności, jeśli nie jego własne, niezmrużone oko? A teraz biedny Stubb położy się na spoczynek na materacu, co nazbyt będzie miękki. Bogdajby był chociaż wypchany chrustem! Drwię z ciebie, szyderczy wielorybie! Patrz, o słońce, księżycu, patrzcie, gwiazdy! Będziecie mordercami najlepszego chłopa, jaki kiedykolwiek wyzionął ducha! A mimo to jeszcze bym się z tobą trącił szklanką, gdybyś ją tylko potrafił utrzymać! Och, och, ty szyderczy potworze, wkrótce dość będzie chłeptania! Czemuż nie uciekasz, Ahabie? Ja zrzucam buty i kurtę. Niechaj Stubb zginie w portkach! Jednak zbutwiała i przesolona to będzie śmierć. Ach, wiśnie, wiśnie, wisienki! O, Fiask, cóż bym dał za jedną czerwoną wiśnię, zanim umrzemy!

— Wiśnie? Ba, gdybyśmy tam mogli być, gdzie one rosną! O, Stubb, ufam, że moja biedna matka podjęła już do tej pory część mojej płacy, bo jeśli nie, dostanie ledwie kilka miedziaków, jako że to już koniec wyprawy.

Na dziobie statku stłoczyli się bezczynnie nieomal wszyscy marynarze; nieświadomie dzierżyli jeszcze w dłoniach młotki, kawałki desek, lance i harpuny, tak jak przypadli tu od najróżniejszych zajęć; wszystkie oczy, niby zaklęte, utkwione były w wieloryba, który dziwnie potrząsając w obie strony swym łbem niosącym im spełnienie przeznaczeń, parł w pędzie przed sobą szeroki, rozlany, półkolisty wał pian. Cały był odpłatą, zaciekłą zemstą, odwieczną złością i oto na przekór wszystkiemu, co mógłby uczynić człowiek śmiertelny, zwarta, biała skarpa jego czoła grzmotnęła w dziób żaglowca od sterbortu, aż zatrzęśli się ludzie i belki. Niektórzy padli na twarz. Niczym obluzowane gałki masztów, głowy harpunników tkwiących na górze zachybotały się na ich byczych karkach. Usłyszeli, jak poprzez wyłom wlewa się woda, niby górski potok wpadający do rzeki.

— Statek! To mary!... To drugie mary! — krzyknął z łodzi Ahab. — Ich drzewo mogło być tylko z Ameryki!

Wieloryb znurkował popod osiadający żaglowiec i przepłynął rozedrgany wzdłuż kilu, wszelako zawrócił pod wodą i nagle znowu wychynął na powierzchnię, daleko po drugiej stronie, ale o kilka jardów od szalupy Ahaba, i tam przez chwilę leżał w bezruchu.

— Odwracam od słońca me ciało. Hej, Tasztego, niechże twój młot usłyszę! O, wy, trzy niepokonane wieżyce moje, o, ty, nienaruszony kilu, kadłubie tylko przez samych rozgromiony bogów. Krzepki pokładzie, sterze wyniosły, dziobie, co się ku biegunowi zwróciłeś — śmiercią wspaniały okręcie! Musisz więc sczeznąć, i to beze mnie? Byłżebym zatem pozbawiony ostatniej lubej dumy najnędzniejszego z kapitanów-rozbitków? O, samotna śmierci po samotnym żywocie! Odczuwam teraz mój ból najwyższy. Ho! Od najodleglejszych krańców spływajcie teraz, zuchwałe odmęty całego mego minionego życia i piętrzcie

się na szczycie skłębionej fali mej śmierci! Ku tobie płynę, wszystko niszczący, lecz nie zwycięski wielorybie. Do ostatka zmagam się z tobą, z samego serca piekieł godzę w ciebie. W imię nienawiści plwam na ciebie ostatnim mym tchnieniem! Zrzuć w jedną topiel wszystkie trumny i wszystkie mary, a skoro mnie przypaść nie mogą w udziale, rozwłócz mnie na strzępy, nadal cię ścigającego, choć uwiązanego do ciebie, przeklęty! Oto masz! Masz tę włócznię!

Harpun został rzucony; ugodzony wieloryb pomknął przed siebie. Lina z szybkością iskry poczęła lecieć przez wyżłobienie; zaczepiła. Ahab pochylił się, by ją uwolnić; uczynił to, lecz przelatujący zwój okręcił mu się wokoło szyi i bezgłośnie, jak wówczas, gdy niemi tureccy niewolnicy duszą ofiarę cięciwą łuku, kapitan wyszarpnięty został z łodzi, nim załoga spostrzegła, że zniknął. W następnej chwili ciężka pętla na końcu liny wyleciała z pustego bębna, obaliła jednego z wioślarzy i smagnąwszy morze, zniknęła w topieli.

Przez chwilę zmartwiała załoga szalupy stała jak wryta. Wreszcie marynarze obrócili głowy. — Statek! Wielki Boże, gdzie statek? — Rychło wskroś przyćmionego, zamraczającego tumanu dojrzeli podłużny, niknący majak żaglowca niby w mgławicy fatamorgany; z wody sterczały jedynie najwyższe stengi masztów, a harpunnicy pogańscy, których do niegdyś wyniosłych posterunków przykuł jakowyś obłęd, wierność czy los, nadal trwali na swoich tonących stanowiskach. Koncentryczne kręgi porwały wreszcie samotną szalupę, całą jej załogę, każde pływające wiosło, każde drzewce lancy, i zakręciwszy w jednym wirze wszystkim, co żywe i martwe, pochłonęły i skryły przed wzrokiem najmniejszy szczątek „Pequoda”.

Lecz oto w chwili kiedy ostatnie bełty spłynęły w siebie nawzajem nad pogrążoną w toni głową Indianina, który stał na grotmaszcie — w chwili gdy widać było jeszcze zaledwie kilka cali pionowego drzewca wraz z rozwiniętą, długą flagą, która ironii pełnym zbiegiem okoliczności łopotała ponad niszczącymi bałwanami, nieledwie ich dotykając — w tejże

chwili do tyłu odchylone czerwonoskóre ramię dzierżące młot podniosło się w powietrze i jęło przybijać flagę coraz to mocniej i mocniej do zapadającego się drzewca. Sokół podniebny, który wzgardliwie podążał w dół za gałką masztu od swej naturalnej siedziby hen, pośród gwiazd, i dziobiąc flagę niepokoił Tasztega, teraz przypadkiem wsunął szerokie, roztrzepotane skrzydło pomiędzy młot i drzewo; jednocześnie zaś zalany wodą dziki odczuł jego niebiańskie drżenie i w śmiertelnym spazmie przytrzymał młot odrętwiały. Tak więc ów ptak podniebny z archanielskim krzykiem, ze sterczącym w górę majestatycznym dziobem, wszystek spowity i uwięziony we fladze Ahaba, poszedł pod wodę wraz z jego statkiem, który, wzorem szatana, nie chciał się zapaść w czeluść piekielną, dopóki nie pociągnął za sobą żywej części niebios i nie uczynił z niej sobie przyłbicy.

Teraz drobne ptactwo jęło z wrzaskiem krążyć ponad ziejącą jeszcze otchłanią; posępna biała kipiel uderzała o jej strome ściany, po czym wszystko się zapadło i przeogromny całun morza roztoczył znowu swe fale, tak jak je toczył przed pięcioma tysiącami lat.

EPILOG

I tylkom ja sam uszedł, abym ci oznajmił

Dramat skończony. Po cóż więc tutaj ktoś jeszcze występuje? Albowiem był taki, co pozostał przy życiu po owej katastrofie.

Tak się zdarzyło, że po zniknięciu parsa ja byłem tym, który z wyroku Przeznaczenia zajął miejsce dziobowego wioślarza na łodzi Ahaba, kiedy ów wioślarz przejął wakującą funkcję; ja byłem tym, który ostatniego dnia, kiedy trzej ludzie wyrzuceni zostali z rozchwianej łodzi, wypadł za rufę. Tak więc unosiłem się na falach, na skraju sceny, jaka nastąpiła, i widziałem ją doskonale; kiedy zaś dosięgnął mnie zanikający już, ssący lej tonącego okrętu, pociągnął mnie z wolna ku sobie wir, który się właśnie zamykał. Gdy jednak doń dotarłem, opadł już był i przemienił się w spienioną sadzawkę. Okręcany więc wkoło i wkoło, krążyłem niby nowy Iksjon coraz to bliżej czarnej, guzik przypominającej banieczki tkwiącej pośrodku z wolna wirującego kręgu. Gdym wreszcie znalazł się w owym centralnym punkcie, czarna banieczka wyprysnęła w górę i oto uwolniona dzięki przemyślnej sprężynie oraz swej wielkiej lekkości, wynurzywszy się z wielką siłą, wystrzeliła podłużnie z morza trumna-boja ratunkowa, spadła na wodę i legła na niej u mego boku. Trzymając się owej trumny, przez niemal cały dzień i noc unosiłem się na łagodnych, żałobnych falach. Rekiny przepływały mimo, nie czyniąc mi żadnej krzywdy, jak gdyby miały kłódki na paszczach; dzikie sokoły morskie przelatywały z zamkniętymi dziobami. Drugiego dnia ujrzałem okręt, który począł przybliżać się coraz bardziej i bardziej, aż na koniec mnie wyłowił. Była to błędnie krążąca „Rachela”, która,

zawróciwszy w poszukiwaniu swych zagubionych dzieci, znalazła jeszcze jednego sierotę.

* Ta część morza znana wśród wielorybników pod nazwą „Ławic Brazylijskich” nie dlatego nosi to miano — tak jak Ławice Nowofundlandzkie — że znajdują się tam płycizny czy łachy, ale ponieważ jej szczególny wygląd, przypominający łąkę, spowodowany jest przez ogromne połacie britu stale pływającego w owych stronach, gdzie też często poluje się na wieloryba właściwego. (Przyp. aut.)

** Na innym miejscu wyjaśnione zostanie, z jak lekkiej substancji składa się całe wnętrzne olbrzymiego łba kaszalota. Choć pozornie najmasywniejszy, łeb ten jest bezwarunkowo najlżejszą częścią jego ciała. Dlatego też kaszalot z łatwością unosi go w powietrze i niezmiennie czyni to wówczas, gdy płynie z największą szybkością. Prócz tego górna przednia część jego łba jest tak szeroka, a kształt wodotnącej części dolnej tak bardzo się zwęża, iż można powiedzieć, że gdy kaszalot uniesie ukośnie głowę, wówczas przeobraża się z niezdarnej, płaskodziobej galioty w ostro podciętą nowojorską łódź pilota. (Przyp. aut.)

*** Aby wykazać niezbędność tego czynu, można tu stwierdzić, że dawniej w rybołówstwie holenderskim używano wiechcia dla skrapiania wodą pędzącej liny. Na wielu statkach przygotowuje się w tym celu drewniany czerpak. Najodpowiedniejszy jest jednak kapelusz. (Przyp. aut.)

**** Można w tym miejscu wspomnieć o pewnym szczególe. Najpewniejszym i najmocniejszym sposobem przycumowania wieloryba 'do boku statku jest przywiązanie go za ogon; ponieważ zaś ta część ciała z uwagi na swą większą jędrność jest stosunkowo cięższa od jakiejkolwiek innej (wyjąwszy płetwy boczne), więc też na skutek zachowanej nawet po śmierci giętkości opada w dół, pod powierzchnię wody; z łodzi niepodobna zatem dosięgnąć ogona ręką, by pod nim przełożyć łańcuch. Ale i na tę trudność znaleziono pomysłowy sposób; przygotowuje się małą, mocną linkę z drewnianym pływakiem na jednym końcu, a ciężarkiem pośrodku, podczas gdy drugi koniec przymocowany jest do statku. Dzięki zręcznym manewrom pływak wynurza się po drugiej stronie ciała

wieloryba, tak że opasawszy go w ten sposób można już z łatwością przewlec pod nim przyczepiony do linki łańcuch: gdy zaś się tego dokona, oplata się ten ostatni wokoło najwęższej części ogona, w punkcie, w którym przechodzi on w szerokie płaty płetwy ogonowej. (Przyp. aut.)

***** Łopatka wielorybnicza, używana do rozcinania zwierza, sporządzona jest z najprzedniejszej stali; ma wielkość mniej więcej rozłożonej dłoni ludzkiej, a ogólnym kształtem odpowiada narzędziu ogrodniczemu, od którego bierze swoją nazwę; tyle tylko, że jej brzegi są całkowicie płaskie, a górny koniec znacznie węższy od dolnego. Broń ta utrzymywana jest zawsze w stanie najwyższej ostrości, a w trakcie używania przeciąga się ją od czasu do czasu po brusie, zupełnie jak brzytwę. Rękojeść stanowi obsadzony w tulejce sztywny drąg od dwudziestu do trzydziestu stóp długości. (Przyp. aut.)

****** Małpia lina znajduje się na wszystkich statkach wielorybniczych, ale tylko na „Pequodzie" małpa i opiekun byli ze sobą związani. To ulepszenie pierwotnego zwyczaju wprowadzone zostało nie przez kogo innego, jak przez Stubba, aby zapewnić narażonemu na niebezpieczeństwo harpunnikowi najpewniejszą gwarancję wierności i czujności ze strony dzierżącego małpią linę towarzysza. (Przyp. aut.)

******* To nam przypomina, że wieloryb właściwy rzeczywiście ma coś w rodzaju bokobrodów albo raczej wąsów składających się z kilku białych włosów rozrzuconych na górnej części zewnętrznego końca dolnej szczęki. Czasami owe kępki włosów nadają nieco zbójecki wyraz jego skądinąd tak dostojnemu obliczu. (Przyp. aut.)

******** W tym wypadku klin nie jest terminem euklidesowskim. Należy on w tej formie do czystej matematyki morskiej. Nie słyszałem dotychczas, żeby go definiowano. Taki klin, o jakim tu mówię, to bryła różniąca się od zwykłego klina tym, że jej ostry koniec uformowany jest przez strome ścięcie z jednego boku, miast jednoczesnego zwężania się ich obu. (Przyp. aut.)

********* Choć wszelkie porównywanie ogólnej masy wieloryba i słonia jest niedorzeczne, ile że w tym względzie słoń pozostaje do wieloryba w takim samym stosunku, jak piesek do słonia, jednakże nie brak tu pewnych punktów ciekawej analogii; do nich zaś należy fontanna. Dobrze to wiadomo, że słoń, często zaczerpnąwszy trąbą wody czy też pyłu, unosi ją w górę i zawartość strumieniem wyrzuca. (Przyp. aut.)

********** Kaszalot, podobnie jak i wszystkie odmiany Lewiatana, w przeciwieństwie jednak do większości innych ryb, płodzi swe małe bez względu na porę roku; po okresie brzemienności, który można prawdopodobnie określić na dziewięć miesięcy, wydaje na świat tylko jedno na raz, choć bywało, że w nielicznych znanych przypadkach zrodził Ezawa i Jakuba. Na taką okoliczność ma dwie sutki osobliwie rozmieszczone po obu stronach odbytnicy; same piersi jednak znajdują się wyżej. Jeśli przypadkiem owe cenne części karmiącej samicy wieloryba przebite zostaną lancą łowcy, wówczas wylewające się mleko oraz krew matki współzawodniczą w zabarwianiu morza na całe stajania. Mleko jest bardzo słodkie i tłuste, człowiek już go próbował; mogłoby dobrze nadać się do poziomek. Kiedy są przepełnione wzajemnym szacunkiem, wieloryby pozdrawiają się *more hominum*. (Przyp. aut.)

********** „Kartki z Biblii! Kartki z Biblii!” Oto okrzyk rzucany nieodmiennie przez oficerów siekaczowi. Zaleca mu on, żeby się starał ciąć tłuszcz na najcieńsze płaty, jako że to wielce przyśpiesza wytapianie oleju i powiększa znacznie jego ilość, nie mówiąc już o tym, że może to polepszyć i jakość. (Przyp. aut.)

********** Na statkach wielorybniczych, mających na pokładzie znaczniejszą ilość oleju, musi się obowiązkowo dwa razy w tygodniu wprowadzać węża do komory i polewać beczki wodą morską, którą później co jakiś czas usuwa się za pomocą pomp. W ten sposób usiłuje się utrzymać beczki w stanie wilgotnym i przez to zachować ich szczelność; zaś dzięki

zmianom w wyglądzie spuszczanej wody marynarze od razu wykrywają wszelkie poważniejsze wyciekanie cennego ładunku. (Przyp. aut.)

********** Ów ruch właściwy jest kaszalotowi. Otrzymał swą nazwę (koziołkowanie) przez przyrównanie go do owego wstępnego podbijania i opuszczania lancy wielorybniczej poprzedzającego jej wyrzucenie zwane „koziołkowaniem”, które zostało opisane powyżej. Dzięki owemu ruchowi wieloryb zapewne najlepiej i najdokładniej widzi wszelkie otaczające go przedmioty. (Przyp. aut.)